

Tego autora

NIE MÓW NIKOMU
BEZ POŻEGNANIA
JEDYNA SZANSA
TYLKO JEDNO SPOJRZENIE
NIEWINNY
W GŁĘBI LASU
ZACHOWAJ SPOKÓJ
MISTYFIKACJA
NA GORĄCYM UCZYNKU

oraz

AŻ ŚMIERĆ NAS ROZŁĄCZY
(współautor)

HARLAN

Coben

**Na gorącym
uczynku**

Prolog

Wiedziałem, że po otwarciu tych czerwonych drzwi moje życie legnie w gruzach.

Tak, to brzmi melodramatycznie i złowieszczo, a ja nie jestem skłonny do jednego czy drugiego, i to prawda, że te czerwone drzwi wcale nie wyglądały groźnie. W istocie były zupełnie zwyczajne, drewniane i czteropłycinowe, takie, jakie widuje się na frontach trzech z każdych czterech podmiejskich domów, z wyblakłą farbą, nieużywaną już przez nikogo kołatką na wysokości piersi oraz klamką z imitacji mosiądzu.

Jednak kiedy się do nich zbliżałem, w blasku odległej latarni ledwo oświetlającym mi drogę, to ciemne przejście było niczym paszcza gotowa połknąć mnie całego, i nie mogłem odpędzić złych przeczuć. Każdy kolejny krok wymagał ogromnego wysiłku, jakbym szedł nie po lekko popękanym chodniku, lecz po jeszcze niezastygłym cemencie. Moje ciało słało wszystkie klasyczne sygnały zagrożenia.

Ciarki przebiegające po plecach? Owszem. Włosy stające dęba? Tak. Swędzenie nasady karku? Było. Mrowienie skóry na głowie? Jak najbardziej.

Okna domu były ciemne, w żadnym nie paliło się światło. Chynna uprzedziła mnie, że tak będzie. To miejsce nie wiadomo dlaczego wydawało się trochę zbyt sztampowe, zbyt niepozorne. To z jakiegoś powodu mnie niepokoiło. Ponadto dom stał na samym końcu ślepej uliczki, nieco odosobniony, i majaczył w ciemności, jakby chciał odpędzić intruzów.

Nie podobał mi się.

Nie podobało mi się to wszystko, ale tym się zajmuję. Kiedy zadzwoniła Chynna, właśnie zakończył się mecz drużyny koszykówki Newark Bidy, czwartoklasistów ze śródmieścia, której byłem trenerem. Drużyna, która składała się z dzieci, tak jak ja wychowywanych w rodzinach zastępczych (nazwaliśmy się NoRents, co jest skrótem od *No Parents** i przejawem wisielczego humoru), zdołała w ciągu dwóch ostatnich minut stracić szesciopunktową przewagę. Na boisku tak samo jak w życiu NoRents nie radzą sobie pod presją.

Chynna zadzwoniła, kiedy zbierałem moich młodych koszykarzy na pomeczową przemowę, w której zazwyczaj przekazywałem im takie budujące i wnikliwe uwagi, jak: „Daliście z siebie wszystko”, „Załatwimy ich następnym razem” lub „Nie zapomnijcie, że gramy w następnym czar-

* *No Parents* (ang.) — rodziców brak.

tek", i zawsze kończąca się hasłem „Zwarci", po którym następuje chóralny odzew „W obronie!", zapewne wybrany dlatego, że w ogóle nam to nie wychodzi.

— Dan?

— Kto mówi?

— Tu Chynna. Proszę, przyjeźdź.

Powiedziała to drżącym głosem, więc zwołałem zespół, wskoczyłem do samochodu i tak znalazłem się tutaj. Nawet nie zdążyłem wziąć prysznica. Teraz zapach potu z sali gimnastycznej mieszał się z wonią potu wywołanego strachem. Zwołałem kroku.

Co się ze mną dzieje?

Przede wszystkim zapewne powinienem wziąć prysznic. Bez tego jestem do niczego. Zawsze. Jednak Chynna nalegała. „Teraz — błagała. — Zanim ktoś wróci do domu". „Tak więc byłem tu, w szarej bawełnianej koszulce pociemniałej od potu i oblepiającej pierś, kierując się do tych drzwi.

Jak większość nastolatków, z którymi pracuję, Chynna miała poważne problemy i może właśnie to mnie zaalarmowało. Nie podobał mi się ton jej głosu w słuchawce, a to otoczenie bynajmniej mnie nie uspokoiło. Odetchnąłem głęboko i obejrzałem się za siebie. W oddali zobaczyłem kilka oznak nocnego podmiejskiego życia — oświetlenie domów, migotanie telewizora lub monitora komputerowego, otwarte drzwi garażu — lecz w tym zaułku ich nie było, żadnego dźwięku ani ruchu, tylko przyczajony mrok.

Mój telefon komórkowy zawibrował i o mało nie wyskoczyłem z butów. Pomyślałem, że to Chynna, ale nie,

dzwoniła Jenna, moja była żona. Wcisnąłem klawisz połączenia.

— Cześć — rzuciłem.

— Mogę cię prosić o przysługę? — zapytała.

— W tym momencie jestem trochę zajęty.

— Potrzebna mi opiekunka do dziecka na jutrzejszy wieczór. Możesz przyjść z Shelly, jeśli chcesz.

— Shelly i ja, mamy... hm... kłopoty.

— Znowu? Przecież to doskonała kobieta dla ciebie.

— Mam problem z utrzymaniem doskonałych kobiet.

— Jakbym nie wiedziała.

Jenna, moja śliczna była, ponownie wyszła za mąż osiem lat temu. Jej nowy mąż, Noel Wheeler, jest powszechnie szanowanym chirurgiem. Pracuje charytatywnie w moim ośrodku pomocy dla młodzieży. Lubię Noela, a on lubi mnie. Ma córkę z poprzedniego małżeństwa, a z Jenną sześcioletnią córeczkę o imieniu Kari. Jestem chrzestnym Kari i obie dziewczynki nazywają mnie wujek Dan. Jestem ich etatową opiekunką.

Wiem, że to wszystko brzmi bardzo cywilizowanie i idealistycznie, i zapewne takie jest. W moim przypadku może to być po prostu kwestia wewnętrznej potrzeby. Nie mam nikogo innego — rodziców ani rodzeństwa — tak więc moja była żona jest dla mnie substytutem rodziny. Dzieciaki, z którymi pracuję, którymi się opiekuję, próbując je wspierać i ich bronić, są moim życiem, chociaż nie jestem pewny, czy moje starania w ogóle coś dają.

— Ziemia do Dana? — powiedziała Jenna.

— Przyjdę.

— Osiemnasta trzydzieści. Jesteś super.

Jenna cmoknęła w słuchawkę i rozłączyła się. Przez chwilę patrzyłem na telefon, wspominając dzień naszego ślubu. Popełniłem błąd, żeniąc się. Za bardzo zbliżam się do ludzi, jednak nie potrafię tego unikać. Niech ktoś zagra na skrzypkach i posmęci filozoficznie, że lepiej kochać i żałować, niż nie kochać i żałować, że się nie kochało. Mnie to raczej nie dotyczy. Ludzie mają w genach powtarzanie tych samych błędów, chociaż doskonale zdają sobie z tego sprawę. Tak było ze mną biednym sierotą który wspiął się na pierwsze miejsce w swojej klasie elitarniej szkoły, ale nigdy nie zdołał zapomnieć o tym, kim jest. To sentymentalne, ale chcę kogoś mieć. Niestety, nie jest mi to pisane. Jestem samotnikiem, który nie powinien być sam.

„Jesteśmy odpadami ewolucji, Dan...”.

Tego nauczył mnie mój przybrany ojciec. Był profesorem college'u i uwielbiał dysputy filozoficzne.

„Zastanów się, Dan. W całej historii ludzkości, co robili najsilniejsi i najbystrzejsi? Toczyli wojny. Zaprzestali tego dopiero w ostatnim stuleciu. Przedtem posyłaliśmy naszych najwybitniejszych na pierwszą linię frontu. Kto więc zostawał w domu i przedłużał gatunek, podczas gdy najlepsi ginęli na odległych polach bitewnych? Chromi, chorzy, słabi, łajdacy i tchórze, krótko mówiąc, najgorsi z nas. Dlatego jesteśmy genetycznym odpadem, Dan — w wyniku setek lat eliminowania wybitnych i pozostawiania kiepskich.

Właśnie dlatego jesteśmy śmieciem — rezultatem odwiecznej selekcji negatywnej".

Zignorowałem kołatkę i lekko zapukałem w drzwi. Uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Nie zauważyłem, że były tylko przymknięte.

To też mi się nie spodobało. Nie podobało mi się tu wiele rzeczy.

Jako dzieciak oglądałem dużo horrorów, co było dziwne, ponieważ ich nienawidziłem. Nie lubiłem, jak coś na mnie skakało. I nie znosiłem krwawych scen. Pomimo to oglądałem je, bawiąc się jakże przewidywalną głupotą głównych bohaterek. Teraz te obrazy przelatywały mi przez głowę, sceny, gdy jedna z wyżej wspomnianych bohaterek puka do drzwi, które uchylają się nieco, a ty krzyczysz do niej: „Uciekaj, ty skąpo odziana wywłoko!", lecz ona tego nie robi, czego nie możesz zrozumieć, i dwie minuty później morderca rozbija jej czaszkę i wyjada mózg.

Powinienem natychmiast odejść.

Prawdę mówiąc, chciałem. Potem jednak przypomniała mi się rozmowa z Chynną, to, co powiedziała, i jej drżący głos. Westchnąłem, przysunąłem twarz do szpary w drzwiach i zajrzałem do przedsionka.

Ciemność.

Dość tej szpiegowskiej scenerii.

— Chynna?

Mój głos odbił się echem. Oczekiwałem ciszy. Taki powinien być następny krok, prawda? Brak odpowiedzi.

Uchyliłem drzwi jeszcze trochę, ostrożnie zrobiłem krok do przodu...

— Dan? Jestem z tyłu. Wejdz.

Jej głos był stłumiony, daleki. To też mi się nie spodobało, ale w żadnym razie nie mogłem się teraz cofnąć. Wycofywanie się kosztowało mnie w życiu zbyt wiele. Przestałem się wahać. Już wiedziałem, co trzeba zrobić.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do środka i zamknąłem je za sobą.

Ktoś inny na moim miejscu zabrałby pistolet albo jakąś inną broń. Zastanawiałem się, czy to zrobić. Jednak to nie w moim stylu. Teraz nie czas, żeby się tym martwić. „Nikogo nie ma w domu” — tak powiedziała mi Chynna. A gdyby nawet, no cóż, poradzę sobie z tym, jeśli będzie trzeba.

— Chynna?

— Wejdz do salonu, zaraz tam przyjdę.

Jej głos brzmiał... dziwnie. Zobaczyłem światło na końcu korytarza i ruszyłem w tym kierunku. Usłyszałem jakiś dźwięk. Przystanąłem i nasłuchiwałem. Odgłos płynącej wody. Może prysznic.

— Chynna?

— Przebieram się. Zaraz przyjdę.

Wszedłem do słabo oświetlonego salonu. Zauważyłem pokrętko ściemniacza i zacząłem się zastanawiać, czy ustawić jaśniejsze światło, ale w końcu zostawiłem je w spokoju. Moje oczy bardzo szybko przyzwyczajały się do półmroku. Tandetne drewniane panele wyglądały na zrobione z czegoś

bardziej zbliżonego do plastiku niż rosnącego w lesie. Dwa portrety kłownów z ogromnymi kwiatami w klapach wyglądały jak trofea z jakiejś szczególnie nędznej wyprzedaży likwidowanego motelu. Na barku stała otwarta gigantyczna butelka niemarkowej wódki. Wydawało mi się, że usłyszałem szept.

— Chynna?! — zawołałem.

Żadnej odpowiedzi. Stałem i nasłuchiwałem kolejnego szepotu. Nic. Ruszyłem na tyły domu, tam, skąd dobiegał szum wody.

— Zaraz przyjdę — powiedział kobiecy głos.

Przystanąłem i przeszedł mnie dreszcz. Ponieważ teraz znalazłem się bliżej, więc lepiej słyszałem. I właśnie dlatego wydał mi się bardzo dziwny.

Ponieważ nie brzmiał jak głos Chynny.

Targały mną trzy różne uczucia. Pierwszym był strach. To nie Chynna. Wyoś się z tego domu. Drugim ciekawość. Jeśli to nie Chynna, to kto, do diabła, i co się tu dzieje? Trzecim znów strach. Dzwoniła do mnie Chynna, więc co się z nią stało?

Nie mogłem teraz tak po prostu uciec.

Zrobiłem krok, zamierzając wejść, i właśnie wtedy to wszystko się stało.

Reflektor zaświecił mi w oczy, oślepiając mnie. Zatoczyłem się do tyłu, zasłaniając ręką twarz.

— Dan Mercer?

Zamrugąłem. Kobiecy głos. Rzeczowy. Głęboki. Dziwnie znajomy.

— Kto to?

Nagle w pokoju pojawili się inni ludzie. Mężczyzna z kamerą. Drugi z czymś wyglądającym na mikrofon na drążku. I ta kobieta o znajomym głosie, oszałamiająco piękna, z kasztanowymi włosami i w garsonce.

— Wendy Tynes, *Eyewitness News*. Po co tu przyszedłeś, Dan?

Otworzyłem usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Rozpoznałem tę kobietę z programu telewizyjnego, która...

— Dlaczego prowadziłeś przez Internet rozmowy o seksualnym charakterze z trzynastoletnią dziewczynką, Dan? Mamy zapis tych kontaktów.

...zastawia pułapki na pedofilów i nagrywa ich, żeby pokazać całemu światu.

— Czy przyszedłeś tu, żeby uprawiać seks z trzynastoletnią dziewczynką?

Nagle świadomość tego, co się tu dzieje, zmroziła mnie do szpiku kości. W pokoju zaroilo się od ludzi. Może byli to producenci programu. Drugi kamerzysta. Dwaj policjanci. Kamery zbliżały się do mnie. Światła stały się jeszcze jaśniejsze. Krople potu spływają mi po czole. Zaczynam coś mamrotać, zaczynam zaprzeczać.

Jednak jest już za późno.

Dwa dni później program wchodzi na antenę. Cały świat widzi.

I życie Dana Mercera, co w jakiś sposób przeczuwałem, podchodząc do tych drzwi, rozsypuje się w gruzy.

Kiedy Marcia McWaid po raz pierwszy zobaczyła puste łóżko córki, nie przestraszyła się. Strach przyszedł później.

Obudziła się o szóstej rano, wcześniej jak na niedzielny ranek, czując się po prostu wspaniale. Ted, jej mąż od dwudziestu lat, spał obok niej. Leżał na brzuchu, obejmując jej talię. Lubił spać w podkoszulku, ale bez spodni. Bez niczego. Goły od pasa w dół. „Żeby mój mały miał trochę swobody” — mawiał z kpiącym uśmiechem. A Marcia, naśladując śpiewny głosik ich nastoletniej córki, odpowiadała: „zet-de-i”, czyli „za dużo informacji”.

Wyślizgnęła się z jego objęć i boszo zeszła do kuchni. Zaparzyła sobie filiżankę kawy w nowym ekspresie marki Keurig. Ted kochał gadżety — ci chłopcy i ich zabawki — ale ten nawet do czegoś się przydawał. Wystarczyło wziąć saszetkę i włożyć ją do ekspresu — i proszę, jest kawa. Żadnych wyświetlaczy, dotykowych paneli czy bezprzewodowego podłączania. Marcia uwielbiała ten ekspres.

Niedawno skończyli przybudówkę — dodatkowy pokój i łazienka oraz wystrzałowa kuchnia z przeszklonym kąciakiem śniadaniowym. Ten kącik zapewniał mnóstwo porannego słońca i dlatego stał się ulubionym miejscem Marcii. Wzięła kawę oraz gazetę i usadowiła się na krześle przy oknie, siadając na podwiniętych nogach.

Kawałeczek nieba.

Zaczęła czytać gazetę i popijać kawę. Za kilka minut będzie musiała zacząć realizować plan dnia. Ryan, jej trzecioklasista, o ósmej rano ma mecz koszykówki. Ted był

trenerem jego drużyny. Ta już drugi sezon z rzędu nie wygrała żadnego meczu.

— Dlaczego twoje drużyny nigdy nie wygrywają? — zapytała go Marcia.

— Wybieram dzieciaki na podstawie dwóch kryteriów.

— Jakich?

— Czy ojciec jest miły, a matka seksowna.

Udała, że go policzkuje, i może trochę by się tym przejęła, gdyby nie widziała wystających za boczną linią matek i nie wiedziała na pewno, że żartował. Ted był wspaniałym trenerem, nie w kwestii strategii, ale podejścia do chłopców. Oni go uwielbiali, a także jego niechęć do rywalizacji, więc nawet nieudolni zawodnicy, którzy zwykle zniechęcali się i rezygnowali w trakcie sezonu, przychodzili co tydzień. Ted sparafrazował tytuł piosenki Bon Joviego *You Give Losing a Good Name*. Dzieciaki śmiały się i oklaskiwały każdy celny rzut, a kiedy jest się w trzeciej klasie, tak powinno być.

Czternastoletnia córka Marcii, Patricia, miała próbę szkolnego przedstawienia, będącego skróconą wersją musicalu *Nędznicy*. Wprawdzie grała w nim niewielką rolę, lecz ciężko pracowała. Najstarsza, Haley, uczennica klasy maturalnej, prowadziła „ćwiczenia kapitańskie” dziewczęcej drużyny lacrosse. Ćwiczenia kapitańskie były nieoficjalnymi porannymi treningami prowadzonymi według wytycznych dostarczonych przez szkołę. Krótko mówiąc, bez trenerów czy nauczycieli, luźne spotkania pod przewodnictwem kapitanów, żeby zawodnicy mogli sobie pograć, jeśli chcieli.

Jak większość rodziców z przedmieść Marcia kochała sport i go nienawidziła. Nie potrafiła traktować go obojętnie, chociaż wiedziała, że w całym procesie kształcenia jest stosunkowo mało ważny.

Pół godziny spokoju przed rozpoczęciem dnia. Tylko tyle potrzebowała.

Skończyła pierwszą filiżankę, zaparzyła sobie drugą i zabrała się do części gazety poświęconej modzie. W domu nadal było cicho. Weszła na górę, żeby popatrzeć na swoje pociechy. Ryan spał na boku, twarzą do drzwi, tak że z łatwością mogła dostrzec, jak bardzo jest podobny do ojca.

Pokój Patricii był obok. Ona też spała.

— Kochanie?

Patricia się poruszyła, być może coś wymamrotała. Jej pokój, tak samo jak pokój Ryana, wyglądał, jakby ktoś rozmieścił laski dynamitu w strategicznie wybranych szufladach, wysadzając je w powietrze: część rzeczy padła na podłogę, inne bezwładnie zawisły w połowie drogi, udra-powane na komodzie jak polegli na barykadzie podczas rewolucji francuskiej.

— Patricio? Za godzinę masz próbę.

— Już się obudziłam — jęknęła dziewczynka, a jej głos świadczył o tym, że wcale tak nie jest.

Marcia poszła do następnego pokoju, należącego do Haley, i zajrzała do środka.

Łóżko było puste.

A także zaścielone, jednak to nie było żadnym zaskoczeniem. W przeciwieństwie do pokoi rodzeństwa pokój

Haley był schludny i czysty, idealnie uporządkowany. Jak wystawa salonu meblowego. Na podłodze nie leżały ubrania, a wszystkie szuflady były zamknięte. Trofea — a było ich wiele — stały w idealnych rzędach na czterech półkach. Czwartą półkę Ted powiesił niedawno, po tym gdy drużyna Haley wygrała wakacyjny turniej we Franklin Lakes. Haley mozolnie podzieliła trofea na cztery półki, nie chcąc, by na nowej stało tylko to jedno. Marcia nie wiedziała dlaczego. Zapewne Haley nie chciała, by wyglądało na to, że oczekuje kolejnych, ale głównym powodem była jej niechęć do wszelkiego nieładu. Wszystkie trofea ustawiała w idealnie równych odstępach, zmniejszając je w miarę zdobywania kolejnych nagród — najpierw co dziesięć centymetrów, potem siedem, potem cztery. Haley lubiła równowagę. Była dobrą dziewczyną i chociaż było to cudowne, ambitne, zabawnie skore do rywalizacji dziecko, które bez przypominania odrabiało lekcje i nie chciało, by ktoś o nim źle myślał, miało charakter graniczący z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi, co niepokoiło Marcie.

Teraz zastanawiała się, o której Haley przyszła do domu. Haley nie musiała wracać o wyznaczonej godzinie, ponieważ była odpowiedzialna, przed maturą, i nigdy tego nie wykorzystywała. Zmęczona Marcia poszła spać o dwudziestej drugiej. Ted, w stanie ustawicznej „gotowości”, wkrótce podążył za nią.

Marcia już miała pójść dalej i zapomnieć o sprawie, gdy coś, nie wiedziała co, kazało jej nastawić pranie. Ruszyła do łazienki Haley. Młodsze dzieci, Ryan i Patricia, uważały,

że „pojemnik” to eufemistyczne określenie podłogi lub wszystkich innych miejsc, lecz Haley oczywiście obowiązkowo i nabożnie co wieczór wkładała noszone przez cały dzień ubranie do kosza na brudną bieliznę. I właśnie wtedy Marcia poczuła, że w jej piersi zaczyna formować się kamień.

Kosz był pusty.

Kamień w piersi rósł, gdy Marcia sprawdzała szczoteczkę do zębów Haley, a potem umywalkę i prysznic.

Wszystko suche jak piasek.

Kamień w piersi rósł, gdy zadzwoniła do Teda, starając się ukryć strach w głosie. Narastał, gdy pojechali na ćwiczenia kapitańskie i dowiedzieli się, że Haley nie przyszła. Narastał, gdy dzwoniła do przyjaciółek córki, podczas gdy Ted rozsyłał e-maile — i nikt nie wiedział, gdzie jest Haley. Narastał, gdy zadzwonili na policję, która — wbrew protestom Marcii i Teda — uważała, że Haley uciekła z domu, żeby upuścić sobie trochę pary. Narastał, gdy po czterdziestu ośmiu godzinach sprawą zajęło się FBI. Narastał, gdy po tygodniu nadal nie natrafiono na ślad córki.

Jakby zapadła się pod ziemię.

Minął miesiąc. Nic. Potem dwa. Nadal ani słowa. Aż w końcu, po ponad dwóch miesiącach, przyszła wiadomość i ten kamień, który rósł w piersi Marcii, który nie pozwalał jej oddychać i spać po nocach, przestał rosnąć.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

— Czy przysięga pani mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak dopomóż Bóg?

Wendy Tynes powiedziała, że tak, zajęła miejsce na podium i się rozejrzała. Miała wrażenie, że jest na scenie, do czego była przyzwyczajona jako reporterka wiadomości telewizyjnych i w ogóle, ale tym razem czuła się nieswojo. Zobaczyła rodziców ofiar Dana Mercera. Cztery pary. Byli tutaj codziennie. Z początku przynosili zdjęcia swoich dzieci, oczywiście niewinnych, i trzymali je w górze, ale sędzia im tego zabroniła. Teraz siedzieli w milczeniu, patrząc, i to w jakiś sposób było jeszcze bardziej przygnębiające.

Ławka była niewygodna. Wendy zmieniła pozycję, skrzyżowała, a potem wyprostowała nogi i czekała.

Flair Hickory, znakomity prawnik obrony, wstał i Wendy po raz kolejny zadała sobie pytanie, jak Dana Mercera było na niego stać. Flair jak zawsze miał na sobie szary garnitur

w różowe prążki, różową koszulę i takież krawat. Przeszedł przez salę w sposób, który łagodnie można by nazwać „teatralnym”, a w istocie bardziej przypominał coś, co mógłby zrobić ekstrawagancki pianista Liberace, gdyby odważył się naprawdę zaszaleć.

— Pani Tynes — zaczął z zachęcającym uśmiechem. Taki miał styl. Był gejem, owszem, ale wygrywał to w sądzie jak Harvey Fierstein w skórzanych motocyklowych spodniach grający jazzmana Lizy'ego. — Nazywam się Flair Hickory. Dzień dobry pani.

— Dzień dobry — odpowiedziała.

— Pracuje pani przy realizacji tego sensacyjnego tabloidowego programu telewizyjnego zatytułowanego *Przylapani na gorącym uczynku*, prawda?

— Sprzeciw — powiedział oskarżyciel, prokurator Lee Portnoi. — To program telewizyjny. Nie ma dowodów popierających twierdzenie, iż ten program jest sensacyjny bądź tabloidowy.

Flair się uśmiechnął.

— Czy chciałby pan, żebym przedstawił dowód, panie Portnoi?

— To nie będzie konieczne — rzekła sędzia Lori Howard głosem, który już zdradzał zmęczenie. Zwróciła się do Wendy: — Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Już nie pracuję przy realizacji tego programu — powiedziała Wendy.

Flair udał zdziwionego.

— Nie? Jednak pracowała pani?

— Tak.
— Cóż więc się stało?
— Program został zdjęty z anteny.
— Z powodu niskiej oglądalności?
— Nie.
— Naprawdę? Zatem dlaczego?
— Wysoki Sądzie — odezwał się Portnoi — wszyscy znamy powody.

Lori Howard skinęła głową.

— Proszę dalej, panie Hickory.
— Zna pani mojego klienta, Dana Mercera?
— Tak.
— I włamała się pani do jego domu, prawda?

Wendy starała się wytrzymać jego spojrzenie i nie wygłądać na winną, cokolwiek, do licha, to oznaczało.

— To niezupełnie ściśle określenie, nie.
— Nie? Cóż, moja droga, chcę mieć pewność, że jesteśmy tak dokładni, jak to tylko możliwe, zatem cofnijmy się w czasie, dobrze?

Przeszedł przez salę, jakby to był wybieg dla modelek w Mediolanie. Miał nawet czelność uśmiechnąć się do rodzin ofiar. Większość z nich demonstracyjnie na niego nie patrzyła, lecz jeden z ojców, Ed Grayson, przesywał go wzrokiem, co najwidoczniej Flaira nie peszyło.

— W jaki sposób poznała pani mojego klienta?
— Nawiązał ze mną kontakt na czacie.

Brwi Flaira uniosły się pod niebo.

— Naprawdę? — Jakby była to najbardziej fascynująca

rzecz, jaką ktokolwiek powiedział. — Jakiego rodzaju czacie?

— Na czacie, w którym uczestniczyły dzieci.

— I pani też uczestniczyła w tym czacie?

— Tak.

— Pani nie jest dzieckiem, pani Tynes. Chcę powiedzieć, że może nie jest pani w moim typie, ale nawet ja widzę, że jest pani dość atrakcyjną młodą kobietą.

— Sprzeciw!

Sędzia Howard westchnęła.

— Panie Hickory?

Flair uśmiechnął się i przepaszająco pomachał ręką. Tylko jemu uchodziły takie numery.

— No cóż, pani Tynes, kiedy uczestniczyła pani w tym czacie, udawała pani nieletnią dziewczynkę, zgadza się?

— Tak.

— I brała udział w rozmowach mających zachęcić mężczyzn do uprawiania z panią seksu, zgadza się?

— Nie.

— Jak to?

— Zawsze czekałam, aż zrobią pierwszy krok.

Flair pokręcił głową i mlasnął.

— Gdybym dostawał dolara za każdym razem, gdy to mówiłem...

Po sali sądowej przetoczył się głośny śmiech widzów.

— Mamy zapisy tych rozmów, panie Hickory — przy pomniała sędzia. — Możemy je przeczytać i wyciągnąć własne wnioski.

— Doskonała uwaga, Wysoki Sądzie, dziękuję.

Wendy zastanawiała się, dlaczego nie ma tu Dana Mercera, lecz to zapewne było oczywiste. To wstępne przesłuchanie dowodowe, tak więc jego obecność nie była obowiązkowa. Flair Hickory miał nadzieję, że nakłoni sąd do odrzucenia okropnego, obrzydliwego, niesmacznego materiału dowodowego, który policja znalazła w komputerze Mercera i w jego domu. Gdyby mu się to udało — choć wszyscy się zgadzali, że ma niewielkie szanse — sprawa wytoczona Danowi Mercerowi zapewne by upadła i ten chory zboczeniec wyszedłby na wolność.

— A przy okazji — Flair odwrócił się do Wendy — skąd pani wiedziała, że to mój klient prowadzi z panią te rozmowy?

— Z początku nie wiedziałam.

— Och tak? I myślała pani, że z kim rozmawia?

— Nie znałam nazwiska. W tym rzecz. Na tamtym etapie wiedziałam tylko, że to jakiś facet propagujący seks z nieletnimi dziewczętami.

— Skąd pani to wiedziała?

— Przepraszam?

Flair nakreślił w powietrzu cudzysłów.

— „Propagujący seks z nieletnimi dziewczętami”, jak to pani ujęła. Skąd pani wiedziała, że właśnie to robiła osoba biorąca udział w konwersacji?

— Jak powiedziała pani sędzia, panie Hickory, proszę przeczytać zapisy rozmów.

— Och, zrobiłem to. I wie pani, do jakiego doszedłem wniosku?

To zelektryzowało Lee Portnoia.

— Sprzeciw. Nie obchodzi nas, do jakich wniosków doszedł pan Hickory. Nie on składa zeznanie.

— Podtrzymany.

Flair wrócił do swojego biurka i zaczął przeglądać notatki. Wendy spojrzała na galerię. To podtrzymywało ją na duchu. Ci ludzie tyle wycierpieli. Wendy pomagała im znaleźć sprawiedliwość. Mogła udawać obojętność lub twierdzić, że to tylko jej praca, ale to dużo dla niej znaczyło — dobro, które czyniła. Jednak kiedy napotkała spojrzenie Eda Graysona, zobaczyła coś, co jej się nie spodobało. Coś jakby gniew. Albo wyzwanie.

Flair odłożył papiery.

— No cóż, pozwoli pani, że ujmę to w taki sposób, pani Tynes: gdyby przeciętna rozsądna osoba przeczytała te zapisy, czy mogłaby zdecydowanie i bez cienia wątpliwości stwierdzić, że jedną z uczestniczek tych rozmów była atrakcyjna, trzydziestosześcioletnia reporterka...

— Sprzeciw!

— ...czy może uznać, iż pisała je trzynastoletnia dziewczynka?

Wendy otworzyła usta, zamknęła je i czekała.

— Może pani odpowiedzieć — rzekła sędzia Howard.

— Udawałam trzynastoletnią dziewczynkę.

— Ach — westchnął Flair. — Któżby nie chciał nią być?

— Panie Hickory — ostrzegła go sędzia.

— Przepraszam, Wysoki Sądzie, nie mogłem się oprzeć. No cóż, pani Tynes, gdybym tylko przeczytał treść tych rozmów, nie wiedziałbym, że pani udawała, prawda? Myślałbym, że naprawdę jest pani trzynastoletnią dziewczynką.

Lee Portnoi rozłożył ręce.

— Czy mamy tu jakieś pytanie?

— Już je zadaję, mój słodki, więc słuchaj. Czy te wiadomości były pisane przez trzynastoletnią dziewczynkę?

— To pytanie już padło i otrzymaliśmy na nie odpowiedź, Wysoki Sądzie.

— Chodzi o proste „tak” lub „nie” — powiedział Flair. — Czy autorką tych wiadomości była trzynastoletnia dziewczynka?

Sędzia Howard skinieniem głowy zezwoliła na odpowiedź.

— Nie — przyznała Wendy.

— W istocie, jak pani powiedziała, udawała pani trzynastoletnią dziewczynkę, zgadza się?

— Zgadza się.

— Iz tego, co pani wiedziała, wynikało, że osoba, z którą pani rozmawiała, udaje dorosłego mężczyznę pragnącego seksu z nieletnią. Równie dobrze mogła pani rozmawiać z zakonnica albinoską chorą na półpasiec, zgadza się?

— Sprzeciw.

Wendy spojrzała Flairowi w oczy.

— Zakonnica albinoską chora na półpasiec nie pojawiła się w domu dziewczynki, pragnąc seksu.

Jednak Flair nie dał się zbić z tropu.

— A co to był za dom, pani Tynes? Ten, w którym umieściła pani swoje kamery? Niech mi pani powie, czy mieszkała tam jakaś dziewczynka?

Wendy milczała.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie — ponagliła ją sędzia.

— Nie.

— Jednak pani tam była, zgadza się? Może ktoś rozmawiał z panią na tym internetowym czacie... a w tym momencie nie wiemy, kto to był... może oglądał pani program... — Flair wypowiedział to w taki sposób, jakby słowo „program” miało nieprzyjemny smak. — I postanowił udawać, żeby spotkać atrakcyjną trzydziestosześcioletnią gwiazdę telewizji. Czy to nie jest możliwe?

Portnoi wstał.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Te kwestie rozstrzygnie sąd.

— Racja — rzekł Flair. — Możemy tam omówić tę oczywistą sprawę podstępnej prowokacji. — Znowu odwrócił się do Wendy. — Pozostańmy przy nocy z siedemnastego na osiemnastego stycznia, dobrze? Co się zdarzyło po tym, jak spotkała pani mojego klienta w swoim domu pułapce?

Wendy spodziewała się, że prokurator zaprotestuje przeciwko słowu „pułapka”, ale widocznie uznał, że zgłosił już dość sprzeciwów.

— Pański klient uciekł.

— Po tym, jak wyskoczyliście na niego z kamerami, reflektorami i mikrofonami, zgadza się?

Znów zaczęła na sprzeciw, zanim odpowiedziała:

— Tak.

— Niech mi pani powie, pani Tynes, czy w taki sposób reaguje większość mężczyzn, którzy przychodzą do pani domu pułapki?

— Nie. Najczęściej zostają i próbują się tłumaczyć.

— I większość tych mężczyzn jest winna?

— Tak.

— Jednak mój klient postąpił inaczej. Interesujące.

Portnoi znowu wstał.

— Dla pana Hickory'ego to może być interesujące. Dla pozostałych z nas jego prawnicze kruczki...

— Tak, dobrze, wycofuję — powiedział Flair, jakby robił mu grzeczność. — Spokojnie, tu nie ma ławy przysięgłych. Nie uważa pan, że nasza pani sędzia przejrzy moje „prawnicze sztuczki” bez pańskiej pomocy? — Poprawił spinke przy mankiecie koszuli. — Zatem, pani Tynes, włączyła pani kamery i światła, po czym wyskoczyła pani z mikrofonem, a Dan Mercer uciekł. Czy tak?

— Tak.

— I co pani zrobiła?

— Kazałam mojej ekipie podążyć za nim.

Flair udał wstrząśniętego.

— Czy pani ekipa to funkcjonariusze policji, pani Tynes?

— Nie.

— Czy sądzi pani, że osoby prywatne powinny ścigać podejrzanych bez pomocy funkcjonariuszy policji?

— Był z nami policjant.

— Och, proszę — mruknął ze sceptyczną miną Hicko-

ry. — Pani program to zwyczajne szukanie sensacji. Najgorszego rodzaju tabloid... Wendy mu przerwała:

— Spotkaliśmy się już wcześniej, panie Hickory.

To powstrzymało jego tyradę.

— Czyżby?

— Kiedy byłam asystentką reżysera programu *Aktualna sprawa*. Zaangażowałam pana jako eksperta komentującego proces Roberta Blake'a oskarżonego o morderstwo.

Odwrócił się do widowni i nisko się skłonił.

— A więc, panie i panowie, ustaliliśmy fakt, że jestem medialną dziwką. Celny cios. — Kolejny wybuch śmiechu. — Mimo to, pani Tynes, czy próbuje pani powiedzieć sądowi, że organy ścigania aprobowwały pani dziennikarskie manipulacje w stopniu skłaniającym je do współpracy?

— Sprzeciw.

— Zezwałam.

— Ależ, Wysoki Sądzie...

— Odrzucony. Niech pan siada, panie Portnoi.

— Współpracujemy z policją i prokuraturą — wyjaśniła Wendy. — To dla nas bardzo ważne, aby nie łamać prawa.

— Rozumiem. Zatem działała pani razem z organami ścigania, tak?

— Niezupełnie, nie.

— A zatem jak, pani Tynes? Czy zastawiła pani tę pułapkę na własną rękę bez wiedzy i współpracy organów ścigania?

— Nie.

— No dobrze. Czy kontaktowała się pani z policją i biurem prokuratora przed tamtą nocą siedemnastego stycznia w związku z osobą mojego klienta?

— Tak, kontaktowaliśmy się z biurem prokuratora.

— Cudownie, dziękuję. Powiedziała pani, że kazała swojej ekipie ścigać mojego klienta, zgadza się?

— Nie użyła takiego sformułowania — odezwał się Portnoi. — Powiedziała „podążać”.

Flair spojrział na niego jak na natrętnego owada.

— Tak, dobrze, niech będzie... „ścigać”, „podążać”, możemy przedyskutować różnicę innym razem. Kiedy mój klient uciekł, pani Tynes, dokąd się pani udała?

— Do jego miejsca zamieszkania.

— Dlaczego?

— Doszłam do wniosku, że prędzej czy później Dan Mercer się tam zjawi.

— Zatem czekała tam pani na niego, w jego miejscu zamieszkania?

— Tak.

— Czy pozostała pani na zewnątrz?

Wendy się skrzywiła. Dochodzili do sedna. Spojrzała na twarze widzów, popatrzyła w oczy Eda Graysona, którego dziewięcioletni syn był wczesną ofiarą Dana Mercera. Czuła na sobie jego ciężki wzrok, gdy powiedziała:

— Zobaczyłam zapalone światło.

— W domu Dana Mercera?

— Tak.

— To dziwne. — Głos Flaira ociekał sarkazmem. —

Nigdy nie słyszałem, by ktoś zostawił zapalone światło, wychodząc z domu.

— Sprzeciw!

Sędzia Howard westchnęła.

— Panie Hickory.

Flair nie odrywał wzroku od Wendy.

— I co pani zrobiła, pani Tynes?

— Zapukałam do drzwi.

— Czy mój klient otworzył?

— Nie.

— Czy ktokolwiek otworzył?

— Nie.

— I co zrobiła pani wtedy, pani Tynes?

Wendy starała się nie wiercić, opisując swoje poczynania.

— Wydawało mi się, że w środku coś się poruszyło.

— Wydawało się pani, że coś się poruszyło — powtórzył Flair. — O rany, czy może pani wyrażać się jeszcze bardziej niejasno?

— Sprzeciw!

— Cofam pytanie. Co pani wtedy zrobiła?

— Nacisnęłam klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzyłam je.

— Naprawdę? Dlaczego pani to zrobiła?

— Byłam zaniepokojona.

— Zaniepokojona czym?

— Zdarzały się przypadki, gdy pedofile robili sobie krzywdę, kiedy ich przyłapano.

— Istotnie? Zatem martwiła się pani, że w wyniku

zastawionej przez panią pułapki mój klient może popełnić samobójstwo?

— Coś w tym rodzaju, tak. Flair przycisnął dłoń do piersi.

— Jestem wzruszony.

— Wysoki Sądzie! — krzyknął Portnoi.

Flair znów zbył go machnięciem ręki.

— Zatem chciała pani ratować mojego klienta?

— Gdyby była taka potrzeba, chciałam go powstrzymać.

— Na antenie używała pani takich słów, jak: „zbożeniec”, „psychol”, „zdeprawowany”, „potwór” i „śmieć”, opisując tych, których pani łapie, zgadza się?

— Tak.

— Jednak dzisiaj zeznaje pani, że była gotowa włamać się do jego domu... w istocie złamać prawo... aby ratować życie mojego klienta?

— Chyba można tak powiedzieć.

— Jakże szlachetnie.

Jego głos nie tylko ociekał sarkazmem, ale brzmiał jak marynowany w nim przez wiele dni.

— Sprzeciw!

— To nie była szlachetność — wyjaśniła Wendy. — Chcę, by ci ludzie zostali postawieni przed sądem, aby rodzina otrzymała zadośćuczynienie. Samobójstwo to łatwe wyjście.

— Rozumiem. I co się stało, gdy włamała się pani do domu mojego klienta?

— Sprzeciw — powiedział Portnoi. — Pani Tynes powiedziała, że drzwi nie były zamknięte...

— Tak, dobrze, weszła, włamała się, cokolwiek zadowolony szanownego pana. — Flair podparł się pod boki. — Był przestał pan przerywać. Co się stało, pani Tynes, po tym jak pani weszła... — znów powiedział to z bezgranicznym sarkazmem — do domu mojego klienta?

— Nic.

— Mój klient nie próbował zrobić sobie krzywdy?

— Nie.

— Co robił?

— Nie było go.

— W rzeczy samej, czy ktokolwiek był w środku?

— Nie.

— A to „poruszenie”, które może pani widziała?

— Nie wiem.

Flair skinął głową.

— Zeznała pani, że pojechała do domu mojego klienta niemal natychmiast po tym, jak uciekł, a pani ekipa zaczęła go gonić. Czy naprawdę sądziła pani, że zdążyłby wrócić do domu i szykować się do popełnienia samobójstwa?

— Mógł znać najkrótszą drogę i miał przewagę. Tak, uważałam, że zdążyłby.

— Rozumiem. Jednak myliła się pani, nieprawdaż?

— Co do czego?

— Mój klient nie udał się prosto do domu, prawda?

— Nie do domu, zgadza się.

— Jednak pani weszła do domu pana Mercera, zanim przybył tam on sam albo policja, zgadza się?

— Tylko na krótką chwilę.

— Jak długo trwa krótka chwila?

— Nie jestem pewna.

— No cóż, musiała pani sprawdzić wszystkie pomieszczenia, mam rację? Upewnić się, że nie wisi na pasku na jakiejś belce, zgadza się?

— Sprawdziłam tylko to pomieszczenie, w którym paliło się światło. Kuchnię.

— Co oznacza, że musiała pani co najmniej przejść przez salon. Niech mi pani powie, pani Tynes, co pani zrobiła po ustaleniu, że mojego klienta nie ma w domu?

— Wyszłam na dwór i czekałam.

— Na co?

— Aż zjawi się policja.

— Zjawiała się?

— Tak.

— I miała nakaz przeszukania domu mojego klienta, zgadza się?

— Tak.

— I chociaż rozumiem, że kierowały panią szlachetne pobudki, kiedy włamała się pani do domu mojego klienta, to czy jednocześnie choć trochę nie martwiła się pani o to, czy zastawiona pułapka spełni swoje zadanie?

— Nie.

— Od programu z siedemnastego stycznia dokładnie zbadała pani przeszłość mojego klienta. Czy poza tym, co policja znalazła w jego domu tamtej nocy, odkryła pani jakieś inne solidne dowody jego nielegalnych poczynań?

— Jeszcze nie.

— Uznam to za „nie”. Krótko mówiąc, bez dowodów znalezionych przez policję podczas przeszukania nie miałyby pani niczego, co wiązałoby mojego klienta z jakimkolwiek przestępstwem, zgadza się?

— Pojawił się tamtej nocy w tamtym domu.

— W domu pułapce, gdzie nie mieszkała żadna nieletnia dziewczynka. Tak więc w istocie, pani Tynes, ta sprawa i pani... hm... reputacja opiera się wyłącznie na materiałach znalezionych w domu mojego klienta. Bez nich niczego nie macie. Zatem miała pani sposobność oraz istotny powód, by podrzucić te obciążające dowody, nieprawdaż?

Lee Portnoi zerwał się na równe nogi.

— Wysoki Sądzie, to śmieszne. Ten spór powinna rozstrzygnąć ława przysięgłych.

— Pani Tynes przyznała się do nielegalnego wtargnięcia do domu bez nakazu — zauważył Flair.

— Doskonale — prychnął Portnoi. — Zatem oskarżcie ją o włamanie, jeśli myślicie, że zdołacie to udowodnić. I jeśli pan Hickory chce przedstawiać absurdalne teorie o zakonnicach albinoskach lub podrzuconych dowodach, to jego prawo, ale podczas procesu. Przed ławą przysięgłych. A wtedy będę mógł przedstawić dowody wykazujące, jak absurdalne są jego teorie. Od tego mamy sale sądowe i procesy. Pani Tynes jest osobą prywatną, a osoby prywatnej nie obowiązują przepisy funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości. Nie można odrzucić plików komputerowych i zdjęć, Wysoki Sądzie. Zostały znalezione podczas legalnego przeszukania z podpisanym nakazem. Niektóre z tych obrzyd-

liwych zdjęć były ukryte w garażu i za regałem z książkami i pani Tynes w żaden sposób nie mogła ich podrzucić w ciągu tej krótkiej chwili lub nawet kilkunastu minut, jakie może spędziła w tym mieszkaniu. Flair pokręcił głową.

— Wendy Tynes włamała się do tego domu ze szczególnych, w najlepszym razie, powodów. Zapalone światło? Jakiś ruch? Proszę. Ponadto miała istotny powód oraz sposobność, aby podrzucić dowody, a wiedziała, że dom Dana Mercera zostanie wkrótce przeszukany. To gorsze niż owoce zatrutego drzewa. Wszelkie dowody znalezione w tym domu powinny być wykluczone.

— Wendy Tynes jest osobą prywatną.

— To nie daje jej carte blanche. Mogła z łatwością podrzucić tam laptop i te fotografie.

— Ten argument może pan przedstawić ławie przysięgłych.

— Wysoki Sądzie, znalezione materiały są skrajnie szkodliwe dla mojego klienta. Zgodnie z jej własnym zeznaniem, pani Tynes jest najwyraźniej kimś więcej niż osobą prywatną. Kilkakrotnie zapytałem ją o jej powiązania z prokuraturą. Sama przyznała, że była ich agentem.

Słyszac to, Lee Portnoi poczerwieniał.

— To śmieszne, Wysoki Sądzie. Czy każdy reporter pracujący nad programem o przestępstwie jest teraz uważany za przedstawiciela prawa?

— Wendy Tynes sama przyznała, że współpracowała ściśle z pańskim biurem, panie Portnoi. Mogę kazać steno-

grafowi odczytać tę część o obecności policjanta i kontaktach z biurem prokuratora.

— To nie czyni z niej przedstawiciela prawa.

— To tylko semantyka i pan Portnoi o tym wie. Bez Wendy Tynes jego biuro nie miałyby niczego obciążającego mojego klienta. Cała sprawa, wszystkie przestępstwa, o które jest teraz oskarżony mój klient, wyrosły z pułapki zastawionej przez panią Tynes. Bez jej udziału nie zostałyby wystawiony żaden nakaz.

Portnoi przeszedł przez salę.

— Wysoki Sądzie, być może to pani Tynes przedstawiła tę sprawę mojemu biuru, lecz rozumując w ten sposób, każdy świadek lub osoba przychodząca ze skargą byłaby uznawana za agenta...

— Dość już usłyszałam — ucięła sędzia Howard. Uderzyła młotkiem w pulpit i wstała. — Ogłoszę werdykt rano.

2

— No cóż — powiedziała Wendy do Portnoia na korytarzu. — Kiepsko.

— Sędzia nie odrzuci dowodów.

Wendy nie była tego taka pewna.

— W pewnym sensie dobrze się stało — stwierdził Portnoi.

— Jak to?

— Ta sprawa jest zbyt poważna, żeby odrzucić zebrane dowody — rzekł, wskazując prawnika obrony. — Flair tylko zdradził nam, jaką strategię zastosuje podczas procesu.

Przed nimi Jenna Wheeler, była żona Dana Mercera, odpowiadała na pytania konkurencyjnej reporterki telewizyjnej. Pomimo obciążających go dowodów Jenna niezłomie popierała byłego męża, twierdząc, że zarzuty przeciwko niemu zostały spreparowane. To stanowisko, z punktu widzenia Wendy zarówno godne podziwu, jak i naiwne, uczyniło Jennę w mieście kimś w rodzaju pariasa.

Jeszcze dalej Flair Hickory konferował z kilkoma dziennikarzami. Uwielbiali go, oczywiście, tak jak Wendy, kiedy robiła reportaże ze spraw, w których bronił. On nadał zupełnie nową jakość określeniu „błyskotliwy”. Teraz jednak, kiedy stała się obiektem jego pytań, zrozumiała, że jest nie tylko błyskotliwy, ale także bezlitosny.

Ściągnęła brwi.

— Flair Hickory nie wygląda na głupca.

Flair sprawił, że zauroczeni dziennikarze się roześmiali, poklepał kilku po plecach. Kiedy w końcu został sam, zdziwiona Wendy zobaczyła, że podchodzi do niego Ed Grayson.

— Oho — mruknęła.

— Co?

Wskazała ruchem głowy. Portnoi podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Grayson, postawny mężczyzna o krótko ostrzyżonych siwych włosach, stanął przed Flairem Hickorym. Popatrzyli na siebie. Grayson przysuwał się coraz bliżej do Flaira, lecz ten się nie cofał.

Portnoi zrobił kilka kroków w ich stronę.

— Panie Grayson?

Stali bardzo blisko siebie, twarzą w twarz. Grayson odwrócił głowę w kierunku prokuratora i przeszył go wzrokiem.

— Wszystko w porządku? — zapytał Portnoi.

— Jak najbardziej — odparł Grayson.

— Panie Hickory?

— Jesteśmy kumplami. Tak tylko sobie przyjacielsko gawędzimy.

Grayson przeniósł spojrzenie na Wendy, której znów nie spodobało się to, co zobaczyła w jego oczach.

— Cóż, jeśli już skończyliśmy, panie Grayson... — powiedział Hickory.

Grayson nie odpowiedział. Hickory odwrócił się i odszedł. Grayson podszedł do Portnoia i Wendy.

— Czy mogę coś dla pana zrobić? — zapytał Portnoi.

— Nie.

— Mogę spytać, o czym rozmawiał pan z panem Hickorym?

— Może pan. — Grayson spojrzał na Wendy. — Myśli pani, że sędzia kupiła pani bajeczkę, pani Tynes?

— To nie była bajeczka.

— Ale także nie cała prawda, czyż nie? Ed

Grayson odwrócił się i odszedł.

— Co to było, do diabła? — spytała Wendy.

— Nie mam pojęcia — odparł Portnoi. — Nie przejmuj się nim. Ani Flairem. Jest dobry, ale nie wygra tej rundy. Jedź do domu, zrób sobie drinka, będzie dobrze.

Wendy nie pojechała do domu. Skierowała się do swojego studia telewizyjnego w Secaucus w New Jersey z widokiem na kompleks sportowy Meadowlands. Ten widok bynajmniej nie był uspokajający: bagna i mokradła wypierane przez nieustanną rozbudowę. Sprawdziła pocztę elektroniczną i znalazła wiadomość od szefa, kierownika produkcji Vica Garretta. Ta wiadomość, chyba najdłuższa, jaką Vic kiedykolwiek wysłał pocztą elektroniczną, brzmiała: *Przyjdź do mnie natychmiast.*

Była piętnasta trzydzieści. Jej syn Charlie, uczeń ostatniej klasy liceum w Kasselton, powinien być już w domu. Zadzwoniła na jego komórkę, ponieważ nigdy nie odbierał, gdy dzwonił telefon stacjonarny. Charlie zgłosił się po czwartym dzwonku swoim zwyczajowym powitaniem:

— Co?

— Jesteś w domu?

— Taak.

— Co robisz?

— Nic.

— Masz jakieś lekcje do odrobienia?

— Trochę.

— Odrobiłeś?

— Odrobię.

— Dlaczego nie teraz?

— Mam mało zadane. Zajmie mi to góra dziesięć minut.

— O to mi chodzi. Jeśli to tylko trochę, to odrób je i miej to z głowy.

— Później.

— A co robisz teraz?

— Nic.

— Więc po co czekać? Dlaczego nie odrobisz lekcji teraz?

Nowy dzień, ta sama rozmowa. Charlie w końcu powiedział, że zabierze się do tego „za minutkę”, co oznaczało „jeśli powiem »za minutkę«, to może przestaniesz się czepiać”.

— Pewnie wrócę do domu koło siódmej — powiedziała Wendy. — Chcesz, żebym kupiła jakąś chińszczyznę?

- Bamboo House.
- W porządku. Nakarm Jersey o czwartej.
- Dobrze.
- Nie zapomnij.
- Uhm.
- A lekcje?
- Cześć.

Klik.

Odetchnęła głęboko. Charlie był teraz siedemnastolatkiem, maturzystą i wrzodem na tyłku. Właśnie zakończyli polowanie na college, czynność, którą rodzice z przedmieść wykonują z bezwzględnością mogącą wywołać rumieniec wstydu na twarzy despoty z Trzeciego Świata, uzyskując akceptację uczelni Franklin & Marshall w Lancaster w Pensylwanii. Jak każdy nastolatek Charlie był przestraszony i zdenerwowany tą ogromną zmianą w swoim życiu, ale nie tak jak jego matka. Charlie, jej piękny, chimeryczny, męczący syn, był wszystkim, co miała. Już od ośmiu lat byli sami, samotna matka i jedynak, radzący sobie na tym wielkim białym przedmieściu. Czas szybko mijał, oczywiście, jak to zawsze jest z dziećmi. Wendy nie chciała, żeby Charlie opuścił dom. Patrzyła na niego co wieczór, widziała tę męczącą doskonałość i tak jak to robiła, od kiedy skończył cztery latka, w duchu marzyła, żeby pozostał właśnie taki, w tym wieku, ani o dzień starszy czy młodszy, aby jej piękny syn jeszcze trochę przy niej został.

Ponieważ wkrótce będzie sama.

Na ekranie monitora pojawił się następny e-mail. Znowu

od szefa: *Którą część „przyjdź do mnie natychmiast” pozostawiłem do dowolnej interpretacji?*

Wcisnęła „odpowiedz” i wystukała: „Idę”.

Ponieważ gabinet Vica znajdował się po drugiej stronie korytarza, cała ta korespondencja wydawała się bezsensowna i irytująca, ale taki jest ten nasz świat. Ona i Charlie często przesyłali sobie krótkie wiadomości tekstowe, chociaż oboje byli w domu. Zbyt zmęczona, by krzyczeć, pisała: *Czas do łóżka* albo *Wyprowadź Jersey a*, albo zawsze aktualne: *Dość siedzenia przy komputerze, poczytaj książkę*.

Kiedy zaszła w ciążę, Wendy była dziewiętnastoletnią studentką drugiego roku na Uniwersytecie Tufts. Poszła na prywatkę w miasteczku uniwersyteckim, za dużo wypila i spiknęła się z Johnem Morrowem, doskonałym sportowcem, rozgrywającym u progu kariery, który w słowniku Wendy Tynes byłby idealną definicją „faceta nie w jej typie”. Uważała się za liberalną podziemną dziennikarkę, noszącą ciasne jak opaska uciskowa czernie, słuchającą wyłącznie alternatywnego rocka, chodzącą na wieczorki poezji zaangażowanej i wystawy Cindy Sherman. Jednak serce nie wie, co to rock alternatywny, poezja zaangażowana i wystawy. W końcu naprawdę polubiła tego przystojnego sportowca. No wiecie. Z początku nie było to nic poważnego. Spiknęli się i zaczęli ze sobą chodzić, choć nie były to prawdziwe randki, ale też nie przypadkowe spotkania. Trwało to chyba z miesiąc, zanim Wendy stwierdziła, że jest w ciąży.

Jako zdecydowanie nowoczesna kobieta Wendy przez całe życie słyszała, że decyzja o tym, co się teraz stanie,

należy tylko i wyłącznie do niej. Oczywiście, mając przed sobą jeszcze dwa i pół roku studiów oraz perspektywę kariery w dziennikarstwie, nie mogła wybrać gorszej chwili, ale to tylko upraszczało sprawę. Zadzwoiła do Johna i powiedziała: „Musimy porozmawiać”. Przyszedł do jej ciasnego pokoiku, a ona poprosiła go, żeby usiadł. John wybrał puf i zabawnie wyglądało, jak próbował usadowić na nim swoje metr dziewięćdziesiąt pięć jeśli nie wygodnie, to przynajmniej bezpiecznie. Wyczuwając po tonie jej głosu, że to coś poważnego, John próbował zachować powagę i utrzymać równowagę, przez co wyglądał jak chłopczyk udający dorosłego.

— Jestem w ciąży — oznajmiła Wendy, zaczynając przemowę, którą ćwiczyła w myślach przez ostatnie dwa dni. — Decyzja o tym, co się teraz stanie, należy do mnie i mam nadzieję, że ją uszanujesz.

Przechadzała się po pokoiku, nie patrząc na niego i starając się mówić jak najbardziej obojętnym tonem. Zakończyła przygotowaną przemowę, dziękując mu za przyjście i życząc wszystkiego najlepszego. Potem wreszcie zaryzykowała i zerknęła na niego.

John Morrow tylko spoglądał na nią ze łzami w najbardziej niebieskich oczach, jakie w życiu widziała.

— Ale ja cię kocham, Wendy — powiedział.

Chciała się roześmiać, ale zamiast tego zaczęła płakać, a John zsunął się z tego przekłętogo pufa, uklęknął i od razu jej się oświadczył, a Wendy śmiała się i płakała, i chociaż prawie wszyscy im to odradzali, pobrali się. Nikt

nie dawał temu małżeństwu szans, ale dziewięć następnych lat było pasmem szczęścia. John Morrow był czuły, troskliwy, kochający, przystojny, zabawny, mądry i opiekuńczy. Był jej bratnią duszą ze wszystkimi tego zaletami. Charlie urodził się, kiedy była na przedostatnim roku Tufts. Dwa lata później John i Wendy zebrali dość pieniędzy, by kupić skromny domek przy ruchliwej ulicy w Kasselton. Wendy dostała pracę w lokalnej stacji telewizyjnej, John pisał doktorat z psychologii. Ich życie biegło prostym torem.

A potem, jakby ktoś pstryknął palcami, John umarł. Teraz w skromnym domku była tylko Wendy z Charliem i wielka pustka dorównująca tej w jej sercu.

Zapukała do drzwi Vica i zajrzała do pokoju.

— Dzwoniłeś?

— Słyszałem, że skopali ci tyłek w sądzie — powiedział jej szef.

— Wsparcie. Dlatego tu pracuję. Ze względu na wsparcie, jakie tu mam.

— Potrzebujesz wsparcia, kup sobie biustonosz.

Wendy ściągnęła brwi.

— Chyba rozumiesz, że to nie ma sensu.

— Tak, wiem. Dostałem od ciebie notatkę... skreśl to, dużo identycznych notatek... ze skargami na przydzielane zadania.

— Jakie zadania? W ciągu ostatnich dwóch tygodni kazałeś mi obstawiać otwarcie herbaciarni i pokaz męskich szalików. Po prostu zleć mi znowu coś choć pozornie poważnego.

— Zaczekaj.

Vic przyłożył dłoń do ucha, jakby chciał lepiej usłyszeć. Był małym mężczyzną z ogromnym brzuchem. Jego twarz można by nazwać łasicowatą, gdyby ktoś znalazł tak brzydką łasicę.

— Co? — zapytała.

— Czy właśnie doszliśmy do tej części, w której rozpoczynasz płomienną tyradę przeciwko niesprawiedliwemu traktowaniu kobiet w zdominowanym przez mężczyzn zawodzie i mówisz, że traktuję cię tylko jako ucztę dla oczu?

— Czy ta płomienna tyrada pomoże mi dostać lepsze zlecenie?

— Nie. Jednak wiesz, co mogłoby w tym pomóc?

— Gdybym pokazała na antenie głębszy dekolt?

— Podoba mi się twój sposób myślenia, ale nie, nie dziś. Dzisiaj odpowiedź brzmi: skazanie Dana Mercera. Musisz stać się bohaterką, która przygwoździła chorego pedofila, a nie nadgorliwą reporterką, która pomogła mu wyjść na wolność.

— Pomogła mu wyjść na wolność?

Vic wzruszył ramionami.

— Gdyby nie ja, policja nawet nie wiedziałaby o Danie Mercerze.

Vic udał, że przyciska skrzypce do ramienia, zamknął oczy i zaczął grać.

— Nie bądź dupkiem — prychnęła.

— Powiniennem zawołać paru kolegów do grupowego uścisku? Może wzięlibyśmy się za ręce i chóralnie zaśpiewali

Kumbayal

— Może później, gdy skończycie zbiorowo walić konia.

— Och.

— Czy ktoś wie, gdzie się ukrywa Dan Mercer? — zapytała.

— Nie. Od dwóch tygodni nikt go nie widział.

Wendy nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Wiedziała, że Dan się wyprowadził, ponieważ grożono mu śmiercią, ale wydawało się dziwne, że nie pojawił się dziś w sądzie. Już miała zadać następne pytanie, gdy zabrzączał interkom Vica.

Podniósł palec, uciszając ją, i wcisnął guzik.

— Co tam?

— Przyszła do pana Marcia McWaid — powiedziała recepcjonistka.

To uciszyło ich oboje. Marcia McWaid mieszkała niedaleko Wendy, jakiś kilometr od niej. Trzy miesiące temu jej nastoletnia córka Haley — koleżanka z klasy Charliego — prawdopodobnie wymknęła się z domu przez okno sypialni i nigdy nie wróciła.

— Jest coś nowego w sprawie jej córki? — spytała Wendy.

Vic pokręcił głową.

— Wprost przeciwnie.

To oczywiście było znacznie gorsze. Przez dwa lub trzy tygodnie zniknięcie Haley McWaid było sensacją—porwana lub zbiegła z domu nastolatka — godną *Wiadomości* i przewijania na pasku na ekranie oraz dywagacji pożałowania godnych „ekspertów” odtwarzających to, co mogło się jej przydarzyć. Jednak żadna sensacja, nawet największa, nie

przetrwa długo bez pożywki. Bóg wie, że stacje telewizyjne się starały. Poruszyły wszystkie plotki, od handlu żywym towarem po satanistów, lecz w tym biznesie brak nowych wiadomości to w istocie zła wiadomość. Żałosna jest ta nasza krótka pamięć i można winić media, ale to widzowie dyktują, co pozostaje na antenie. Jeśli ludzie coś oglądają, zostaje. Jeśli nie, stacje zaczynają szukać nowej błyskotki, która przykuje kapryśną uwagę publiczności.

— Chcesz, żebym z nią porozmawiała? — zapytała Wendy.

— Nie, sam to zrobię. Za to biorę taką kasę.

Vic wyprosił ją z gabinetu. Wendy ruszyła korytarzem. Gdy się odwróciła, zobaczyła Marcie McWaid przed drzwiami Vica. Wendy nie знаła Marcii, ale kilkakrotnie widziała ją w miasteczku, jak to zwykle bywa, w Starbucks, na parkingu przed szkołą lub w miejscowej wypożyczalni kaset. Banalem byłoby stwierdzenie, że ta urocza mama, której niemal zawsze towarzyszyło któreś z jej dzieci, teraz wydawała się starsza o dziesięć lat. Marcia wcale się nie postarzała. Nadal była atrakcyjną kobietą wyglądającą dokładnie na swoje lata, lecz wydawała się poruszać w zwolnionym tempie, jakby nawet mięśnie jej twarzy były pokryte melasą. Marcia McWaid odwróciła się i napotkała spojrzenie Wendy. Ta skinęła głową, próbując się uśmiechnąć. Po chwili Marcia weszła do gabinetu Vica.

Wendy wróciła za swoje biurko i podniosła słuchawkę telefonu. Myślała o Marcii McWaid, tej idealnej matce z miłym mężem i piękną rodziną, i o tym, jak szybko

i łatwo jej to wszystko odebrano, jak szybko i łatwo wszystko to może być odebrane. Zadzwoiła do Charliego.

— Co?

Jego zniecierpliwiony głos ją uspokoił.

— Odrobiłeś już lekcje?

— Za minutkę.

— W porządku. Nadal chcesz chińszczyznę z Bamboo House?

— Czy już o tym nie rozmawialiśmy?

Rozłączyli się. Wendy usiadła i położyła nogi na biurku. Wyciągnęła szyję i spojrzała na paskudny widok za oknem. Jej telefon znowu zadzwonił.

— Halo?

— Wendy Tynes?

Kiedy usłyszała ten głos, nogi same opadły jej na podłogę.

— Tak?

— Tu Dan Mercer. Muszę się z tobą zobaczyć.

3

Wendy nie odzywała się przez chwilę.

— Muszę się z tobą zobaczyć — powtórzył Dan Mercer.

— Czy nie jestem dla ciebie trochę za dojrzała, Dan?

No wiesz, jestem już dostatecznie dorosła, żeby mieć miesięczkę i piersi.

Wydawało jej się, że usłyszała westchnienie.

— Cyniczna z ciebie kobieta, Wendy.

— Czego chcesz?

— Są sprawy, o których powinnaś wiedzieć.

— Takie jak...

— Jak to, że nic nie jest takie, jakim się wydaje.

— Jesteś chorym, pokręconym, zdeprawowanym zbrodźcą, który ma genialnego prawnika. Tak mi się wydaje.

Jednak mówiąc to, usłyszała nutkę wahania w swoim głosie. Czy to wystarczy, aby wzbudzić uzasadnioną wątpliwość? Uważała, że nie. Dowody nie kłamią. Przekonywała się o tym dostatecznie często zarówno w życiu osobistym,

jak i w pracy. Prawdę mówiąc, jej tak zwana kobieca intuicja zwykle fatalnie zawodziła.

— Wendy?

Milczała.

— Zostałem wrobiony.

— Uhm. To coś nowego, Dan. Niech to zanotuję i złapię mojego producenta, żeby puścił jeden z tych pasków na dole ekranu: *Ostatnie wiadomości: zbok mówić, że został wrobiony.*

Cisza. Przez moment obawiała się, że go straciła, że się rozłączył. Głupio tak się podniecać. Zachowaj spokój. Rozmawiaj z nim. Zaprzyjaźnij się. Bądź miła. Wyciągnij informacje. Może złap go w potrzask.

— Dan?

— To był błąd.

— Słucham cię. Powiedziałeś coś o tym, że zostałeś wrobiony.

— Lepiej skończmy tę rozmowę.

Chciała zaprotestować, karcąc się za zbyt daleko posunięty sarkazm, ale coś w tym wyglądało na klasyczną manipulację. Już tańczyła do jego muzyczki, nawet kilkakrotnie, poczynając od pierwszej próby przeprowadzenia z nim wywiadu w zeszłym roku na temat jego pracy w schronisku, prawie rok przed tym, jak znalazł się w obiektywie kamery. Nie chciała ustępować, ale nie chciała też pozwolić mu odejść.

— To ty do mnie zadzwoniłeś — przypomniała.

— Wiem.

— A więc jestem gotowa cię wysłuchać.

— Spotkaj się ze mną. Sama.

— Niezbyt podoba mi się ten pomysł.
— No to o nim zapomnij.
— Doskonale, Dan, niech będzie, jak chcesz. Zobaczymy się w sądzie.

Cisza.

— Dan?

Odpowiedział szeptem, który ją zmroził.

— Ty o niczym nie wiesz, prawda, Wendy?

— Nie wiem o czym?

Usłyszała odgłos, który mógł być szlochem lub śmiechem. Trudno to rozróżnić przez telefon. Mocniej ścisnęła słuchawkę i czekała.

— Jeśli chcesz się ze mną spotkać, zawiadomię cię e-mailem gdzie. Jutro o czternastej. Przyjdź sama. Jeśli się nie zjawisz, cóż, miło było cię poznać.

I się rozłączył.

■ ■ ■

Drzwi gabinetu Vica były otwarte. Zajrzała do środka i zobaczyła, że szef rozmawia przez telefon. Podniósł palec, pokazując, żeby dała mu chwilkę, mrukliwie pożegnał się z osobą, z którą rozmawiał, po czym odłożył słuchawkę.

— Właśnie otrzymałam wiadomość od Dana Mercera — oznajmiła.

— Dzwonił do ciebie?

— Tak.

— Kiedy?

— Przed chwilą.

Vic wyciągnął się w fotelu i splótł dłonie na brzuchu.

— A więc ci powiedział?

— Powiedział, że został wrobiony i chce się spotkać. —

Zobaczyła jego minę. —Dlaczego pytasz? Jest coś jeszcze?

Vic westchnął.

— Usiądź.

— Oho — mruknęła Wendy.

— Tak, oho.

Usiadła.

— Sędzia ogłosiła werdykt. Wszystkie dowody znalezione w domu zostają odrzucone, a ze względu na stronniczość publikacji prasowych i naszego programu telewizyjnego oddaliła wszystkie zarzuty.

Wendy była załamana.

— Proszę, powiedz mi, że żartujesz.

Vic milczał. Wendy zamknęła oczy. Miała wrażenie, że jej świat się wali. Teraz rozumiała, skąd Dan wiedział, że ona na pewno przyjdzie na spotkanie.

— I co teraz? — zapytała.

Vic tylko na nią popatrzył.

— Jestem wylana?

— Taa.

— Tak po prostu?

— Właściwie tak. Mamy kryzys. Gogusie na górze i tak zwalniają ludzi. — Wzruszył ramionami. — Kto się lepiej nadaje do wycięcia?

— Przychodzi mi na myśl sporo osób.

— Mnie też, ale oni nie są felernym towarem. Przykro

mi, moja droga, ale tak to już jest. Księgowość wypłaci ci odprawę. Musisz spakować swoje rzeczy dzisiaj. Nie chcę, żebyś wracała do budynku. Wendy była odrętwiała. Wstała chwiejnie.

— Czy przynajmniej o mnie walczyłeś?

— Walczę tylko wtedy, gdy mam szansę zwyciężyć. W przeciwnym razie jaki to ma sens?

Wendy czekała. Vic spuścił wzrok i udawał zajętego.

— Spodziewasz się czułego pożegnania? — zapytał, nie podnosząc oczu.

— Nie — powiedziała Wendy. A potem dodała: — Może.

- Pójdiesz na to spotkanie z Mercerem?

Odwróciła się.

— Tak.

— Będiesz uważała?

— Człowieku — prychnęła z wymuszonym uśmiechem — przypominałam sobie, że tak mówiła moja mama, kiedy szłam na studia.

— Iz tego, co wiem, nie posłuchałaś.

— To prawda.

— Oficjalnie, oczywiście, nie pracujesz tu i nic cię z nami nie łączy. Radziłbym ci trzymać się w bezpiecznej odległości od Dana Mercera.

— A nieoficjalnie?

— Jeśli znajdziesz sposób, żeby go przygwoździć, to cóż, bohaterów łatwiej znów zatrudnić niż przegranych.

Kiedy Wendy wróciła do domu, było w nim cicho, ale to o niczym nie świadczyło. Jak ona była młoda, jej rodzice wiedzieli, że jest w domu, ponieważ muzyka ryczała z ogromnego tranzystora w jej pokoju. Dzisiaj dzieciaki przez dwadzieścia **cztery** godziny na dobę używają słuchawek. Była prawie pewna, że Charlie siedzi teraz przy komputerze ze słuchawkami głęboko wetkniętymi do uszu. Dom mógłby stanąć w ogniu, a on nie miałby o tym pojęcia.

Pomimo to Wendy krzyknęła ile tchu w płucach:

— Charlie!

Nie odpowiedział. Nie odpowiadał od co najmniej trzech lat.

Zrobiła sobie drinka — wódkę z granatów z odrobiną soku cytrynowego — po czym opadła na wytarty klubowy fotel. To był ulubiony fotel Johna i owszem, zapewne dziwactwem było trzymać go tutaj i zapadać się weń z drinkiem po dniu ciężkiej pracy, ale przynosiło jej to ulgę, więc co tam.

Jak, do diabła, zastanawiała się jeszcze wczoraj, zapłaci czesne Charliego przy swoich zarobkach? Teraz już się tym nie martwiła, ponieważ po prostu nie będzie jej na to stać. Upiła następny łyk, spojrzała w okno i zastanawiała się, gdzie się podzieje. Nikt nie szuka pracowników, a jak to tak delikatnie zauważył Vic, ona jest felernym towarem. Rozważała, jaką inną pracę mogłaby wykonywać, ale uświadomiła sobie, że nie ma żadnych cenionych umiejętności. Jest niedbała, niesystematyczna, uparta i nie umie pracować w zespole. Gdyby zażądała opinii z miejsca pracy,

napisaliby: *Nie potrafi współpracować z innymi*. To było zaletą u reportera szukającego tematu. I wadą w niemal każdym innym zawodzie.

Przejrzała korespondencję, znalazła trzeci list od Ariany Nasbro i poczuła przesywające ukłucie żalu. Ręce zaczęły jej się trząść. Nie powinna otwierać tego listu. Przeczytała pierwszy z nich dwa miesiące temu i prawie zwymiotowała. Chwyciła kopertę dwoma palcami, jakby list cuchnął, bo tak też było, jeśli się nad tym zastanović. Poszła do kuchni i wepchnęła go na dno kosza na śmieci.

Dzięki Bogu, Charlie nigdy nie przegląda poczty. Oczywiście wie, kim jest Ariana Nasbro. Przed ośmioma laty Ariana Nasbro zamordowała jego ojca.

Wendy weszła po schodach na górę i zapukała do drzwi Charliego. Naturalnie nie usłyszała odpowiedzi, więc je otworzyła.

Rozzłoszczony podniósł wzrok i zdjął słuchawki.

— Co?

— Odrobiłeś lekcje?

— Właśnie miałem to zrobić.

Widział, że matka jest nie w sosie, więc błysnął uśmiechem, tak podobnym do ojcowskiego, że za każdym razem skutkował. Już miała znowu na niego naskoczyć, przypomnieć, że najpierw miał odrobić lekcje, ale tak naprawdę, co to za różnica? Nie ma sensu wdawać się w takie szczegóły, kiedy jej czas z nim upływa tak szybko i niebawem go nie będzie.

— Nakarmiłeś Jersey? — zapytała.

— Hm... Przewróciła oczami.

— Nieważne, ja to zrobię.

— Mamo?

— Tak?

— Kupiłaś jedzenie w Bamboo House?

Obiad. Zapomniała.

Teraz Charlie przewrócił oczami, przedrzeźniając ją.

— Nie cwaniakuj. — Wcześniej postanowiła nie prze kazywać mu złych wieści i poczekać z tym na odpowiednią chwilę, lecz teraz usłyszała swój głos: — Wylali mnie dziś z pracy.

Charlie tylko na nią popatrzył.

— Słyszałeś, co powiedziałam?

— Taak — mruknął. — Kiepsko.

— Taa.

— Chcesz, żebym poszedł kupić obiad?

— Jasne.

— Hm, możesz jeszcze za niego zapłacić, co?

— Na razie tak. Myślę, że jeszcze mnie na to stać.

4

Marcia i Ted McWaidowie przybyli do szkolnej auli o osiemnastej. Ponieważ banalne stwierdzenie, że „życie toczy się dalej”, nie mogło być bardziej prawdziwe i tego wieczoru, pomimo faktu, iż Haley była zaginiona od dziewięćdziesięciu trzech dni, odbywała się premiera wystawianego w liceum Kasselton spektaklu *Nędznicy*, w którym występowała ich młodsza córka Patricia w rolach widza numer cztery, uczninicy numer sześć oraz zawsze pożądanej roli prostytutki numer dwa. Kiedy Ted się o tym dowiedział, w ich dawnym życiu przed zniknięciem Haley, wciąż z tego żartował, mówiąc, z jaką dumą opowie swoim znajomym, że jego czternastoletnia córka będzie prostytutką numer dwa. Te dni dawno minęły, i teraz wydawały się światem i życiem innych ludzi, w innym kraju.

Na ich widok zebrani ucichli. Nikt nie wiedział, jak się przy nich zachowywać. Marcia to zauważyła, ale już się tym nie przejmowała.

— Muszę napić się wody — powiedziała. Ted skinął głową.

— Popilnuję naszych miejsc.

Przeszła korytarzem, przystanąła przy kranie, po czym poszła dalej. Na następnym rozwidleniu skręciła w lewo. W głębi holu dozorca machał mopem. Miał na głowie słuchawki i lekko kołysał nią w rytm piosenki, którą tylko on słyszał. Jeśli zauważył Marcie, to nie było tego po nim widać.

Poszła schodami na piętro. Tu światła były przyciemnione. Stukot jej obcasów odbijał się echem w cichym budynku, który przez cały dzień tętnił życiem i energią. Nie ma bardziej surrealistycznego, cichego i pustego miejsca niż szkolny korytarz w nocy.

Marcia obejrzała się za siebie, ale była sama. Przyspieszyła kroku, ponieważ zmierzała w konkretne miejsce.

Liceum Kasselton było duże — do czterech klas uczęszczało tu prawie dwa tysiące dzieci. Budynek miał trzy piętra i jak wiele szkół średnich w miasteczkach o stale rosnącej populacji z czasem stał się bardziej zlepkiem połączonych przybudówek niż uporządkowaną konstrukcją. Ostatnio postawione przybudówki niegdyś uroczego ceglanego gmachu świadczyły o tym, że administrację bardziej interesuje użyteczność niż styl. Całość była bezładną mieszaniną, wyglądającą jak coś, co dziecko ułożyło z klocków Lego i drewnianych elementów.

Zeszłego wieczoru, w upiornej ciszy domu McWaidów, jej cudowny mąż Ted roześmiał się, naprawdę się roześmiał,

po raz pierwszy od dziewięćdziesięciu trzech dni. Jakże obscenicznie zabrzmiał ten śmiech. Ted niemal natychmiast umilkł, dostał ataku kaszlu, który przeszedł w szloch. Marcia chciała wyciągnąć rękę i pocieszyć tego udęczonego człowieka, którego tak kochała. Jednak po prostu nie mogła.

Dwójka jej pozostałych dzieci, Patricia i Ryan, pozornie dobrze radziła sobie ze zniknięciem Haley, ale dzieci łatwiej się przystosowują niż dorośli. Marcia próbowała skupić na nich całą swoją uwagę i pocieszać je, ale i tego nie potrafiła. Ktoś zapewne pomyślałby, że za bardzo cierpi. Częściowo dlatego, ale nie tylko. Zaniedbywała Patricję i Ryana, ponieważ teraz mogła się martwić jedynie o Haley, tylko o niej myśleć — żeby wróciła do domu. Kiedy to nastąpi, wynagrodzi to pozostałym dzieciom.

Rodzona siostra Marcii, Merilee, znana wszyszkowiedząca z Great Neck, miała tupet powiedzieć: „Powinnaś skupić się na swoim mężu i pozostałych dzieciach, zamiast pławić się w żalu”. Kiedy to powiedziała — „pławić się” — Marcia miała ochotę rąbnąć ją w nos i wrzasnąć, żeby martwiła się o swoją cholerną rodzinę, że jej syn Greg bierze narkotyki, a mąż Hal chyba ma romans, więc niech się zamknie, do diabła. Patricia i Ryan pewnie sobie z tym poradzą, Merilee, i wiesz co? Ich najlepszą na to szansą nie jest matka, która zadba o to, czy kosz kija do lacrosse Ryana jest należycie luźny i czy kostium Patricii jest w odpowiednim odcieniu szarości. Nie, to, dzięki czemu będą cali i zdrowi, jest sprowadzenie ich siostry do domu.

Kiedy to nastąpi, i tylko wtedy, reszta z nich będzie miała szansę przetrwać.

Jednak smutna prawda wyglądała tak, że Marcia nie poświęcała całego swojego czasu na szukanie Haley. Próbowwała, ale okropne zmęczenie wciąż jej to uniemożliwiała. Rano miała ochotę zostać w łóżku. Całe ciało wydawało jej się ciężkie. Nawet teraz ta dziwna pielgrzymka korytarzem przychodziła jej z trudem.

Dziewięćdziesiąt trzy dni.

W oddali Marcia dostrzegła szafkę Haley. Kilka dni po jej zniknięciu koleżanki zaczęły dekorować jej metalowe drzwiczki jak jedną z tych przydrożnych kapliczek, jakie widuje się w miejscach, gdzie ktoś zginął w wypadku. Były tam zdjęcia, zwiędłe kwiaty, krzyżyki i napisy. „Wróc do domu, Haley!”, „Tęsknimy za tobą!”, „Będziemy na ciebie czekać!”, „Kochamy cię!”.

Marcia przystanęła i patrzyła. Podniosła rękę i dotknęła szyfrowego zamka, zastanawiając się, ile razy Haley robiła to samo, wyjmując książki, wrzucając plecak na dno, wieszając płaszcz, rozmawiając z jakąś przyjaciółką o lacrosse albo o tym, który chłopak jej się podoba.

Z głębi korytarza dobiegł jakiś dźwięk. Odwróciła się i zobaczyła otwarte drzwi gabinetu dyrektora. Pete Zecher, dyrektor liceum, wyszedł przez nie z dwojgiem ludzi, przypuszczalnie rodzicami któregoś z uczniów. Nie znała ich. Nikt się nie odezwał. Zecher wyciągnął rękę, ale żadne z tych dwojga jej nie uścisnęło. Odwrócili się i w milczeniu

poszli w kierunku schodów. Dyrektor patrzył, jak odchodzą, pokręcił głową i odwrócił się. Zauważył ją.

— Marcia?

— Cześć, Pete.

Pete Zecher był dobrym dyrektorem, cudownie przystępnym i gotowym łamać reguły albo olać nauczyciela, jeśli uważał to za najlepsze dla ucznia. Wychował się tu, w Kasselton, chodził do tej właśnie szkoły i zrealizował marzenie swojego życia, obejmując stanowisko dyrektora.

Ruszył ku niej.

— Przeszkadzam?

— Ależ nie — odparła Marcia z wymuszonym uśmiechem. — Chciałam tylko na chwilę uciec przed ludzkimi spojrzeniami.

— Widziałem próbę generalną. Patricia jest naprawdę dobra.

— Miło mi to słyszeć.

Kiwnął głową. Oboje spojrzeli na szafkę. Marcia zauważyła kalkomanię z napisem „Kasselton Lacrosse” i dwoma skrzyżowanymi kijami. Miała taką na tylnej szybie swojego samochodu.

— O co chodziło tym dwojgu rodzicom? — zapytała.

Pete się uśmiechnął.

— To poufne.

— Och.

— Jednak mógłbym przedstawić to hipotetycznie.

Czekała.

— Czy kiedy chodziłaś do liceum, zdarzyło ci się pić alkohol? — zapytał.

— Byłam raczej grzeczną dziewczynką. — Marcia o mało nie dodała: „jak Haley”. — Jednak owszem, czasem ukradkiem piłyśmy piwo.

— Skąd je miałyście?

— Piwo? Wujek mojej sąsiadki miał sklep monopolowy. A ty?

— Ja miałem dojrzałe wyglądającego przyjaciela, niejakiego Michaela Winda. Znasz ten typ: golił się już w szóstej klasie. Kupował nam gorzałę. Teraz to by nie przeszło. Każdy musi pokazać dowód tożsamości.

— A co to ma wspólnego z naszą hipotetyczną parą?

— Ludzie myślą, że dzisiaj dzieciaki zdobywają alkohol za pomocą fałszywych dowodów tożsamości. Zdarzają się takie przypadki, ale w ciągu wieloletniej pracy skonfiskowałem mniej niż pięć. A jednak pijaństwo jest obecnie większym problemem niż kiedykolwiek.

— Więc jak dzieciaki go zdobywają?

Pete popatrzył tam, gdzie przed chwilą stała tamta para.

— Od rodziców.

— Podkradają z barków?

— Żeby. Ta para, z którą rozmawiałem... hipotetycznie... to Milnerowie. Mili ludzie. On sprzedaje polisy ubezpieczeniowe, ona ma butik w Glen Rock. Czwooro dzieci, dwoje w liceum. Ich najstarszy gra w drużynie baseballowej.

— I?

— Iw piątek wieczorem tych dwoje troskliwych rodziców kupiło beczkę piwa i urządziło w swojej piwnicy przyjęcie dla drużyny baseballowej. Dwaj chłopcy upili się i obrzucili jajkami dom innego chłopaka. Jeden tak się zaprawił, że o mało nie musieli mu robić płukania żołądka.

— Zaczekaj. To rodzice kupili tę beczkę?

Pete skinął głową.

— Iw tej sprawie się spotkaliście?

— Tak.

— Co powiedzieli na swoją obronę?

— Podali usprawiedliwienie, które słyszę najczęściej: Hej, dzieciaki i tak będą piły, więc lepiej niech to robią w bezpiecznym otoczeniu. Milnerowie nie chcą, żeby te dzieciaki pojechały do Nowego Jorku lub w inne niebezpieczne miejsce i może później prowadziły po pijanemu. Pozwalają więc drużynie skuć się w swojej piwnicy, gdzie nie wpakują się w tarapaty.

— Pod pewnym względem ma to sens.

— Ty byś tak zrobiła?

Marcia się zastanowiła.

— Nie. Jednak w zeszłym roku zabraliśmy Haley i jej przyjaciółkę do Toskanii. Pozwalaliśmy im próbować wina w winnicach. Czy źle robiliśmy?

— We Włoszech to nie przestępstwo.

— Nieźle podsumowanie, Pete.

— Zatem nie uważasz, żeby ci rodzice źle postąpili?

— Uważam, że postąpili zdecydowanie źle. A ich usprawiedliwienie też mnie nie przekonuje. Kupować dzieciom

alkohol? To coś więcej niż chęć zapewnienia im bezpieczeństwa. Chcieli być fajnymi, wyzwolonymi rodzicami. Przede wszystkim kumplami dzieci, a dopiero potem rodzicami.

— Zgadzam się z tobą.

— Jednak z drugiej strony — Marcia odwróciła się do szafki — kim jestem, żeby dawać rodzicielskie rady?

Cisza.

— Pete?

— Tak?

— Co mówią plotki?

— Nie wiem, czy rozumiem, co masz na myśli.

— Taak, rozumiesz. Kiedy ludzie rozmawiają o tym... nauczyciele, uczniowie, ktokolwiek... czy uważają, że Haley została porwana, czy myślą, że uciekła z domu?

Milczał. Widziała, że się zastanawia.

— Bez owijania w bawełnę, Pete. I proszę, nie pocieszaj mnie.

— Nie będę.

— No?

— Mogę tylko powiedzieć, co czuję.

— Rozumiem.

Na korytarzach rozwieszono już plakaty. Zbliżała się studniówka. I matura. Pete Zecher znów przeniósł wzrok na szafkę Haley. Marcia popatrzyła tam i zauważyła fotografię, na której widok znieruchomiała. Cała jej rodzina oprócz niej — Ted, Haley, Patricia i Ryan — stała z Myszka Miki w Disneylandzie. Marcia zrobiła to zdjęcie iPhonem

Haley, tym w różowym futerale z kalkomanią z purpurowym kwiatkiem. Na wakacjach, trzy tygodnie przed zaginięciem Haley. Policja sprawdziła to pobieżnie, podejrzewając, że może ktoś napotkany podczas tej wycieczki pojechał za Haley do jej domu, ale ten trop prowadził donikąd. Jednak Marcia pamiętała, jaka szczęśliwa była wtedy Haley, ciesząc się swobodą. Zresztą wszyscy byli przez kilka dni szczęśliwi jak dzieci. To zdjęcie zostało zrobione spontanicznie. Do Myszki Miki zazwyczaj stało się w półgodzinnej kolejce z małymi dziećmi czekającymi na wbicie pieczętki w książeczce na autografy, ale Haley zauważyła, że akurat do tego Mikiego w Epcot Center nie było kolejki. Z szerokim uśmiechem Haley złapała rodzeństwo i powiedziała: „Chodźcie! Zróbmy sobie szybkie zdjęcie!”. Marcia uparła się, że będzie fotografem, i pamiętała gwałtowny przypływ emocji, gdy cała jej rodzina, cały jej świat, zebrał się w szczęśliwej harmonii wokół Myszki Miki. Patrząc teraz na to zdjęcie, przypomniała sobie tamtą chwilę szczęścia i nie mogła oderwać oczu od szerokiego uśmiechu Haley.

— Myślisz, że znasz swoje dziecko — odezwał się Pete Zecher. — Jednak one wszystkie mają sekrety.

— Nawet Haley?

Pete rozłożył ręce.

— Spójrz na ten rząd szafek. Wiem, że to wydaje się oczywiste, ale każda należy do dziecka mającego marzenia i oczekiwania, przechodzącego przez trudny, zwariowany okres. Dorastanie to wojna, czas wyimaginowanych i realnych nacisków, społecznych, naukowych, sportowych. Zmie-

niasz się i twoje hormony szaleją. Wszystkie te szafki, wszystkie te znękane dzieciaki uwięzione tutaj przez siedem godzin dziennie. Mam ścisły umysł i ilekroć tu jestem, wyobrażam sobie laboratoryjne doświadczenie z cząsteczkami uwięzionymi w bardzo wysokiej temperaturze. Ich chęć ucieczki.

— Zatem uważasz, że Haley uciekła?

Peter Zecher nie odrywał oczu od zdjęcia z Disneylandu. Wydawało się, że jego uwagę przykuwa również ten łamiący serce uśmiech. Potem odwrócił się i zobaczyła w jego oczach łzy.

— Nie, Marcio, nie sądzę, że uciekła. Myślę, że coś jej się stało. Coś złego.

5

Wendy obudziła się rano i włączyła panini makera, czyli po prostu opiekacz do chleba albo grill George'a Foremana. Ta maszynka szybko stała się najważniejszym urządzeniem w domu, gdyż ona i Charlie żywili się głównie zapiekankami. Włożyła plasterki bekonu i szynki między kromki dobrego pszennego chleba ze sklepu Trader Joe's i opuściła pokrywę grzejącą.

Jak co rano Charlie z łaskotem zbiegł po schodach, jakby był podkutym koniem wyścigowym z nadwagą. Raczej opadł na krzesło, niż na nim usiadł, i pochłonał grzanekę.

— Na którą idziesz do pracy? — zapytał.

— Wczoraj straciłam pracę.

— Racja. Zapomniałem.

Ten egoizm nastolatków. Czasem, tak jak teraz, bywa krzepiący.

— Możesz podwieźć mnie do szkoły?

— Pewnie.

Poranny ruch przy liceum Kasselton był koszmarne intensywne. W niektóre dni doprowadzało jato do szału, lecz w inne te poranne dojazdy były jedynymi chwilami, kiedy mogła porozmawiać z synem, który czasem dzielił się z nią swoimi myślami, niezbyt wylewnie, lecz uważnie słuchając, można było sporo wychwycić. Dzisiaj Charlie miał spuszczone głowę i pisał SMS-y. Podczas całej drogi nie odezwał się słowem, tylko jego palce śmigały po maleńkiej klawiaturze.

Kiedy zatrzymała wóz, Charlie wytoczył się, wciąż pisząc.

— Dzięki, mamol — zawołała za nim Wendy.

— Tak, przepraszam.

Wjeżdżając na swój podjazd, Wendy zauważyła stojący przed domem samochód. Zaparkowała i wyjęła komórkę. Nie spodziewała się kłopotów, ale nigdy nie wiadomo. Wystukała 911 i trzymając palec na przycisku wybierania, wysiadła z auta.

Przykucnął przy jej tylnym zderzaku.

— Mało powietrza w kole — stwierdził.

— Mogę w czymś pomóc, panie Grayson?

Ed Grayson, ojciec jednej z ofiar, wstał, wytarł ręce i zmrużył oczy, patrząc pod słońce.

— Byłem dziś w pani studiu. Ktoś mi powiedział, że została pani zwolniona.

Milczała.

— Zakładam, że to z powodu decyzji sędzi.

— Czy mogę coś dla pana zrobić, panie Grayson?

— Chciałem przeprosić za to, co powiedziałem do pani po rozprawie.

- Doceniam dobre chęci.
— I jeśli ma pani minutę, naprawdę sędzę, że powinniśmy porozmawiać.

■ ■ ■

Kiedy oboje byli już w domu i Ed Grayson odmówił czegoś do picia, Wendy usiadła przy kuchennym stole i czekała. Grayson jeszcze przez chwilę chodził tam i z powrotem, po czym nagle wziął krzesło i usiadł, bardzo blisko, mniej niż pół metra od niej.

- Po pierwsze — zaczął — chcę jeszcze raz przeprosić.
— Nie trzeba. Wiem, co pan czuje.
— Naprawdę?

Nie odpowiedziała.

— Mój syn to EJ. Ed Junior, oczywiście. Był szczęśliwym dzieckiem. Kochał sport. Jego ulubionym był hokej. Ja nie mam zielonego pojęcia o tej grze. Kiedy dorastałem, grałem w koszykówkę, jednak moja żona Maggie urodziła się w Quebecu. Cała jej rodzina gra w hokeja. Mają to we krwi. Tak więc ja też nauczyłem się kochać ten sport. Dla mojego chłopca. Jednak teraz, cóż, EJ. już nie interesuje się sportem. Jeśli zaciągnę go blisko lodowiska, wariuje. Chce tylko siedzieć w domu.

Zamilkł i się zamyślił.

- Przykro mi — powiedziała Wendy.

Cisza.

Spróbowała zmienić temat:

- O czym rozmawiał pan z Flairem Hickorym?

— Jego klienta nie widziano od dwóch tygodni —
odparł.

— A więc?

— A więc próbowałem się dowiedzieć, gdzie może być.
Jednak pan Hickory nie chciał mi powiedzieć.

— To pana dziwi?

— Nie, tak naprawdę to nie.

Znów zamilkł.

— Co więc mogę dla pana zrobić, panie Grayson?

Grayson zaczął się bawić swoim zegarkiem, Timeksem na jednej z tych elastycznych metalowych bransolet. Ojciec Wendy miał taki przed laty. Po zdjęciu zawsze pozostawiał czerwony ślad na jego nadgarstku. Zabawne, co się pamięta tyle lat po jego śmierci.

— Pani program telewizyjny... Przez rok tropiła pani pedofilów. Dlaczego?

— Co dlaczego?

— Dlaczego pedofilów?

— A co to za różnica?

Próbował się uśmiechnąć, ale nie najlepiej mu to wyszło.

— Niech mi pani zrobi tę przyjemność — poprosił.

— Pewnie z powodu wysokiej oglądalności.

— Jasne, rozumiem. Jednak to nie wszystko, prawda?

— Panie Grayson...

— Ed.

— Pozostańmy na pan. Chciałabym, żeby przeszedł pan do rzeczy.

— Wiem, co się stało z pani mężem.

Tak po prostu. Wendy poczuła, że pali ją twarz, ale nic nie powiedziała.

— Wypuścili ją, wie pani. Arianę Nasbro.

Słyszając, jak ktoś głośno wypowiada to nazwisko, skrzywiła się.

— Wiem.

— Myśli pani, że ona jest już całkiem wyleczona?

Wendy pomyślała o listach, o tym, jak wywraca jej się od nich w żołądku.

— Mogłaby być — powiedział Grayson. — Znałem ludzi, którzy uporali się z tym w tym stadium. Jednak to dla pani nie ma tak naprawdę znaczenia, prawda, Wendy?

— To nie pański interes.

— To prawda. Jednak Dan Mercer ma znaczenie. Ma pani syna, zgadza się?

— To także nie pański interes.

— Tacy faceci jak Dan... jedno, co wiemy na pewno, to to, że nie da się ich wyleczyć. — Przysunął się bliżej i przechylił głowę. — Czy to nie jest częścią tego, Wendy?

— Częścią czego?

— Dlaczego lubiałś tropić pedofilów. Alkoholicy, cóż, oni mogą przestać pić. Z pedofilami sprawa jest prostsza, tak naprawdę nie ma szans na odkupienie, a więc i na wybaczenie.

— Niech mi pan wyświadczy grzeczność, panie Grayson, i niech pan nie próbuje przeprowadzać mojej psychoanalizy. Nic pan o mnie nie wie.

Skinął głową.

— Ma pani rację.

— No to mówmy o panu.

— To bardzo proste. Jeśli Dan Mercer nie zostanie powstrzymany, skrzywdzi następne dziecko. To fakt. Oboje o tym wiemy.

— Zapewne powinien pan to powiedzieć sędzi.

— Ona teraz nic nie może dla mnie zrobić.

— A ja mogę?

— Jest pani reporterką. I to dobrą.

— Zwolnioną.

— Tym lepszy powód, żeby to zrobić.

— Co zrobić?

Ed Grayson nachylił się w jej stronę.

— Pomóc mi go znaleźć, Wendy.

— Żeby mógł go pan zabić?

— On nie przestanie.

— Tak pan powiedział.

— Jednak?

— Jednak nie chcę brać udziału w pańskiej zemście.

— Myśli pani, że o to mi chodzi?

Wendy wzruszyła ramionami.

— To nie jest kwestia zemsty — powiedział cicho Grayson. — Wprost przeciwnie.

— Nie nadążam.

— To wykalkulowana decyzja. Praktyczna. Chodzi o wyeliminowanie ryzyka. Chcę uzyskać pewność, że Dan Mercer już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

— Zabijając go?

— A zna pani inny sposób? Tu nie chodzi o żądzę krwi czy użycie przemocy. Wszyscy jesteśmy ludźmi, ale jeśli ktoś robi coś takiego... jeśli jego geny lub marne życie są tak pokrecone, że musi krzywdzić dziecko... no cóż, najbardziej humanitarną rzeczą, jaką można zrobić, jest wyeliminowanie takiego człowieka.

— To miłe być sędzią i katem.

Ed Grayson wyglądał na lekko rozbawionego tą uwagą.

— Czy sędzia Howard wydała słuszny werdykt?

— Nie.

— Zatem kto się lepiej do tego nadaje niż my, znający prawdę?

Zastanowiła się nad tym.

— Wczoraj, po procesie, dlaczego powiedział pan, że skłamałam?

— Bo tak było. Nie martwiła się pani, że Mercer może się zabić. Weszła pani do jego domu, ponieważ obawiała się pani, że może zniszczyć dowody.

Cisza.

Ed Grayson wstał, przeszedł przez kuchnię i przystanął przy zlewie.

— Ma pani coś przeciwko temu, żebym napił się wody?

— Proszę sobie nalać. Szklanki są po lewej.

Wziął jedną z szafki i odkręcił kurek.

— Mam przyjaciela — zaczął, patrząc, jak szklanka się napełnia. — Miły gość, pracuje jako prawnik, bardzo skuteczny. I przed kilkoma laty powiedział mi, że jest

gorącym zwolennikiem wojny w Iraku. Podał mi wszystkie powody, między innymi ten, że Irakijczycy zasłużyli na odrobinę wolności. Zapytałem go: „Masz syna, prawda?”. Powiedział, że tak, właśnie idzie na studia do Wake Forest. Ja na to: „Powiedz szczerze, czy poświęciłbyś jego życie na tej wojnie?”. Poprosiłem go, żeby naprawdę głęboko to przemyślał. Załóżmy, że Bóg przybywa i mówi: „W porządku, oto umowa. Stany wygrywają wojnę z Irakiem, cokolwiek to oznacza, ale w zamian twój syn dostaje kulę w głowę i umiera. Tylko on. Nikt inny. Wszyscy inni cali wracają do domu, ale twój syn umiera”. Ed Grayson odwrócił się i upił łyk wody.

— I co odpowiedział?

— A co ty byś odpowiedziała, Wendy?

— Nie jestem pańskim przyjacielem prawnikiem, który popiera wojnę.

— Co za wykrętna odpowiedź. — Grayson się uśmiechnął. — Prawdę mówiąc, stanąwszy przed takim wyborem, nikt z nas nie zgodziłby się na taką zamianę, prawda? Nikt z nas nie poświęciłby swojego dziecka.

— Ludzie codziennie posyłają swoje dzieci na wojnę.

— Pewnie, racja, może są gotowi posłać je na wojnę, ale nie na śmierć. Na tym polega różnica, aczkolwiek wymagająca sporej dawki samooszukiwania. Możesz być gotowa rzucić kością, zaryzykować, tak naprawdę nie wierząc, że to twoje dziecko umrze. Oto różnica. Nie jest to taki wybór, o jakim mówię.

Spojrzał na nią.

— Czekasz pan na oklaski?

— Nie zgadza się pani ze mną?

— Pańska hipoteza pomniejsza znaczenie ofiary — stwierdziła Wendy. — I jest bzdurna.

— No cóż, owszem, może to niesprawiedliwe, przyznaję. Jednak dla nas, Wendy, w tym momencie pewien aspekt tego jest bardzo realny. Dan nie skrzywdzi już mojego dzieciaka, a twój syn jest dla niego za duży. Zamierzasz to zostawić, ponieważ twoje dziecko jest bezpieczne? Czy to daje tobie lub mnie prawo, by umyć od tego ręce, ponieważ nie chodzi o nasze dzieci?

Nie odpowiedziała. Ed

Grayson wstał.

— Ten problem nie zniknie tylko dlatego, że tego chcemy, Wendy.

— Nie jestem zwolenniczką samosądów, panie Grayson.

— Nie o to chodzi.

— Jednak na to wygląda.

— To pomyśl o tym tak. — Grayson przeszył ją wzrokiem, upewniając się, że ma jej niepodzielną uwagę. — Gdybyś mogła cofnąć się w czasie i znaleźć Arianę Nasbro...

— Przestań.

— Gdybyś mogła cofnąć się do jej pierwszego wypadku pod wpływem alkoholu, drugiego, a nawet trzeciego...

— Natychmiast się zamknij, do cholery.

Ed Grayson skinął głową, najwyraźniej zadowolony, że cios był celny.

— Myślę, że na mnie już czas. — Wyszedł z kuchni

i ruszył do drzwi. — Przemyśl to, dobrze? Tylko o to proszę. W tej sprawie ty i ja jesteśmy po tej samej stronie, Wendy. Myślę, że o tym wiesz.

■ ■ ■

Ariana Nasbro.

Po wyjściu Graysona Wendy starała się zapomnieć o tym przeklętym liście leżącym na dnie kosza na śmieci.

Wzięła iPoda, zamknęła oczy i próbowała ukoić nerwy przy muzyce. Włączyła uspokajającą listę, tę z Thriving Ivory śpiewającym *Angels on the Moon*, Williamem Fitz-simmonsem wykonującym *Please Forgive Me* oraz Davidem Berkeleym grającym *High Heels and AU*. To nie pomogło, te wszystkie piosenki o przebaczeniu. Spróbowała czegoś innego: przebrała się w robocze ubranie, przesłuchując wszystkie piosenki z dawnych czasów, takie jak *Shout Tears for Fears* czy *The Hold Steady* i *First Night*, czy *Lose Yourself* Eminema.

Nie pomagało. Wciąż dręczyły ją słowa Eda Graysona: „Gdybyś mogła cofnąć się w czasie i znaleźć Ariane Nasbro...”.

Zrobiłaby to. Bez dwóch zdań. Wendy cofnęłaby się w czasie, wytropiła tę sukę, odrąbała jej łeb i tańczyłaby wokół jeszcze drgających zwłok.

Przyjemna myśl, ale nie można cofnąć czasu.

Sprawdziła pocztę elektroniczną. Dan Mercer dotrzymał słowa i przysłał jej wiadomość, gdzie mają się spotkać: adres w Wykertown w New Jersey. Nigdy nie słyszała o tym

miejscu. Znalazła namiary przez Google. Dojazd zajmie jej godzinę. Doskonale. Ma prawie cztery godziny.

Wzięła prysznic i ubrała się. Ten list. Ten przeklęty list. Zbiegła po schodach, przekopała śmiecie i znalazła zwykłą białą kopertę. Studiowała charakter pisma, jakby mógł dać jej jakąś wskazówkę. Nie dał. Wyjęty z drewnianego bloku kuchenny nóż sprawdził się jako otwieracz do listów. Wendy wyjęła dwie kartki zwykłego białego papieru w linie, takiego, jakiego używała, gdy chodziła do szkoły.

Stojąc przy kuchennym zlewie, Wendy przeczytała list Ariany Nasbro — każde przeklęte, okropne słowo. Nie było w nim niczego zaskakującego, żadnych wnikliwych wniosków, nic, tylko te egocentryczne bzdury, jakie wciskają od pierwszego dnia terapii. Każdy banał, każde czułościowe stwierdzenie, każda wyświechtana wymówka... wszystkie były tu obecne i uzasadnione. Każde słowo jak ostrze wbijało się w jej serce. Ariana Nasbro pisała o „nasionach swojego samopostzegania”, o „potrzebie zadośćuczynienia”, o „poszukiwaniu sensu” i o „sięgnięciu samego dna”. Żalosalne. Miała nawet tupet, by pisać o „doznanych cierpieniach i o tym, jak nauczyła się wybaczać”, o „cudzie tego przebaczenia” i jak chce przekazać ten „cud innym, takim jak Wendy i Charlie”.

Widząc imię syna napisane przez tę kobietę, Wendy poczuła taką wściekłość, jakiej nie poczuła jeszcze nigdy w życiu.

„Ja zawsze będę alkoholiczką” — napisała Ariana Nasbro

pod koniec swej diatryby. Następne „ja”. Ja będę, ja jestem, ja chcę. List był tego pełen.

Ja, ja, ja.

Teraz wiem, że jestem niedoskonałą istotą godną przebaczenia.

Wendy zbierało się na wymioty.

A potem ostatnie zdanie listu:

To mój trzeci list do Ciebie. Proszę, odezwij się do mnie, żeby mógł się rozpocząć proces uzdrowienia. Niech Cię Bóg błogosławi.

O rany, pomyślała Wendy, odezwę się do ciebie. I to zaraz, do jasnej cholery.

Złapała kluczyki i pomaszerowała do samochodu. Wprowadziła adres nadawczym do GPS-u i pojechała do ośrodka rehabilitacyjnego, w którym przebywała Ariana Nasbro.

Ośrodek znajdował się w New Brunswick, do którego normalnie jechałaby godzinę, ale wciskając pedał gazu, Wendy dotarła tam w niecałe czterdzieści pięć minut. Zaparkowała samochód i jak burza wpadła przez frontowe drzwi. Podała kobiecie za biurkiem swoje nazwisko i powiedziała, że chce się zobaczyć z Arianą Nasbro. Kobieta za biurkiem poprosiła ją, żeby usiadła. Wendy powiedziała jej, że dziękuje, postoi.

Po chwili pojawiła się Ariana Nasbro. Wendy nie widziała jej od siedmiu lat, od procesu za spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym. Wtedy Ariana wyglądała żałośnie: wystraszona, zgarbiona, z rozczochranymi

mysimi włosami, mrugająca bez przerwy, jakby w każdej chwili spodziewała się ciosu.

Ta kobieta tutaj, zwolniona z więzienia Ariana Nasbro, była inna. Włosy miała krótkie i białe. Stała prosto i nieruchomo, i spojrzała Wendy w oczy. Wyciągnęła rękę.

— Dziękuję, że przyszedłeś, Wendy — powiedziała.

Wendy zignorowała wyciągniętą dłoń.

— Nie przyszedłem tu ze względu na ciebie.

Ariana spróbowała się uśmiechnąć.

— Masz ochotę na spacer?

— Nie, Ariano, nie mam. W swoich listach... pierwsze dwa zignorowałam, ale chyba nie pojąłeś aluzji... pytałaś mnie o możliwość zadośćuczynienia.

— Tak.

— Dlatego przyjechałam tu, żeby ci powiedzieć: nie przysyłaj mi tych twoich egocentrycznych, wymyślonych przez Anonimowych Alkoholików bzdur. Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę ci wybaczyć, żebyś mogła wyzdrowieć, wyleczyć się czy jak tam, do cholery, to nazywasz. Nie zależy mi na tym, żebyś poczuła się lepiej. Nie pierwszy raz próbowałaś terapii u Anonimowych Alkoholików, prawda?

— Nie — odrzekła Ariana Nasbro z wysoko podniesioną głową. — Nie pierwszy raz.

— Próbowałaś tego dwukrotnie, zanim zamordowałaś mojego męża, zgadza się?

— Zgadza — odparła zbyt spokojnie.

— Czy dotarłaś już przedtem do Ósmego Kroku?

— Tak. Jednak tym razem jest inaczej, ponieważ...

Wendy przerwała jej, unosząc rękę.

— Nie obchodzi mnie to. Fakt, że tym razem może być inaczej, nie ma dla mnie znaczenia. Nie obchodzisz mnie ty ani twoje uzdrowienie czy Ósmy Krok, ale jeśli naprawdę chcesz mi dać zadośćuczynienie, to proponuję, żebyś wyszła na dwór, zaczekała przy krawężniku i rzuciła się pod pierwszy przejeżdżający autobus. Wiem, że to brzmi okropnie, ale gdybyś zrobiła to ostatnim razem, kiedy dotarłaś do Ósmego Kroku, gdyby skrzywdzona przez ciebie osoba, której wysłałaś te egocentryczne bzdury, kazała ci to zrobić, zamiast ci przebaczyć, to może, tylko może, posłuchałabyś, umarłabyś i mój John by żył. Ja miałabym męża, a Charlie ojca. To jest to, co ma znaczenie. Nie ty. Nie twoje sześciomiesięczne przyjęcie otrzeźwiający u AA. Nie twoja duchowa podróż do trzeźwości. Tak więc jeśli naprawdę chcesz dać mi zadośćuczynienie, Ariano, natychmiast przestań stawiać siebie na pierwszym miejscu. Czy jesteś wyleczona, całkowicie wyleczona, absolutnie i na sto procent pewna, że już nigdy się napijesz?

— Nigdy nie jest się wyleczonym — odrzekła Ariana.

— Właśnie, kolejne bzdury AA. Przecież nie wiemy, co będzie jutro, prawda? Tak więc oto, jak możesz dać zadośćuczynienie? Przestań pisać listy, przestań mówić o sobie w grupie, przestań żyć każdym kolejnym dniem. Zamiast tego zrób jedyną rzecz, która gwarantuje, że już nigdy nie zamordujesz ojca innego dziecka: zaczekaj na ten autobus

i rzuć się pod koła. A jeśli nie, to zostaw w spokoju mnie i mojego syna, do cholery. Nigdy ci nie wybaczymy. Nigdy. To samolubne i potworne z twojej strony myśleć, że właśnie my powinniśmy to zrobić, żebyś mogła wyzdrowieć.

Z tymi słowami Wendy odwróciła się, wsiadła do samochodu i zapaliła silnik.

Skończyła z Arianą Nasbro. Teraz przyszedł czas na spotkanie z Danem Mercerem.

6

Marcia McWaid siedziała na kanapie obok Teda. Naprzeciwko nich zajął miejsce Frank Tremont, śledczy Essex County, mający przekazać im cotygodniowy raport z poszukiwań ich zaginionej córki. Marcia już wiedziała, co powie.

Frank Tremont miał na sobie mysiobrazowy garnitur i włóczkowy krawat wyglądający tak, jakby ostatnie cztery miesiące spędził zwinięty w ciasną kulkę. Śledczy był po sześćdziesiątce, tuż przed emeryturą, i miał znużony wygląd człowieka, który za długo wykonywał swoją pracę i widział już wszystko. Kiedy Marcia na początku popytała o niego, usłyszała plotki o tym, że Frank chyba nie jest już w najlepszej formie i nie popracuje dłużej niż kilka miesięcy.

Jednak Marcia nigdy nie zauważyła żadnych śladów choroby i Tremont przynajmniej wciąż ich odwiedzał i pozostawał w kontakcie. Wcześniej towarzyszyli mu inni, agenci FBI i eksperci od zaginięć oraz różni inni przed-

stawiciele organów ścigania. Ich liczba zmniejszała się w ciągu tych dziewięćdziesięciu czterech dni, aż została tylko ten samotny podstarzały policjant w koszmarnym garniturze.

Na początku Marcia próbowała czymś się zająć, proponując policjantom kawę i ciasteczka. Teraz przestała udawać. Frank Tremont siedział naprzeciwko nich, dwojga cierpiących rodziców, w ich ślicznym podmiejskim domu, i wiedziała, że zastanawia się, jak znowu im powiedzieć, że nie ma do przekazania żadnych nowych wiadomości o ich zaginionej córce.

— Przykro mi — powiedział Frank Tremont.

Zgodnie z oczekiwaniami. Jakby na dany sygnał.

Marcia patrzyła, jak Ted odchyła się do tyłu. Mruganiem powstrzymywał łzy. Wiedziała, że Ted jest dobrym człowiekiem, cudownym facetem, wspaniałym mężem, ojcem i żywicielem rodziny, jednak przekonała się, że nie jest zbyt silnym mężczyzną. Nie odrywała oczu od Tremonta.

— I co dalej? — zapytała.

— Nadal szukamy.

— Jak? Chcę powiedzieć, co jeszcze można zrobić? Tremont otworzył usta, ale rozmyślił się i je zamknął.

— Nie wiem, Marcio.

Ted McWaid pozwolił płynąć łzom.

— Nie rozumiem tego — powiedział, jak już wiele razy przedtem. — Jak możecie nie mieć żadnego śladu?

Tremont tylko czekał.

— Przy całej tej technice, zaawansowanych metodach i Internecie...

Ted zamilkł. Pokręcił głową. Nie rozumiał tego. Wciąż. Marcia rozumiała. To po prostu tak nie działało. Przed zniknięciem Haley byli typową amerykańską rodziną, która wiedzę o organach ścigania (a stąd i wiarę w nie) czerpała z seriali telewizyjnych, w których wszystkie zagadki zostają rozwiązane. Zadbani aktorzy znajdują włos, odcisk palca lub płatek skóry, kładą pod mikroskop i przed upływem godziny znają odpowiedź. Jednak nie w rzeczywistości. Teraz Marcia wiedziała, że rzeczywistości lepiej szukać w wiadomościach. Na przykład policja z Kolorado wciąż nie znalazła zabójcy tej małej królowej piękności, JonBenet Ramsey. Marcia pamiętała też sensacyjne nagłówki, kiedy Elizabeth Smart, śliczna czternastolatka, została w nocy uprowadzona ze swojej sypialni. Media roztrząsały to porwanie, które przykuło uwagę całego świata, i wszyscy patrzyli, jak policja, agenci FBI i wszyscy ci eksperci od kryminalistyki przetrząsali dom Elizabeth w Salt Lake City w poszukiwaniu prawdy — a jednak przez ponad dziewięć miesięcy nikt nie pomyślał o tym, żeby sprawdzić szalonego bezdomnego mężczyznę z kompleksem Boga, który pracował w tym domu, chociaż siostra Elizabeth widziała go tamtej nocy. Gdyby zrobić z tego odcinek *CSI* albo *Prawa i porządku*, widz rzuciłby pilotem przez pokój, wołając, że to „mało realistyczne”. Można próbować to usprawiedliwiać, ale właśnie takie rzeczy dzieją się cały czas.

Teraz Marcia wiedziała, że w rzeczywistości nawet idiotom uchodzą na sucho poważne przestępstwa. W rzeczywistości nikt nie jest bezpieczny.

— Czy macie mi coś nowego do powiedzenia? — spróbował Tremont. — Cokolwiek?

— Powiedzieliśmy panu wszystko — zapewnił Ted.

Tremont skinął głową. Dziś miał minę bardziej ponurą niż zwykle.

— Mielśmy inne podobne sprawy, w których zaginio na dziewczyna po prostu sama wracała. Musiała się wyszaleć albo miała chłopaka, o którym nikt nie wie dział.

Już wcześniej próbował sprzedać im tę wersję. Frank Tremont, jak wszyscy, z Tedem i Marcia włącznie, chciał, żeby to była ucieczka z domu.

— Była taka nastolatka z Connecticut — ciągnął Tremont. — Zadała się z niewłaściwym facetem i uciekła. Po trzech tygodniach wróciła do domu.

Ted kiwnął głową i odwrócił się do Marcii, żeby podbudować swoje nadzieje. Marcia próbowała zrobić weselszą minę, ale po prostu nie była w stanie. Teddy odwrócił się gwałtownie, przeprosił i wyszedł.

To dziwne, pomyślała Marcia, że ze wszystkich ludzi ja widzę to najklarowniej. Oczywiście żaden rodzic nie sądzi, że jest tak ślepy, by przeoczyć oznaki tego, że nastolatka jest tak głęboko nieszczęśliwa lub rozkojarzona, aby zniknąć z domu na trzy miesiące. Policja wyolbrzymiła wszystkie rozczarowania w jej młodym życiu: tak, Haley nie dostała

się na uniwersytet stanu Wirginia, który wybrała. Tak, nie wygrała klasowego konkursu na najlepsze wypracowanie i nie została przyjęta do programu AHLISA. I owszem, być może niedawno zerwała z chłopakiem. I co z tego? Każda nastolatka ma takie problemy.

Marcia знаła prawdę, wiedziała od pierwszego dnia. Powtarzając słowa dyrektora Zechera: coś się stało jej córce. Coś złego.

Tremont siedział, nie wiedząc, jak się zachować.

— Frank?

Spojrzał na nią.

— Chcę ci coś pokazać.

Marcia wyjęła fotografię z Myszka Miki, którą znalazła w szafce córki, i podała mu ją. Tremont się nie spieszył. Trzymał zdjęcie w ręku. W pokoju było cicho. Słyszała jego świszczący oddech.

— To zdjęcie zostało zrobione trzy tygodnie przed zniknięciem Haley.

Tremont przyglądał się fotografii, jakby mogła zawierać jakąś wskazówkę wyjaśniającą zniknięcie dziewczyny.

— Pamiętam. Wasza rodzinna wycieczka do Disneylandu.

— Spójrz na jej twarz, Frank.

Posłuchał i nie odrywał oczu od zdjęcia.

— Uważasz, że taka dziewczyna, z takim uśmiechem, nagle postanowiła uciec z domu, nikomu o tym nie mówiąc? Naprawdę sądzisz, że zaczęłaby gdzieś samo dzielne życie, nie używając iPhona, bankomatu, kart kredytowych?

— Nie — powiedział Frank Tremont. — Nie sędzę.

— Proszę, szukaj dalej, Frank.

— Będę szukał, Marcio. Obiecuję.

■ ■ ■

Kiedy ludzie mówią o bocznych drogach New Jersey, mają na myśli albo Garden State Parkway z mnóstwem zrujnowanych magazynów, zaniedbanych cmentarzy i brzydkich szeregowców, albo New Jersey Turnpike z fabrykami, lasem kominów oraz gigantycznymi obiektami przemysłowymi przypominającymi koszmarną przyszłość z filmów o Terminatorze. Nie myślą o Route 15 w okręgu Sussex, o wiejskim krajobrazie, starych osadach nad jeziorami, zabytkowych stodołach, całorocznych terenach rekreacyjnych czy stadionie dla drużyn baseballowych drugiej ligi.

Kierując się wskazówkami Dana Mercera, Wendy jechała Route 15, aż ta zmieniła się w dwieszóstkę, po czym skręciła w prawo w szutrową drogę, minęła pawilony U-Store-It i wjechała na parking przyczep mieszkalnych w Wykertown. Parking był cichy i mały i miał upiorny wygląd miejsca, w którym niemal spodziewasz się zobaczyć zardzewiałą huśtawkę kołyszącą się na wietrze. Teren był podzielony na szachownicę identycznych stanowisk. Siódme stanowisko w rzędzie D znajdowało się w samym rogu, niedaleko ogrodzenia z siatki.

Wysiadła z samochodu i zaskoczyła ją cisza. Żadnego dźwięku. Wyrwane krzewy nie toczyły się po drodze, gnane wiatrem, chociaż może powinny. Cały parking wyglądał

jak jedno z tych postapokaliptycznych miasteczek, na które spadła bomba i wszyscy mieszkańcy wyparowali. Były tu sznurki na pranie, lecz nic na nich nie wisiało. Na ziemi walały się składane krzesła z podartymi siedzeniami. Grille i zabawki plażowe wyglądały jak porzucone w trakcie zabawy.

Wendy sprawdziła zasięg telefonu. Ani jednego słupka. Po prostu wspaniale. Pokonała dwa schodki z żużlobetonu i stanęła przed drzwiami przyczepy. Część jej umysłu — ta racjonalna, która wiedziała, że jest matką, nie bohaterką komiksu — mówiła jej, że powinna się wycofać i nie zachowywać jak idiotka. Nadal zastanawiała się, co zrobić, lecz nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Dan Mercer.

Kiedy zobaczyła jego twarz, cofnęła się o krok.

— Co ci się stało?

— Wejdz — wymamrotał opuchniętymi wargami. Miał złamany nos i posiniaczoną twarz, ale nie to było najgorsze. Najgorsze były liczne ślady oparzeń na jego ręce i twarzy. Jedna z tych okrągłych ran wyglądała tak, jakby przepalono mu policzek. Wendy wskazała jeden z tych śladów.

— Zrobili to papierosem?

Zdołał wzruszyć ramionami.

— Powiedziałem im, że moja przyczepa to strefa bezdymna. To ich rozzłościło.

— Kogo?

— To był żart. To o strefie bezdymnej.

— Tak, załapałam. Kto na ciebie napadł?

Dan Mercer zbył to machnięciem ręki.

— Może wejdiesz?

— Dlaczego nie możemy zostać tutaj?

— Rany, Wendy, nie czujesz się przy mnie bezpieczna?
Jak sama bez ogródek powiedziałaś, nie jesteś w moim typie.

— Mimo to.

— Naprawdę nie mam ochoty wychodzić teraz na zewnątrz.

— Och, ale ja nalegam.

— To do widzenia. Przykro mi, że jechałaś taki kawał na darmo.

Dan znikł w przyczepie, puszczając drzwi, które zaczęły się zamykać. Wendy zaczekała chwilę, sprawdzając, czy nie blefował. Nie. Zapominając o wcześniejszych obawach — poza tym w tym stanie chyba nie mógłby zrobić jej krzywdy — otworzyła drzwi i weszła do środka. Dan stał w drugim końcu przyczepy.

— Twoje włosy — powiedziała.

— Co z nimi?

Kręcone włosy Dana, które przedtem były ciemnobrązowe, teraz miały okropny żółty kolor, który z trudem można by określić jako jasnoblond.

— Sam je ufarbowałeś?

— Nie, poszedłem do Dionny, mojej ulubionej fryzjerki w centrum.

Prawie się uśmiechnęła.

— Naprawdę wtapiasz się w otoczenie.

— Wiem. Wyglądam jak żywcem wyjęty z wideoklipu z lat osiemdziesiątych.

Odszedł jeszcze dalej od drzwi, w najdalszy kąt przyczepy, jakby chciał ukryć siniaki. Wendy puściła drzwi. Zatrzasnęły się z hukiem. W środku panował półmrok. Przez okna wpadały skośne smugi słonecznego blasku. Podłoga przy drzwiach była pokryta wytartym linoleum, ale na drugim końcu leżał źle przycięty kawałek pomarańczowej wykładziny, którego odcień nawet najbardziej awangardowy projektant uznałby za zbyt krzykliwy.

Skulony w kącie Dan wydawał się mały i przybity. Co było upiorne i tak ją złościło, to to, że próbowała zrobić program o Danie Mercerze i jego „pożytecznej pracy” prawie rok przed tym, zanim odkryła jego prawdziwe inklinacje. Wcześniej Dan wydawał się tym najrzadszym okazem prawdziwego dobroczyńcy, człowiekiem, który naprawdę chciał coś zrobić i — co było najdziwniejsze — nie łączył tego z chęcią wywyższania się.

A ona — czy odważy się to przyznać? — dała się na to nabrać. Dan był przystojnym mężczyzną z tą rozwichrzoną czupryną i ciemnoniebieskimi oczami, a ponadto potrafił patrzeć na człowieka tak, jakby był jedyną osobą na świecie. Skupiony, czarujący, miał samokrytyczne poczucie humoru, więc rozumiała, dlaczego te biedne dzieciaki go uwielbiały.

Jednak dlaczego ona, patologicznie sceptyczna reporterka, nie zdołała go przejrzeć?

Nawet miała nadzieję — i znów, czy odważy się to

przyznać? — że zaprosi ją na randkę. Na początku, kiedy na nią patrzył, czuła to elektryzujące przyciąganie i była pewna, że ona też w podobny sposób burzy jego spokój.

Chyba jej odbiło, żeby myśleć o tym teraz.

Ze swojego miejsca w kącie Dan próbował patrzeć na nią z taką samą uwagą, ale to nie działało. Ten pozornie czysty obraz, który zwiódł ją na początku, teraz się przybrudził. A to, co pozostało, było żalodne, i nawet teraz, mimo tego wszystkiego, co wiedziała, instynkt mówił Wendy, że on po prostu nie może być takim potworem, jakim oczywiście jest.

Niestety, to bzdura. Padła ofiarą oszusta. I tyle. Skromność była zasłoną skrywającą jego prawdziwą naturę. Nazwijcie to instynktem, kobiecą intuicją czy przecuciem — ilekroć Wendy się tym kierowała, popełniała błąd.

— Ja tego nie zrobiłem, Wendy.

Znowu „ja”. Co za dzień.

— Tak, mówiłeś mi o tym przez telefon. Zechcesz rozwinąć temat?

Wyglądał na zagubionego, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

— Od czasu mojego aresztowania prowadziłaś własne śledztwo w mojej sprawie, prawda?

— Co z tego?

— Rozmawiałaś z dziećmi, z którymi pracowałem w ośrodku, prawda? Iloma?

— A co to za różnica?

— Z iloma, Wendy?

Już zaczynała rozumieć, do czego zmierza.

— Czterdziestoma siedmioma.

— Ile z nich twierdziło, że je molestowałem?

— Zero. Publicznie. Jednak były anonimowe informacje.

— Anonimowe informacje — powtórzył Dan. — Mówisz o tych anonimowych blogach, które mogły być napisane przez każdego, łącznie z tobą?

— Albo przestraszonego dzieciaka.

— Nie wierzyłaś w te błogi na tyle, żeby zacytować je na antenie.

— To wcale nie dowodzi, że jesteś niewinny, Dan.

— Zabawne.

— Co?

— Myślałem, że powinno być odwrotnie. Człowiek jest niewinny, dopóki nie dowiedzie mu się winy.

Próbowała nie przewrócić oczami. Nie chciała grać w tę grę. Trzeba go trochę przycisnąć.

— Wiesz, co jeszcze odkryłam, kiedy prowadziłam to śledztwo?

Dan Mercer odsunął się od niej, wciskając w najdalszy kąt.

— Co?

— Nic. Żadnych przyjaciół, rodziny, nikogo bliskiego poza twoją byłą żoną, Jenną Wheeler, i ludzi z ośrodka pomocy społecznej. Jakbyś był duchem.

— Moi rodzice umarli, kiedy byłem dzieckiem.

— Tak, wiem. Wychowałeś się w sierocińcu w Oregonie.

— I co?

— To, że w twoim życiorysie jest dużo luk.

- Ktoś mnie wrobił, Wendy.
- Racja. A jednak pojawiłeś się wtedy w tamtym domu, zgadza się?
- Myślałem, że idę do dziecka, które ma kłopoty.
- Mój bohaterze. I tak po prostu wszedłeś do środka?
- Chynna mnie wezwała.
- Ma na imię Deborah, nie Chynna. Jest stażystką w stacji. Co za przypadek, że jej głos jest podobny do głosu twojej tajemniczej dziewczyny.
- Wołała z daleka. Przecież o to ci chodziło, no nie? Jej głos miał brzmieć tak, jakby wyszła spod prysznic.
- Rozumiem. Myślałeś, że to dziewczyna o imieniu Chynna z twojego ośrodka pomocy, tak?
- Tak.
- Oczywiście szukałam tej Chynny, Dan. Tej twojej tajemniczej dziewczyny. Po prostu chciałam zapiąć sprawę na ostatni guzik. Przyprawiliśmy ci naszego rysownika.
- Wiem o tym.
- I wiesz, że pokazałam ten portret pamięciowy wszystkim w okolicy, nie wspominając o wszystkich pracownikach i mieszkańcach twojego ośrodka pomocy. Nikt jej nie zna, nikt jej nie widział, nic.
- Mówiłem ci. Przyszła do mnie w tajemnicy.
- Bardzo wygodne. I ktoś też użył twojego laptopa, żeby wysłać z twojego domu te okropne wiadomości tekstowe?
- Nie odpowiedział.
- A także... pomóż mi to wyjaśnić, Dan... ktoś załadował

do niego te zdjęcia, tak? Och, i ktoś, zapewne ja, jeśli wierzyć twojemu adwokatowi, ukrył w twoim garażu te obrzydliwe zdjęcia dzieci. Dan Mercer zamknął oczy pokonany.

— Wiesz, co powinieneś zrobić, Dan? Teraz, kiedy jesteś wolny, kiedy prawo już nie może cię tknąć, powinieneś skorzystać z pomocy. Pójść do terapeuty.

Dan pokręcił głową i zdołał się uśmiechnąć.

— Co? Spojrzał na nią.

— Łapałaś pedofilów przez dwa lata, Wendy, i nie wiesz?

— Nie wiem czego?

— Pedofila nie można wyleczyć — odparł szeptem ze swojego kąta.

Wendy przeszedł dreszcz. I w tym momencie drzwi przyczepy otworzyły się z trzaskiem.

Odkoczyła, o włos unikając uderzenia osłoną z siatki. Do środka wpadł mężczyzna w kominiarce. W prawej ręce trzymał pistolet.

Dan podniósł ręce i zrobił krok do tyłu.

— Nie...

Mężczyzna w kominiarce wycelował w niego broń. Wendy cofała się, rozpaczliwie szukając jakiejś osłony, a wtedy, tak po prostu, mężczyzna w kominiarce strzelił.

Bez ostrzeżenia, nie mówiąc Danowi, żeby się nie ruszał albo podniósł ręce do góry. Nic. Tylko suchy trzask wystrzału.

Dan obrócił się i upadł twarzą do ziemi.

Wendy wrzasnęła. Przywarła do podłogi za starą kanapą, jakby ta mogła ją osłonić. Patrząc zza niej, widziała leżącego Dana. Nie ruszał się. Wokół jego głowy rozlewała się kałuża krwi, plamiąc wykładzinę. Zabójca przeszedł przez przy-czepę. Niespiesznie. Spokojnie. Jakby spacerował po parku. Zatrzymał się tam, gdzie leżał Dan. Wycelował broń w jego głowę.

I wtedy Wendy zauważyła zegarek.

Był to timex na metalowej bransoletce. Taki sam, jaki miał jej ojciec. Na kilka sekund czas się zatrzymał. Teraz Wendy zauważyła, że wzrost się zgadza. I waga. No i ten zegarek.

Ed Grayson.

Strzelił jeszcze dwa razy w głowę Dana. Dwa suche trzaski. Ciało Dana podskoczyło przy uderzeniach kul. Wendy poczuła paniczny strach. Próbowwała się uspokoić. Trzeźwe myślenie. Tego teraz potrzebuje.

Ma dwa wyjścia.

Pierwsze to porozmawiać z Graysonem. Przekonać go, że jest po jego stronie.

Drugie to ucieczka. Dotrzeć do drzwi, pobiec do samochodu, wynieść się stąd.

Obie te możliwości były problematyczne. Na przykład pierwsze wyjście: czy Grayson jej uwierzy? Zaledwie parę godzin temu odrzuciła jego propozycję, tak naprawdę okłamała go, i teraz jest tutaj, w tajemnicy spotykając się z Danem Mercerem, człowiekiem, którego on zastrzelił z zimną krwią...

Pierwsza możliwość nie wyglądała najlepiej, co pozostawiało... Rzuciła się do otwartych drzwi.

— Stój!

Zgięta w pół bardziej wypadła, niż przebiegła przez drzwi.

— Zaczekaj!

Nie ma mowy, pomyślała. Wytoczyła się na światło dnia. Biegnij, powiedziała sobie. Nie zwalnij.

— Na pomoc! — wrzasnęła.

Żadnej odpowiedzi. Parking nadal wyglądał na opuszczony.

Ed Grayson wyskoczył z przyczepy za jej plecami. W rękę wciąż trzymał broń. Wendy biegła dalej. Inne przyczepy znajdowały się za daleko.

— Na pomoc!

Strzały.

Może schować się tylko za swoim samochodem. Pobiegła do niego. Kolejne strzały. Skoczyła za auto, chowając się za nim jak za tarczą. Drzwi zostawiła otwarte.

Zaryzykować?

A jaki ma wybór? Zostać tutaj i czekać, aż on podejdzie i ją zastrzeli?

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła pilota do samochodu. Otworzyła drzwi. Kiedy Charlie zrobił prawo jazdy, uparł się, żeby kupić jeden z tych pilotów włączających zapłon, aby w zimowe ranki można było rozgrzać silnik, nie wychodząc z kuchni. Oczywiście narzekała na takie wygodnictwo i na swojego rozpuszczonego syna, który jest tak

wygodny, że nie chce marznąć przez kilka minut. Teraz chciała go za to ucałować.

Silnik zapalił. Wendy otworzyła drzwi po stronie kierowcy i wsiadła nisko pochylona. Zerknęła przez okno. Broń była wycelowana prosto w samochód. Pospiesznie schowała głowę.

Następne strzały.

Czekała na dźwięk rozbijanego szkła. Nic. Teraz nie było czasu się tym martwić. Leżąc na boku, wrzuciła bieg. Samochód ruszył. Lewą ręką nacisnęła pedał gazu i jechała na osłep. Miała cholerną nadzieję, że w nic nie uderzy.

Minęło dziesięć sekund. Jak daleko ujechała?

Uznała, że wystarczająco daleko.

Wendy wyprostowała się i usiadła za kierownicą. Widziała zamaskowanego Graysona w lusterku, biegł za nią, trzymając broń.

Wcisnęła pedał gazu do podłogi, aż szarpnęło jej głowę do tyłu, i pędziła. Gdy w lusterku nie było już nikogo, złapała telefon komórkowy. Wciąż ani jednego słupka. Wybrała 911, mimo wszystko nacisnęła klawisz wysyłania i usłyszała pisk towarzyszący komunikatowi BRAK POŁĄCZENIA. Przejechała jeszcze kilometr. Wciąż brak zasięgu. Ruszyła do dwieścieśóstki i spróbowała jeszcze raz. Nic.

Po kolejnych pięciu kilometrach połączyła się.

— Jakiego rodzaju ma pani kłopot? — zapuylał głos.

— Zgłaszam strzelaninę.

7

Zanim Wendy wróciła do przyczepy, były tam już trzy radiowozy policji z okręgu Sussex. Między nimi przechadzał się policjant.

— To pani nas wezwała? — zapytał.

— Tak.

— Czy dobrze się pani czuje?

— Nic mi nie jest.

— Potrzebuje pani pomocy lekarskiej?

— Nie, nic mi nie jest.

— Powiedziała pani przez telefon, że napastnik był uzbrojony?

— Tak.

— I że był sam?

— Tak.

— Proszę pójść ze mną.

Zaprowadził ją do radiowozu i otworzył tylne drzwi. Zawahała się.

— To dla pani bezpieczeństwa. Nie jest pani aresztowana ani nic takiego.

Wślizgnęła się na tylne siedzenie. Policjant zamknął drzwi i usiadł za kierownicą. Nie włączył silnika, tylko zasypał ją gradem pytań. Od czasu do czasu uciskał ją, podnosząc rękę, i przekazywał jej słowa przez radio, zapewne innemu policjantowi. Powiedziała mu wszystko, co wiedziała, łącznie z podejrzeniem, że napastnikiem był Ed Grayson.

Minęło ponad pół godziny, zanim do samochodu podszedł następny policjant, ogromny, ponadstupięćdziesięciokilogramowy Afroamerykanin. Miał na sobie wypuszczoną na spodnie hawajską koszulę, która na osobie o przeciętnych rozmiarach wyglądałaby jak luźna toga. Otworzył tylne drzwi radiowozu.

— Pani Tynes, jestem szeryf Mickey Walker z wydziału policji okręgu Sussex. Czy zechce pani wysiąść?

— Złapaliście go?

Walker nie odpowiedział. Potoczył się w kierunku wjazdu na parking przyczep. Wendy pospieszyła za nim. Zobaczyła, że inny policjant przesłuchuje jakiegoś mężczyznę w białym podkoszulku damskiego boksera i szortach.

— Szeryfie Walker?

Nie zwolnił kroku.

— Mówiła pani, że pani zdaniem ten mężczyzna w kominiarce to niejaki Ed Grayson?

— Tak.

— I że przybył tam po pani?

— Tak.

— Czy wie pani, jakim pojazdem przyjechał?

Zastanowiła się.

— Nie widziałam, nie.

Walker skinął głową, jakby takiej odpowiedzi się spodziewał. Dotarli do przyczepy. Walker pchnął siatkowe drzwi i pochylił głowę, żeby wcisnąć się do środka. Wendy za nim. Byli tam już dwaj mundurowi. Wendy spojrzała na drugi koniec przyczepy, tam, gdzie upadł Dan.

Pusto.

Odwróciła się do Walkera.

— Już zabraliście ciało?

Jednak знаła odpowiedź. Nie przejechał koło niej żaden ambulans ani karawan.

— Nie ma ciała.

— Nie rozumiem.

— Nie ma także Graysona ani nikogo innego. Ta przyczepa wygląda dokładnie tak, jak wtedy, gdy do niej weszliśmy.

Wendy wskazała przeciwległy koniec przyczepy.

— Leżał tam. Dan Mercer. Nie wymyśliłam tego.

Gapiała się w miejsce, gdzie leżało ciało, myśląc: och nie, to niemożliwe. Przypomniała jej się scena, którą widzi się milion razy w kinie lub telewizji: zwłoki znikły, zrozpaczona kobieta mówi: „Przecież musicie mi uwierzyć!”, i nikt jej nie wierzy. Wendy znowu spojrzała na olbrzymiego policjanta, sprawdzając, jak na to zareaguje. Spodziewała się sceptycyzmu, ale Walker ją zaskoczył.

— Wiem, że pani tego nie wymyśliła — powiedział.

Już miał rozpocząć długą dyskusję, ale nie było takiej potrzeby. Czekala.

— Proszę odetchnąć głęboko — rzekł Walker. — Czujecie pani jakiś zapach?

Czuła.

— Proch?

— Taa. Powiedziałbym, że świeżo spalony. Co więcej, w tamtej ścianie jest otwór po kuli. Przeszła na wylot. Znaleźliśmy pocisk na zewnątrz, w żużlobetonowym pustaku. Wygląda na trzydziestkęósemkę, ale więcej dowiemy się później. Teraz chcę, żeby pani rozejrzała się po przyczepie i powiedziała mi, czy coś się tu zmieniło od chwili, gdy pani stąd wybiegła. — Przerwał i zrobił niezręczny gest. — Oczywiście poza brakiem zwłok i w ogóle...

Wendy od razu to zauważyła.

— Nie ma chodnika.

Walker skinął głową, jakby wiedział, że ona to powie.

— Jaki to był chodnik?

— Pomarańczowy, włochaty. Mercer upadł na niego, kiedy został zastrzelony.

— I ten chodnik leżał w rogu? Tam, gdzie pani wskazała?

— Tak.

— Pokażę pani coś.

Walker zajmował sporo miejsca w małej przyczepie. Przeszli na jej koniec i wycelował w ścianę palec grubości parówki. Wendy zobaczyła otwór po kuli, równy i mały. Walker, sapiąc, pochylił się nad miejscem, gdzie upadło ciało.

— Widzi pani to?

Podłoga była usłana kłaczkami z pomarańczowego chodnika, niczym cieniutkimi chipsami. Doskonale — to dowód, że mówiła prawdę — ale Walker nie to chciał jej pokazać. Przeniosła spojrzenie tam, gdzie pokazywał palcem.

Krew.

Niedużo. Z pewnością nie cała, która wypłynęła z zastrzelonego Dana Mercera. Jednak sporo. Kolejne pomarańczowe kłaczki tkwiły w lepkim płynie.

— Widocznie krew przeciekła przez chodnik — uznała Wendy.

Walker skinął głową.

— Mamy świadka, który zauważył mężczyznę wkładającego zrolowany chodnik na tył samochodu: czarnej acury mdx z tablicami rejestracyjnymi New Jersey. Już sprawdziliśmy w wydziale komunikacji Edwarda Graysona z Fair Lawn w New Jersey. Jest właścicielem czarnej acury mdx.

■ ■ ■

Najpierw puścili motyw muzyczny. Bardzo dramatyczny. Ba-da-buuumm...

Odziana w czarną togę Hester Crimstein otworzyła drzwi i ruszyła jak lwica w kierunku sędziowskiego fotela. Szła w narastającym łoskocie werbli.

— Teraz proszę wszystkich o powstanie, przewodniczy sędzia Hester Crimstein — powiedział sławny lektor, ten sam, który czytał dialogi wszystkich filmów „ze świata”, zanim odszedł.

Najazd na tytuł: *Sąd Crimstein*.

Hester zasiadła na fotelu.

— Teraz ogłoszę werdykt.

— Czas na werdykt! — zanucił żeński chórek, ten sam, który śpiewnie podaje długości fal rozgłośni radiowych, na przykład: „Jeden, zero, dwa, przecinek siedem... Nowy Jooooorkk”.

Hester powstrzymała westchnienie. Już od trzech miesięcy prowadziła ten nowy program telewizyjny, porzuciwszy ograniczenia kablowego *Crimstein i zbrodnie*, poprzedniego programu, który zajmował się „rzeczywistymi sprawami”, przy czym to eufemistyczne określenie oznaczało wybryki celebrytów, zaginięcia białych nastolatków i cudzołóstwo polityków.

Jej „urzędnik sądowy” nazywał się Waco. Był emerytowanym komikiem estradowym. Tak, naprawdę. To był program telewizyjny, nie sąd, mimo że wyglądał na ten drugi. Chociaż nie były to prawdziwe procesy, Hester prowadziła pewnego rodzaju postępowanie prawne. Obie strony podpisywały umowę o arbitraż. Producent programu pokrywał koszty, a powód i pozwany otrzymywali po sto dolarów dziennie. Nikt nie był stratny.

Wszystkie reality show są krytykowane, i słusznie, jednak jasno wykazują, szczególnie te związane z sądownictwem i sądami, że ten świat nadal należy do mężczyzn. Weźmy pozwanego Reginalda Pepe'a. Wielki Reg, jak lubił być nazywany, rzekomo pożyczył dwa tysiące od powódki, Miley Badonis, która była wtedy jego dziewczyną. Wielki

Hester przeniosła na nią spojrzenie.

— Pani Badonis, czy słyszała pani o źdźble i belce w oku?

— Hm, nie.

— Zatem proszę się zamknąć i słuchać. — Hester znów zwróciła się do Obcisłych Topów. — Czy wy dwie wiecie, co oznacza słowo „lafirynda”?

— Coś jak zdzira — powiedziała Obcisły Top z lewej.

— Tak. I nie. Zdzira to rozpustna dziewczyna. Lafirynda, moim zdaniem znacznie od niej gorsza, to dziewczyna, która zadaje się z takim mężczyzną jak Reginald Pepe. Krótko mówiąc, pani Badonis jest na dobrej drodze, żeby nie być lafirynda. Wy dwie też macie taką możliwość. Proszę, żebyście z niej skorzystały.

Nie skorzystają. Hester widziała to już niejednym razem. Zwróciła się do pozwanego:

— Panie Pepe?

— Tak, pani sędzio?

— Powiedziałabym panu, co mówiła mi moja babka: „Nie można jechać na dwóch koniach, jeśli jeden jest z tyłu...”.

— Można, jeśli zrobi się to jak należy, pani sędzio, he, he, he.

O rany.

— Powiedziałabym panu — ciągnęła Hester — ale jest pan beznadziejnym przypadkiem. Nazwałabym pana szumowiną, panie Pepe, ale czy nie byłoby to krzywdzące dla szumowin? Szumowina w istocie nikomu nie robi krzywdy, podczas gdy pan, jako człowiek nikiemny, pozostawia za sobą pasmo krzywd i zniszczenia. Ach, i lafiryndy.

— Hej — Wielki Reg rozłożył ręce i się uśmiechnął — rani pani moje uczucia.

Taa, pomyślała Hester, męski świat. Odwróciła się do powódki.

— Niestety, pani Badonis, być niktzemnikiem to nie przestępstwo. Dała mu pani pieniądze. Nie ma żadnych dowodów, że to była pożyczka. Gdyby odwrócić role i gdyby to pani była potwornie brzydkim mężczyzną, który dał pieniądze atrakcyjnej, aczkolwiek nieco naiwnej, znacznie młodszej kobiecie, ta sprawa nawet nie znalazłaby się w sądzie. Krótko mówiąc, wyrokuję na korzyść pozwanego. I znajduję go odrażającym. Koniec rozprawy.

Wielki Reg zawył z uciechy.

— Hej, pani sędzio, jeśli nie jest pani zbyt zajęta...

Znów puścili motyw muzyczny, lecz Hester nie zwracała na to uwagi. Zadzwoiła jej komórka. Gdy zobaczyła numer dzwoniącego, pospiesznie zeszła ze sceny i odebrała.

— Gdzie jesteś? — zapytała.

— Właśnie podjechałem pod mój dom — powiedział Ed Grayson. — Iz tego, co widzę, zaraz zostanę aresztowany.

— Byłeś tam, gdzie sugerowałam?

— Byłem.

— W porządku, dobrze. Powołaj się na swoje prawa i nic nie mów. Już jadę.

8

Wendy zdziwiła się, widząc harleya-davidsona Popsa na swoim podjeździe. Była zmęczona długim przesłuchaniem, nie mówiąc o wcześniejszym spotkaniu z zabójczynią jej męża i o tym, że przy niej zamordowano człowieka. Przeszła obok starej maszyny pokrytej wyblakłymi kalkomaniami: amerykańską flagą, emblematem NRA, nalepką związku weteranów wojennych. Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech.

Otworzyła frontowe drzwi.

— Pops? Wymaszerował z kuchni.

— W lodówce nie ma piwa — oznajmił.

— Nikt tu nie pije piwa.

— Taak, ale nigdy nie wiadomo, kto może wpaść z wizytą.

Uśmiechnęła się do... Jak nazywa się ojciec byłego męża?
Do byłego teścia.

— No właśnie.

Pops przeszedł przez pokój, po czym mocno ją uściskał. Poczula słaby zapach skóry, drogi, papierosów, i owszem, piwa. Jej teść — pieprzyć słowo „były” — miał ten włochaty, niedźwiedziowaty wygląd weterana wojny w Wietnamie. Był wielki, zapewne ważył ponad sto dwadzieścia kilo, miał świszczący oddech i gęste wąsy pożółkłe od nikotyny.

— Słyszałem, że straciłaś pracę.

— Od kogo?

Pops wzruszył ramionami. Wendy zastanowiła się. Jest tylko jedno wyjaśnienie: Charlie.

— Dlatego tu jesteś? — zapytała.

— Po prostu przejeżdżałem i potrzebowałem dachu nad głową. Gdzie mój wnuk?

— U kolegi. Powinien lada chwila być w domu. Pops przyjrzał się jej.

— Wyglądasz jak siedem nieszczęść.

— Komplimenty.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Chciała. Pops przyrządził koktajle. Usiedli na kanapie i opowiadając mu o strzelaninie, Wendy uświadomiła sobie, jak bardzo brakuje jej mężczyzny, chociaż trudno jej się do tego przyznać.

— Zamordowany gwałciciel dzieci — mruknął Pops. — Rety, będę opłakiwał go przez kilka tygodni.

— To trochę nonszalanckie podejście, nie uważasz?

Pops wzruszył ramionami.

— Po przekroczeniu pewnej granicy nie ma już powrotu. Przy okazji, chodzisz na randki?

- Miłe skojarzenie.
- Nie unikaj odpowiedzi.
- Nie, nie chodzą na randki.

Pops pokręcił głową.

- Co?
- Ludzie potrzebują seksu.
- Zapiszę to sobie — mruknęła Wendy.

— Mówię poważnie. Nadal tego potrzebujesz, dziewczyno. Wyjdź gdzieś czasem i zabaw się.

— Myślałam, że wy, prawicowcy z NRA, jesteście przeciwnikami przedmałżeńskiego seksu.

- Nie, tylko tak mówimy, żeby pozbyć się konkurencji.

Uśmiechnęła się, słysząc to.

- Pomysłowe. Pops spojrzał na nią.

- Co jeszcze jest nie tak?

Wendy nie zamierzała mu o tym mówić, ale słowa same popłynęły jej z ust:

- Dostałam kilka listów od Ariany Nasbro.

Cisza.

John był jedynym dzieckiem Popsa. Choć utrata męża była strasznym ciosem dla Wendy, żaden rodzic nie chce myśleć o tym, jak bolesna jest strata dziecka. Cierpienie na twarzy Popsa było jak żywa oddychająca istota. Nigdy nie zniknęło.

- I czego chciała szanowna, słodka Ariana?
- Robi Dwanaście Kroków.
- Ach. I ty jesteś jednym z nich?

Wendy skinęła głową.

— Krok Ósmy albo Dziewiąty, nie pamiętam który.

Frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie, przerywając rozmowę. Usłyszeli biegnącego Charliego. Widocznie zauważył harleya na podjeździe.

— Jest tu Pops?

— Jesteśmy w salonie, dzieciaku.

Charlie wpadł do pokoju szeroko uśmiechnięty.

— Pops!

Pops był jedynym żyjącym dziadkiem Charliego. Rodzice Wendy umarli, zanim Charlie się urodził, a matka Johna, Rose, zmarła przed dwoma laty na raka. Ci dwaj mężczyźni — rzecz jasna Charlie był jeszcze chłopcem, ale już przerósł dziadka — mocno się uściskali. Obaj zamknęli przy tym oczy. Pops zawsze ściskał się w ten sposób, wkładał w to mnóstwo uczucia. Wendy patrzyła na nich i znów poczuła bolesny brak mężczyzny w swoim życiu.

Kiedy przestali się ściskać, spróbowała przywrócić normalną atmosferę.

— Jak było w szkole?

— Beznadziejnie. Pops objął szyję wnuka.

— Masz coś przeciwko temu, żebym zabrał Charliego na przejażdżkę?

Już miała zaprotestować, ale powstrzymała ją nadzieja malująca się na twarzy syna. Znikł gdzieś ponury nastolatek. Znów był dzieckiem.

— Masz zapasowy kask? — spytała Popsa.

— Zawsze. — Pops puścił oko do Charliego. — Nigdy nie wiadomo, kiedy spotka się dbającą o bezpieczeństwo autostopowiczkę.

— Nie wracajcie późno. Och, i zanim wyjdziecie, może roześlemy ostrzeżenie?

— Ostrzeżenie?

— Żeby pozamykać panienki w domach — wyjaśniła Wendy. — Skoro wy dwaj ruszacie na łowy.

Pops i Charlie przybili sobie piątkę.

— Oo, tak.

Mężczyźni.

Odprowadziła ich do drzwi, znów uściskała i pojęła, że częściowo brakuje jej po prostu fizycznej obecności mężczyzny, uścisków i objęć, i komfortu, jaki dają. Patrzyła, jak odjeżdżają z rykiem silnika, i kiedy odwróciła się, żeby wejść do domu, nadjechał jakiś samochód i zaparkował przed jej domem.

Nieznajomy samochód. Wendy zaczęła. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i wyskoczyła z nich kobieta. Miała zaczerwienione oczy i policzki mokre od łez. Wendy natychmiast ją rozpoznała — Jenna Wheeler, była żona Dana Mercera.

Wendy po raz pierwszy spotkała Jennę tamtego ranka, po emisji programu o Danie. Była w domu Wheelerów, siedziała na jasnożółtej kanapie w jasnoniebieskie kwiaty i słuchała, jak Jenna — głośno i publicznie — broni swojego byłego, chociaż dużo ją to kosztowało. Ludzie w miastecz-

ku — Jenna mieszkała niecałe trzy kilometry od Wendy i jej córka chodziła do tego samego liceum co Charlie — byli oczywiście zaszokowani. Dan Mercer bywał w domu Wheelerow. Czasem nawet opiekował się dziećmi Jenny z jej drugiego małżeństwa. Sąsiedzi dziwili się, jak troskliwa matka mogła wpuścić tego potwora do ich społeczności i bronić go teraz, kiedy prawda wyszła na jaw?

— Już wiesz — powiedziała Wendy.

Jenna skinęła głową.

— Jestem jego najbliższą krewną.

Obie stały na ganku.

— Nie wiem, co powiedzieć, Jenno.

— Byłaś tam?

— Tak.

— Ty go wystawiłaś?

— Co?

— Słyszałaś.

— Nie, Jenno, nie wystawiłam go.

— No to dlaczego tam byłaś?

— Dan do mnie zadzwonił. Powiedział, że chce się ze mną spotkać.

Jenna nie kryła sceptycyzmu.

— Z tobą?

— Powiedział, że ma nowy dowód swojej niewinności.

— Przecież sędzia już zamknęła sprawę.

— Wiem.

— Zatem dlaczego... — Jenna urwała. — Co to za nowy dowód?

Wendy wzruszyła ramionami, jakby to była odpowiedź. I może tak. Słońce zaszło. Wieczór był ciepły, ale wiał wiatr.

— Mam więcej pytań — powiedziała Jenna.

— To może wejdiesz?

Zapraszając Jenny do środka, Wendy nie kierowała się wyłącznie altruizmem. Teraz, gdy minął szok wywołany widokiem okropnej zbrodni, znowu dochodziła do głosu jej dziennikarska natura.

— Mogę ci zaproponować herbatę albo coś innego do picia?

Jenna zbyła to machnięciem ręki.

— Nadal nie rozumiem, co się stało.

Wendy opowiedziała. Zaczęła od telefonu od Dana i zakończyła na tym, jak wróciła do przyczepy z szeryfem Walkerem. Nie powiedziała o wizycie Eda Graysona w jej domu dzień wcześniej. Powiedziała o tym Walkerowi, ale nie widziała powodu, żeby teraz dolewać oliwy do ognia.

Jenna słuchała ze łzami w oczach.

— I po prostu zastrzelił Dana? — zapytała, kiedy Wendy skończyła mówić.

— Tak.

— Nic przedtem nie powiedział?

— Nie, nic.

— Po prostu... — Jenna rozejrzała się po pokoju, jakby szukała pomocy. — Jak ktoś może zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi?

Wendy miała na to odpowiedź, ale milczała.

— Widziałaś go, prawda? Eda Graysona? Możesz go zidentyfikować?

— Miał maskę. Jednak tak, myślę, że to był Grayson.

— Myślisz?

— Maską, Jenno. Nosił maskę.

— Nie widziałaś jego twarzy?

— Nie widziałam jego twarzy.

— Po czym więc poznałaś, że to był on?

— Po zegarku. Po wzroście i budowie ciała. Po tym, jak się poruszał.

Jenna ściągnęła brwi.

— Myślisz, że to wystarczy w sądzie?

— Nie wiem.

— Policja go zamknęła, wiesz?

Wendy nie wiedziała, ale i tym razem trzymała język za zębami. Jenna znów zaczęła płakać. Wendy nie miała pojęcia, co robić. Słowa pocieszenia byłyby w najlepszym razie zbędne.

— A co z Danem? — zapytała Jenna. — Widziałaś jego twarz?

— Słucham?

— Kiedy tam przyjechałaś, czy widziałaś, co zrobili z jego twarzą?

— Mówisz o siniakach? Tak, widziałam je.

— Skopali go.

— Kto?

— Dan próbował uciec. Dokądkolwiek się udał, sąsiedzi rozpoznawali go i zaczynali nagonkę. Były telefony, groźby,

napisy na ścianach i tak, pobicia. To było straszne. Przeprowadzał się, ale zawsze ktoś go rozpoznawał.

— Kto pobił go tym razem?

Jenna podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Wendy.

— Jego życie zmieniło się w piekło.

— Próbujesz mnie o to obwiniać?

— A uważasz, że nie ponosisz żadnej winy?

— Nie chciałam, żeby go pobito.

— Nie, ty tylko chciałaś wpakować go do więzienia.

— Spodziewasz się, że za to przepraszę?

— Jesteś reporterką, Wendy. Nie masz być sędzią i ławą przysięgłych. Jednak kiedy wyemitowałaś ten reportaż, no cóż, myślisz, że miało jakieś znaczenie to, że sędzia oddaliła zarzuty? Myślisz, że Dan będzie mógł odzyskać swoje życie? Jakiegokolwiek życie?

— Ja tylko opisałam to, co się stało.

— To bzdura i dobrze o tym wiesz. Stworzyłaś tę historię.

Wrobiłaś go.

— Dan Mercer zaczął flirtować z nieletnią...

Wendy zamilkła. Nie było sensu tego powtarzać. Już o tym rozmawiały. Ta kobieta, chociaż naiwna, jest w żalobie. Niech oplakuje go w spokoju.

— Skończyłyśmy? — zapytała Wendy.

— On tego nie zrobił.

Wendy nie trudziła się odpowiedzią.

— Żyłam z nim cztery lata. Byłam jego żoną.

— I rozwiodłaś się z nim.

— Co z tego?

Wendy wzruszyła ramionami.

— Dlaczego?

— Połowa małżeństw w tym kraju kończy się rozwodem.

— Dlaczego twoje tak się skończyło?

Jenna pokręciła głową.

— Bo co? Uważasz, że z powodu tego, że odkryłam, iż jest pedofilem?

— A tak było?

— To chrzestny mojej córki. Opiekuje się moimi dziećmi. Nazywały go wujek Dan.

— Racja. To niezwykle. No więc dlaczego się rozwiedliście?

— Za obopólną zgodą.

— Hm. Przestałaś go kochać? Jenna nie odpowiedziała od razu.

— Niezupełnie.

— Ach tak? Słuchaj, wiem, że nie chcesz się do tego przyznać, ale może wyczułaś, że coś jest z nim nie tak?

— Nie to było powodem.

— A co?

— Była taka część Dana, do której nie mogłam dotrzeć. I zanim powiesz to, co najwidoczniej zamierzasz powiedzieć, nie, nie dlatego, że był zbrodniarzem. Dan miał trudne dzieciństwo. Był sierotą przetrucanym z jednej rodziny zastępczej do drugiej...

Zamilkła. Wendy znów powstrzymała cisnący się na usta komentarz. Sierota. Rodziny zastępcze. Może molestowany.

Poszperaj w przeszłości pedofila, a zawsze znajdziesz coś takiego. Czekala.

— Wiem, co sobie myślisz. I mylisz się.

— Dlaczego? Ponieważ tak dobrze go znałaś?

— Tak. Jednak nie tylko dlatego.

— No to dlaczego?

— To zawsze było tak, jakby... Nie wiem, jak to ująć.

Coś przydarzyło mu się w Princeton. Wiesz, że studiował w Princeton, tak?

— Wiem.

— Ubogi sierota, ciężko pracował i zdołał się dostać do jednej z najlepszych uczelni.

— Taak i co z tego?

Jenna zamilkła i spojrzała Wendy w oczy.

— Jesteś mu coś winna.

Wendy milczała.

— Cokolwiek sobie myślisz — ciągnęła Jenna — cokolwiek w tym może być lub nie może być prawdą, jedno jest pewne.

— Co takiego?

— Przez ciebie został zabity.

Cisza.

— Może zrobiłaś coś więcej. Jego adwokat zawstydził cię w sądzie. Dan miał odejść wolny. To musiało cię zdenerwować.

— Nie rozwijaj tego wątku, Jenno.

— A dlaczego? Byłaś zła. Uważałaś, że sąd popełnił pomyłkę. Spotkałaś się z Danem i nagle, dziwnym zbiegiem okoliczności, pojawił się Ed Grayson. Musiałaś być w to

zamieszana, co najmniej jako współniczka. A może zostałaś wrobiona. Zamilkła. Wendy czekała.

— Chyba nie zamierzasz powiedzieć „tak jak Dan”? — zapytała po chwili.

Jenna wzruszyła ramionami.

— Ciekawy zbieg okoliczności.

— Myślę, że powinnaś już iść, Jenno.

— Chyba masz rację. Obie ruszyły do drzwi.

— Mam jeszcze jedno pytanie. — Jenna odwróciła się w progu.

— Pytaj.

— Dan powiedział ci, gdzie jest. Twierdzisz, że to on skierował cię na ten parking przyczep?

— Zgadza się.

— Czy powiedziałaś o tym Edowi Graysonowi?

— Nie.

— Więc jak się tam znalazł? Dokładnie w tym samym czasie co ty.

Wendy zawahała się, zanim odpowiedziała.

— Nie wiem. Chyba mnie śledził.

— Skąd by wiedział, że powinien to robić?

Na to Wendy nie miała odpowiedzi. Pamiętała, że jadąc po tamtych mało uczęszczanych drogach, często spoglądała we wsteczne lusterko. Nie widziała żadnego jadącego za nią samochodu.

W jaki sposób Ed Grayson odnalazł Dana Mercera?

— Widzisz? Jedynym logicznym wytłumaczeniem jest to, że mu pomogłaś.

— Nie zrobiłam tego.

— Racja. To byłoby okropne, gdyby nikt ci nie uwierzył.

Jenna odwróciła się i odeszła. Jej pytanie pozostało w powietrzu. Wendy patrzyła, jak Jenna odjeżdża. Potem zaczęła się odwracać, żeby wrócić do domu, kiedy coś ją zatrzymało.

Tylne koło jej samochodu. Mało powietrza. Czy nie tak powiedział Ed Grayson?

Pobiegła na podjazd. Koło było w porządku. Pochyliła się i przesunęła palcami po tylnym zderzaku. Potem przypomniała sobie o odciskach palców. Zapomniała o nich w pośpiechu. Cofnęła rękę, przykucnęła i zajrzała.

Nic.

Nie miała innego wyjścia. Położyła się na plecach, jak mechanik. Na podjeździe miała zainstalowaną lampę z czujnikiem ruchu rzucającą wystarczająco jasne światło. Wendy przesunęła się po żwirze pod samochód. Niezbyt głęboko. Tylko trochę. I wtedy to zobaczyła. Było małe, niewiele większe od pudełka zapalek. Przymocowane magnesem, takim jakiego ludzie używają do chowania zapasowych kluczy. Jednak to nie były klucze. I ten fakt wiele wyjaśniał.

Ed Grayson nie pochylił się, żeby sprawdzić powietrze w jej tylnym kole. Nachylił się, żeby umieścić pod zderzakiem nadajnik GPS.

9

— Czy pani klient chce złożyć jakieś oświadczenie?

— Nie zrozum tego źle, człowieku, ale to zabawne — odparła adwokat Hester Cnmstein, siedząc w pokoju przesłuchań z Edem Graysonem, olbrzymim szeryfem Mickeyem Walkerem i młodym policjantem Tomem Stantonem.

— Cieszę się, że to panią bawi.

— Bawi. Naprawdę. To aresztowanie jest śmiechu warte.

— Pani klient nie jest aresztowany — sprostował Walker. — Chcemy tylko pogadać.

— Coś w rodzaju towarzyskiej pogawędki? Jak miło. Jednak wystawiliście nakaz przeszukania jego domu i samochodu, prawda?

— Prawda.

Hester pokiwała głową.

— Dobrze, wspaniale. Proszę, zanim zaczniemy.

Przesunęła po stole kartkę i długopis.

— Po co to? — zapytał Walker.

— Chcę, żeby pan tu napisał wasze nazwiska, stopnie, adresy biur i domowe, telefony, kontakty i wszystko, co pomoże odnaleźć was woźnemu sądowemu z moim wezwaniem, kiedy oskarżymy was o bezzasadne aresztowanie.

— Już mówiłem: nikt nie jest aresztowany.

— A ja ci mówiłam, przystojniaku, że jednak wystawiliście nakazy przeszukania.

— Sądzę, że pani klient chciałby złożyć oświadczenie.

— Naprawdę?

— Mamy świadka, który widział, jak pani klient dokonał egzekucji na pewnym człowieku — rzekł Walker.

Ed Grayson otworzył usta, ale Hester Crimstein położyła rękę na jego przedramieniu, uciszając go.

— Nie mów pan — mruknęła.

— Wiarygodnego świadka.

— I ten wasz wiarygodny świadek widział, jak mój klient dokonał egzekucji. Nawiasem mówiąc, jakże efektowne słowo... nie zabił czy zamordował, ale dokonał egzekucji na jakimś człowieku?

— Zgadza się.

Hester uśmiechnęła się z udawaną słodyczą.

— Ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy przeanalizowali to krok po kroku, szeryfie?

— Krok po kroku.

— Taa. Po pierwsze, kim jest ten człowiek? Ta ofiara egzekucji?

— To Dan Mercer.

— Ten pedofil?

— Nie jest ważne, kim był i co zrobił. Ponadto zarzut został oddalony.

— Cóż, przynajmniej ta ostatnia część jest prawdą. Pańscy koledzy spieprzyli sprawę. Jednak to nieważne. Krok po kroku. Po pierwsze: mówi pan, że dokonano egzekucji Dana Mercera.

— Zgadza się.

— Zatem krok pierwszy: pokażcie nam ciało.

Cisza.

— Masz kłopoty ze słuchem, wielkoludzie? Ciało. Chcę, żeby zbadał je mój patolog.

— Nie bądź taka sprytna, Hester. Wiesz, że jeszcze go nie znaleziono.

— Nie znaleziono? — Teraz Hester udawa wstrząśniętą. — Cóż, może mógłbyś mi powiedzieć, jakie w ogóle macie dowody na to, że Dan Mercer nie żyje? Zaczekaj, nieważne. Trochę mi się spieszy. Nie ma ciała, mam rację?

— Jeszcze nie.

— W porządku, dobrze. Następny krok. Twierdzisz, chociaż nie macie ciała, że Dan Mercer został zabity?

— Tak.

— Zakładam, że użyto jakiejś broni? Moglibyśmy ją zobaczyć?

Znów cisza.

Hester przyłożyła dłoń do ucha.

— Halo?

— Jeszcze jej nie odnaleźliśmy — powiedział Walker.

— Nie ma broni?

— Nie ma.

— Nie ma ciała, nie ma broni. — Hester rozłożyła ręce i uśmiechnęła się. — Teraz rozumiesz, co miałam na myśli, mówiąc: „człowieku, ale to zabawne”.

— Mieliliśmy nadzieję, że pani klient złoży oświadczenie.

— Na jaki temat? Energii słonecznej i jej znaczenia w dwudziestym pierwszym wieku? Zaczekaj, jeszcze nie skończyłam. Omówiliśmy ciało i broń, o czym zapomniałismy? Och, tak. O świadku.

Cisza.

— Wasz świadek widział, jak mój klient dokonał egzekucji na Danie Mercerze, zgadza się?

— Zgadza.

— Widział jego twarz?

Kolejna chwila milczenia.

Hester znowu przyłożyła dłoń do ucha.

— No, dalej, wielkoludzie. Powiedz to.

— Nosił maskę.

— Słucham?

— Nosił maskę.

— Taką, która zasłaniała twarz?

— Tak zeznał świadek, tak.

— No to jak zidentyfikował mojego klienta?

— Po zegarku.

— Po zegarku?

Walker odkasznął.

— Oraz po wzroście i budowie ciała.

— Metr osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilo. Och, i ten

nadzwyczaj rzadki timex. Czy pan wie, dlaczego już się nie śmieję, szeryfie Walker?

— Jestem pewny, że nam to pani powie.

— Już się nie śmieję, ponieważ to zbyt łatwe. Czy pan wie, ile biorę za godzinę? Za takie pieniądze zasługuję na jakieś wyzwanie. A to po prostu zniewaga. Pańska sprawa nawet nie jest dęta. Nie chcę dłużej słuchać o tym, czego nie macie. Chcę usłyszeć, co macie.

Czekała. Do tej pory Walker wyjawiał tylko to, o czym już wiedziała. To był jedyny powód tego, że Crimstein jeszcze tu była. Chciała się dowiedzieć, co mają.

- Mamy nadzieję, że pani klient złoży oświadczenie — powtórzył Walker.

— Nie zrobi tego, jeśli to wszystko, czym dysponujecie.

— Nie wszystko.

Zamilkł.

— Czekasz na werble? — rzuciła Hester.

- Mamy dowód łączący pani klienta z Danem Mercerem i miejscem zbrodni.

— Och, doskonale. Mów pan jaki.

— Proszę zrozumieć, że to dopiero wstępne wyniki badań. Szczegóły poznamy za kilka tygodni. Jednak jesteśmy pewni, czego dowiodą. Dlatego sprowadziliśmy tutaj pani klienta. Żeby pomógł nam wyjaśnić swój udział w tej sprawie. Posunąć ją naprzód.

— To miło z waszej strony.

— Znaleźliśmy krew w przyczepie. Znaleźliśmy również plamki krwi w acurze mdx pana Graysona. Chociaż pełne

badanie DNA zajmie trochę czasu, wstępne wyniki wykazują, że grupa krwi się zgadza. Tak więc krew znaleziona tam, gdzie według naszego świadka został zastrzelony pan Mercer, jest taka sama, jak ta znaleziona w pojeździe pani klienta. Oznaczyliśmy jej grupę. Zero minus, taka sama, jaką miał pan Mercer. Mamy również włókna z dywanu. Nie wdając się w szczegóły, te same włókna zostały znalezione w przy-czepie wynajętej przez pana Mercera i w acurze mdx należącej do pani klienta. Mamy również te same włókna z podeszwy buta pani klienta. No i w końcu, przeprowadziliśmy badanie na pozostałości prochu. Znaleźliśmy ślady spalonego prochu na rękach pani klienta. Strzelał z broni palnej.

Hester siedziała i patrzyła na Walkera, a Walker patrzył na nią.

— Pani Crimstein?

— Czekam, aż pan skończy. Ponieważ to nie może być wszystko, co macie.

Walker milczał.

Hester odwróciła się do Graysona.

— Wychodzimy.

— Żadnej odpowiedzi? — zapytał Walker.

— Na co? Mój klient jest wielokrotnie odznaczanym emerytowanym szeryfem federalnym. Ojcem rodziny, filarem społeczeństwa, człowiekiem bez kryminalnej przeszłości, a jednak traciecie czas na te bzdury. W najlepszym razie... i tylko w tym najlepszym razie, jeśli wyniki badań okażą się zgodne z waszymi oczekiwaniami, a ja nie zniszczę

waszych tak zwanych dowodów z pomocą moich ekspertów, krzyżowego ognia pytań i oskarżeń o nadużycie władzy i niekompetencję... jeśli wszystko pójdzie idealnie po waszej myśli, w co wątpię, być może, może, będziecie w stanie wykazać jakieś powiązanie między moim klientem a Danem Mercerem. Koniec, kropka. To śmiechu warte. Nie ma ciała, nie ma broni, nie ma świadka mogącego zidentyfikować mojego klienta. Nie macie nawet dowodu na to, że popełniono zbrodnię, nie mówiąc o tym, że mój klient był w to zamieszany. Walker odchylił się do tyłu i krzesło groźnie zatrzeszczało.

— Zatem może pani wyjaśnić obecność tych włókien i krwi?

— Nie muszę, prawda?

— Sądziłem, że może zechce nam pani pomóc. Raz na zawsze oczyścić klienta.

— Powiem panu, co zrobię.

Hester pospiesznie zapisała numer telefonu i podsunęła mu kartkę.

— Co to takiego?

— Numer telefonu.

— Widzę. Czym?

— Strzelnicy Gun-O-Rama.

Walker tylko na nią spojrział. Krew powoli odpłynęła mu z twarzy.

— Zadzwońcie do nich — poradziła Hester. — Mój klient był tam właśnie dziś po południu, godzinę przed tym, zanim go zgarnęliście. Trochę poćwiczył sobie strzelanie. —

Hester pokiwała palcem. — Pa, pa, teście na pozostałości prochu.

Walkerowi opadła szczeka. Spojrzał na Stantona i spróbował wziąć się w garść.

— Wygodne.

— Skądże. Pan Grayson jest wielokrotnie odznaczanym emerytowanym szeryfem federalnym, pamięta pan? Często tam strzela. Skończyliśmy?

— Nie będzie oświadczenia?

— Nie jedzcie śniegu. Oto nasze oświadczenie. Chodź, Ed.

Hester i Ed Grayson wstali.

— Będziemy szukali, pani Crimstein. Powinniście oboje o tym wiedzieć. Znamy przebieg wydarzeń. Prześledzimy każdy krok pana Graysona. Znajdziemy ciało i broń. Rozumiem, dlaczego to zrobił. Jednak nie możemy pozwolić ludziom na zabawę w kata. Dlatego rozwiążę tę sprawę. Chcę, żeby to było jasne.

— Mogę mówić szczerze, szeryfie Walker?

— Tak.

Hester spojrzała na kamerę nad jego głową.

— Wyłączcie tę kamerę.

Walker obejrzał się, skinął głową i czerwona dioda kamery zgasła.

Hester oparła pięści na stole i nachyliła się. Nie za bardzo, bo nawet siedząc, Walker był prawie jej wzrostu.

— Moglibyście mieć ciało, broń, a nawet, do diabła, film, na którym mój klient zastrzelił tego gwałciciela dzieci

na stadionie Gigantów w obecności osiemdziesięciu tysięcy świadków, a ja i tak wyciągnęłabym go w dziesięć minut.

Odrzuciła się. Ed Grayson już otworzył drzwi.

— Miłego dnia — rzuciła Hester.

■ ■ ■

O dwudziestej drugiej Charlie przysłał Wendy SMS-a:

Dziadek chce wiedzieć, gdzie jest najbliższy bar ze striptizem.

Uśmiechnęła się. W ten sposób dawał jej znać, że wszystko w porządku. Charlie doskonale umiał pozostawać w kontakcie.

Odpowiedziała: *Nie wiem. I nikt ich tak nie nazywa. Teraz to są kluby dla dżentelmenów.*

Charlie: *Pops powiedział, że nienawidzi tej qwnianej politycznej poprawności.*

Uśmiechnęła się i w tym momencie zadzwonił telefon stacjonarny. To oddzwaniał szeryf Walker.

— Znalazłam coś w moim samochodzie — oznajmiła.

— Co?

— GPS. Myślę, że przyczepił go Ed Grayson.

— Jestem za rogiem. Wiem, że już późno, ale czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym wpadł i rzucił na to okiem?

— Nie, w porządku.

— Proszę dać mi pięć minut.

Spotkała się z nim przy samochodzie. Walker schylił się, gdy Wendy jeszcze raz opowiedziała mu o odwiedzinach

Eda Graysona, tym razem dodając ten pozornie nieistotny szczegół, że sprawdzał tylne koło w jej samochodzie. Szeryf popatrzył na GPS i pokiwał głową. Po długiej chwili wyprostował się.

— Przyślę kilku ludzi, żeby zrobili zdjęcia i to zabrali.

— Słyszałam, że aresztował pan Eda Graysona.

— Kto to pani powiedział?

— Była żona Mercera, Jenna Wheeler.

— Myli się. Przywieźliśmy go na przesłuchanie. Nie został aresztowany.

— Trzymacie go jeszcze?

— Nie, został wypuszczony.

— I co teraz? Walker odkasznął.

— Teraz będziemy kontynuowali śledztwo.

— O, to brzmi oficjalnie.

— Jest pani reporterką.

— Już nie, ale w porządku, niech to będzie rozmowa prywatna.

— Prywatnie mówiąc, nie mamy sprawy. Nie mamy ciała. Nie mamy broni. Mamy jednego świadka, czyli panią, który nie widział twarzy strzelca, tak więc nie może go zidentyfikować.

— To bzdura.

— Dlaczego?

— Gdyby Dan Mercer był prominentem, a nie podejrzanym o pedofilię...

— A gdybym ja schudł siedemdziesiąt pięć kilo, stał się

biały i przystojny, ktoś mógłby mnie wziąć za Hugh Jackmana. Jednak prawda wygląda tak, że dopóki nie znajdziemy zwłok albo broni, nie mamy nic.

— To brzmi tak, jakby się pan poddawał.

— Nie poddaję się. Jednak góra wcale nie chce się tym zajmować. Jak przypomniał mi dzisiaj zarówno mój szef, jak i adwokat strony przeciwnej, w najlepszym razie oskarżymy emerytowanego federalnego, którego syn był seksualnie napastowany przez ofiarę.

— A to byłoby niekorzystne dla kariery politycznej.

— Oto cyniczny punkt widzenia.

— A jaki inny można tu mieć?

— Realistyczny. Mamy za mało funkcjonariuszy. Jeden z moich kolegów, stary policjant Frank Tremont, wciąż szuka tej zaginionej dziewczyny, Haley McWaid, ale po tak długim czasie, no cóż, wszystko sprowadza się do liczby funkcjonariuszy, prawda? Tak więc kto chciałby oderwać ludzi od tej sprawy, żeby na przykład, po pierwsze, szukać zabójcy tego śmiecia, i po drugie, wytoczyć sprawę, której nie możemy wygrać, ponieważ żadna ława przysięgłych go nie skaze?

— Powtarzam: to brzmi tak, jakby pan się poddawał.

— Niezupełnie. Zamierzam pójść jego tropem do miejsca zamieszkania Mercera.

— Nie mieszkał w tej przyczepie?

— Nie. Rozmawiałem z jego adwokatem i była żoną. Mercer często się przeprowadzał, pewnie trudno mu było gdzieś osiąść. W każdym razie tamtego ranka dopiero co

tę przyczepę wynajął. Nic w niej nie ma, nawet ubrania na zmianę. Wendy się skrzywiła.

— I co spodziewa się pan znaleźć w jego mieszkaniu?

— Niech mnie szlag, jeśli wiem.

— Co jeszcze?

— Spróbuję wyśledzić ten GPS przyczepiony do pani samochodu, ale nie sądzę, żeby to nas do czegoś doprowadziło. Nawet gdybyśmy mieli szczęście i zdołali udowodnić, że należy do Graysona, cóż, to tylko świadczy o tym, że panią śledził. Wciąż mielibyśmy długą drogę do przejścia.

— Musicie znaleźć ciało — powiedziała.

— Racja, to priorytetowa sprawa. Muszę także odtworzyć trasę, jaką przejechał Grayson, i sądzę, że może w przybliżeniu domyślam się, jak wyglądała. Wiemy, że dwie godziny po opuszczeniu przyczepy Grayson zatrzymał się na strzelnicy.

— Żartuje pan.

— Taka była i moja reakcja. Jednak właściwie to było bardzo pomysłowe. Świadkowie widzieli, jak strzelał do tarczy, i w ten sposób nasze badanie na pozostałości prochu strzelniczego stało się bezwartościowe. Sprawdziliśmy broń, którą przywiózł na strzelnicę, ale nie było żadnej niespodzianki, pociski nie pasowały do tych, które znaleźliśmy w przyczepie.

— Grayson specjalnie pojechał na strzelnicę, żeby spieprzyć wynik testu?

— Jest byłym szeryfem federalnym. Wie, co robi. Proszę się zastanowić. Nosił maskę, pozbył się zwłok, pozbył się broni, pozbawił sensu wynik testu na pozostałości prochu i wynajął Hester Crimstein. Widzi pani, z czym muszę walczyć?

— Widzę.

— Wiemy, że Grayson porzucił ciało gdzieś po drodze, ale miał na to kilka godzin, a na tym obszarze jest mnóstwo niezabudowanego terenu.

— I nie będzie pan miał tylu ludzi, żeby go przeszukać?

— Jak już mówiłem, tu nie chodzi o zaginioną dziewczynę. To ciało pedofila. I jeśli Grayson dobrze to zaplanował... a na razie na to wygląda... mógł wykopać dół, jeszcze zanim zabił Mercera. Możemy nigdy nie znaleźć ciała.

Przygnębiona Wendy pokręciła głową.

— Co takiego?

— Byłam jego marionetką. Grayson próbował przeciągnąć mnie na swoją stronę. Kiedy nie zdołał, po prostu mnie śledził, a ja doprowadziłam go do Mercera.

— To nie pani wina.

— Nieważne, moja czy nie. Nie lubię być wykorzystywana w taki sposób.

Walker milczał.

— To parszywe zakończenie — powiedziała Wendy.

— Niektórzy powiedzieliby, że to czysta robota.

— Jak to?

— Pedofil wymknął się naszemu systemowi prawnemu,

ale nie uniknął sprawiedliwości. Jeśli się nad tym zastanowić, to niemal biblijny koniec. Wendy pokręciła głową.

— To wydaje się złe.

— Co konkretnie?

Zatrzymała to dla siebie. Jednak doskonale знаła odpowiedź. Może więc była żona Mercera miała rację. Może coś w tej całej sprawie od początku śmierdziało. Może od początku powinna była zaufać kobiecej intuicji, instynktowi, czy jak tam, do diabła, się to nazywa.

Nagle poczuła się tak, jakby pomogła zabić niewinnego człowieka.

— Po prostu go znajdźcie. Kimkolwiek był, jesteście mu to winni.

— Spróbuję. Jednak musi pani zrozumieć, że ta sprawa nigdy nie będzie priorytetowa.

10

Jednak Walker się pomylił.

Wendy dowiedziała się o strasznym odkryciu dopiero następnego dnia, kiedy stało się najważniejszą wiadomością we wszystkich środkach przekazu. Pops i Charlie jeszcze spali i mając w pamięci uwagę Jenny o Princeton, Wendy postanowiła rozpocząć własne śledztwo. Pierwszy przystanek: Phil Turnball, kolega Dana Mercera z akademika. Uznała, że nadszedł czas, by poważnie poszperać w przeszłości Dana. Wydawało się, że nie ma lepszego miejsca na rozpoczęcie poszukiwań.

Jednak w tym samym czasie, gdy Wendy weszła do lokalu Starbucks w Englewood w New Jersey, dwaj funkcjonariusze organów ścigania, Walker, szeryf okręgu Sussex, i jego początkujący zastępca, Tom Stanton, byli czterdzieści kilometrów dalej, w Newark, i przeszukiwali pokój numer dwieście cztery w noszących zupełnie niewłaściwą nazwę Superluksusowych Apartamentach Freddy'ego. Zapchlona

nora, pomyślał Walker. Freddy musiał mieć spaczone poczucie humoru, gdyż motel był przeciwieństwem wszystkich zawartych w nazwie cech: ani super, ani luksusowy, ani apartamenty.

Walker usilnie próbował odtworzyć ostatnie dwa tygodnie życia Dana Mercera. Miał niewiele wskazówek. Ze swojej komórki Dan Mercer dzwonił tylko do trzech osób: swojego adwokata, Flaira Hickory'ego, do byłej żony, Jenny Wheeler, i wczoraj do reporterki Wendy Tynes. Flair nigdy nie spytał swojego klienta, gdzie się zatrzymał — im mniej wiedział, tym lepiej. Jenna nie wiedziała. Wendy, cóż, nie kontaktowała się z nim aż do wczoraj.

Mimo to z łatwością podążali tropem Dana Mercera. Wprawdzie się ukrywał, ale jego adwokat i była żona zgodnie twierdzili, że robił to z powodu gróźb nazbyt „zatroskanych” obywateli i samozwańczych obrońców prawa, a nie przed organami ścigania. Nikt nie chciał takiego drapieżnika w sąsiedztwie. Tak więc przenosił się z hotelu do hotelu, zwykle płacąc gotówką pobraną z pobliskiego bankomatu. Z powodu grożącego mu procesu nie mógł opuścić stanu.

Szesnaście dni temu zameldował się w motelu 6 w Wild-wood. Potem siedział trzy dni w Court Manor Inn w Fort Lee, następnie w Fair Motel w Ramsey, a wczoraj Mercer był w Superluksusowych Apartamentach Freddy'ego w centrum Newark, pokój dwieście cztery.

Okno wychodziło na schronisko powszechnie nazywane „ośrodkiem”, w którym pracował Dan Mercer. Ciekawe

miejsce zamieszkania pod koniec życia. Kierownik nie widział Mercera od dwóch dni, ale jak wyjaśnił, klienci nie przyjeżdżają tutaj, żeby ich zauważano.

— Zobaczmy, co uda nam się znaleźć — powiedział Walker.

Stanton kiwnął głową.

— W porządku.

— Mogę cię o coś zapytać?

— Jasne.

— Żaden inny policjant nie chciał pracować ze mną nad tą sprawą. Uważają, że pozbyliśmy się śmiecia.

Stanton skinął głową.

— A jednak ja zgłosiłem się na ochotnika.

— Właśnie.

— I chcesz wiedzieć dlaczego?

— Właśnie.

Stanton zamknął górną szufladę i otworzył następną.

— Może jestem nowy, może muszę się dotrzeć. Prawo uwolniło tego gościa od winy. Koniec, kropka. Jeśli to się wam nie podoba, zmieńcie prawo. My, funkcjonariusze policji, musimy być bezstronni. Jeśli obowiązuje ograniczenie prędkości do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, to dajesz mandat facetowi jadącemu osiemdziesiąt jeden. Jeżeli myślisz, ee, nie wypiszę mandatu, jeśli nie przekroczy osiemdziesięciu pięciu, to zmień dopuszczalną prędkość na osiemdziesiąt pięć. To działa w obie strony. Zgodnie z paragrafami sędzia uwolniła Dana Mercera. Jeśli ci się to nie podoba, zmień prawo. Nie naginaj reguł. Zmień je legalnie.

Walker się uśmiechnął.

— Jesteś nowy.

Stanton wzruszył ramionami, wciąż przeszukując ubrania.

— Chyba jest w tym coś więcej.

— Tak myślałem. No dalej, słucham.

— Mam starszego brata o imieniu Pete. Wspaniały facet, doskonały sportowiec. Przez dwa lata po szkole był rezerwowym w drużynie Buffalo Bills. Środkowy napastnik.

— Jasne.

— No i Pete jest na obozie na początku swojego trzeciego sezonu. Myśli, że to będzie jego rok. Podnosi ciężary i ćwiczy jak szalony, bo zawziął się, że wejdzie do drużyny. Ma dwadzieścia sześć lat i jest w Buffalo. Wychodzi pewnego wieczoru i spotyka tę dziewczynę w Bennigan's. No wiesz, ta sieć restauracji.

— Znam ją.

— W porządku. Więc Pete zamawia skrzydelka, a ta wystrzałowa dziewczyna podchodzi i pyta, czy może się poczęstować. On mówi, że pewnie. Ona robi z jedzenia istne przedstawienie. Wiesz, o czym mówię? Liże skrzydelko jak loda i ma taki skąpy top, który aż się prosi o zapuszczenie żurawia. Chcę powiedzieć, że to gorąca sztuka. Zaczynają flirtować. Ona przysiada się do niego. Jedno prowadzi do drugiego i Pete zabiera ją do siebie i daje jej to, czego chciała.

Stanton zaciska pięść i robi nią posuwiste ruchy, pokazując, „czego chciała” na wypadek, gdyby to nie było oczywiste.

— Okazuje się, że dziewczyna ma piętnaście lat. Jest

w drugiej klasie liceum, ale wygląda na więcej, człowieku. A wiesz, jak ubierają się dzisiaj licealistki. Miała na sobie taki strój, jakby podawała drinki w barze ze striptizem albo po prostu obsługiwała klientów, wiesz co mam na myśli? Stanton patrzył na starszego kolegę i czekał. Chcąc podtrzymać rozmowę, Walker rzucił:

— Wiem, co masz na myśli.

— Właśnie, w każdym razie dowiaduje się o tym ojciec tej dziewczyny. Dostaje szału, mówi, że Pete uwiódł jego córeczkę, chociaż pewnie gziła się z moim bratem, żeby dopiec staremu. I tak Pete zostaje oskarżony o gwałt, jakim jest stosunek z nieletnią. Wpada w tryby systemu. Tego systemu, który kocham. Wszystko rozumiem. Takie jest prawo. Teraz nosi etykietkę przestępcy seksualnego, pedofila, a jakże. A to po prostu śmieszne. Mój brat jest porządnym obywatelem, dobrym człowiekiem, a teraz każda drużyna omija go szerokim łukiem. Może ten facet, Dan Mercer... no cóż... może on też wpadł w jakąś pułapkę, no nie? Może zasługuje na dobrodziejstwo wątpliwości. Może jest niewinny, dopóki nie dowiedzie mu się winy.

Walker odwrócił się, ponieważ nie chciał przyznać, że może Stanton ma rację. Na człowieka spada tyle różnych obowiązków i chciałby, żeby były łatwe. Chce się podzielić ludzi na wyraźne kategorie, zrobić z nich potwory lub anioły, ale to się prawie nigdy nie udaje. Trzeba radzić sobie z różnymi odcieniami szarości i to naprawdę jest nieco męczące. Skrajności są o wiele łatwiejsze.

Gdy Tom Stanton pochylił się, żeby zajrzeć pod łóżko,

Walker spróbował znów skupić się na sprawie. Na razie może najlepiej będzie zachować ten czarno-biały podział i trzymać się z daleka od moralnego relatywizmu. Zaginął człowiek, zapewne nie żyje. Znajdź go. To wszystko. Nieważne, kim jest i co zrobił. Po prostu go znajdź.

Walker przeszedł do łazienki i sprawdził szafkę. Pasta do zębów, szczoteczka, golarka, krem do golenia, dezodorant. Fascynujące.

— Trafiony, zatopiony — powiedział z drugiego pokoju Stanton.

— Co?

— Pod łóżkiem. Znalazłem jego telefon komórkowy.

Walker już miał krzyknąć: „To wspaniale!”, ale nie zrobił tego.

Znając numer jego telefonu komórkowego, dzięki trian-gulacji wież telefonii komórkowej Walker już się dowiedział, że Mercer po raz ostatni dzwonił ze swojej komórki gdzieś na szosie numer piętnaście, niedługo przed tym, jak został zamordowany, około pięciu kilometrów od parkingu przyczep mieszkalnych i co najmniej godzinę jazdy od tego pokoju.

Dlaczego więc ta komórka jest tutaj?

Nie miał zbyt dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Z drugiego pokoju dobiegł zduszony głos Stanton, niemal zboląły szept:

— Och nie...

Dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Co takiego?

— O mój Boże...

Walker pospiesznie wrócił do sypialni.

— Co jest? Co się stało?

Stanton trzymał w ręku telefon. Krew odpłynęła mu z twarzy. Wpatrywał się w obraz na wyświetlaczu. Walker zobaczył aparat w jasnoróżowym futerale.

iPhone. Miał taki sam model.

— Co takiego?

Ekranik iPhone'a pociemniał. Stanton nic nie powiedział. Podniósł telefon i nacisnął guzik. Ekran się rozjaśnił. Walker podszedł bliżej i spojrzał.

Zaparło mu dech.

Podświetlony ekran powitalny iPhone'a pokazywał rodzinne zdjęcie. Typowe wakacyjne grupowe ujęcie. Cztery osoby — troje dzieci, jeden dorosły — uśmiechnięte i rozbawione. Na środku fotografii była Myszka Miki. A po prawej stronie Myszki Miki, olśniewając szerokim uśmiechem, stała zaginiona dziewczyna — Haley McWaid.

11

Wendy zadzwoniła do rezydencji kolegi Mercera z akademika, Phila Turnballa. Po ukończeniu Princeton Turnball w ekspresowym tempie wjechał na Wall Street i do finansjery. Mieszkał w lepszej części Englewood.

Po emisji programu *Przyłapani na gorącym uczynku* o Danie próbowała skontaktować się z Turnballem. Odmówił komentarza. Zostawiła go w spokoju. Może teraz, kiedy Mercer nie żyje, Phil Turnball będzie rozmowniejszy.

Telefon odebrała pani Turnball — Wendy nie dosłyszała jej imienia. Wyjaśniła, kim jest.

— Wiem, że pani mąż mnie zbywał, ale niech mi pani wierzy, że zechce to usłyszeć.

— Nie ma go.

— W jaki sposób mogę się z nim skontaktować?

Kobieta się wahała.

— To ważne, pani Turnball.

— Jest na spotkaniu.

— W swoim biurze na Manhattanie? Mam jego adres w moich notatkach...

— Starbucks — powiedziała tamta.

— Przepraszam?

— To spotkanie. To nie to, co pani myśli. Jest w Starbucks.

■ ■ ■

Wendy znalazła miejsce parkingowe przed restauracją Baumgarta, do której chodziła, ilekroć mogła, po czym przeszła do odległego o cztery przecznice Starbucks. Pani Turnball wyjaśniła, że Phil poszedł w odstawkę z powodu kryzysu ekonomicznego. To spotkanie było bardziej kawową sesją byłych panów tego świata, założonej przez Phila grupy zwanej Klubem Ojców. Pani Turnball powiedziała, że ten klub pozwala tym nagle bezrobotnym ludziom „radzić sobie z sytuacją i znajdować przyjacielskie oparcie w tych ciężkich czasach”, ale Wendy słyszała w jej głosie sarkazm. A może tylko to sobie wmówiła. Grupka przepłacanych, nadętych poczuciem własnej ważności japiszonów, krwiopijców narzekających na kryzys, który sami pomogli wywołać swoim pasożytniczym stylem życia, a wszystko to przy kawie po pięć dolarów za filiżankę.

To smutne jak cholera.

Weszła do kawiarni i zobaczyła Phila Turnballa w rogu po prawej. Był w świeżo wyprasowanym garniturze i siedział przy stoliku z trzema innymi mężczyznami. Jeden z nich miał na sobie biały strój do tenisa, a w rękę dzierżył rakietę, jakby czekał na serw Federera. Drugi trzymał nosidełko,

w którym, hm, było dziecko. Kołysał nim delikatnie, niewątpliwie po to, żeby maluch był zadowolony i nie płakał. Czwartą mężczyzna, ten, którego wszyscy uważnie słuchali, miał na głowie za dużą czapkę bejsbolową z płaskim daszkiem zawadiacko podniesionym do góry i na prawo.

— Nie podoba ci się to? — zapytał Bejsbolówka.

Teraz, kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że Bejsbolówka jest podobny do Jaya-Z — gdyby Jay-Z nagle postarzał się o dziesięć lat, nigdy nie odwiedzał siłowni i był białasem próbującym wyglądać jak Jay-Z.

— Nie, nie, Fly, nie zrozum mnie źle — powiedział ten w stroju do tenisa. — To słuszne i w ogóle. Bardzo słuszne.

Wendy ściągnęła brwi. Słuszne?

— Jednak pozwolę sobie zauważyć, że moim zdaniem to nie zadziała. Z tymi kołyszącymi się szczeniactkami i w ogóle.

— Hmm. Zbyt obrazowe?

— Może.

— Ponieważ muszę to sprzedać, wiecie? Dziś wieczorem w Blend. Wolny mikrofon. Tak musi być. Nie mogę odpuścić.

— Słyszę cię, Fly. I pokażesz im wieczorem, bez obawy. Jednak naszyjnik? — Tenisowy Strój skrzyżował ręce na piersi. — To nie pasuje do motywu. Potrzebujesz jeszcze jakiegoś odnośnika do psa. Przecież psy nie noszą naszyjników, mam rację?

Przy stoliku rozległy się pomruki poparcia. Niedoszły Jay-Z

— Fly? — zauważył nadchodzącą Wendy. Pochylił głowę.

— Hej, spójrzcie. Laska na piątej.

Wszyscy czterej odwrócili się w jej stronę. Oprócz Phila wyglądali zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Pani Turn-ball powinna ją uprzedzić, że spotka dziwną kolekcję byłych panów tego świata.

— Zaczekaj — powiedział facet w białym stroju do tenisa. — Ja panią znam. NTC News. Wendy jakaś tam, zgadza się?

— Wendy Tynes, tak.

Wszyscy oprócz Phila Turnballa się uśmiechnęli.

— Przyszła pani tu zrobić reportaż o wieczornym występie Flya?

Wendy pomyślała, że reportaż o tych facetach to piekielnie dobry pomysł.

— Może później — powiedziała. — Na razie przyszłam zobaczyć się z Philem.

— Nie mam pani nic do powiedzenia.

— Nie musi pan nic mówić. Chodźmy. Musimy porozmawiać.

■ ■ ■

— Zatem to jest Klub Ojców? — zapytała Wendy, kiedy wyszli ze Starbucks i przeszli przecnicę dalej.

— Kto pani o tym powiedział?

— Pańska żona.

Nie skomentował tego.

— Oco chodzi z tym pozującym na Vanilla Ice?

— Norm... no, właściwie chce, żeby nazywać go Fly.

— Fly?

— Skrót od Ten-A-Fly. To jego rapowa ksywa. Wendy powstrzymała westchnienie. Tenafly było jednym z przedmieść New Jersey.

— Norm... Fly, był wspaniałym specem od marketingu w Benevisi Vance. Nie pracuje już chyba od dwóch lat, ale sądzi, że znalazł nowe powołanie.

— Jakie?

— Rapera.

— Proszę mi powiedzieć, że pan żartuje.

— To jest jak żałoba — wyjaśnił Phil. — Każdy radzi sobie z tym inaczej. Fly myśli, że podbije nowy rynek.

Dotarli do samochodu Wendy. Otworzyła drzwiczki.

— Rapując?

Phil skinął głową.

— Jest w New Jersey jedynym białym raperem w średnim wieku. A przynajmniej tak twierdzi. — Usiedli na przednich fotelach. — Czego więc pani ode mnie chce?

Nie wiedziała, jak to ogłędnie powiedzieć, więc wypaliła prosto z mostu:

— Dan Mercer został wczoraj zamordowany.

Phil Turnball patrzył przed siebie przez przednią szybę, poblady, ze łzami w oczach. Wendy zauważyła, że jest starannie ogolony. Ma idealnie równy przedziałek i włosy lekko podkreścone z przodu, tak że można sobie wyobrazić, jak wyglądał jako chłopiec. Wendy czekała, pozwalając mu przetrwać to, co usłyszał.

— Może przynieść panu coś do picia?

Phil Turnball pokręcił głową.

— Pamiętam, jak poznałem Dana na rozpoczęciu pierwszego roku studiów. Był taki zabawny. My wszyscy byliśmy spięci, chcąc pokazać się z jak najlepszej strony, a on był rozluźniony i sprawiał takie dziwne wrażenie.

— Dlaczego dziwne?

— Jakby wszystko to już widział i nie warto było się tym tak podniecać. Ponadto Dan chciał coś zmienić. Taak, wiem, jak to brzmi, ale on naprawdę tego chciał. Ostro balował, tak jak my wszyscy, ale zawsze mówił o robieniu czegoś dobrego. Pewnie, mieliśmy plany. My wszyscy. A teraz...

Zamilkł.

— Przykro mi.

— Zakładam, że nie wytropiła mnie pani tylko po to, żeby przekazać tę smutną wiadomość.

— Nie.

— A więc?

— Prowadzę śledztwo w sprawie Dana...

— Zdaje się, że już to pani zrobiła. — Odwrócił się do niej. — Teraz można już tylko wykorzystać jego trupa.

— Nie taki mam zamiar.

— A jaki?

— Dzwoniłam do pana wcześniej. Kiedy wyemitowaliśmy nasz reportaż o Danie. Dlaczego pan nie oddzwonił?

— I co mógłbym powiedzieć?

— Cokolwiek.

— Mam żonę i dwoje dzieci. Uważałem, że broniąc

publicznie pedofila, nawet niesłusznie o to oskarżonego, nikomu nie pomogę.

— Uważa pan, że Dan został niesłusznie oskarżony?

Phil zamknął oczy. Wendy zapragnęła go pocieszyć, ale i tym razem uznała, że byłby to błąd. Postanowiła zmienić temat.

— Dlaczego włożył pan garnitur do Starbucks? — za pytała.

Phil prawie się uśmiechnął.

— Zawsze nienawidziłem tych nieobowiązujących piątkowych spotkań.

Wendy spoglądała na tego przystojnego, lecz przegranego mężczyznę. Wyglądał na wyczerpanego, niemal wykończonego, i wydawało się, że ten elegancki garnitur i wy czyszczone do połysku buty podtrzymują go na duchu.

Kiedy tak mu się przyglądała, dech zaparło jej nagle wspomnienie innej twarzy. Zobaczyła swojego ukochanego ojca, pięćdziesięciosześcioletniego, siedzącego przy kuchennym stole z podwiniętymi rękawami flanelowej koszuli i wkładającego swój dość krótki życiorys do koperty. Pięćdziesiąt sześć lat i nagle, po raz pierwszy w całym swoim dorosłym życiu, bez pracy. Jej ojciec był działaczem związkowym Local 227 i przez dwadzieścia osiem lat pracował w drukarni największej nowojorskiej gazety. Negocjował dobre warunki dla swoich ludzi, strajkował tylko raz, w 1989 roku, i był uwielbiany przez wszystkich współpracowników.

Nagle nastąpiło połączenie, jedna z tych nieustannych

konsolidacji na początku lat dziewięćdziesiątych, z rodzaju tych, jakie uwielbiają biznesmeni z Wall Street, tacy jak Phil Turnball, ponieważ kurs akcji rośnie o kilka punktów, niech je szlag. Nagle ojciec stał się zbyteczny i go zwolniono. Tak po prostu, po raz pierwszy w życiu był bez pracy. Następnego dnia zaczął pisać przy kuchennym stole podania o pracę. I tamtego dnia miał minę bardzo podobną do tej, jaką teraz widziała u Phila Turnballa.

„Nie jesteś zły?” — spytała ojca.

„Gniew to strata czasu. — Ojciec zakleił następną kopertę. — Chcesz usłyszeć dobrą radę czy jesteś już na to za stara?”.

„No to nigdy się nie jest za starą” — odrzekła Wendy.

„Pracuj dla siebie. To jedyny szef, jakiemu można ufać”.

On nigdy nie miał okazji pracować dla siebie. Nie znalazł innej pracy. Dwa lata później, w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, umarł na atak serca przy tym samym kuchennym stole, wciąż przeglądając ogłoszenia i zaklejając koperty.

— Nie chce pan pomóc? — spytała Wendy.

— W czym? Dan nie żyje. Phil Turnball złapał za klamkę. Wendy położyła dłoń na jego ramieniu.

— Jedno pytanie, zanim pan odejdzie: dlaczego uważa pan, że Dan został niesłusznie oskarżony?

Zastanowił się, zanim odpowiedział.

— Chyba kiedy ci się to przytrafia, masz do tego nosa.

— Nie nadążam.

— Nie musi pani. To nieważne.

— Czy coś takiego się panu przydarzyło, Phil? O czym nie wiem?

Zachichotał, ale bez śladu rozbawienia.

— Bez komentarza, Wendy.

Nacisnął klamkę.

— Jednak...

— Nie teraz — uciął, otwierając drzwi. — Teraz zamierzam pospacerować i trochę powspominać mojego starego przyjaciela. Dan na to zasługuje, przynajmniej na tyle.

Phil Turnball wysiadł z samochodu, poprawił marynarkę i odszedł, zmierzając na północ, oddalając się od swoich znajomych w Starbucks.

12

Kolejna martwa dziwka.

Śledczy okręgu Essex, Frank Tremont, podciągnął spodnie, spojrzał na dziewczynę i westchnął. Wciąż to samo, zawsze to samo. South Ward w Newark, niedaleko od szpitala Beth Israel, a jednak całe życie dalej. Frank czuł unoszący się w powietrzu odór rozkładu. Nie tylko ciała. Zawsze tak było. Nikt tu nie sprzątał. Nikt nawet nie próbował. Oni wszyscy pławili się w zgniliźnie.

No i stąd następna martwa dziwka.

Już aresztowali za to jej alfonsa. Dzwonka okantowała go albo coś w tym stylu i musiał pokazać, jaki z niego mężczyzna, więc poderżnął jej gardło. Kiedy go zgarnęli, wciąż miał przy sobie nóż. Spryciarz, prawdziwy geniusz. Wydobyć z niego zeznania zabrało Frankowi jakieś sześć sekund. Wystarczyło, że powiedział: „Słyszeliśmy, że nie masz jaj, by skrzywdzić kobietę”. To wystarczyło — Genialny Alfons natychmiast pochwalił się swoim męstwem.

Frank patrzył na martwą dziewczynę, może piętnastoletnią, może trzydziestoletnią, trudno powiedzieć tutaj, wśród tych śmieci, zgniecionych puszek po napojach, opakowań z McDonalda, butelek po piwie. Przypomniawsobieswojeostatnieśledztwowsprawiemartwejdziwki. Tamtasprawa wybuchłamuwtwarz. Totalnie skrewił. Wyciągnął błędne wnioski i schrzanił. W wyniku tego jeszcze kilka osób mogło stracić życie, ale nie było sensu znów do tego wracać. Położył sprawę i przez to stracił pracę. Zmuszony do rezygnacji przez prokuratora okręgowego i głównego inspektora dochodzeniowego. Kazano mu przejść na emeryturę.

I wtedy pojawiła się sprawa zaginionej Haley McWaid.

Poszedł do swoich szefów i poprosił, żeby pozwolili mu zostać do chwili jej rozwiązania. Rozumieli go. Jednak to było trzy miesiące temu. Frank ciężko pracował, szukając tej licealistki. Wciągnął w poszukiwania innych, federalnych, policjantów znajdujących się na Internecie, tropieniu i sporządzaniu profili, wszystkich i każdego, kto mógł jakoś pomóc. Nie zależało mu na sławie, tylko na znalezieniu tej dziewczyny.

Pomimo to sprawa nie posunęła się ani centymetr do przodu.

Spojrzał na martwą dziwkę. Właśnie tego masz na pęczki w tej robocie. Widzisz ćpunkki i kurwy marnujące sobie życie, puszczające się, chlejące i zebrzące, a potem bite lub płodzące Bóg wie ile dzieci z różnymi facetami, co jest cholerną tragedią. Większości jakoś udaje się prześlizg-

nać przez takie żalosne życie, niemal nie pozostawiając śladu w strukturze społeczeństwa, a jeśli zostają zauważone, to z jakiegoś nieprzyjemnego powodu. Jednak wielu z nich udaje się przeżyć. Są ludzkimi wrakami, ale Bóg pozwala im przetrwać, czasem do podeszłego wieku.

Ponieważ jednak Bóg jest takim nieobliczalnym dziwakiem, zabrał Frankowi córkę.

Za żółtą taśmą zgromadził się tłum, ale nieduży. Rzut oka i ludzie szli dalej.

— Skończyłeś, Frank? — zapytał patolog sądowy.

Frank skinął głową.

— Jest wasza.

Jego mała dziewczynka, Kasey. Siedemnastoletnia. Taka słodka, bystra i kochająca. Jest takie stare powiedzenie o uśmiechu, który może rozświetlić cały pokój. Kasey miała taki uśmiech. Bum — jak promień mogący przedrzeć się przez każdą ciemność. Nigdy nikomu nie sprawiała najmniejszych kłopotów ani nikogo nie zraniła. Nigdy w całym swoim życiu. Kasey nie zażywała narkotyków, nie puszczała się i nie zaszła w ciążę. Tymczasem ćpunka i dziwki szalały jak dzikie zwierzęta. A Kasey umarła.

Powiedzieć, że to niesprawiedliwe, to za mało.

Kasey miała szesnaście lat, kiedy zdiagnozowano u niej mięsaka Ewinga. Nowotwór kości. Guz zlokalizował się w obrębie miednicy i zaczął ją zżerać. Mała dziewczynka Franka umarła, cierpiąc. A on na to patrzył. Siedział przy jej łóżku z suchymi oczami, mocno trzymając jej drobną dłoń i próbując nie oszaleć. Widział blizny po zabiegach

chirurgicznych i zapadnięte oczy powoli umierającej córki. Czuł, jak wzrasta jej temperatura, kiedy gorączkowała. Pamiętał, że Kasey, kiedy była mała, często miewała złe sny i wtedy drżąca wślizgiwała się do ich łóżka, między niego i Marię. Mówiła również przez sen, rzucając się i przewracając z boku na bok, ale kiedy wykryto u niej nowotwór, to wszystko się skończyło. Może nocne koszmary umknęły przed koszmarem na jawie. Tak czy inaczej, Kasey zaczęła sypiać mocno i spokojnie, niemal jakby to były próby wiecznego snu.

Modlił się, ale to nie miało sensu. Tak uważał. Bóg wie, co robi. Ma swój plan, prawda? Jeśli szczerze chcesz wierzyć, że On jest wszechwiedzący i wszechmocny, czy naprawdę myślisz, że ty i twoje żalosne błagania zmieniają Jego wielki plan? Tremont wiedział, że tak się nie stanie. W szpitalu poznał inną rodzinę. Modlili się za syna. Chorował na to samo. Mimo ich modlitw umarł. Potem ich drugi syn pojechał do Iraku i zginął. Frank nie mógł zrozumieć, jak ktoś może na to patrzeć i wierzyć, że modlitwy coś dają.

A tymczasem na ulicach roi się od bezwartościowych ludzi. Oni żyją, a Kasey nie. Zatem tak, dziewczęta mające rodziny, takie jak Haley McWaid i Kasey Tremont, mające kochających rodziców, a przed sobą całe życie, prawdziwe życie, takie, które nie będzie bezwartościowe, one są ważniejsze. Taka jest prawda. Nikt nie chce powiedzieć tego głośno. Mięczaki bez kręgosłupa stwierdzą, że ta martwa dziwka w zapiętym na zamek czarnym worku

zasługuje na taką samą uwagę jak Haley McWaid czy Kasey Tremont. Tylko że wszyscy wiemy, iż to bzdura. Wciskamy ten kit. Jednak znamy prawdę. Kłamiemy, mimo że wiemy, jak jest.

Przestańmy więc udawać. Ta martwa dziwka może znaleźć się w dwóch akapitach na dwunastej stronie „Star-Ledger” jako wzmianka, nad którą czytelnicy zacmokają ze smutkiem. Haley McWaid poświęcono godziny programów w ogólnokrajowej telewizji. Tak więc wszyscy wiemy, prawda? Dlaczego nie powiemy tego głośno?

Takie jak Haley McWaid są ważniejsze.

Nie ma w tym nic złego. To prawda, no nie? To nie oznacza, że ta martwa dziwka się nie liczy. Jednak Haley jest ważniejsza. I nie jest to kwestia rasizmu ani żadnej innej etykiety, jaką ludzie próbowali mu przyczepić. Nazwij człowieka bigotem, tak jest najłatwiej. Jednak to bzdura. Biała, czarna, Azjatka, Latynoska, jakakolwiek — gorsza pozostanie gorszą. Każdy to wie, nawet jeśli boi się to powiedzieć.

Frank wrócił myślami, co ostatnio często mu się zdarzało, do matki Haley McWaid, Marcii, oraz zdruzgotanego ojca, Teda. Tej zabitej dziwki już nie ma. Może ktoś po niej zapłacie, ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie. Jej rodzice, jeśli w ogóle ich znała, wyrzekli się jej dawno temu. Marcia i Ted wciąż czekają, boją się i mają nadzieję. I tak, to ma znaczenie. Może właśnie taka jest różnica między Martwymi Dziwkami tego świata a takimi dziewczętami jak Haley McWaid. Nie kolor skóry, pieniądze czy

plot wokół domu, ale kochający cię ludzie, załamana rodzina, ojcowie i matki, którzy nigdy nie dojdą do siebie.

Dlatego Frank nie odejdzie, dopóki nie dowie się, co spotkało Haley McWaid.

Znów pomyślał o Kasey, próbując przywołać z pamięci tę szczęśliwą dziewczynkę, która wołała akwarium od zoo i niebieski kolor od różowego. Jednak te obrazy wyblakły i trudno je było przywołać, chociaż to było okropne, i zamiast tego Frank przypomniał sobie, jak Kasey nikła w szpitalnym łóżku, jak przesunęła dłonią po włosach, a te wyszły garściami, jak spojrzała na włosy w swojej dłoni i rozplakała się, a jej ojciec siedział przy niej, bezsilny.

Patolog sądowy zakończył pracę. Dwaj mężczyźni podnieśli zwłoki i rzucili jak worek torfu na nosze.

— Ostrożnie — poprosił Frank. Jeden z nich odwrócił się do niego.

— Jej to już nie zaboli.

— Mimo to ostrożnie.

Kiedy odtaczali nosze z ciałem, Frank Tremont poczuł wibrowanie swojego telefonu komórkowego.

Zamrugał zwilgotniałymi oczami i nacisnął klawisz odbioru.

— Tremont.

— Frank?

Dzwonił Mickey Walker, szeryf pobliskiego okręgu Sus-sex. Wielki czarnoskóry mężczyzna, który kiedyś pracował z Frankiem w Newark. Porządny gość i dobry śledczy. Jeden z ulubieńców Franka. Biuro Walkera prowadziło

sprawę zamordowanego gwałciciela dzieci. Najwidoczniej jakiś rodzic postanowił rozwiązać problem pedofilii za pomocą rewolweru. Frank uważał to za cholernie dobry przykład usuwania śmieci, ale wiedział, że Walker zrobi wszystko, żeby tę sprawę rozwiązać.

— Taak, to ja, Mickey.

— Znasz Superluksusowe Apartamenty Freddy'ego?

— Ten burdel przy Williams Street?

— Właśnie. Chcę, żebyś zaraz tu przyjechał.

Tremontowi krew żywej zaczęła krążyć w żyłach. Przełożył telefon do drugiej ręki.

— Dlaczego, co się stało?

— Znalazłem coś w pokoju Mercera — oznajmił Walker grobowym głosem. — Myślę, że to należy do Haley McWaid.

13

Kiedy Wendy wróciła do domu, Pops był w kuchni i smażył jajecznicę.

— Gdzie Charlie?

— Jeszcze w łóżku.

— Jest pierwsza. Pops
spojrzał na zegar.

— Taa. Głodna?

— Nie. Gdzie byliście w nocy?

Pops, obracając patelnię, jakby całe życie pracował w barze szybkiej obsługi, uniósł brew.

— Poprzysiągłeś milczeć?

— Coś w tym rodzaju. Więc gdzie ty byłaś?

— Dziś rano spędziłam trochę czasu z Klubem Ojców.

— Zechcesz to rozwinąć?

Zechciała.

— Smutne — westchnął.

— I może trochę cierpiętnicze.

Pops wzruszył ramionami.

— Gdy mężczyzna przestaje być żywicielem rodziny, równie dobrze mogłabyś obciąć mu jaja. Nie czuje się już mężczyzną. To smutne. Utrata pracy jest takim samym trzęsieniem ziemi dla robota jak dla rozpieszczonego japi-szona. Może dla tego drugiego większym. Społeczeństwo nauczyło go określać się poprzez pracę.

— A teraz jej nie ma?

— Aha.

— Może odpowiedzią nie jest inna praca — zastanawiała się Wendy. — Może odpowiedzią jest szukanie nowych sposobów definiowania męskości.

Pops skinął głową.

— Głębokie.

— I świętoszkowate?

— Racja — rzekł Pops, sypiąc na patelnię tarty ser. — Gdybyś jednak nie mogła być świętoszkowata przy mnie, to przy kim?

Wendy się uśmiechnęła.

— Przy nikim, Pops.

Zgasił gaz.

— Na pewno nie chcesz huevos de Pops? To moja specjalność. I zrobiłem tyle, że wystarczy dla dwóch osób.

— Tak, chętnie.

Siedzieli i jedli. Opowiedziała mu więcej o Philu Turn-ballu, Klubie Ojców i swoim wrażeniu, że Phil coś ukrywa. Kiedy kończyli, pojawił się zaspany Charlie w podartych bokserkach i wielkim białym podkoszulku — kliniczny

przypadek śpiocha. Wendy pomyślała, że wygląda już jak mężczyzna, gdy Charlie zaczął dłubać w kącikach oczu.

— Co ci jest? — zapytała.

— Mam śpiochy — mruknął.

Wendy przewróciła oczami i poszła na piętro, do komputera. Wprowadziła nazwisko Phila Turnballa do Google. Niewiele znalazła. Jakaś polityczna dotacja. Trafienie na wyszukiwaniu obrazów — zdjęcie Phila i jego żony Sherry, ślicznej filigranowej blondynki, na dobroczynnej degustacji wina przed dwoma laty. Phil Turnball był wymieniony jako pracownik firmy ubezpieczeniowej Barry Brothers Trust. Mając nadzieję, że jeszcze nie zmienili hasła, Wendy zalogowała się do medialnej bazy danych, której używała jej stacja. Tak, wydaje się, że wszystko można znaleźć za pomocą darmowych wyszukiwarek, ale tak nie jest. Za dobre rzeczy nadal trzeba płacić.

Poszukała wiadomości związanych z Turnballem. Nic. Jednak o Barry Brothers było więcej niż kilka niepochlebnych artykułów. Dowiedziała się, że ta firma wyprowadziła się ze swojej długo zajmowanej siedziby przy Park Avenue na Czterdziestą Szóstą Ulicę. Wendy rozpoznała ten adres. Lock-Horne Building. Uśmiechnęła się i wzięła komórkę. Tak, po dwóch latach ten numer wciąż był w książce. Upewniła się, że drzwi są zamknięte, i wcisnęła klawisz połączenia.

Odebrał telefon po pierwszym sygnale.

— Wysłów się.

Głos był szorstki, władczy, a jednocześnie — jeśli można to określić jednym słowem — świętoszkowaty.

— Cześć, Win. Tu Wendy Tynes.

— Tak podaje mój wyświetlacz.

Cisza.

Niemal widziała Wina, tę jego aż zabawnie przystojną twarz, jasne włosy, splecione dłonie i przesywające niebieskie oczy, wyglądające tak, jakby kryła się za nimi pustka.

— Potrzebuję przysługi — powiedziała. — Pewnej in formacji.

Cisza.

Win — skrót od Windsor Horne Lockwood Trzeci — niczego jej nie ułatwiał.

— Czy wiesz coś o Barry Brothers Trust? — zapytała.

— Tak, wiem. To jest ta informacja, której potrzebujesz?

— Straszny z siebie cwaniak, Win.

— Kochaj mnie mimo moich wad.

— Zdaje się, że raz to zrobiłam — przypomniała.

—^s Och, miau.

Cisza.

— Barry Brothers zwolnili pracownika, niejakiego Phila Turnballa. Ciekawi mnie dlaczego. Możesz się dowiedzieć?

— Oddzwonię.

Klik.

Win. W rubrykach towarzyskich często opisywano go jako „międzynarodowego playboya”, co chyba do niego pasowało. Błękitna krew i stare pieniądze, bardzo stare pieniądze, z rodzaju tych, które zeszyły na ląd z „Mayflower” i natychmiast zażądały herbaty oraz podwieczorku. Poznała go na jakimś przyjęciu przed dwoma laty. Win był ożywczo

bezpośredni. Chciał uprawiać z nią seks. Bez kokietowania i przymilania, bez zobowiązań. Tylko jedna noc. W pierwszej chwili była zaskoczona, ale potem pomyślała, no cóż, dlaczego nie, do diabła? Nigdy nie robiła takich numerków na jedną noc, a tu ten niesamowicie przystojny, ujmujący mężczyzna dawał jej idealną okazję. Raz się żyje, no nie? Była samotną, nowoczesną kobietą, a jak ostatnio zauważył Pops, ludzie potrzebują seksu. Tak więc poszła do jego apartamentu w Dakota Building przy Central Park West. Win okazał się uprzejmy, czuły, zabawny i wspaniały, a kiedy następnego dnia rano wróciła do domu, wypłakiwała oczy przez dwie godziny.

Zadzwoił telefon. Wendy spojrzała na zegarek i pokręciła głową. To zajęło Winowi mniej niż minutę.

— Halo?

— Phil Turnball został wylany za sprzeniewierzenie dwóch milionów dolarów. Miłego dnia.

Klik.

Win.

Przypomniała sobie coś. Blend, prawda? Tak nazywało się to miejsce. Pojechała tam raz na koncert. To było w Ridgewood. Wywołała stronę internetową oraz kalendarz wydarzeń. Taak, dziś jest tam wieczór otwartego mikrofonu. Nawet znalazła zapowiedź: *Specjalnym gościem będzie nowa sensacja rapu Ten-A-Fly.*

Ktoś zapukał do drzwi.

— Wejść! — krzyknęła i do pokoju zajrzał Pops.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Jasne. Lubisz rap?
Pops ściągnął brwi.
— Co takiego?
— No wiesz, taki rodzaj muzyki.
— Wolałbym słuchać, jak duszony kot krztusi się flegmą.
— Chodź ze mną dziś wieczorem. Pora, żebyś poszerzył horyzonty.

■ ■ ■

Ted McWaid obserwował swojego syna Ryana na boisku do lacrosse szkoły Kasselton. Słońce już zaszło, ale boisko, wyłożone jakimś rodzajem nowoczesnej sztucznej murawy, było oświetlone jak stadion. Ted oglądał mecz lacrosse swojego dziesięcioletniego syna, no bo co miał robić, kręcić się przez cały dzień po domu i płakać? Jego dawni przyjaciele — zapewne słowo „dawni” było nieuprzejme, ale Ted nie był w wielkodusznym nastroju — kłaniali mu się grzecznie, nie nawiązując kontaktu wzrokowego, i generalnie unikali go, jakby zaginięcie dziecka mogło być zaraźliwe.

Ryan był w składzie objazdowej drużyny trzecioklasistów. Ich umiejętności, łagodnie mówiąc, wahały się od „wciąż się rozwijających” do „nieistniejących”. Piłka większość czasu spędzała na ziemi, żaden chłopiec nie potrafił długo utrzymać jej w siatce i gra szybko zaczynała przypominać chaotyczny mecz hokeja. Chłopcy nosili kaski, które wydawały się za duże na ich głowach, wyglądali jak Gazoo z *Flintstonów* i niemal nie dało się odróżnić jednego

dzieciaka od drugiego. Ted przez cały mecz kibicował synowi, podziwiając jego postępy, aż pod koniec dzieciak zdjął kask i Ted zobaczył, że to nie Ryan.

Stojąc w pewnej odległości od innych rodziców, myśląc o tym dniu, Ted prawie się uśmiechnął. Potem rzeczywistość powróciła z całą siłą, zapierając mu dech. Zawsze tak było. Czasem udawało mu się na moment umknąć do normalności, ale potem słono za to płacił.

Pomyślał o Haley na tym boisku — w dniu jego otwarcia— i godzinach, jakie spędziła, szlifując uderzenie z lewej. W odległym kącie był automat do piłek i Haley przychodziła tu i pracowała nad swoją lewą, ponieważ musiała poprawić to uderzenie. Łowcy talentów z uniwersytetu stanu Wirginia będą patrzyli na jej lewą, która była jej słabym punktem, i nigdy jej nie przyjmą, jeśli jej nie poprawi. Tak więc pracowała nad tą lewą bez przerwy, nie tylko tutaj, ale nawet chodząc po domu. Zaczęła robić lewą ręką różne rzeczy, na przykład myć zęby, pisać notatki do szkoły i tak dalej. Wszyscy rodzice w mieście próbowali zmusić swoje dzieci, żeby pracowały nad sobą, dzień i noc męcząc je o lepsze stopnie lub lepsze wyniki w sporcie, a wszystko to w nadziei, że dostaną się do jakiejś szkoły wyższej, którą uważają za lepszą. Haley nie trzeba było zmuszać. Sama się starała. Za bardzo? Może. W końcu nie dostała się na uniwersytet stanu Wirginia. Jej backhand stał się piekielnie dobry i była dostatecznie szybka, aby wejść do reprezentacji liceum, a może nawet do drużyny juniorów jakiejś uczelni technicznej, ale nie na uniwersytet stanu Wirginia. Haley

była zdruzgotana, niepokieszona. Dlaczego? Kogo to obchodzi? Na dłuższą metę jaka to różnica?

Tak piekielnie mu jej brakowało.

Trochę mniej chodzenia na mecze lacrosse. Brakowało mu oglądania z nią telewizji i tego, jak chciała, żeby „wyczuwał” jej muzykę, te wideoklipy z YouTube'a, które uważała za zabawne i chciała mu pokazać. Brakowało mu wygłupów, takich jak próby „księżycowego chodu” w kuchni, kwitowane przez Haley przewracaniem oczami. Albo przesadnego obściskiwania Marcii, aż zmieszana Haley ściagała brwi i wołała: „Hej tam, spokojnie, tu są dzieci!”.

Ted i Marcia nie dotykali się od trzech miesięcy — za milczącą i obopólną zgodą. Po prostu rana była zbyt świeża. Ten brak fizycznej bliskości nie powodował żadnego napięcia, chociaż Ted wyczuwał pogłębiającą się przepaść. Jednak zasypywanie jej nie wydawało się ważne, przynajmniej teraz.

Ta niewiedza przytłacza. Człowiek zaczyna pragnąć wyjaśnienia, jakiegokolwiek wyjaśnienia, i przez to czuje się jeszcze bardziej winny i przygnębiony.

To poczucie winy zżerało go i nie dawało spać. Ted źle sobie radził, gdy dochodziło do jakiejś konfrontacji. Serce zaczynało mu walić jak szalone. W zeszłym roku po kłótni z sąsiadem o granicę posiadłości sypiał źle przez kilka tygodni. Nie mógł zmrużyć oka, odtwarzając w myślach tę kłótnię i szukając nowych argumentów.

To była jego wina.

Męska Zasada Numer Jeden: twoja córka jest bezpieczna

w twoim domu. Troszczysz się o swoją rodzinę. Jakkolwiek patrzeć na ten koszmar, fakt pozostaje faktem: Ted nie zrobił tego, co było jego obowiązkiem. Czy ktoś wdarł się do ich domu i porwał Haley? No cóż, to byłaby jego wina, nieprawdaż? Ojciec ma chronić. To jego najważniejsze zadanie. A jeśli Haley tamtej nocy sama wyszła z domu, wymykając się w jakiś sposób? To też byłoby jego winą. Ponieważ nie był ojcem, do którego córka przyszłaby i powiedziała, jaki ma problem albo że coś się dzieje w jej życiu.

To roztrząsanie nigdy się nie kończyło. Pragnął zawrócić czas i zmienić to jedno, choćby miał przez to wpłynąć na całą strukturę wszechświata. Haley zawsze była silnym dzieckiem, niezależnym i chętnym do współzawodnictwa. Podziwiał te jej cechy, które niewątpliwie odziedziczyła po matce. Czy to było jednym z powodów? Czyżby uznał, że Haley nie potrzebuje rodzicielskiej opieki tak bardzo jak Patricia i Ryan?

Bezsensowne, nieustanne roztrząsanie.

Nie był typem depresyjnym, wcale nie, ale zdarzały się takie dni, mroczne i ponure, kiedy Ted przypominał sobie, gdzie dokładnie jego ojciec trzymał pistolet. Teraz wyobraził sobie całą scenę: jak sprawdza, czy nikogo nie ma, wchodzi do domu swojego dzieciństwa, w którym nadal mieszkają jego rodzice, bierze pistolet z pudełka po butach stojącego na szafie, schodzi do piwnicy, w której po raz pierwszy robił to w siódmej klasie z Amy Stein, jak wchodzi do suszarni, ponieważ tam nie ma dywanu tylko cement, który

łatwiej będzie oczyścić. Usiałby na podłodze, oparł się o starą pralkę, wetknął lufę do ust i ból by się skończył.

Ted nigdy by tego nie zrobił. Nie zrobiłby tego swojej rodzinie, nie przysporzyłby im nowych cierpień. Ojciec tak nie robi. Stara się unieść ciężar. Jednak chwilami był przerażająco szczery wobec siebie i zastanawiał się, dlaczego myśl o takim końcu, takim wyzwoleniu, wydaje się taka miła.

Ryan był teraz przy piłce. Ted próbował się skoncentrować, skupić wzrok na twarzy chłopca za maską na ustach zniekształconych przez ochraniacz, usiłował znaleźć nieco radości w tej chwili czystego dzieciństwa. Nadal nie rozumiał reguł lacrosse — rozgrywki chłopców wydawały się zupełnie inne od meczów dziewcząt, ale wiedział, że jego syn gra w ataku. Był na pozycji, na której miało się największe szanse na zdobycie gola.

Ted przyłożył dłonie do ust, tworząc rodzaj megafonu.

— Naprzód, Ryan!

Usłyszał głucho echo swojego głosu. Oczywiście przez ostatnią godzinę inni ojcowie nieustannie nawoływali swoich synów, ale jego głos zabrzmiał tak dziwnie, tak nie na miejscu. Ted aż się skulił. Spróbował klaskać, lecz i to wychodziło mu niezręcznie, jakby jego dłonie nagle się powiększyły. Odwrócił się na moment i właśnie wtedy go zauważył.

Frank Tremont szedł w jego stronę, jakby przedzierał się przez głęboki śnieg. Obok niego kroczył drugi mężczyzna, rosły i czarnoskóry, niewątpliwie też policjant. Nadzieja na

moment rozłożyła skrzydła i wzbiła się w niebo. Ted poczuł uniesienie. Jednak tylko przez moment.

Frank miał spuszczoną głowę. Gdy podszedł bliżej, Ted zobaczył, że mowa ciała policjanta sugeruje coś niedobrego. Nogi Teda zaczęły się trząść. Jedna ugięła się w kolanie, ale zdołał ustać. Ruszył przez linię boczną, żeby szybciej spotkać się z tamtym.

Kiedy znaleźli się dostatecznie blisko, Frank zapytał:

— Gdzie jest Marcia?

— W odwiedzinach u swojej matki.

— Musimy ją znaleźć — rzekł Frank. — Natychmiast.

14

Kiedy weszli do baru Blend, usta Popsa rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

— Co jest? — zapytała Wendy.

— Na tych stołkach siedzi więcej kocic, niż pokazują na kanale Discovery.

Światło w barze było przyćmione, a lustra zmętniały, i wszyscy byli ubrani na czarno. Miał rację co do klienteli. W pewnym sensie.

— Definicja kocicy: kocica to starsza pani, która chodzi do klubów, żeby podrywać młodszych mężczyzn — wyjaśniła Wendy.

Pops ściągnął brwi.

— Niektóre z nich wciąż mają kompleks tatusia, racja?

— W twoim wieku powinieneś liczyć na ten kompleks... Nie, cofam to. Na kompleks dziadka.

Pops spojrział na nią rozczarowany, jakby ten tekst był

beznadziejny. Przeprosiła go skinieniem głowy, ponieważ — no cóż — istotnie był kiepski.

— Masz coś przeciwko temu, że się zintegruję? — spytał Pops.

— Podcinam ci skrzydła?

— Jesteś tu najgorętszym kociakiem. Zatem tak. Chociaż niektóre panienki wyczuwają sprawę. Chyba chciałyby ci mnie ukraść.

— Tylko nie przyprowadzaj żadnej do domu. Mam podatnego na wpływy nastoletniego syna.

— Zawsze idę do niej. Nie chcę, żeby wiedziała, gdzie mnie znaleźć. Ponadto oszczędzam jej wstydu porannego powrotu do domu.

— Jaki troskliwy.

W Blend bar znajdował się od frontu, restauracja w środku, a klub na tyłach. W klubie był wieczór otwartego mikrofonu. Wendy zapłaciła za wstęp — pięć dolców, w tym napoje za Popsa, i jednego dolara, w tym napoje, za siebie — po czym weszła. Usłyszała, jak Norm, czyli Ten-A-Fly, rapuje:

Laski, słuchajcie,

Może nie będziecie w Tenafly

Lecz Ten-A-Fly będzie w was głęboko...

O rany, pomyślała. Wokół sceny zebrało się czterdzieści lub pięćdziesiąt osób, wiwatując. Ten-A-Fly miał na sobie tyle złota, że pozazdrościłby mu Mr T, oraz przekrzywioną pod kątem czterdziestu pięciu stopni czapkę. Jedną ręką

podtrzymywał opadające spodnie — może dlatego, że były za duże, a może dlatego, że w ogóle nie miał tyłka — w drugiej ścisnął mikrofon.

Kiedy Norm skończył ten niezwykle romantyczny kawałek refrenem o Ten-A-Fly, który będzie w was tak głęboko, że będziecie błagały „dosyć Engle-Wood”, tłum — średnia wieku około czterdziestki — nagroził go gromkimi owacjami. Odziana na czarno damulka, wyglądająca na puszczałską fankę, rzuciła coś na scenę i z narastającą zgrozą Wendy zobaczyła, że to majtki.

Ten-A-Fly podniósł je i powąchał.

— Hej, hej, całuski dla naszych pań, wystrzałowych lasek, od Ten-A-Fly i obecnego tu KO!

Przypuszczalna puszczałska fanka podniosła ręce nad głowę. Miała na sobie, rany boskie, podkoszulek z napisem „Ten-A-Fly rządzi!”.

Pops podszedł do Wendy. Miał zbolalą minę.

— Na litość boską...

Wendy rozejrzała się po sali. Zauważyła przed sceną pozostałych członków Klubu Ojców — KO? — łącznie z Philem. Gorąco oklaskiwali swojego kumpla. Wendy przeniosła wzrok dalej i zatrzymała go na filigranowej blondynce siedzącej samotnie z tyłu. Miała spuszczoną głowę i wpatrywała się w swojego drinka.

Sherry Turnbull, żona Phila.

Wendy przepłynęła przez tłum w jej stronę.

— Pani Turnbull?

Kobieta powoli oderwała oczy od szklanki.

— Jestem Wendy Tynes. Rozmawialiśmy przez telefon.

— Ta reporterka?

— Tak.

— Nie zorientowałam się, że to pani zrobiła ten program o Danie Mercerze.

— Znała go pani?

— Spotkałam go kiedyś.

— Gdzie?

— On i Phil mieszkali razem podczas studiów na Princeton. Poznałam go na przyjęciu w ramach zbiórki funduszy na kampanię wyborczą Farleya, które zorganizowaliśmy w zeszłym roku.

— Farleya?

— Inny kolega z roku.

Upiła łyk. Na scenie Ten-A-Fly poprosił o ciszę.

— Pozwólcie, że opowiem wam o następnym kawałku.

W sali zrobiło się cicho. Ten-A-Fly zdjął okulary przeciwsłoneczne, jakby mu przeszkadzały. Grymas jego twarzy miał wyrażać udrękę, ale bardziej kojarzył się z zatwardzeniem.

— Tak więc pewnego dnia siedzę w Starbucks z moimi kumplami z KO... — zaczął.

Klub Ojców zawył radośnie.

— Siedzę tam, popijając kawkę czy coś, a ta cycata lala przechodzi obok, i człowieku, ledwie mieści się w topie, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć.

Gromkie owacje świadczyły o tym, że wiedzieli.

— A ja szukam inspiracji do nowego kawałka i w ogóle,

i patrzę na tę wystrzałową laskę w kusym topie... i wtedy nagle przychodzi mi do głowy ten tekst: *Pokotysz tymi szczeniactkami*. Tak po prostu. Ona majestatycznie przepływa obok, z podniesioną głową, ledwie mieszcząc się w topie, a ja myślę sobie: *Tak, mała, pokofysz tymi szczeniactkami*.

Ten-A-Fly zamilkł, pozwalając im to przetrawić. Cisza. Potem ktoś krzyknął:

— Geniusz!

— Dzięki, bracie, naprawdę. — Wskazał fana, w skomplikowany sposób układając palce, jakby to był płasko trzymany pistolet. — W każdym razie moi kumple z KO pomogli mi zrobić z tego kawałek rapu i dopieścić. Tak więc zaśpiewam go wam, chłopaki. I oczywiście wszystkim wystrzałowym laskom na sali. Jesteście natchnieniem Ten--A-Flya.

Aplauz.

— Uważa pani, że to okropnie żałosne, prawda? — zapytała Sherry Turnball.

— Nie mnie to osądzać.

Ten-A-Fly zaczął wykonywać coś, co niektórzy mogliby nazwać tańcem, chociaż eksperci od medycyny zapewne zaklasyfikowaliby to jako atak padaczki lub konwulsje.

*Hej, dziewczyno, pokotysz tymi szczeniactkami
Pokotysz nimi jako moja ulubiona Pokotysz tymi
szczeniactkami, Pokotysz nimi jako wymarzona,*

*Pokofysz tymi szczeniaczkami,
Hej, mam tu dla ciebie kawalek gnata,
Pokofysz tymi szczeniaczkami,
Weź go, dziewczyno, do diabła z PETA...*

Wendy przetarła oczy, zamrugła i je otworzyła.

Teraz wszyscy pozostali członkowie Klubu Ojców przyłączyli się do chóru śpiewającego *Pokofysz tymi szczeniaczkami*, pozwalając Ten-A-Flyowi śpiewać solo w przerwach.

— *Pokofysz tymi szczeniaczkami.*

— *Nie musisz krzyczeć i kląć.*

— *Pokofysz tymi szczeniaczkami.*

— *Pokofysz nimi jak trzeba, dam ci perłową obróżką...*

Wendy się skrzywiła. Teraz wszyscy już stali. Facet, który poprzednio miał na sobie biały strój tenisowy, teraz wystroił się w jasnozieloną koszulkę polo. Phil miał na sobie spodnie khaki i niebieski blezer. Stał i klaskał, najwyraźniej zapomniawszy o całym świecie. Sherry Turnbull patrzyła w dal.

— Wszystko w porządku? — zapytała Wendy.

— Dobrze widzieć, jak Phil się uśmiecha.

Piosenka miała jeszcze kilka zwrotek. Wendy zauważyła Popsa rozmawiającego w kącie z dwiema damami. Motocykliści rzadko pojawiali się na przedmieściach i jakaś niespełniona bywalczyni klubów zawsze miała ochotę zabrać do domu niedobrego chłopca.

— Widzi pani tę kobietę siedzącą z przodu? — zapytała Sherry.

— Tę, która rzuciła majtki na scenę?

Sherry skinęła głową.

— To jest żona Norma... hmm, Ten-A-Flya. Mają troje dzieci i będą musieli sprzedać dom i wprowadzić się do jej rodziców. Mimo to stara się go wspierać.

— To ładnie. — Wendy, przyjrzawszy się dokładniej, uznała śmiech tamtej kobiety za nieco wymuszony, raczej przesadny niż entuzjastyczny.

— Po co pani tu przyszła? — zapytała Sherry Turnball.

— Próbuję dowiedzieć się prawdy o Danie Mercerze.

— Trochę za późno, nie sądzi pani?

— Zapewne. Phil powiedział mi dzisiaj coś dziwnego: że wie, jak to jest zostać niesłusznie oskarżonym.

Sherry bawiła się szklanką z drinkiem.

— Sherry?

Podniosła wzrok i spojrzała w oczy Wendy.

— Nie chcę, żeby znów został zraniony.

— Nie po to tutaj przyszłam.

— Phil codziennie budzi się o szóstej rano, po czym wkłada garnitur i krawat. Jakby szedł do pracy. Potem kupuje lokalne gazety i jedzie do Suburban Diner przy drodze numer siedemnaście. Siedzi tam sam przy kawie i przegląda ogłoszenia. Sam, w garniturze i krawacie. Każdego ranka. Sam. Codziennie tak samo.

Wendy znów stanął przed oczami widok jej ojca siedzącego przy stole i wkładającego do kopert podania o pracę.

— Staram się mu wytłumaczyć, że wszystko jest w porządku — ciągnęła Sherry. — Jednak jeśli próbuję go

namówić na przeprowadzkę do mniejszego domu, Phil uważa to za życiową porażkę. Tacy są mężczyźni, prawda?

— Co mu się przydarzyło, Sherry?

— Phil kochał swoją pracę. Był doradcą finansowym. Zarządcą funduszy. Teraz to są pejoratywne określenia. Jednak Phil zwykł mówić: ludzie powierzają mi oszczędności całego życia. Proszę pomyśleć, dbał o ich pieniądze. Powierzali mu owoce swojej pracy, nadzieje na wykształcenie dzieci, emerytury. Mawiał, wyobraź sobie, że to odpowiedzialność i zaszczyt. Dla niego najważniejsze było zaufanie. Uczciwość i honor.

Zamilkła. Wendy czekała, aż podejmie temat. Kiedy tego nie zrobiła, powiedziała:

— Trochę posprawdzałam.

— Zamierzam wrócić do pracy. Phil tego nie chce. Jednak pójdę do pracy.

— Sherry, posłuchaj mnie. Wiem o zarzucie defraudacji.

Kobieta zamilkła jak spoliczkowana.

— Skąd?

— Nieważne. Czy to miał na myśli Phil, mówiąc o niesłusznym oskarżeniu?

— Te zarzuty są wyssaną z palca bzdurą. Pretekstem, żeby zwolnić jednego z najlepiej opłacanych pracowników. Jeśli był winny, to dlaczego o nic go nie oskarżono?

— Chciałabym porozmawiać o tym z Philem.

— Po co?

Wendy otworzyła usta, ale rozmyśliła się i je zamknęła.

— To nie ma nic wspólnego z Danem — stwierdziła Sherry.

— Może ma.

— W jaki sposób?

Dobre pytanie.

— Porozmawia z nim pani w moim imieniu? — spytała Wendy.

— I co mam powiedzieć?

— To, że chcę mu pomóc.

Nagle jednak Wendy przypomniała sobie coś, co powiedziała Jenna, coś, co mówili również Phil i Sherry: o przeszłości, o Princeton, o niejakim Farleyu. Powinna wrócić do domu, usiąść przy komputerze i trochę poszperać.

— Po prostu proszę z nim porozmawiać, dobrze?

Ten-A-Fly zaczął śpiewać następną piosenkę, odę do jakiejś atrakcyjnej sąsiadki o imieniu Charisma, którą chciałby przelecieć, zrzucając sam z siebie żartem, że nie ma w sobie charyzmy, ale chciałby mieć Charismę. Wendy podeszła do Popsa.

— Chodź — powiedziała.

Pops wskazał podchmieloną kobietę o zachęcającym uśmiechu i głębokim dekolcie.

— Pracuję.

— Weź od niej numer telefonu i powiedz, żeby pokołysała ci szczeniaczkami później. Wynosimy się stąd.

15

Cel numer jeden śledczego Franka Tremonta i szeryfa Mickeya Walkera: znaleźć powiązanie między pedofilem Danem Mercerem i zaginioną Haley McWaid.

Telefon Haley dotychczas nie dostarczył wielu poszlak — żadnych nowych wiadomości tekstowych, e-maili czy rozmów — chociaż Tom Stanton, młody policjant z okręgu Sussex, mający pewne przygotowanie techniczne, wciąż nad nim pracował. Jednak z pomocą zapłakanego Teda i nieugiętej Marcii wkrótce znaleziono powiązanie między Haley a Danem Mercerem. Haley McWaid była w maturalnej klasie liceum Kasselton. Jedną z jej klasowych koleżanek była niejaka Amanda Wheeler, pasierbica Jenny Wheeler, eks--żony Dana. Dan Mercer utrzymywał przyjacielskie stosunki ze swoją byłą żoną i podobno spędzał dużo czasu w jej domu.

Powiązanie.

Jenna i Noel Wheeler siedzieli naprzeciwko policjantów na kanapie w ich typowym dwupoziomowym domku. Jenna

miała oczy zapuchnięte od łez. Była drobną kobietą o silnym ciele, jakby ćwiczyła w siłowni, zapewne uderzająco ładną, kiedy jej twarz nie była opuchnięta od płaczu. Tremont wiedział, że jej mąż Noel jest ordynatorem kardiologii w Centrum Medycznym Valley. Włosy miał ciemne, niesforne i trochę za długie — niemal takie, jakich można się spodziewać u pianisty.

Kolejna pluszowa kanapa, pomyślał Frank, w kolejnym uroczym podmiejskim domu. Podobna jak u McWaidów. Ta była jasnożółta w niebieskie kwiaty. Wiosenna. Frank wyobraził sobie, jak Noel i Jenna Wheelerowie (lub Ted i Marcia McWaidowie) udają się do tego samego salonu meblowego przy autostradzie, zapewne Route 4, i sprawdzają kilka kanap, próbując zdecydować, która pasuje do ich uroczego podmiejskiego domku, zarówno do wystroju, jak i stylu życia, łącząc wygodę i wytrzymałość, jak dopasuje się do tapety, orientalnego dywanu oraz drobiazgów przywiezionych z podróży po Europie. Zamówili ją, a potem przestawiali z miejsca na miejsce, aż znaleźli to właściwe, a wtedy opadli na nią i zawołali dzieciaki, żeby też ją wypróbowały, może nawet zakradli się pewnej nocy, żeby się na niej zabawić.

Ponura obecność szeryfa okręgu Sussex, Mickeya Walkera, była niczym zaćmienie Słońca. Teraz, kiedy te dwie sprawy się nałożyły, będzie pełna współpraca — żadnego powoływania się na okręgową jurysdykcję przy próbach odnalezienia zaginionej dziewczyny. Uzgodnili, że przesłuchanie poprowadzi Frank.

Frank Tremont zakaszłał w zaciśniętą pięść.

— Dziękuję, że zgodziliście się państwo z nami porozmawiać.

— Czy odkryliście coś nowego o Danie? — zapytała Jenna.

— Chciałem zapytać o wasze związki z Danem Mercerem.

Jenna wyglądała na zaskoczoną. Noel Wheeler nawet nie mrugnął. Lekko pochylił się do przodu, z przedramionami opartymi o uda i palcami splecionymi między kolanami.

— Co z naszymi związkami? — spytała Jenna.

— Byliście sobie bliscy?

— Tak.

Frank spojrzał na Noela.

— Wszyscy? No wie pan, to były mąż pańskiej żony.

I znowu odpowiedziała Jenna:

— Wszyscy. Dan jest... był... ojcem chrzestnym naszej córki Kari.

— Ile lat ma Kari?

— A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

W głosie Franka pojawiły się stalowe nutki.

— Proszę po prostu odpowiedzieć na to pytanie, pani Wheeler.

— Ma sześć lat.

— Czy bywała sama z Danem Mercerem?

— Jeśli pan sugeruje...

— Ja tylko zadaję pytanie — przerwał jej Frank. — Czy wasza sześćioletnia córka bywała czasem sama z Danem Mercerem?

— Tak — odparła Jenna z wysoko podniesioną głową. —
I bardzo go kochała. Nazywała go wujek Dan.

— Macie drugie dziecko, prawda?

Teraz odpowiedział Noel:

— Tak, mam córkę z poprzedniego małżeństwa, Amandę.

— Czy jest teraz w domu?

Frank już to sprawdził i znał odpowiedź.

— Tak, jest na górze.

Jenna spojrzała na milczącego Wheelera.

— Nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z tym,
że Ed Grayson zabił Dana.

Walker w odpowiedzi tylko na nią spojrzał.

— Jak często Dan u was bywał?

— A co to za różnica?

— Pani Wheeler, czy ma pani coś do ukrycia?

Jenna otworzyła usta.

— Proszę?

— Dlaczego mi pani utrudnia?

— Niczego panu nie utrudniam. Chcę tylko wiedzieć...

— Dlaczego? Co za różnica, dlaczego pytam?

Noel Wheeler uspokajająco położył dłoń na kolanie żony.

— Odwiedzał nas często. Mniej więcej raz w tygodniu,
zanim... — przerwał na moment — zanim nadano ten
program o nim.

— A potem?

— Rzadko. Może raz lub dwa razy.

Frank zwrócił się do Noela:

— Dlaczego rzadziej? Czy uwierzył pan w te zarzuty?

Noel Wheeler zwlekał z odpowiedzią. Jenna spoglądała na niego, nagle zeszczywniała.

— Nie uwierzyłem w te oskarżenia, nie — rzekł w końcu.

— Jednak?

Noel Wheeler milczał. Nie patrzył na żonę.

— Jednak lepiej dmuchać na zimne, prawda?

— Dan uważał, że lepiej będzie się tu nie pokazywać. Nie dawać sąsiadom tematu do plotek — dokończył Noel, nie odrywając oczu od dywanu.

— Nadal chciałabym wiedzieć, co to ma z tym wszystkim wspólnego — odezwała się Jenna.

- Czy możemy porozmawiać z państwa córką Amandą?

— zapytał Frank.

To ich ruszyło. Jenna poderwała się pierwsza, ale coś ją powstrzymało. Spojrzała na Noela. Tremont zastanawiał się dlaczego. Pewnie syndrom macochy. W końcu to Noel Wheeler jest rodzicem dziewczyny.

— Detektywie... Tremont, tak? — powiedział Noel.

Frank skinął głową, nie fatygując się wyjaśnianiem terminologii — był inspektorem, nie detektywem, ale nazywano go i tak, i tak.

— Jesteśmy chętni do współpracy — zapewnił Noel. — Odpowiem na każde pana pytanie. Teraz jednak zamierza pan wciągnąć w to moją córkę. Czy ma pan dziecko, detektywie?

Frank Tremont zauważył kątem oka, że zakłopotany Mickey Walker przestąpił z nogi na nogę. Wiedział, chociaż Tremont mu o tym nie mówił. Tremont nigdy nie rozmawiał o Kasey.

— Nie, nie mam.

— Jeśli chce pan rozmawiać z Amandą, naprawdę muszę wiedzieć, o co chodzi.

— Jasne. — Tremont odczekał chwilę, pozwalając, by milczenie trochę ich zmiękczyło. Kiedy uznał, że już wystarczy, rzekł: — Czy państwo wiecie, kto to jest Haley McWaid?

— Tak, oczywiście — odrzekła Jenna.

— Uważamy, że pani były mąż coś jej zrobił.

Cisza.

— Mówić „coś zrobił”... — zaczęła Jenna.

— Porwał, molestował, zgwałcił, zamordował — warknął Frank. — Czy to dla pani dostatecznie jasne, pani Wheeler?

— Ja tylko chcę wiedzieć...

— Nie obchodzi mnie, co pani chce wiedzieć. I guzik mnie obchodzi Dan Mercer, jego reputacja, a nawet kto go zabił. Obchodzi mnie tylko jego powiązanie z Haley McWaid.

— Dan nikogo by nie skrzywdził.

Frank poczuł, że zaczyna mu pulsować żyłka na czole.

— Och, dlaczego od razu pani tego nie powiedziała? Mógłbym uwierzyć pani na słowo i pójść do domu, prawda? Państwo McWaid, zapomnijcie o górze dowodów na to, że porwał waszą córkę... jego była żona mówi, że on nikogo by nie skrzywdził.

— Nie musi pan być taki uszczypliwy — powiedział Noel tonem, jakim zapewne przemawiał do swoich pacjentów.

— Prawdę mówiąc, panie Wheeler, jest mnóstwo powodów, żebym był uszczypliwy. Jak to wyraźnie przypomniał pan wcześniej, jest pan ojcem, prawda?

— Tak, oczywiście.

— No cóż, niech pan sobie wyobrazi, że pańska Amanda jest zaginiona od trzech miesięcy, a państwo McWaidowie pogrywają sobie ze mną w ten sposób. Jak by pan zareagował?

— My tylko próbujemy zrozumieć... — zaczęła Jenna.

Jednak jej mąż znów ją uciszył, kładąc dłoń na jej kolanie i kręcąc głową.

— Amando! — zawołał.

Jenna Wheeler opadła na oparcie kanapy, gdy odpowiedział mu ponury młody głos z piętra:

— Idę!

Czekali. Jenna patrzyła na Noela. Noel wpatrywał się w dywan.

— Pytanie do was obojga — odezwał się Frank Tre-mont. — Według waszej wiedzy, czy Dan znał albo choćby spotkał Haley McWaid?

— Nie — odpowiedziała Jenna.

— Doktorze Wheeler?

Gdy pojawiła się jego córka, potrzęsął niesforną strzechą włosów. Amanda była wysoka i chuda; jej ciało i głowa były wydłużone, jakby gigantyczne dłonie ścisnęły materiał z obu stron. Może się to wydać okrutne, ale jedynym słowem, jakie na jej widok przychodziło na myśl, było „ofermowata”. Stała, trzymając przed sobą wielkie dłonie,

jakby oglądali ją naga, a ona chciała się zasłonić. Patrzyła wszędzie, byle tylko nie spojrzeć w oczy nikomu z obecnych. Jej ojciec wstał i przeszedł przez pokój. Objął ją krzepiąco i ulokował na kanapie między żoną a sobą. Jenna też objęła pasierbicę. Frank odczekał chwilę, pozwalając, by ją uspokoił.

— Amando, jestem inspektor Tremont, a to szeryf Walker. Musimy zadać ci kilka pytań. Nie masz żadnych kłopotów, więc odpręż się. Chcemy tylko, żebyś odpowiedziała na kilka pytań, tak szczerze i dokładnie, jak potrafisz, dobrze?

Amanda kiwnęła głową. Jej oczy skakały wokół jak dwa przestraszone ptaki szukające bezpiecznej gałęzi. Jej rodzice przytulili się do niej i trochę pochylili, jakby chcieli przyjąć za nią cios.

— Czy znasz Haley McWaid? — spytał Frank.

Nastolatka zdawała się kurczyć w oczach.

— Taak.

— Skąd?

— Ze szkoły.

— Powiedziałybyś, że jesteście przyjaciółkami?

Amanda odpowiedziała z typowo nastoletnim wzruszeniem ramion.

— Tworzyłyśmy dwuosobową grupę na zajęciach laboratoryjnych z chemii.

— W tym roku?

— Tak.

— Jak do tego doszło?

Amanda wyglądała na zaskoczoną pytaniem.

- Dobrałyście się same?
- Nie, pani Walsh dobiera grupy.
- Rozumiem. Dogadywałyście się?
- Tak, pewnie. Haley jest naprawdę miła.
- Była kiedyś w waszym domu?

Amanada się zawahała.

- Taak.
- Wiele razy?
- Nie, tylko raz.

Frank Tremont odchylił się do tyłu i odczekał chwilkę.

- Mogłabyś mi powiedzieć kiedy? Dziewczyna spojrzała na ojca. On skinął głową.

- W porządku.

Amanda odwróciła się z powrotem do Tremonta.

- W Święto Dziękczynienia.

Frank obserwował Jenne Wheeler. Nie odzywała się, ale widział, że przychodzi jej to z trudem.

- Po co Haley tu przyszła?

Znów to nastoletnie wzruszenie ramion.

- Tak sobie posiedzieć.
- W Święto Dziękczynienia? Nie była ze swoją rodziną?
- Przyszła później — wyjaśniła Jenna Wheeler. —

Wszystkie dziewczęta zjadły obiad w domach i przyszły tutaj później. Następnego dnia w szkole nie było zajęć.

Wydawało się, że jej głos dochodzi z daleka. Matowy, obojętny. Frank nie odrywał oczu od Amandy.

- O której to mogło być?

Amanda się zastanowiła.

— Nie wiem. Przyszła tu około dziesiątej.
— Ile było tu dziewcząt?
— Cztery. Bree i Jody też tu były. Siedziałyśmy w piwnicy.

— Po Święcie Dziękczynienia?

— Tak.

Frank czekał. Kiedy nikt się nie odezwał, zadał oczywiste pytanie:

— Czy wujek Dan był tutaj w Święto Dziękczynienia?

Amanda nie odpowiedziała. Jenna siedziała cicho.

— Był tutaj? — ponownie spytał Tremont.

Noel Wheeler pochylił się i przetarł twarz dłońmi.

— Tak — powiedział. — Dan był tutaj w Święto Dziękczynienia.

16

Pops narzekał przez całą drogę do domu.

— Miałem tę laskę w garści.

— Przepraszam. Laskę?

— Lubię wiedzieć, jak aktualnie nazywa się panienki.

— Dobrze być na bieżąco.

— Nie masz pojęcia jak dobrze.

— Proszę, nie rozwijaj tematu.

— Och, nie będę. Zatem to ważne?

— Yhm. Przykro mi, że zepsułam ci podryw.

— Rybka w morzu. — Pops wzruszył ramionami. —

Wiesz, jak to jest.

— Wiem.

Wendy wpadła do domu. Charlie skakał po kanałach z dwoma kolegami, Clarkiem i Jamesem. Rozłożyli się w salonie tak, jak to potrafią tylko nastolatki, jakby wyjęli swoje szkielety, powiesili je w szafie i opadli na najbliższej stojące fotele.

— Cześć — rzucił Charlie, poruszając wyłącznie ustami. — Wcześniej jesteś w domu.

— Właśnie, nie wstawaj.

Uśmiechnął się krzywo.

— Cześć, pani Tynes — wymamrotali Clark i James.

Oni też nie podnieśli się z foteli, ale przynajmniej odwrócili głowy, żeby na nią zerknąć. Charlie złapał nagle jej byłą stację NTC. Nadawano wiadomości. Michele Feisler, ta irytująca, nowa i bardzo młoda komentatorka, którą powinni wyłączyć zamiast Wendy, omawiała dalszy ciąg historii sprzed kilku dni, o niejakim Arthurze Lemaine, któremu przestrelono kolano, kiedy opuszczał South Mountain Arena w West Orange.

— Och — sapnął Clark.

— Jakby jedno kolano nie wystarczyło.

„Arthur Lemaine został postrzelony po wieczornym treningu”, przypomniała Michele sztucznie poważnym tonem zawodowej komentatorki. Wendy miała nadzieję, że nigdy nie mówiła w ten sposób. Kamera pokazała teraz South Mountain Arena, a nawet tablicę z napisem, że tutaj trenują New Jersey Devils — jakby to było istotne w tej historii.

Na ekranie znów pojawiła się należycie ponura Michele Feisler siedząca za biurkiem.

— Nienawidzę jej — powiedział James.

— Ma głowę jakby za dużą w stosunku do reszty ciała — dodał Clark.

Feisler kontynuowała irytująco poważnym głosem:

„Arthur Lemaine nadal nie chce rozmawiać z policją o tym incydencie”.

Też mi niespodzianka, pomyślała Wendy. Jeśli ktoś przestrzeli ci kolana, zapewne najlepiej niczego nie widzieć, nie słyszeć i nie mówić. Nawet James zrobił minę kojarzącą się z *Ojcem chrzestnym*. Charlie znów zaczął skakać po kanałach.

James odwrócił się i powiedział:

— Ta cała Michele nie dorasta pani do pięt, pani T.

— Pewnie — dorzucił Charlie. — Skopałaby jej pani ten chudy tyłek.

Najwidoczniej Charlie powiedział im o jej ostatnich niepowodzeniach w pracy, ale mimo to była im wdzięczna.

— Dzięki, chłopcy.

— Poważnie, jej głowa wygląda jak piłka plażowa — stwierdził Clark.

Charlie niczego nie dodał. Kiedyś wyjaśnił matce, że dla jego przyjaciół jest na czele listy dojrzałych kobiet, które chcieliby przelecieć. Powiedział to bez zażenowania czy zgrozy i Wendy nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle.

Ruszyła na górę do komputera. Farley to raczej niezwykle imię. Sherry Turnball wspomniała coś o przyjęciu połączone z zbiórką pieniędzy na jego kampanię. Przypomniała sobie, że tak miał na imię ktoś zamieszany w jakiś skandal obyczajowy.

Szybkość i dokładność Internetu nie powinna już szokować, ale czasem jednak zaskakiwała. Dwa kliknięcia i Wendy znalazła to, czego szukała.

Sześć miesięcy temu Farley Parks kandydował do Kongresu w Pensylwanii, gdy jego plany przekreślił skandal związany z prostytutką. W gazetach niewiele o tym pisało — polityczne skandale obyczajowe nie są obecnie szczególnie rzadkie — lecz ta afera zmusiła Farleya do rezygnacji z wyścigu do fotela. Wendy przejrzała kilka pierwszych adresów internetowych podanych przez wyszukiwarke.

Najwyraźniej „tancerka erotyczna” (czytaj „striptizerka”) zwana Desire (co może nie było jej prawdziwym imieniem), podsunęła ten temat lokalnej gazecie. I tak historia się rozeszła. Desire założyła blog, na którym opisała swoje schadzki z Farleyem Parksem w aż nazbyt drastycznych szczegółach. Wendy uważała się za kobietę światową, lecz czytając te teksty, skręcała się i rumieniała. Rety. Był też film. Przygotowana na najgorsze kliknęła odtwarzanie. Dzięki Bogu żadnej golizny. Widać było tylko sylwetkę Desire, która podawała jeszcze bardziej obrazowe opisy zdyszany, cyfrowo zmienionym głosem. Po trzydziestu sekundach Wendy wyłączyła odtwarzanie.

Dosyć. Miała już pełny obraz sprawy. I naprawdę nie był on ładny.

W porządku, zwolnij. Reporterzy mają szukać interesujących historii, ale w tej nie ma niczego subtelnego. Pomimo to musi ją zbadać. Pierwsza strona podanych przez wyszukiwarke odnośników do Farleya Parksa zawierała wiadomości o skandalu. Przeszła na drugą i znalazła zwięzły życiorys. I tak dowiedziała się, że Farley Parks ukończył

Princeton przed dwudziestoma laty. W tym samym roku co Phil Turnball i Dan Mercer.

Zbieg okoliczności?

Trzej mężczyźni, absolwenci tego samego rocznika elitarnego uniwersytetu, zostali zniszczeni w minionym roku przez skandale — bogaci i wpływowi, sami ściągają na siebie kłopoty. Zatem może to nic. Zbieg okoliczności.

Tylko że ci trzej byli więcej niż tylko kolegami z roku.

„Byli współlokatorami”. Tak powiedział Phil Turnball. On i Dan studiowali na tej samej uczelni. Mieszkanie sugerowało więcej niż dwie osoby. Gdyby Phil mieszkał tylko z Danem, mówiłby o pokoju w akademiku. Mieszkanie? To sugerowało co najmniej trzy, może cztery osoby.

Jak się dowiedzieć, czy Farley Parks był jednym z nich?

Wendy miała tylko telefon domowy Turnballa. Ten zapewne nadal jest z żoną w Blend. Kto jeszcze może wiedzieć coś o jego współmieszkańcach?

Jenna Wheeler, była żona Dana.

Robiło się późno, ale to nie była odpowiednia chwila, by martwić się o konwenanse. Wendy zadzwoniła do domu Wheelerów. Jakiś mężczyzna — zapewne mąż Jenny, Noel, odebrał telefon po trzecim dzwonku.

— Halo?

— Tu Wendy Tynes. Czy mogę mówić z Jenną?

— Nie ma jej w domu.

Trzask.

Popatrzyła na słuchawkę. Hm. To dość gwałtowne zakończenie. Wzruszyła ramionami i odłożyła słuchawkę na widełki. Znowu odwróciła się do komputera i nagle przyszedł jej do głowy dziwny pomysł: Facebook. Pod wpływem swoistego owczego pędu Wendy otworzyła w zeszłym roku konto na Facebooku, po czym wybrała i zaakceptowała kilku znajomych — i właściwie nie zrobiła z tym nic więcej. Może to kwestia wieku, chociaż na tych portalach społecznościowych roiło się od osób starszych od niej, ale kiedy Wendy była młodsza — nie żeby miała być teraz stetryczną babcią — jeśli mężczyzna „zaczepliał” cię, to oznaczało coś... hm... innego niż na Facebooku. Inteligentni ludzie, których darzyła szacunkiem, nieustannie przesyłali jej głupie zagadki, podrzucali różne linki, zapraszali do gry w wojny mafijne lub zostawiali notki na jej tablicy (czy dwuznaczność tych uwag była zamierzona?), tak że czuła się jak Tom Hanks w filmie *Duży*, co chwila podnoszący rękę i mówiący: *Ja tego nie rozumiem*.

Teraz jednak przypomniawszy sobie, że jej rocznik Tufts miał swoją stronę ze starymi i nowymi zdjęciami oraz informacjami o absolwentach. Czy jest podobna strona tych, którzy ukończyli Princeton przed dwudziestoma laty?

Zalogowała się na Facebooku i rozpoczęła poszukiwania.

Odkryła istną żyłę złota.

Zarejestrowało się dziewięćdziesięciu ośmiu absolwentów tego rocznika Princeton. Na pierwszej stronie zobaczyła maleńkie zdjęcia ośmiu z nich. Były tam fora dyskusyjne

i odsyłacze. Wendy zastanawiała się, jak dołączyć do tej grupy, tak by mieć dostęp do wszystkiego, kiedy zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zauważyła mały symbol oznaczający wiadomość głosową. Widocznie ktoś do niej dzwonił, kiedy była w Blend. Przewinęła wykaz przychodzących połączeń i zobaczyła, że ostatnie było z jej dotychczasowego miejsca pracy. Zapewne chodziło o jej niemal symboliczną odprawę.

Jednak nie, dzwoniło niecałą godzinę temu. Księgowość nie telefonowała by o tak późnej porze.

Wendy wybrała odsłuchiwanie wiadomości i zdziwiła się, słysząc głos Vica Garretta, człowieka, który ją zwolnił... Czy to naprawdę było zaledwie dwa dni temu?

„Hej, słodka, tu Vic. Zadzwoni do mnie zaraz. To bardzo ważne”.

Krew zaczęła żywiej krążyć w jej żyłach. Vic nie miał skłonności do przesady. Zadzwoniła na jego prywatną linię w biurze. Gdyby Vica tam nie było, rozmowa zostałaby przekierowana na jego komórkę. Odebrał po pierwszym sygnale.

— Słyszałaś?

— Co?

— Możesz znowu zostać zatrudniona. Co najmniej jako wolny strzelec. Tak czy inaczej, chcę, żebyś się tym zajęła.

— Czym?

— Gliniarze znaleźli telefon komórkowy Haley McWaid.

— Co to ma wspólnego ze mną?

— Znaleźli go w pokoju hotelowym Dana Mercera. Najwidoczniej twój chłopak jest odpowiedzialny za to, co się z nią, do cholery, stało.



Ed Grayson leżał sam w łóżku.

Maggie, jego żona od szesnastu lat, spakowała się i odeszła, kiedy przeszukiwano go jako podejrzanego o zamordowanie Dana Mercera. Nieważne. Ich małżeństwo obumarło, domyślał się, że już dawno, ale trzymało się dzięki przyzwyczajeniu i nadziei, a teraz nadzieja w końcu zgasła. Maggie nic by nie powiedziała. Był tego pewny. Zawsze chciała, żeby problemy znikły same. Taka już była. Zapakować to, co złe, do walizki, wepchnąć ją na górną półkę jakiejś szafy w głębi świadomości, zamknąć drzwi i zakleić je uśmiechem. Ulubionym stwierdzeniem Maggie, którego nauczyła ją matka w Quebecu, było: „Człowiek sam zapewnia sobie pogodę na pikniku”. Tak więc obie często się uśmiechały. I obie robiły to tak pięknie, że czasem się zapominało, iż te uśmiechy niczego nie oznaczają.

Uśmiech Maggie działał przez wiele lat. Oczarował młodego Eda Graysona, zwałił go z nóg. Ten uśmiech wydawał mu się czystą dobrocią i Ed chciał być blisko niego. Jednak ten uśmiech nie był dobrocią. Był fasadą, maską odstraszącą zło.

Kiedy wyszły na jaw nagie zdjęcia ich syna, Eda Juniora, reakcja Maggie go zaszokowała: chciała je zignorować. Nikt nie musi wiedzieć, powiedziała. Wydaje się, że EJ.

nic nie jest, ciągnęła. On ma tylko osiem lat. Nikt go nawet nie dotknął. A jeśli nawet, to nie ma żadnych śladów. Pediatria niczego nie znalazł. E.J. wydawał się normalny, spokojny. Żadnego moczenia łóżka, nocnych koszmarów czy nadmiernego niepokoju.

— Zostawmy to — namawiała męża Maggie. — Nic mu nie jest.

Ed Grayson szalał.

— Nie chcesz, żeby zamknęli tego śmiecia? Zamierzasz pozwolić, żeby robił to innym dzieciom?

— Nie obchodzi mnie inne dzieci. Obchodzi mnie E.J.

— I to jest to, czego chcesz go nauczyć? „Zostaw to”?

— Tak będzie najlepiej. Nie ma powodu, by świat się dowiedział, co mu się przytrafiło.

— On nie zrobił nic złego, Maggie.

— Wiem o tym. Nie uważasz, że o tym wiem? Jednak ludzie będą inaczej na niego patrzyli. To go zdefiniuje. Jeśli po prostu będziemy cicho i nikomu nie powiemy...

Maggie posłała mu olśniewający uśmiech. Po raz pierwszy na jego widok Eda skrzyło.

Teraz usiadł na łóżku i nalał sobie następną szkocką z wodą sodową. Włączył ESPN i oglądał SportsCenter. Zamknął oczy i myślał o krwi, o bólu i przerażeniu, jakie wzbudził w imię sprawiedliwości. Wierzył w to, co powiedział tej reporterce, Wendy Tynes. Sprawiedliwa kara powinna zostać wymierzona. Jeśli nie przez sądy, to muszą się tym zająć tacy ludzie jak on. To jednak nie oznacza, że wymierzający ją nie zapłacą za to wysokiej ceny.

Często się słyzy, że wolność ma swoją cenę. Sprawiedliwość też.

Był sam, ale wciąż słyzył przerażony szept Maggie, kiedy wrócił do domu:

— Co ty zrobiłeś?

A on, zamiast wygłosić długą przemowę w swojej obronie, powiedział krótko i zwięzłe:

— Już po wszystkim.

Równie dobrze mógł tak powiedzieć o nich samych, o Edzie i Maggie Graysonach, a wtedy nagle zaczyna się spoglądać wstecz i zastanawiać, czy to kiedykolwiek była prawdziwa miłość. Łatwo zwać winę za rozpad ich związku na to, co się przydarzyło EJ. — tylko czy słusznie? Czy tragedia powoduje pęknięcia i sprawia, że stają się coraz większe, czy tylko zapala światło, przy którym można dostrzec pęknięcie, które zawsze tam było? Może żyjemy w ciemności, oślepieni uśmiechem i fasadą dobroci. Może tragedia po prostu usuwa okiennice.

Ed usłyzył dzwonek do drzwi. Późno. Po dzwonku natychmiast niecierpliwie załomotano pięścią. Odruchowo, bez zastanowienia, Ed zerwał się z łóżka i złapał pistolet leżący na nocnym stoliku. Następny dzwonek i łomotanie.

— Panie Grayson?! Policja, otwierać!

Ed spojrział przez okno. Dwaj policjanci w brązowych mundurach okręgu Sussex. Żaden z nich nie był tym wielkim czarnym szeryfem Walkerem. Szybko, pomyślał Grayson.

Był raczej umiarkowanie zdziwiony niż zaszokowany. Odłożył broń, zszedł na parter i otworzył drzwi. Policjanci wyglądali jak dwunastoletni chłopcy.

— Pan Grayson?

— Szeryf federalny Grayson, synu.

— Jest pan aresztowany za zamordowanie Daniela J. Mercera. Proszę założyć ręce do tyłu, kiedy odczytam panu pańskie prawa.

17

Lekko oszołomiona Wendy zakończyła rozmowę telefoniczną ze swoim byłym (i znowu obecnym?) szefem, Vicem Garrettem, i odłożyła słuchawkę.

Należący do Haley McWaid iPhone został znaleziony pod łóżkiem Dana Mercera.

Próbowała to przetrwać, uporządkować emocje. Pierwsza myśl była zupełnie oczywista: głębokie współczucie dla rodziny McWaidów. Miała cholerną nadzieję, że to wszystko w jakiś sposób dobrze się dla nich skończy. W porządku, sięgnij głębiej. Była zaszokowana, owszem. Właśnie w tym rzecz. Może za bardzo zaszokowana. Czy nie powinna odczuwać pewnego rodzaju ponurej ulgi? Albo satysfakcji wywołanej tym, że od początku miała rację co do Dana. Został ukarany za swoje winy. A ona nie była pionkiem w jakiejś intrydze, której celem było zniszczenie niewinnego człowieka starającego się czynić dobro.

Jednak tutaj, na ekranie monitora przed nią, widniała

strona Facebooka z rocznikiem absolwentów Princeton. Wendy zamknęła oczy i odchyliła się do tyłu. Zobaczyła twarz Dana z tamtego dnia, kiedy się poznali, podczas pierwszego wywiadu w schronisku, entuzjazm, z jakim ratował dzieciaki z ulicy, uwielbienie w oczach patrzących na niego dzieci, pociąg, jaki do niego czuła. Przypomniała sobie wczorajszy dzień na tym przeklętym parkingu przyczep, okropne sińce na jego twarzy, pociemniałe oczy i to, jak chciała, pomimo tego wszystkiego, co wiedziała, go pocieszyć.

Czy może tak po prostu zignorować to, co podpowiada intuicja?

To prawda, że zło występuje w rozmaitych przebraniach. Wiele razy podawano jej przykład słynnego seryjnego zabójcy Teda Bundy'ego. Jednak prawdę mówiąc, nigdy nie uważała go za choćby przeciętnie przystojnego. Może dlatego, że wiedziała, kim jest, a może przez tę pustkę w jego oczach. Była pewna, że uznałaby go za oślizgłego i obleśnego, powierzchownym urokiem maskującego złe zamiary. Zło się wyczuwa. Po prostu. A może tylko tak jej się wydawało.

Tak czy inaczej, u Dana nie widziała tego ani nie wyczuwała. Wydawał jej się, nawet tamtego dnia, kiedy umarł, miłą i ciepłą osobą. A teraz ma coś więcej niż intuicję. Jest Phil Turnball. I Farley Parks. Za tym wszystkim kryje się coś więcej, coś mroczniejszego i bardziej złożonego.

Otworzyła oczy i pochyliła się. W porządku, Facebook. Zalogowała się, znalazła stronę rocznika absolwentów Princeton, ale jak się na nią wpisać? Musi być jakiś sposób.

Zapewne najlepiej będzie spytać miejscowego eksperta od Facebooka.

— Charlie!

— Co? — padła z dołu odpowiedź.

— Możesz tu przyjść?

— Nie słyszę.

— Chodź tutaj.

— Co? — I zaraz: — Po co?

— Po prostu przyjdź tutaj, proszę.

— Nie możesz po prostu krzyknąć, czego potrzebujesz?

Złapała telefon komórkowy i wysłała mu wiadomość tekstową, że pilnie potrzebuje pomocy przy komputerze i jeśli się nie pośpieszy, to zamknie mu wszystkie jego konta sieciowe, chociaż tak naprawdę nie miała pojęcia, jak to zrobić. Po chwili usłyszała głębokie westchnienie i ciężkie kroki, gdy wchodził po schodach. Charlie zajrzał do pokoju.

— Co?

Wskazała ekran komputera.

— Muszę wpisać się do tej grupy.

Charlie zmrużył oczy, patrząc na ekran.

— Przecież nie studiowałaś w Princeton.

— Dzięki za głęboką analizę. Nie miałam pojęcia.

Charlie się uśmiechnął.

— Uwielbiam, kiedy mówisz do mnie z takim sarkazmem.

— Jaka matka, taki syn.

Boże, jak ona kocha tego dzieciaka. Wendy załała jedna

z tych fal uczuć, które porywają rodziców i unoszą ich, budząc chęć, by chwycić swoje dziecko w objęcia i nigdy nie puścić.

— No co? — spytał Charlie.

Otrząsnęła się.

— Jak mam wpisać się do tej grupy, jeśli nie studiowałam na Princeton?

Charlie się skrzywił.

— Żartujesz, prawda?

— Wyglądam, jakbym żartowała?

— Trudno powiedzieć, przy tym twoim sarkazmie i w ogóle.

— Nie żartuję i nie jestem sarkastyczna. Jak mam tam wejść?

Charlie westchnął, pochylił się i pokazał na prawą część strony.

— Widzisz tu link z napisem DOŁĄCZ DO GRUPY?

— Tak.

— Kliknij na niego.

Wyprostował się.

— A potem?

— To wszystko. Jesteś wpisana.

Teraz Wendy się skrzywiła.

— Jednak, jak to słusznie zauważyłeś, nie studiowałam w Princeton.

— Nieważne. To otwarta grupa. Zamknięte są oznaczone DOŁĄCZANIE ZA POTWIERDZENIEM. Ta jest dostępna dla wszystkich. Kliknij i wejdiesz.

Wendy patrzyła na niego z powątpiewaniem.

Charlie znów westchnął.

— Po prostu to zrób — powiedział.

— W porządku, czekaj.

Kiknęła — i to wystarczyło, by — *voild* — została członkinią rocznika absolwentów Princeton, aczkolwiek w wersji Facebooka. Charlie posłał jej spojrzenie typu „a nie mówiłem”, pokręcił głową i poczłapał na parter. Znów pomyślała, jak bardzo go kocha. Pomyślała o Marcii i Tedzie McWaidach, którzy otrzymali z policji wiadomość o iPhone, tym, który Haley zapewne tak chciała mieć i piszczała z radości, kiedy go dostała, teraz znalezionym pod łóżkiem obcego człowieka.

To bynajmniej jej nie pomagało.

Strona się wyświetliła, więc trzeba wracać do pracy. Wendy najpierw przejrzała listę wszystkich dziewięćdziesięciu ośmiu członków. Nie znalazła Dana, Phila ani Farleya. To miało sens. Zapewne wszyscy trzej chronili swoją prywatność. Jeśli nawet kiedyś się tu zapisali, to pewnie już wypisali się z Facebooka. Żadne z pozostałych nazwisk nie było znajome.

W porządku, co teraz?

Sprawdziła fora dyskusyjne. Jedno o chorym koledze z roku, z wyrazami poparcia. Inne o regionalnych spotkaniach rocznika. Nic ciekawego. Jeszcze inne o zbliżającym się zjeździe. Kliknęła tę stronę i znalazła link, który wyglądał obiecująco:

Zdjęcia z akademika — z pierwszego roku!

Znalazła trzech z nich na piątej fotografii z rzędu. Podpis głosił *Stearns House*, a zdjęcie ukazywało około setki studentów pozujących przed budynkiem z cegły. Najpierw zauważyła Dana. Ładnie się starzał, jako dorosły miał krótsze loki, ale poza tym wyglądał tak samo. Bez wątpienia był przystojnym facetem.

Na dole wymieniono nazwiska. Farley Parks, już wtedy polityk, stał z przodu i na środku. Phil Turnball po prawej. Podczas gdy Dan miał na sobie dzinsy i bawełnianą koszulkę, Farley i Phil byli wystrojeni jak do zdjęcia na okładkę miesięcznika „Snobistyczny Student”. Sportowe spodnie, koszulki polo i tenisówki na bosych nogach — brakowało im tylko swetrów zawiązanych na ramionach.

No dobrze, więc zna już nazwę akademika. Co teraz?

Mogła wyszukać przez Google każdego z widocznych na tym zdjęciu — ich nazwiska były podane na dole — ale to trwałoby długo i mogło nie dać żadnego rezultatu. Ludzie raczej nie wymieniają w sieci nazwisk swoich współmieszkańców na pierwszym roku studiów.

Z powrotem: Wendy zaczęła przeglądać stronę Facebooka. Po dziesięciu minutach trafiła na żyłę złota.

Album naszego pierwszego roku na Facebooku!

Kliknęła link, załadowała plik PDF i otworzyła go w programie Adobe Acrobat. Album pierwszego roku — Wendy uśmiechnęła się na to wspomnienie. Oczywiście, ona też miała taki w Tufts. Zdjęcia wszystkich studentów z roku wraz z nazwami miejscowości, z których pochodzili,

liceów oraz — co teraz cieszyło ją najbardziej — nazwami akademików i numerami pokoi. Wendy kliknęła guzik z literą M, przeskoczyła dwie kartki i znalazła Dana Mercera. Było tam jego zdjęcie jako studenta pierwszego roku:

Daniel J. Mercer

Riddle, Oregon

Riddle High School

Apartament Stearns 109

Dan uśmiechał się, mając przed sobą całe życie. Mylił się. Kiedy zostało zrobione to zdjęcie, skończył osiemnaście lat. Jego uśmiech mówił, że jest gotowy zdobyć świat i owszem, miał ukończyć Princeton, ożenić się, rozwieść... i co?

Zostać pedofilem i umrzeć?

Czy to wszystko do siebie pasuje? Czy Dan już wtedy był pedofilem, w wieku osiemnastu lat? Czy kogoś molestował? Czy jako student wykazywał już takie skłonności, czy może robił coś więcej? Czy naprawdę porwał nastoletnią dziewczynę?

Dlaczego nie może w to uwierzyć?

Nieważne. Skup się. Dzięki temu albumowi poznała numer jego pokoju w akademiku. Apartament Stearns sto dziewięć. Kliknęła na literę P, żeby sprawdzić. Oczywiście, Farley Parks z Bryn Mawr w Pensylwanii i szkoły w Law-renceville, również mieszkał w apartamencie sto dziewięć. Philip Turnball z Bostonu w Massachusetts i Phillips Academy Andover wyglądał prawie tak samo jak teraz — i tak, on też mieszkał w apartamencie sto dziewięć.

Wendy nacisnęła klawisz wyszukiwania i wprowadziła *Stearns Suite 109*.

Pięć trafień.

Philip Turnball, Daniel Mercer, Farley Parks — a teraz dwaj nowi: Kelvin Tilfer, Afroamerykanin o ostrożnym uśmiechu, i Steven Miciano, który nosił jeden z tych sznurkowych naszyjników z wielkim paciorkiem na środku.

Te dwa nowe nazwiska nic jej nie mówiły. Otworzyła inną wyszukiwarkę i wprowadziła do niej Kelvina Tilfera.

Nic. Dosłownie. Jedno trafienie z listą absolwentów Princeton, i to wszystko. Żadnych odnośników LinkedIn. Ani Facebooka. Czy Twittera. Albo MySpace.

Wendy zastanawiała się, co to oznacza. O większości ludzi, nawet najmniej się wyróżniających, można znaleźć coś w sieci. Kelvin Tilfer, szczególnie w porównaniu ze swoimi współmieszkańcami, był duchem.

Co to oznacza?

Może nic? Za wcześnie na hipotezy. Najpierw trzeba zebrać więcej informacji.

Wpisała do wyszukiwarki „Steven Miciano”. Kiedy zobaczyła wyniki, zanim jeszcze kliknęła na któryś z nich, żeby poznać szczegóły, wiedziała.

— Niech to szlag — zaklęła głośno.

— Co jest? — zapytał głos zza jej pleców.

Charlie.

— Nic takiego, bo co?

— Masz coś przeciwko temu, żebyśmy poszli do Clarka?

— Chyba nie.

— Super.

Charlie wyszedł. Wendy odwróciła się do komputera. Kliknęła pierwsze trafienie, fragment artykułu sprzed czterech miesięcy wydrukowanego w gazecie „West Essex Tribune”.

Mieszkaniec Livingston w stanie Nowy Jork, Steven Miciano, chirurg ortopeda zatrudniony w tamtejszym Centrum Medycznym Świętego Barnaby, został aresztowany wczoraj wieczorem i oskarżony o posiadanie nielegalnych środków odurzających. Policja, kierując się otrzymanymi informacjami, znalazła w bagażniku samochodu lekarza „znaczną ilość nielegalnie uzyskanych środków przeciwbólowych wydawanych na receptę”. Doktor Miciano został zwolniony za kaucją i czeka na przesłuchanie wstępne. Rzecznik Centrum Medycznego Świętego Barnaby oświadczył, że doktor Miciano zostanie zawieszony do chwili wyjaśnienia sprawy.

No tak. Wendy poszukała w „West Essex Tribune” następnych artykułów na ten temat. Nic. Wróciła do sieci i otrzymała trafienia w blogach, a nawet na Twitterze. Pierwsze zamieścił były pacjent mówiący, że Miciano ukradkiem podsuwał mu leki. Drugie „dostawca leków”, który dostarczył kluczowego dowodu umożliwiającego przygwożdżenie doktora Miciano. W jeszcze jednym blogu jakiś pacjent napisał, że Miciano „zachowywał się nieodpowiednio” i „zdecydowanie wyglądał, jakby coś zażył”.

Wendy zaczęła robić notatki, sprawdzając lokalizację blo-gów, Twittera, posty na różnych forach, linki do MySpace'a i Facebooka.

To było zbyt niezwykle.

Pięciu studentów pierwszego roku, współlokatorów z Princeton. O jednym nic. W porządku, zapomnij na chwilę o Kelvinie Tilferze. Czterej pozostali: doradca finansowy, polityk, pracownik opieki społecznej, a teraz lekarz. Wszyscy czterej w ciągu minionego roku zostali zniszczeni przez skandale.

Piekielnie dziwny zbieg okoliczności.

18

Wykorzystując prawo do jednej rozmowy telefonicznej, Ed Grayson obudził swoją adwokatkę Hester Crimstein. Powiedział jej, że został aresztowany.

— To wydaje mi się tak bzdurne, że normalnie posłałabym tam któregoś z moich podrzędnych pracowników — powiedziała Hester.

— Ale?

— Ale nie podoba mi się moment, jaki wybrali.

— Mnie też — rzekł Ed.

— Chcę powiedzieć, że właśnie kilka godzin temu wyrwałam kolejną dziurę w teorii Walkera. Dlaczego więc cię aresztowali? — Zamilkła na chwilę. — Chyba że tracę wycucie.

— Nie sędzę, żeby tak było.

— Ja też. Tak więc to oznacza, że mają coś nowego.

— Wyniki badania krwi?

— To by nie wystarczyło. — Hester się zawahała. —

Ed, jesteś pewny, że nie mogli znaleźć... hm... niczego bardziej obciążającego?

— Nie mogli.

— Jesteś pewny?

— Absolutnie.

— W porządku, znasz procedurę. Nic nie mów. Każę przywieźć się mojemu szoferowi. O tak późnej porze to nie powinno zająć mi więcej niż godzinę.

— Jest jeszcze jeden niepokojący fakt — powiedział.

— Jaki?

— Tym razem nie jestem na posterunku policji okręgu Sussex. Jestem w Newark. To okręg Essex, inna jurysdykcja.

— Masz pojęcie dlaczego?

— Nie.

— W porządku, siedź i czekaj. Pozwól mi się ubrać. Przyjadę z nabitą armatą. Będę bezlitosna dla tych za-srańców.

Czterdzieści pięć minut później Hester siedziała ze swoim klientem, Edem Graysonem, w małym pokoju przesłuchań z panelami na podłodze i przyśrubowanym stołem. Czekali. Czekali bardzo długo. Hester była wściekła.

W końcu drzwi się otworzyły. Wszedł szeryf Walker w mundurze. Towarzyszył mu drugi mężczyzna — bruchaty, około sześćdziesiątki, w popielatoszarym garniturze, który wyglądał, jakby został celowo wymięty.

— Przepraszam, że musieliście czekać — powiedział Walker.

Oparł się o ścianę. Drugi mężczyzna usiadł na krześle naprzeciwko Graysona. Hester wciąż krążyła po pokoju.

— Wychodzimy — warknęła.

Walker pomachał jej ręką.

— Do widzenia, pani mecenas, będzie nam pani brakowało. Och, ale pani klient nigdzie nie pójdzie. Jest aresztowany. Musi przejść rutynowe formalności: zostać spisany i zatrzymany. Jest późno. Z pewnością z samego rana odbędzie się przesłuchanie w sprawie kaucji, ale nie ma obawy, mamy tu wygodne lokum.

Hester nie zamierzała odpuścić.

— Przepraszam, szeryfie, ale czy pan nie jest urzędnikiem wybieranym przez obywateli?

— Jestem.

— Więc niech pan sobie wyobrazi, co będzie, kiedy użyję wszystkich moich możliwości, żeby dobrać się panu do tyłka. Chcę powiedzieć, że to nie będzie specjalnie trudne. Aresztowanie człowieka, którego syn był ofiarą odrażającego...

W końcu odezwał się ten drugi:

— Możemy na moment dać sobie spokój z groźbami?

Hester spojrzała na niego.

— Do diabła, niech pani robi, co chce, pani Crimstein, jasne? Nic mnie to nie obchodzi. Mamy pytania. Pani klient odpowie na nie albo przepuścimy go przez tryby maszyny sprawiedliwości, i to powoli. Rozumie mnie pani?

Hester Crimstein spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

— A pan jest...

— Nazywam się Frank Tremont. Jestem inspektorem dochodzeniowym okręgu Essex. I naprawdę, jeśli na minutę przestaniemy udawać, może dowiecie się, dlaczego tu jesteście.

Hester wyglądała, jakby szykowała się do ataku, ale się powstrzymała.

— W porządku, wielkoludzie, co macie?

Walker przejął pałeczkę. Z trzaskiem rzucił akta na stół.

— Wynik badania krwi.

— Mówiący że...

— Jak pani wie, znaleźliśmy krew w samochodzie pani klienta.

— Tak twierdziliście.

— Krew w samochodzie jest idealnie zgodna z krwią ofiary, Dana Mercera.

Hester udała, że ziewa.

— Może moglibyście nam to wyjaśnić? — rzekł Walker.

Hester wzruszyła ramionami.

— Może wybrali się razem na przejażdżkę. Może Dan Mercer miał krwotok z nosa.

Walker skrzyżował ręce na piersi.

— To najlepsze wyjaśnienie, na jakie was stać?

— Och nie, szeryfie Walker. Mogę podać znacznie lepsze, jeśli pan chce. — Hester zatrzepotała rzęsami i powiedziała piskliwym dziewczęcym głosem: — Mogę wyrazić to hipotetycznie?

— Wolałbym fakty.

— Przykro mi, przystojniaku, to jedyne, co mogę dla was zrobić.

— Doskonale, słuchamy.

— Cóż, zatem rozważę to hipotetycznie, jeśli można. Macie świadka rzekomego zabicia Dana Mercera, zgadza się?

— Zgadza.

— A teraz hipotetycznie powiedzmy, że przeczytałam zeznanie złożone przez waszego świadka, tę reporterkę telewizyjną Wendy Tynes.

— To byłoby niemożliwe — orzekł Walker. — Zarówno zeznanie, jak i tożsamość świadka są objęte tajemnicą śledztwa.

- Ojej, mój błąd. Miałam na myśli hipotetyczne zeznanie złożone przez hipotetyczną reporterkę telewizyjną. Mogę kontynuować?

— Proszę — mruknął Frank Tremont.

— Super. Zgodnie z jej hipotetycznym zeznaniem, kiedy spotkała się z Danem Mercerem w tej przyczepie i zanim miała miejsce jakakolwiek strzelanina, świadek widziała wyraźne ślady niedawnego pobicia.

Nikt się nie odezwał.

— Czekam na zachętę — powiedziała wreszcie Hester. — Niech jeden z was kiwnie głową.

— Przyjmijmy, że obaj to zrobiliśmy — odrzekł Frank.

— W porządku, dobrze. Teraz powiedzmy, znów hipotetycznie, że Dan Mercer kilka dni wcześniej spotkał ojca jednej ze swoich ofiar. Powiedzmy, że wywiązała się bójka. Powiedzmy, że przelano w niej trochę krwi. I powiedzmy, że odrobina tej krwi znalazła się w tym samochodzie.

Zamilkła, rozłożyła ręce i uniosła brwi. Walker spojrzął na Tremonta.

— No, no — sapnął Tremont.

— No, no co? Uśmiechnął się z przymusem.

— Gdyby wywiązała się ta hipotetyczna bójka, to oznaczałoby, że pani klient miał motyw, nieprawdaż?

— Przepraszam, mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko?

— Frank Tremont, inspektor dochodzeniowy okręgu Essex.

— Jest pan nowy w tej robocie, Frank?

Teraz on rozłożył ręce.

— A wyglądam na nowego?

— Nie, Frank, wygląda pan jak sto lat błędnych decyzji, ale pańskie stwierdzenie o motywie to coś, czego jakiś niedotleniony nowicjusz mógłby próbować z niedouczonym adwokacina. Po pierwsze, proszę zwrócić uwagę, że to przegrywający bójkę zazwyczaj szuka odwetu, mam rację?

— Najczęściej.

— Cóż — Hester wskazała swojego klienta, jakby była gospodynią telewizyjnego show — spójrzcie na ten okaz męskiej tężyzny, który ja nazywam klientem. Czy widzicie jakieś sińce lub skaleczenia? Nie. Tak więc wydaje się, że jeśli doszło do jakiegoś aktu przemocy fizycznej, to mój chłopak wyszedł z tego zwycięsko, nie sądzicie?

— To niczego nie dowodzi.

— Uwierz mi, Frank, nie chcesz wdawać się ze mną w tę dyskusję. Jednak tak czy inaczej, zwyciężył czy przegrał

bójkę, to bez znaczenia. Mówisz o motywie, jakby to było coś nowego lub pomocnego. Nie znasz dobrze tej sprawy, Frank, więc pozwól, że ci pomogę: Dan Mercer robił zdjęcia nagiemu ośmioletniemu synowi mojego klienta. To wystarczający motyw. Widzisz? Kiedy ktoś molestuje seksualnie twoje dziecko, to dostateczny powód, aby szukać zemsty. Zapisz to sobie. Doświadczony inspektor powinien to wiedzieć. Frank prychnął.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Niestety, Frank, właśnie, że ma. Twierdzicie, że ten wynik badania krwi jest przełomowy dla śledztwa. Ściągnęliśmy nas tu w środku nocy, ponieważ wywarł na was takie wrażenie. Mówię wam, że ten wasz tak zwany dowód... i pomnę tę część, w której rozszarpię na strzępy waszych techników i sposób zbierania dowodów, ponieważ Walker może puścić panu taśmę z naszego pierwszego tete-a-tete... nie ma absolutnie żadnego znaczenia i z łatwością można wytłumaczyć, jak się tam znalazł.

Hester spojrzała na Walkera.

— Nie zamierzam rzucać pustych gróźb, ale czy naprawdę zamierzacie wykorzystać to durne badanie krwi, żeby niesłusznie aresztować mojego klienta za morderstwo?

— Nie za morderstwo — sprostował Tremont. To odrobinę przystopowało Hester.

— Nie?

— Nie. Nie za morderstwo. Myślę o współudziale po fakcie.

Hester odwróciła się do Eda Graysona. Ten wzruszył ramionami. Znów spojrzała na Tremonta.

— Udajmy, że rozdziawiłam usta i przejdźmy od razu do tego, co uważa pan za współudział po fakcie.

— Przeszukaliśmy pokój Dana Mercera w motelu — powiedział Frank Tremont. — Znaleźliśmy to.

Podsunał im fotografię o wymiarach dwanaście na osiemnaście centymetrów. Hester spojrzała na nią — różowy iPhone. Pokazała fotografię Edowi Graysonowi, położywszy dłoń na jego ramieniu, jakby ostrzegała go, żeby nie reagował. Nic nie powiedziała. Grayson też nie. Hester rozumiała pewne podstawowe zasady. Czasem trzeba atakować, a czasem myśleć. Miała skłonność — też mi niespodzianka — za bardzo polegać na ataku i za dużo mówić. Jednak tamci czekali teraz na reakcję. Jakąkolwiek. Nie zamierzała dać im tego, czego chcą. Przeczeka ich.

Minęła kolejna minuta, zanim odezwał się Frank Tremont:

— Ten telefon został znaleziony pod łóżkiem Mercera w jego pokoju hotelowym w Newark, niedaleko miejsca, gdzie teraz siedzimy.

Hester i Grayson nadal milczeli.

— Należy do zaginionej dziewczyny, niejakiej Haley McWaid.

Ed Grayson, emerytowany szeryf federalny, który powinien znać się na takich zagrywkach, jęknął. Hester odwróciła się do niego. Twarz Graysona poszarzała, jakby ktoś odkręcił kurek i wypuścił z niej krew. Hester znów złapała go za ramię i ścisnęła, próbując uspokoić.

Starala się zyskać na czasie.

— Chyba nie myślicie, że mój klient...

— Wiesz, co ja myślę, Hester? — przerwał jej Frank Tremont. Odzyskiwał pewność siebie i mówił coraz głośniej. — Myślę, że pani klient zabił Dana Mercera, ponieważ Mercerowi miało ująć na sucho to, co zrobił synowi pani klienta. Oto, co myślę. Uważam, że pani klient postanowił wziąć sprawy w swoje ręce, i z jednej strony nie mogę go o to winić. Gdyby ktoś zrobił to mojemu dziecku, tak, pewnie, dopadłbym go. Przysięgam na Boga, że bym to zrobił. A potem zatrudniłbym najlepszego prawnika, na jakiego byłoby mnie stać, ponieważ prawda wygląda tak, że ofiara tego przestępstwa jest takim paskudnym, takim obrzydliwym śmieciem, że istotnie można by go zastrzelić na pełnym stadionie Gigantów i nie zostać za to skazanym.

Spojrzał gniewnie na Hester. Ona skrzyżowała ręce na piersi i czekała.

— Jednak jest pewien problem z braniem spraw w swoje ręce. Nie wiadomo, do czego to doprowadzi. I tak teraz... och, bo rozmawiamy czysto hipotetycznie, prawda?... Pani klient zabił jedyne go człowieka, który mógł nam powiedzieć, co się stało z tą siedemnastoletnią dziewczyną.

— O Boże — jęknął Grayson i ukrył twarz w dłoniach.

— Chcę na chwilę zostać z moim klientem sama — powiedziała Hester.

— Po co?

— Po prostu wynoście się stąd. — Zaraz jednak zmieniła

zdanie, nachyliła się do ucha Graysona i szepnęła: — Czy wiesz coś o tym? Grayson spojrział na nią ze zgrozą.

— Oczywiście, że nie.

Hester skinęła głową.

— W porządku.

— Widzi pani, nie sądzimy, że pani klient skrzywdził Haley McWaid — ciągnął Frank. — Jednak jesteśmy cholernie pewni, że zrobił to Dan Mercer. Tak więc teraz musimy wiedzieć wszystko, żeby znaleźć Haley. Wszystko. Łącznie z tym, gdzie jest ciało Mercera. I ścigamy się z czasem. Z tego, co wiemy, Dan przetrzymywał ją w jakiejś kryjówce. Haley może być związana, przerażona, ranna, kto wie? Przekopujemy jego podwórko. Pytamy sąsiadów, współpracowników, znajomych, nawet byłą żonę o miejsca, które lubił odwiedzać. Jednak zegar tyka, a ta dziewczyna może jest gdzieś sama, głodując, dusząc się lub jeszcze gorzej.

— I sądzicie, że trup powie wam, gdzie ona jest? — syknęła Hester.

— To możliwe, owszem. Może znajdziemy jakąś wskazówkę na jego ciele lub w kieszeniach, cokolwiek. Pani klient musi nam powiedzieć, gdzie jest Dan Mercer.

Hester pokręciła głową.

— Naprawdę oczekujecie, że pozwolę, żeby mój klient sam się obciążał?

— Oczekuję, że pani klient postąpi jak należy.

— Z tego, co wiem, mogliście to wszystko zmyślić.

Frank Tremont wstał.

— Co takiego?

— Miałam już do czynienia z policjantami i ich sztuczkami: „Przyznaj się, a ocalimy tę dziewczynę”.

Pochylił się.

— Dobrze przyjrzyj się mojej twarzy. Naprawdę uważasz, że to podstęp?

— Być może.

— Nie — uciał Walker.

— I mam wam uwierzyć na słowo?

Walker i Tremont tylko na nią popatrzyli. Wszyscy czworo wiedzieli, że to prawda. Nawet DeNiro nie potrafiłby tak dobrze udawać.

— Pomimo to nie pozwolę, żeby mój klient się obciążył.

Tremont wstał czerwony na twarzy.

— Czy ty też tak uważasz, Ed?

— Niech pan mówi do mnie, nie do mojego klienta.

Frank ją zignorował.

— Byłeś przedstawicielem prawa. — Nachylił się nad siedzącym ze spuszczoną głową Graysonem. — Zabijając Dana Mercera, możesz być odpowiedzialny za śmierć Haley McWaid.

— Cofnij się — syknęła Hester.

— Będiesz mógł z tym żyć, Ed? Ze swoim sumieniem? Jeśli myślisz, że zamierzam tracić czas na prawnicze manewry...

— Chwileczkę. — Hester nagle odzyskała spokój. — Opierać to powiązanie tylko na tym telefonie?

— Co?

— To wszystko, co macie? Telefon w jego pokoju hotelowym?

— A co, uważasz, że to nie wystarczy?

— Nie o to cię pytałam, Frank. Zapytałam, co jeszcze macie?

— A co cię to obchodzi?

— Po prostu mi powiedz.

Frank Tremont spojrział na Walkera, który kiwnął głową.

— Jego była żona — powiedział Frank. — Mercer bywał w jej domu. Najwyraźniej Haley McWaid też.

— Myślicie, że to tam Mercer poznał tę dziewczynę?

— Tak uważamy.

Hester kiwnęła głową.

— A teraz proszę zwolnić mojego klienta — powiedziała.

— Żartuje pani, prawda?

— Natychmiast.

— Pani klient zniszczył nasz jedyny ślad!

— Mylicie się — warknęła Hester i huknęła: — Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, Ed Grayson dał wam jedyny ślad, jaki macie.

— O czym pani, do diabła, mówi?

— Jak wy, nieudolni idioci, w końcu znaleźliście ten telefon?

Nikt jej nie odpowiedział.

— Przeszukaliście pokój Dana Mercera. Dlaczego? Po nieważ sądziliście, że mój klient go zamordował. Tak więc bez tego nie mielibyście nic. Trzy miesiące śledztwa

i niczego nie mieliście. Aż do dziś. Dopóki mój klient nie dał wam waszego jedyne go śladu. Milczeli. Jednak Hester jeszcze nie skończyła.

— A skoro poruszyliśmy ten temat, Frank, wiem, kim jesteś. Inspektor dochodzeniowy okręgu Essex Frank Tremont, który przed kilkoma laty spaprał sprawę tego głośnego morderstwa. Skompromitowany, zostałeś wylany przez twoją szefową Loren Muse za lenistwo i niekompetencję, prawda? A teraz jesteś tutaj, przy tej ostatniej sprawie, i co się dzieje? Zamiast się wykazać i zrobić wreszcie coś dobrego, nawet nie zadajesz sobie trudu, żeby sprawdzić dobrze znanego pedofila, który najwyraźniej miał kontakt z ofiarą. Jak, do diabła, mogłeś to przeoczyć, Frank?

Twarz Franka Tremonta poszarzała.

— A teraz, jako leniwy gliniarz, masz tupet oskarżać mojego klienta o współudział? Powinieneś mu podziękować. Przez tyle miesięcy prowadziłeś tę sprawę i niczego nie odkryłeś. Teraz jesteś bliższy znalezienia tej biednej dziewczyny niż kiedykolwiek byłeś, dzięki temu, co rzekomo zrobił mój klient.

Frank Tremont nagle oklapł.

Hester skinęła na Graysona. Oboje zaczęli wstawać.

— Dokąd się wybieracie? — zapytał Walker.

— Wychodzimy.

Walker popatrzył na Tremonta, oczekując protestu, ale Tremont jeszcze nie doszedł do siebie. Walker przejął pałeczkę:

— Diabła tam. Pani klient jest aresztowany.

— Chcę, żeby pan mnie posłuchał — Hester teraz mówiła łagodniej, niemal przeprasząc. — Traciecie czas.

— Jak to?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Gdybyśmy wiedzieli coś, co mogłoby pomóc tej dziewczynie, powiedzielibyśmy wam.

Zapadła cisza.

Walker jeszcze nadrabiał miną, ale bez przekonania.

— Dlaczego nie pozwolicie nam zdecydować o tym, co mogłoby pomóc?

— Taak. — Hester wstała, zerkając na Tremonta, a potem znów na Walkera. — Dotychczas obaj zrobiliście tyle, żeby wzbudzić zaufanie. Powinniście skupić się na szukaniu tej biednej dziewczyny, a nie ściganiu człowieka, który w całej tej sprawie może być jedynym pozytywnym bohaterem.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyły się i wszedł młody policjant. Wszyscy na niego spojrzeli.

— Co jest, Stanton? — zapytał Walker.

— Znalazłem coś w jej telefonie. Myślę, że zechce pan to zobaczyć.

19

Frank Tremont i Mickey Walker poszli korytarzem za Stantonem.

— Hester Crimstein to papuga o moralności, jakiej powstydzila by się ulicznica — powiedział Walker do Tre-monta. — Wiesz, że całe to gadanie o niekompetencji miało tylko zbić nas z tropu?

— Yhm.

— Poświęciłeś tej sprawie mnóstwo czasu. I zrobiłeś więcej, niż ktokolwiek by mógł.

— Racja.

— Tak samo jak FBI, specjaliści od sporządzania profili i całe wasze biuro. Nikt nie mógł tego przewidzieć.

— Mickey?

— Taak?

— Jeśli zechcę, żeby ktoś mnie dopieścił, to znajdę kogoś ładniejszego i bardziej kobiecego od ciebie, rozumiesz?

— W porządku, rozumiem.

Stanton zaprowadził ich do narożnego pomieszczenia w podziemiach, gdzie pracowali technicy. Należący do Haley McWaid iPhone był podłączony do komputera. Stanton wskazał monitor.

— To jest zasadniczo wyświetlacz jej telefonu powiększony tak, żebyście mogli go oglądać na ekranie.

— W porządku — rzekł Frank Tremont. — I co z nim?

— Znalazłem coś w użytkach.

— W czym?

— W użytkach. Programach użytkowych telefonu.

Tremont podciągnął opadające spodnie.

— Załóż, że jestem starym dinozaurem, który nadal nie umie zaprogramować wideo.

Stanton nacisnął jakiś guzik. Ekran zrobił się czarny i pojawiły się na nim małe ikony uszeregowane w trzech równych rzędach.

— To są aplikacje iPhona. Widzicie, jest tu iCal, czyli kalendarz, w którym Haley zapisywała swoje zajęcia, takie jak mecze lacrosse i prace domowe, a także tetris, to taka gra, tak samo jak moto chaser, Safari to jej przeglądarka internetowa, a przez iTunes mogła pobierać utwory muzyczne. Haley kocha muzykę. Jest tu drugi program muzyczny o nazwie Shazam, który...

— Chyba łapiemy, w czym rzecz — przerwał mu Walker.

— Racja, przepraszam.

Frank patrzył na iPhone'a Haley. Zastanawiał się, jakiego utworu słuchała ostatnio. Czy lubiła szybki rock, czy

nastrojowe ballady? Jak typowy stary pierdziel Frank nabijał się z tych gadżetów, z dzieciaków ślących SMS-y i e-maile i chodzących ze słuchawkami w uszach, lecz w pewnym sensie to urządzenie jest życiem. W książce adresowej będą zapisani jej przyjaciele, w kalendarzu rozkład zajęć, w jakiejś liście jej ulubione piosenki, a w albumie zdjęcia, na które lubiła patrzeć — takie jak to z Myszką Miki.

Wciąż miał w uszach oskarżenie rzucone przez Hester Crimstein. To prawda, że Dan Mercer nie był nigdy podejrzany o gwałt czy pobicie i wydawało się, że gustuje w dziewczętach młodszych od Haley, a w dodatku fakt, że jego była żona mieszkała w tym samym miasteczku, na pewno nie był znakiem ostrzegawczym. Jednak słowa Crimstein o niekompetencji ubodły go i Frank obawiał się, że była w nich odrobina prawdy.

Powinien był to dostrzec.

— W każdym razie — mówił Stanton — nie zagłębiając się zbytnio w szczegóły, to trochę dziwne. Haley, jak każda nastolatka, pobierała sporo piosenek, ale nie robiła tego, od kiedy znikła. To samo z surfowaniem po sieci. Chcę powiedzieć, że wiemy, jakie witryny odwiedzała, używając iPho-ne'a, ponieważ widać to na serwerze. Kilka razy wchodziła na stronę uniwersytetu stanu Wirginia... domyślałam się, że była zawiedziona, iż nie została przyjęta, mam rację?

— Tak.

— Ponadto szukała jakiejś dziewczyny, Lynn Jalowski, która też gra w lacrosse, jest z West Orange i dostała się na tę uczelnię, więc zgaduję, że sprawdzała rywalkę.

— Wszystko to wiemy — powiedział Frank.

— Racja, z serwera. Tak więc znacie również wiadomości tekstowe, e-maile i tym podobne rzeczy, chociaż muszę powiedzieć, że Haley pisała ich o wiele mniej niż większość jej przyjaciółek. Jednak widzicie, jest tu też osobna aplikacja, o której nie wiedzieliśmy, do korzystania z Google Earth. Pewnie wiecie, co to takiego.

— Oświeć nas — poprosił Frank.

— Patrzcie na to. Właściwie to jest wbudowany GPS.

Stanton podniósł iPhone'a i wywołał zdjęcie Ziemi.

Wielka kula ziemską obracała się, a potem kamera satelity zrobiła zbliżenie i planeta zaczęła rosnąć, pokazując najpierw Stany Zjednoczone, potem Wschodnie Wybrzeże, później New Jersey, aż pojawił się rejestrowany z wysokości około trzydziestu metrów obraz budynku, w którym się znajdowali. Napis głosił: „50 W Market Street, Newark, NJ”. Frankowi opadła szczęka.

— Czy to poda ci wszystkie miejsca, w których był ten iPhone?

— Chciałbym — westchnął Stanton. — Nie. Trzeba uruchomić tę aplikację. Haley tego nie zrobiła. Można jednak wyszukać każdy adres lub miejsce i zobaczyć jego zdjęcie satelitarne. W każdym razie nasi technicy jeszcze się zastanawiają dlaczego, ale ja podejrzewam, że Google Earth jest w tak znacznym stopniu samodzielną przeglądarką że nie znaleźliście na serwerze historii wyszukiwań Haley. Z tej historii można odczytać, kiedy wykonano wyszukiwanie, jakiego miejsca i gdzie.

— A Haley szukała jakichś miejsc?

— Tylko dwóch, od kiedy pobrała tę aplikację.

— Tak?

— Jednym był jej dom. Domyślam się, że kiedy załadowała ten program, włączyła go, a on pokazał jej, gdzie ona jest. Tak więc to się nie liczy.

— A drugi raz?

Stanton kliknął i olbrzymi ziemski glob Google Earth znowu się odwrócił. Patrzyli, jak kamera znów robi zbliżenie New Jersey. Pokazała obszar leśny z jednym budynkiem pośrodku.

— Park Stanowy Ringwood — oznajmił Stanton. — To około sześćdziesięciu kilometrów stąd. W sercu Ramapo Mountains. Ten budynek to Skylands Manor w środku parku. Jest otoczony przez co najmniej pięć tysięcy akrów lasów.

Przez sekundę lub dwie wszyscy milczeli. Frank poczuł, że serce mocniej mu zabiło. Spojrzał na Walkera. Nie zamienili ani słowa. Wiedzieli. Kiedy coś takiego spada na głowę, po prostu się wie. Ten park był bardzo duży. Frank pamiętał, jak przed kilkoma laty kilku fanatyków survivalu przez ponad miesiąc ukrywało się w tamtejszych lasach. Można zbudować tam chatkę, ukryć ją między drzewami i krzakami, zamknąć kogoś w środku.

Albo — oczywiście — zakopać ciało tak, żeby nikt go nigdy nie znalazł.

Tremont pierwszy spojrział na zegarek. Północ. Do świtu jeszcze kilka godzin. Poczł przyływ paniki. Pospiesznie wybrał numer Jenny Wheeler. Gdyby nie odebrała, był

gotowy staranować samochodem jej drzwi, żeby uzyskać odpowiedź.

— Halo?

— Dan lubił piesze wędrówki, tak?

— Tak.

— Miał jakieś ulubione miejsca?

— Wiem, że lubił chodzić po Watchung.

— A w Ringwood?

Cisza.

— Jenno?

Minęła chwila, zanim odpowiedziała.

— Tak — powiedziała. Jej głos brzmiał, jakby dobiegał z bardzo daleka. — Chcę powiedzieć, że przed laty, kiedy byliśmy małżeństwem, często jeździliśmy tam do Cupsaw Brook Loop.

— Proszę się ubrać. Przyślę po panią samochód. — Frank Tremont rozłączył się i odwrócił do Walkera oraz Stanto-na. — Helikoptery, psy, koparki, reflektory, łopaty, zespoły ratowników, strażnicy parku, wszyscy osiągalni ludzie, miejscowi ochotnicy. Ruszajmy.

Walker i Stanton skinęli głowami.

Frank Tremont otworzył telefon. Odetchnął głęboko, znów poczuł ciężar wcześniejszych słów Hester Crimstein, a potem zadzwonił do Teda i Marcii McWaidów.

■ ■ ■

O piątej rano telefon wyrwał Wendy ze snu. Zasnęła zaledwie dwie godziny temu. Siedziała do późna, surfując,

i zaczęła składać wszystko w całość. Żadnych danych o Kelvinie Tilferze. Czy ten wyjątek potwierdzał regułę? Tego jeszcze nie wiedziała. Jednak im dłużej szukała danych pozostałych czterech, im głębiej szperała w ich życiu, tym dziwniejsze wydawały się te skandale byłych współmieszkańców z Princeton.

Na oślepie sięgnęła po telefon i wychrypiąa „halo”.

Vic nie bawił się w uprzejmości.

— Znasz Park Stanowy Ringwood?

— Nie.

— To w Ringwood.

— Musiałeś być błyskotliwym reporterem, Vic.

— Jedź tam.

— Po co?

— Policja szuka tam ciała tej dziewczyny.

Usiadła.

— Haley McWaid?

— Uhm. Uważają, że Mercer zostawił ją w tamtych lasach.

— Co ich na to naprowadziło?

— Moje źródło mówiło coś o Google Earth w jej iPhone.

Wyśle ci ekipę z kamerą.

— Vic?

— Co?

Wendy przegarnęła ręką włosy i spróbowała uspokoić galopujące myśli.

— Nie wiem, czy zdołam to znieść.

— Głupie gadanie. Ruszaj się.

Rozłączył się. Wendy wstała z łóżka, wzięła prysznic i się ubrała. Swój telewizyjny zestaw do makijażu zawsze miała pod ręką, co było trochę chore, jeśli pomyśleć, dokąd się teraz wybierała. Witajcie w świecie wiadomości telewizyjnych. Jak to tak poetycznie ujął Vic, głupie gadanie.

Przeszła obok pokoju Charliego. Panował w nim bałagan, na podłodze leżały zmięte szorty i koszulka, którą nosił wczoraj. Kiedy tracisz męża, przyzwyczajasz się nie marnować czasu na takie drobiazgi. Spojrzała na śpiącego syna i pomyślała o Marcii McWaid. Marcia też obudziła się rano, zajrzała do pokoju swojego dziecka i znalazła puste łóżko. Teraz, kilka miesięcy później, Marcia McWaid czeka na wiadomość, podczas gdy przedstawiciele prawa szukają w parku stanowym jej zaginionej córki.

Właśnie tego nie mogli zrozumieć tacy ludzie jak Ariana Nasbro. Kruchości tego wszystkiego. Kręgów rozchodzących się od jednego okropnego zdarzenia. Tego, jak drobna nieuwaga może strącić cię w otchłań rozpacz. Tego, że może nie da się już niczego naprawić.

A jednak Wendy odmówiła w duchu modlitwę wszystkich rodziców: Nie pozwól, żeby coś mu się stało. Proszę, ochroń go.

Potem wsiadła do samochodu i pojechała do parku stanowego, gdzie policja szukała ciała dziewczyny, której pewnego ranka nie było w łóżku.

20

Słońce weszło o piątej czterdzieści pięć.

Patricia McWaid, młodsza siostra Haley, stała pośród całego tego zamieszania i nie ruszała się. Od kiedy policja znalazła iPhone'a Haley, miała wrażenie, że wróciły te odretwiające pierwsze dni — rozwieszanie plakatów, wydzwanianie do wszystkich przyjaciółek Haley, odwiedzanie jej ulubionych miejsc, aktualizowanie internetowej strony o zaginionej, rozdawanie jej zdjęć w centrach handlowych.

Wydawało się, że śledczy Tremont, który był taki miły dla jej rodziny, w ciągu ostatnich pięciu dni postarzał się o dziesięć lat.

— Jak się masz, Patricio? — zapytał z wymuszonym uśmiechem.

— Dobrze, dziękuję.

Poklepał ją po ramieniu i odszedł. Ludzie często tak ją traktowali. Nie wyróżniała się. Nie była nikim szczególnym. To jej nie martwiło. Większość ludzi niczym się nie wyróż-

nia, chociaż mogą sądzić, że jest inaczej. Patricia była zadowolona ze swojej sytuacji — a przynajmniej do niedawna. Brakowało jej Haley. Patricia nie lubiła zwracać na siebie uwagi. W przeciwieństwie do starszej siostry nie znosiła rywalizacji i unikała publicznych wystąpień. Teraz była smutną znakomitością w szkole i wszystkie dbające o popularność dziewczyny traktowały ją przyjaźnie, chcąc zbliżyć się do niej, żeby móc mówić na prywatkach: „Och, ta zaginiona dziewczyna? Cóż, przyjaźnię się z jej siostrą!”.

Matka Patricii pomagała zebrać grupy poszukiwawcze. Była uosobieniem siły, tak jak Haley, obie miały ten koci chód, jakby nawet, tylko spacerując, rzucały wyzwanie wszystkim wokół. Haley przewodziła. Zawsze. A Patricia słuchała. Niektórzy ludzie myśleli, że to ją martwi. Mylili się. Matka czasem próbowała ją ustawiać, mówiąc: „Powinnaś być bardziej stanowcza”, ale Patricia nigdy nie odczuwała takiej potrzeby. Nie lubiła podejmować decyzji. Była zadowolona, idąc na film, który Haley chciała obejrzeć. Nie obchodziło ją, czy był chiński czy włoski. No i co z tego? Jeśli się nad tym zastanowić, co jest takiego wspaniałego w byciu stanowczym?

Wozy transmisyjne kierowano na ogrodzone linami miejsce, co przypominało jej zaganianie bydła do zagrody przez kowbojów w westernach. Patricia zauważyła tę wytapirowaną kobietę o piskliwym głosie, pracującą dla stacji telewizji kablowej. Jeden z reporterów przekradł się przez kordon i zawołał Patriciępo imieniu. Posłał jej olśniewający uśmiech i pokazał mikrofon, niczym ciastko, którym chciał

zwabić ją do samochodu. Tremont podszedł do reportera i powiedział mu, żeby sp... za kordon.

Ekipa innego wozu zaczęła ustawiać kamerę. Patricia rozpoznała towarzyszącą im piękną dziennikarkę. Jej syn, Charlie Tynes, chodził do ich szkoły. Kiedy Charlie był mały, jego ojciec został zabity przez pijanego kierowcę. Patricii opowiedziała o tym matka. Ilekroć spotykały panią Tynes na meczu, w supermarkecie lub gdzie indziej, Patricia, Haley i ich mama milkły, jakby z szacunku, a może ze strachu. Patricia domyślała się, że pewnie zastanawiały się, jak by wyglądało ich życie, gdyby pijany kierowca zrobił coś takiego ich ojcu.

Przybyli kolejni policjanci. Ojciec powitał ich, z wymuszonym uśmiechem ściskając im dłonie, jakby kandydował na jakiś urząd. Patricia była bardziej podobna do niego — płynęła z prądem. Jednak ojciec się zmienił. Zapewne jak wszyscy troje, lecz w nim coś pękło i nie była pewna, czy znów będzie dobrze, nawet jeśli Haley wróci do domu. Wciąż wyglądał tak samo, tak samo się uśmiechał, próbował śmiać się, wygłupiać i robić te wszystkie rzeczy, które czyniły go, no cóż, nim, ale to było tak, jakby był pusty w środku, jakby ktoś opróżnił całe jego wnętrze albo filmowi obcy z kosmosu zastąpili go bezdusznym klonem.

Policjanci mieli psy, olbrzymie dogi, i Patricia do nich podeszła.

— Mogę je pogłaskać? — zapytała.

— Pewnie — odparł policjant po krótkim wahaniu.

Patricia podrapała jednego psa za uchem. Wywiesił jęzor z zadowolenia.

Ludzie dużo mówią o tym, w jakim stopniu rodzice kształtują swoje dzieci, ale w jej życiu dominującą rolę odgrywała Haley. Kiedy w drugiej klasie koleżanki zaczęły dokuczać Patricii, Haley pobiła jedną, ostrzegając w ten sposób pozostałe. Kiedy jacyś faceci zaczęli je przy Madison Square Garden — dokąd Haley zabrała siostrę, żeby zobaczyła Taylor Swift — Haley stanęła przed nimi i powiedziała, żeby się, do cholery, zamknęli. W Disneylandzie rodzice na jeden wieczór puścili Haley i Patricię same. Spotkały jakichś starszych chłopców i spiły się w All-Star Sports Resort. Dobrej dziewczynie może coś takiego ująć na sucho. Nie, żeby ona nie była dobra — Haley na pewno tak — ale była jeszcze nastolatką. Tamtego wieczoru, wypiwszy pierwsze piwo w życiu, Patricia spiknęła się z niejakim Parkerem, ale Haley dopilnowała, żeby chłopak nie posunął się za daleko.

— Zaczniemy w głębi lasu — usłyszała, jak śledczy Tremont mówi do opiekuna psów.

— Dlaczego w głębi?

— Jeśli ona żyje i ten drań zbudował jakiś szałas, żeby ją w nim ukryć, musiał to zrobić daleko od szlaków, inaczej ktoś by już go zauważył. Jeśli jednak ona jest blisko szlaku...

Zamilkł. Patricia była pewna, że urwał, ponieważ zdał sobie sprawę, iż ona jest w pobliżu. Popatrzyła na las, głaszcząc psa i udając, że tego nie słyszała. Przez ostatnie trzy miesiące nie dopuszczała do siebie tej myśli. Haley

jest silna. Przetrwa. Jej starsza siostra wplątała się w jakąś dziwną aferę, ale wkrótce wróci do domu.

Teraz jednak, patrząc na las i głaszcząc psa, wyobraziła sobie to niepojęte: Haley samą, przestraszoną, raną i zapłakaną. Patricia zacisnęła powieki. Podszedł do niej Frank Tremont. Stał przed nią, odkaszlnął i zaczął, aż otworzy oczy. Po chwili Patricia zrobiła to. Czekwała na słowa pocieszenia. On jednak milczał. Stał tylko, przestępując z nogi na nogę, niezdecydowany.

Tak więc Patricia znów zamknęła oczy i nadal głaskała psa.

21

Wendy stała przed taśmą ogradzającą miejsce przestępstwa i mówiła do mikrofonu ze znaczkiem NTC News pod siateczką.

— Tak więc czekamy na jakieś informacje — zakończyła, starając się mówić poważnie, lecz nie wpadać w melodramatyczny ton, typowy dla prezenterek telewizyjnych. — Z Parku Stanowego Ringwood na północy New Jersey mówiła Wendy Tynes, NTC News.

Opuściła mikrofon.

— Chyba powinniśmy to powtórzyć — powiedział Sam, jej kamerzysta.

— Dlaczego?

— Rozwiązał ci się kucyk.

— Nie szkodzi.

— No już, popraw gumkę. To ci zajmie dwie minuty. Vic będzie chciał powtórzyć to ujęcie.

— Pieprzyć Vica.

Sam przewrócił oczami.

— Żartujesz, prawda?

Nie odpowiedziała.

— Hej, przecież to ty się wkurzasz, kiedy puszczaamy ujęcie z rozmazanym makijażem. Nagle zmieniłaś zapat rywania? Daj spokój, zróbmy jeszcze jedno ujęcie.

Wendy oddała mu mikrofon i odeszła. Sam ma rację, oczywiście. Jest reporterką wiadomości telewizyjnych. Każdy, kto sądzi, że w tej branży wygląd nie ma znaczenia, jest albo naiwniakiem, albo idiotą. Oczywiście, że wygląd ma znaczenie — tak więc Wendy stroiła się do występów przed kamerą i powtarzała ujęcia w równie ponurych sytuacjach jak ta.

Krótko mówiąc, dodajcie „hipokrytka” do jej coraz dłuższej listy wad.

— Dokąd idziesz? — chciał wiedzieć Sam.

— Mam komórkę. Zadzwoń, gdyby coś się działo.

Ruszyła do swojego samochodu. Zamierzała zadzwonić do Phila Turnballa, ale potem przypomniała sobie słowa jego żony Sherry, która powiedziała, że mąż spędza każdy ranek, studiując ogłoszenia w Suburban Diner przy drodze numer siedemnaście. To zaledwie dwadzieścia minut stąd. Niegdysiejsze typowe zajazdy New Jersey miały cudowne błyszczące ściany z aluminium. Nowsze — przez nowsze należy rozumieć zbudowane po 1968 roku — miały fasadę z imitacji kamienia, która budziła u Wendy tęsknotę za, no cóż, aluminium. Jednak wnętrza bardzo niewiele się zmieniły. Nadal były tam małe szafy grające przy każdym

stoliku, bar z obrotowymi taboretami, pączki pod szklanymi nakryciami w stylu Batmana, wyblakłe fotografie z autografami miejscowych znakomitości, o których nikt nigdy nie słyszał, w kasie ponury facet z włosami sterczącymi z uszu i kelnerka, która mówiła do każdego „złotko”, za co się ją uwielbiało.

Z szafy grającej płynął przebój Spandau Ballet z lat osiemdziesiątych *Tnie* — dziwny wybór jak na szóstą rano. Phil Turnball siedział w kącie. Miał na sobie szary garnitur w prążki i żółty krawat, który kiedyś nazywano „śledziem”. Nie czytał gazety. Wpatrywał się w kawę, jakby kryła się w niej jakaś odpowiedź.

Wendy podeszła i czekała, aż podniesie głowę. Nie zrobił tego.

— Skąd wiedziałaś, że tu jestem? — zapytał, nadal ze spuszczonej oczami.

— Twoja żona wspomniała, że tutaj bywasz.

Uśmiechnął się, ale bez odrobiny wesołości.

— Wie?

Wendy nie odpowiedziała.

— Powiedz mi, jak dokładnie przebiegła ta rozmowa. „Och, ten żaloszny Phil codziennie rano jedzie do tego zajazdu i użala się nad sobą”?

— Wcale nie.

— Właśnie.

To nie był temat wart zgłębiania.

— Masz coś przeciwko temu, że usiądę?

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

Gazeta była otwarta na stronie z artykułem o iPhone Haley znalezionym w pokoju motelowym Dana Mercera.

— Czytałeś o Danie?

— Tak. Nadal chcesz go bronić? Czy to od początku była bujda?

— Nie nadążam.

— Czy już wczoraj wiedziałaś o tym, że Dan porwał tę dziewczynę? Pomyślałaś, że nie zechcę z tobą rozmawiać, jeśli powiesz, o co naprawdę ci chodzi, dlatego udawałaś, że chcesz przywrócić mu dobre imię?

Wendy usiadła przy stoliku naprzeciwko niego.

— Nigdy nie mówiłam, że chcę przywrócić mu dobre imię. Powiedziałam, że chcę poznać prawdę.

— Bardzo szlachetnie.

— Dlaczego jesteś tak wrogo nastawiony?

— Widziałem, jak wczoraj wieczorem rozmawiałaś z Sherry.

— Tak, i co z tego?

Phil Turnbull wziął filiżankę z kawą w obie ręce, palec jednej wsuwając w uszko i podtrzymując ją drugą.

— Chciałaś, żeby namówiła mnie do współpracy.

— Powtórzę: tak, i co z tego?

Upił łyk i delikatnie odstawił filiżankę.

— Nie wiedziałem, co myśleć. No wiesz, część tego, co mówiłaś o tym, że Dan został wrobiony, miała sens. Jednak teraz... — Ruchem brody wskazał artykuł o iPhone Haley. — Czego chcesz?

— Może potrafisz pomóc znaleźć tę dziewczynę.

Pokręcił głową i zamknął oczy.

— Co?

— Przynieść pani coś? — zapytała kelnerka z rodzaju tych, które ojciec Wendy nazywał „zdzirami” — wielka, źle tleniona blondyna z długopisem za uchem.

Niech to szlag, pomyślała Wendy. Blondyna nie nazwała jej „złotkiem”.

— Nie, dziękuję.

Kelnerka odpłynęła. Phil nadal miał zamknięte oczy.

— Phil?

— Mówiąc między nami?

— W porządku.

— Nie wiem, jak to powiedzieć tak, żeby nie wydało się czymś, czym nie jest.

Wendy czekała, starając się zostawić mu trochę swobody.

— Widzisz, Dan i ta historia z seksem...

Zamilkł. Wendy już miała go ponaglić. Historia z seksem? Próba spotkania z nieletnią dziewczyną i być może porwanie drugiej to nie jest coś, co można nazwać „historią z seksem”. Jednak to nie była odpowiednia chwila na prawienie morałów. Tak więc znów nic nie powiedziała i czekała.

— Nie zrozum mnie źle. Nie mówię, że Dan był pedo filem. To nie było tak.

Znów urwał i tym razem Wendy nie była pewna, czy znowu zacznie bez zachęcania.

— A jak? — spytała.

Phil zaczął mówić, urwał i pokręcił głową.

— Powiedzmy, że Dan nie miał nic przeciwko temu, by rwać je, kiedy są młode, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Wendy podupadła na duchu.

— Mówiąc o rwaniu ich, kiedy są młode...

— Był czas... tylko pamiętaj, że to było ponad dwadzieścia lat temu, dobrze? Jednak był czas, kiedy Dan preferował towarzystwo młodszych dziewcząt. To nie była pedofilia ani nic takiego. Nic chorego. Jednak lubił chodzić na prywatki licealistów. Zapraszał młode dziewczyny na imprezy w miasteczku akademickim, takie rzeczy.

Wendy zaschło w ustach.

— Jak młode?

— Nie wiem. Nie prosiłem ich o okazanie dowodów tożsamości.

— Jak młode, Phil?

— Jak już powiedziałem, nie wiem. — Wiercił się na krześle. — Pamiętaj, że byliśmy na pierwszym roku studiów. Sami mieliśmy osiemnaście lub dziewiętnaście lat. No więc może te dziewczyny były z liceum. I co z tego? Dan miał wtedy chyba osiemnaście lat. Tak więc te dziewczyny były od niego o dwa, może trzy lub cztery lata młodsze.

— Cztery lata? To byłaby czternastolatka.

— Nie wiem. Tak tylko mówię. I wiesz, jak to jest. Niektóre czternastolatki wyglądają na znacznie starsze. Przez to, jak się ubierają i w ogóle. Jakby chciały podobać się starszym facetom.

— Nie rozwijaj tego tematu, Phil.

— Masz rację. — Przetarł twarz rękami. — Boże, mam

córki w tym wieku. Nie bronię go. Próbuje tylko wyjaśnić. Dan nie był zbrojcem ani gwałcicielem, ale jednak, no cóż, myśl, że mógłby poderwać młodszą dziewczynę? Z tym mogę się zgodzić. Jednak to, że porwałby, uprowadził i skrzywdził jakąś młodą dziewczynę... Tego zupełnie sobie nie wyobrażam.

Zamilkł i odchylił się do tyłu. Wendy siedziała nieruchomo. Zastanawiała się nad tym, co wie o zniknięciu Haley McWaid. Nie było włamania. Śladów użycia przemocy. Żadnych telefonów. Wiadomości tekstowych. E-maili. Żadnych oznak porwania. Nawet łóżko było pościelone.

Może wszyscy się mylili?

W jej głowie zaczęła się formować nowa teoria. Była niekompletna, oparta na wielu domysłach i założeniach, ale musiała ją sprawdzić. Następny krok: wrócić do parku i znaleźć szeryfa Walkera.

— Muszę jechać.

Spojrzał na nią.

— Sądzisz, że Dan skrzywdził tę dziewczynę?

— Już sama nie wiem. Naprawdę.

22

Wendy zadzwoniła z samochodu do szeryfa Walkera. Połączenie zostało trzykrotnie przekierowane, zanim Walker odebrał.

— Gdzie pan jest? — spytała.

— W lesie.

Cisza.

— Jest już coś?

— Nie.

— Znajdzie pan dla mnie pięć minut?

— Właśnie wracam do Skylands Manor. Na miejscu jest niejaki Frank Tremont. To on prowadzi sprawę Haley McWaid.

To nazwisko coś jej mówiło. Robiła reportaże o kilku sprawach, które kiedyś prowadził. Facet był starym gliniarzem, dość sprytnym, bardzo cynicznym.

— Znam go.

— Doskonale. Spotkamy się tam.

Rozłączyła się. Wróciła do Ringwood, zaparkowała tam gdzie inni reporterzy, i podeszła do policjanta pilnującego wejścia za żółtą taśmę. Sam złapał kamerę i chciał pójść za nią. Powstrzymała go, kręcąc głową. Przystanął zaskoczony. Wendy podała policjantowi swoje nazwisko i została przepuszczona. Innym reporterom to się nie spodobało. Podbiegli i też zaczęli domagać się, by ich wpuszczono. Wendy nawet się nie odwróciła.

— Szeryf Walker i śledczy Tremont powiedzieli, żeby pani tu zaczekała — oznajmił jej inny policjant, kiedy doszła do namiotu.

Kiwnęła głową i usiadła na składanym krzeselku, takim, z jakich korzystali rodzice kibicujący swoim dzieciom na meczach piłki nożnej. Dziesiątki samochodów policyjnych — oznakowanych lub nie — stały zaparkowane na każdym nadającym się do tego miejscu. Wokół roilo się od mundurowych i tajniaków, a kilku z nich nosiło eleganckie kamizelki FBI. Wielu używało laptopów. W oddali Wendy słyszała charakterystyczny warkot helikoptera.

Na skraju lasu stała samotnie dziewczynka, w której Wendy rozpoznała Patricję McWaid, młodszą siostrę Ha-ley. Wendy zastanawiała się, czy to dobry moment, czy nie, lecz te rozważania nie trwały długo. Okazja sama puka do drzwi i tak dalej. Ruszyła w kierunku dziewczynki, mówiąc sobie, że nie chodzi jej o zrobienie wielkiego reportażu, ale o ustalenie, co naprawdę przydarzyło się Haley i Danowi.

W jej głowie zagnieździła się nowa teoria. Patricia

McWaid może mieć informacje, które potwierdzą ją lub obalą.

— Cześć — powiedziała Wendy do dziewczynki.

Ta drgnęła przestraszona. Odwróciła się twarzą do Wendy.

— Hej.

— Nazywam się Wendy Tynes.

— Wiem. Mieszka pani w naszym miasteczku. I pracuje w telewizji.

— Zgadza się.

— Zrobiła pani reportaż o tym mężczyźnie, który miał telefon Haley.

— Tak.

— Myśli pani, że zrobił jej krzywdę?

Bezpośredniość dziewczynki zaskoczyła Wendy.

— Nie wiem.

— Gdyby miała pani zgadywać, myśli pani, że ją skrzywdził?

Wendy się zastanowiła.

— Nie sądzę, nie.

— Dlaczego nie?

— Po prostu tak uważam. Bez żadnego powodu. Tak jak powiedziałam, naprawdę nie wiem.

Patricia kiwnęła głową.

— Rozumiem.

Wendy zastanawiała się, jak to rozegrać. Zacząć od niewinnego: „Czy ty i siostra byłyście bardzo zżyte?”. Zwykle w ten sposób zaczynało się każdy wywiad. Od jakiegoś niewinnego pytania. Rozluźnij ich, nawiąż nić

porozumienia, wprowadź w rytm. Chociaż czas naglił — Tremont lub Walker mogli pojawić się w każdej chwili — wyczuwała, że to złe podejście. Ta dziewczynka była taka bezpośrednia. Wendy powinna spróbować tego samego.

— Czy twoja siostra wspomniała kiedyś o Danie Mer-cerze?

— Policja mnie o to pytała.

— I?

— Nie. Haley nigdy o nim nie wspominała.

— Czy Haley miała chłopaka?

— Policja też mnie o to pytała. Pierwszego dnia po jej zniknięciu. Od tamtej pory śledczy Tremont pytał o to chyba z milion razy. Jakbym coś ukrywała.

— A ukrywałaś?

— Nie.

— Zatem miała chłopaka?

— Tak myślę, tak. Jednak nie wiem na pewno. To była jakby tajemnica. Haley potrafiła być bardzo skryta w takich sprawach.

Wendy poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

— W jaki sposób?

— Czasem wymykała się i spotykała z nim.

— Skąd o tym wiesz?

— Mówiła mi. No wie pani, żebym ją kryła, gdyby rodzice pytali.

— Jak często to robiła?

— Może dwa lub trzy razy.

— Czy prosiła, żebyś ją kryła tamtej nocy, kiedy znikła?

— Nie. Ostatni raz zdarzyło się to tydzień wcześniej.

Wendy zastanowiła się nad tym.

— I powiedziałaś to wszystko policji?

— Pewnie. Pierwszego dnia.

— Czy znaleźli tego chłopaka?

— Tak myślę. To znaczy, mówili, że go znaleźli.

— Możesz mi powiedzieć, kto to był?

— Kirby Sennett. Z naszej szkoły.

— Myślisz, że to był Kirby?

— To znaczy, czy on był jej chłopakiem?

— Tak.

Patricia wzruszyła ramionami.

— Chyba tak.

— Nie wydajesz się tego pewna.

— Jak już mówiłam, nie podała mi jego nazwiska. Miałam tylko ją kryć.

Nad ich głowami przeleciał helikopter. Patricia osłoniła oczy dłonią i spojrzała w górę. Z trudem przełknęła ślinę.

— To wszystko wciąż wydaje się nierealne. Jakby pojechała na wycieczkę i pewnego ranka miała wrócić do domu — powiedziała.

— Patricio?

Dziewczynka spojrzała na Wendy.

— Uważasz, że Haley uciekła z domu?

— Nie.

Tak po prostu.

— Wydaje się, że jesteś tego pewna.

— Dlaczego miałyby uciec? Jasne, może lubiła się od

czasu do czasu wymknąć i wypić drinka albo coś. Jednak Haley była szczęśliwa, rozumie pani? Lubiała szkołę. Lubiała lacrosse. Swoich przyjaciół. I kochała nas. Dlaczego miałyby uciekać? Wendy zastanowiła się nad tymi słowami.

— Pani Tynes?

— Tak?

— Co pani o tym sądzi?

Nie chciała okłamywać tej dziewczynki. A także nie chciała jej tego mówić. Odwróciwszy wzrok, Wendy namyślała się trochę za długo.

— Co się tu dzieje?

Obie się odwróciły. Okręgowy inspektor dochodzeniowy Frank Tremont stał obok szeryfa Walkera. Nie wyglądał na zadowolonego. Zerknął na Walkera. Ten skinął głową.

— Patricio, może pójdziesz ze mną? — powiedział.

Walker i Patricia poszli w kierunku namiotu policyjnego, zostawiając Tremonta z Wendy. Tremont ściągnął brwi.

— Hej, mam nadzieję, że to nie był podstęp, żeby porozmawiać z członkiem rodziny.

— Nie był.

— Więc co pani ma?

— Dan Mercer lubił młodsze dziewczyny.

Tremont obrzucił ją obojętnym spojrzeniem.

— Oo, to naprawdę pomocne.

— Coś w całej tej sprawie Dana Mercera od początku nie daje mi spokoju — ciągnęła. — Nie ma powodu, żeby

teraz wglębiać się w szczegóły, ale nigdy nie potrafiłam uznać go za z gruntu złego ludzkiego drapieżcę. Właśnie rozmawiałam z jego dawnym kolegą z Princeton. Nie może uwierzyć, że Dan mógł kogoś porwać.

— Oo, to również bardzo nam pomoże.

— Jednak potwierdził, że Dan lubił młodsze dziewczyny. Nie mówię, że ten gość nie był kupą łajna. Wszystko wskazuje na to, że był. Jednak chodzi mi o to, że robił to raczej za obopólną zgodą.

Na Tremoncie nie wywarło to szczególnego wrażenia.

— I co?

— I Patricia mówi, że Haley miała chłopaka.

— To żadna tajemnica. To pozujący na punka łajza, Kirby Sennett.

— Jest pan tego pewny?

— Pewny czego? — Tremont się zastanowił. — Chwila, co pani chce przez to powiedzieć?

— Według Patricii Haley kilka razy wymknęła się z domu, ostatni raz tydzień przed zniknięciem. Patricia powiedziała, że Haley prosiła, żeby ją kryła.

— Zgadza się.

— A wy doszliście do wniosku, że spotkała się z Kirbym?

— Tak.

— Czy Kirby to potwierdził?

— Nie całkiem. Widzi pani, są dowody, że ze sobą chodzili. Kilka SMS-ów, e-maile, takie rzeczy. Wygląda na to, że Haley podobał się pomysł trzymania tego w tajemnicy, zapewne dlatego, że ten chłopak to punk. Nic szczególnego.

Dzieciak skorzystał z prawa do adwokata. Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego, nawet jeśli jest się niewinnym. Bogaci rodzice, rozpuszczony dzieciak, zna pani to.

— I to był ten chłopak Haley?

— Na to wygląda. Jednak Kirby powiedział nam, że on i Haley zerwali ze sobą mniej więcej tydzień przed jej zniknięciem. Wtedy, kiedy ostatni raz wymknęła się z domu.

— I oczywiście przyjrzelście się temu Kirby'emu?

— Pewnie, ale ten dzieciak to zwyczajny dupek. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Sprawdzaliśmy go dokładnie i długo. Był w Kentucky, kiedy ona znikła. Ma absolutnie niepodważalne alibi. Sprawdziliśmy je na wszystkie strony. W żaden sposób nie mógł mieć z tym nic wspólnego, jeśli do tego pani zmierza.

— Nie do tego zmierzam — powiedziała Wendy.

Tremont chwycił za klamrę paska i podciągnął spodnie.

— Zechce się pani podzielić z nami swoim odkryciem?

— Dan Mercer umawia się z młodszymi dziewczynami.

Haley McWaid opuszcza dom... brak śladów użycia przez mocny, włamanie, czegokolwiek. Chcę powiedzieć, że może tym tajemniczym chłopakiem nie był Kirby Sennett. Może był nim Dan Mercer.

Tremont nie spieszył się z odpowiedzią. Wyglądał, jakby przeżuwał coś, co ma paskudny smak.

— Zatem uważa pani, że co, Haley dobrowolnie uciekła z tym zboczeńcem?

— Jeszcze nie jestem gotowa posunąć się tak daleko.

— To dobrze. — W głosie Tremonta zabrzmiała stalowa

nuta. — Ponieważ to porządna dziewczyna. Naprawdę dobre dziecko. Nie chcę, żeby jej rodzice wysłuchiwali takich bzdur. Nie zasłużyli na to.

— Nie wyciągam żadnych pochopnych wniosków.

— W porządku. Tylko żebyśmy mieli jasność.

— Zupełnie teoretycznie — zastrzegła Wendy — założmy, że Haley jednak uciekła z Mercerem. To by wyjaśniało, dlaczego nie było żadnych śladów użycia przemocy. I może tłumaczyłoby również obecność tego iPhone'a w pokoju motelowym.

— W jaki sposób?

— Haley ucieka z Danem Mercerem. On potem zostaje zabity. Tak więc ona ucieka z motelu i nie ogląda się za siebie. Niech się pan nad tym zastanowi. Jeśli Dan Mercer wprowadził ją i zabił, po co zatrzymałby jej iPhone'a?

— Jako trofeum?

Wendy ściągnęła brwi.

— Naprawdę pan w to wierzy?

Tremont nie odpowiedział.

— Znaleźliście ten park stanowy przez jej Google Earth, zgadza się?

— Zgadza.

— Założmy, że jest pan Haley. Nie szukałby pan przez Internet miejsca, gdzie porywacz pana uwięzi lub zabije.

— Jednak — dokończył za nią Tremont — szukałbym miejsca, gdzie mam się spotkać ze swoim chłopakiem, żeby z nim uciec.

Wendy pokiwała głową.

Tremont westchnął.

— To dobra dziewczyna.

— Nie dokonujemy tu żadnych moralnych osądów.

— Nie?

Wendy pozostawiła to bez odpowiedzi.

— Powiedzmy, że ma pani rację. Gdzie jest teraz Haley?

— Nie wiem.

— I dlaczego zostawiła swój telefon w motelu?

— Może musiała uciekać? Może z jakiegoś powodu nie mogła wrócić do swojego pokoju? Może się boi, ponieważ Dan został zabity, i się ukrywa?

— Więc musiała uciekać — powtórzył Tremont, przechylając głowę. — I co, zostawiła iPhone'a pod łóżkiem?

Wendy się nad tym zastanowiła. Nie przychodziło jej do głowy żadne wyjaśnienie.

— Załatwmy to krok po kroku — zaproponował Tremont. — Po pierwsze, pošlę kilku ludzi do tego motelu... do tych wszystkich nędznych nor, w których Dan mieszkał, żeby sprawdzili, czy ktoś widział go z nastoletnią dziewczyną.

— Dobrze — powiedziała Wendy. I dodała: — Jeszcze jedno.

— Co?

— Kiedy spotkałam Dana, zanim został zastrzelony, był przez kogoś ciężko pobity.

Tremont natychmiast pojął, do czego Wendy zmierza.

— Tak więc uważa pani, że Haley McWaid, jeśli z nim była, mogła być świadkiem tego pobicia. — Skinęła głową. — Może dlatego uciekła.

Jednak teraz, kiedy zostało to powiedziane głośno, nie zabrzmiało dobrze w jej uszach. Była w tym jakaś fałszywa nuta. Wendy próbowała ją wychwycić. Wciąż było w tym coś więcej — na przykład, w jaki sposób łączyły się z tym skandale z udziałem byłych mieszkańców pokoju sto dziewięć w akademiku Stearns? Już miała przedstawić tę sprawę Tremontowi, ale w tym momencie wydawało się to zbyt mgliste. Powinna lepiej się temu przyjrzeć. A to oznaczało powrót do Phila i Sherry Turnballów, może telefony do Farleya Parksa i Stevena Miciano oraz próbę odnalezienia Kelvina Tilfera.

— Zatem może powinniście ustalić, kto napadł na Dana Mercera — powiedziała.

Tremont uśmiechnął się krzywo.

— Hester Crimstein ma na ten temat interesującą teorię.

— Hester Crimstein, ta telewizyjna sędzia?

— Właśnie. Jest także adwokatem Eda Graysona. Według jej hipotetycznego przebiegu wydarzeń, to jej klient pobił Dana Mercera.

— Jak na to wpadła?

— Widzi pani, znaleźliśmy krew Dana Mercera w samochodzie Graysona. Twierdziliśmy, że wraz z pani zeznaniem jest to niezbity dowód na to, że Grayson zamordował Mercera.

— W porządku.

— Jednak Crimstein... Boże, ona jest naprawdę dobra... mówi, dobra, wasz świadek, czyli pani, powiedział, że Mercer został pobity. Tak więc może, mówi nam, Grayson

i Mercer pobili się dzień lub dwa dni wcześniej. I może w ten sposób ta krew znalazła się w samochodzie?

— I kupiliście to wytłumaczenie?

Tremont wzruszył ramionami.

— Niezupełnie, ale nie w tym rzecz.

— To bardzo sprytnie z jej strony — zauważyła Wendy.

— Taa. Crimstein i Grayson właściwie wymyślili sposób zanegowania wszystkich dowodów. Mamy wynik badania DNA tej krwi, ale bójka jest wiarygodnym wyjaśnieniem, Owszem, Grayson miał resztki prochu na rękę, ale właściciel strzelnicy Gun-O-Rama potwierdził, że widział go tam godzinę po tym, jak na pani oczach zastrzelił Mercera. Właściciel mówi, że Grayson jest jednym z najlepszych strzelców, jakich widział, więc dobrze go pamięta. Pani była świadkiem, jak zabił Dana Mercera, ale nie ma ciała ani broni, a on nosił maskę.

Coś usiłowało się wydostać z podświadomości Wendy. Było tam, już niemal uchwytnie, lecz wciąż poza zasięgiem.

— Wie pani, o co zamierzam teraz poprosić, prawda? — zapytał Tremont.

— Tak sędzę.

— McWaidowie przeszli przez piekło. Nie chcę przysparzać im cierpień. Nie może pani na razie puścić tego w eter.

Wendy nic nie odpowiedziała.

— Poza tym nie mamy nic poza niedopracowanymi teoriami — ciągnął. — Obiecuję, że jeśli coś znajdziemy, dowie się pani pierwsza. Jednak dla dobra śledztwa i ro-

dziców Haley na razie nie może pani tego puścić. Umowa stoi?

To coś nadal tkwiło w jej podświadomości. Tremont czekał.

— Umowa stoi — powiedziała wreszcie.

■ ■ ■

Wróciwszy za żółtą taśmę, Wendy tylko z umiarkowanym zdziwieniem zobaczyła Eda Graysona opartego o jej samochód. Starał się zrobić obojętną minę, ale niezbyt mu to wychodziło. Bawił się papierosem. Włożył go do ust i zaciągnął się tak, jakby tkwił głęboko pod wodą i złapał ustnik aparatu tlenowego.

— Przyczepia pan następny GPS do mojego zderzaka? — zapytała.

— Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

— Jasne. Tylko sprawdzał pan powietrze w oponie, prawda?

Grayson znów się zaciągnął. Nie ogolił się, ale można to było powiedzieć o ponad połowie mężczyzn, którzy wstali o tak wczesnej porze. Miał przekrwione oczy. Wyglądał znacznie gorzej niż człowiek, który zaledwie dzień wcześniej z przekonaniem wyniszczał jej swoje teorie o własnoręcznym wymierzaniu sprawiedliwości. Przypomniała sobie to i jego wizytę w jej domu.

— Naprawdę pan myślał, że pomogę panu go zabić? — zapytała.

— Szczerze?

— Byłoby miło, tak.

— Mogła się pani zgodzić z moimi teoretycznymi wywodami. Może nawet zawahać się, kiedy przypomniałem Ariane Nasbro. Jednak nie, nigdy nie myślałem, że mi pani pomoże.

— Zatem to był tylko strzał na oślep?

Nie odpowiedział.

— Czy może ta wizyta była jedynie pretekstem do podłożenia mi nadajnika GPS?

Ed Grayson powoli pokręcił głową.

— Co takiego? — spytała.

— Nie ma pani zielonego pojęcia, prawda, Wendy?

Zrobiła krok w kierunku drzwiczek wozu.

— Po co pan tu przyszedł, Ed?

Spojrzał na las.

— Chciałem pomóc w poszukiwaniach.

— Nie pozwolili panu?

— A jak pani myśli?

— To brzmi tak, jakby miał pan poczucie winy. Znowu się zaciągnął.

— Niech mi pani wyświadczy przysługę, Wendy, i daruje sobie psychoanalizę.

— No to czego pan ode mnie chce?

— Opinii.

— O czym?

Trzymał papierosa czubkami palców i przyglądał mu się, jakby szukał w nim odpowiedzi.

— Myśli pani, że Dan ją zabił?

Zastanawiała się, jak na to odpowiedzieć.

— Co pan zrobił z jego ciałem?

— Pani pierwsza. Czy Dan zabił Haley McWaid?

— Nie wiem. Może tylko zamknął ją gdzieś i w tej chwili przez to, co pan zrobił, ona umiera z głodu.

— Niezła próba. — Podrapał się po policzku. — Jednak policja już próbowała wzbudzić we mnie poczucie winy.

— Nie udało im się?

— Nie.

— Powie mi pan, co pan zrobił z ciałem?

— No cóż... Nie. Mam. Pojęcia. O. Czym. Pani. Mówi.

To do niczego nie prowadziło, a ona musiała już jechać.

To, co tkwiło w jej podświadomości, miało coś wspólnego z jej poszukiwaniami informacji o grupie z Princeton. Dan i Haley uciekający razem... Cóż, może. Jednak co z tymi wszystkimi skandalami związanymi z jego byłymi współmieszkańcami? Może to nic takiego. Zapewne nic. Jednak brakowało jej dużego fragmentu układanki.

— No to czego pan ode mnie chce? — zapytała.

— Usiłuję dojść do tego, czy Dan naprawdę porwał tę dziewczynę.

— Dlaczego?

— Chyba po to, żeby pomóc w śledztwie.

— Żeby lepiej sypiać w nocy?

— Może.

— No to jaka odpowiedź zapewni panu spokojny sen?

— Nie nadażam.

— Cóż, jeśli Dan zabił Haley, czy poczuje się pan lepiej

z tym, czego się pan dopuścił? Jak już pan powiedział, on nieuchronnie znów by to zrobił. Pan go powstrzymał, aczkolwiek trochę za późno. A jeśli Dan jej nie zabił, to cóż, nadal pan uważa, że skrzywdziłby jakąś inną dziewczynę, prawda? Zatem tak czy inaczej, zabójstwo było jedynym sposobem, żeby go powstrzymać. Wydaje się, że nie będzie pan mógł zasnąć tylko wtedy, jeśli Haley jest gdzieś tam żywa, a pan jeszcze pogorszył jej sytuację. Ed Grayson pokręcił głową.

— Zapomnijmy o tej rozmowie.

Zaczął odchodzić.

— Czyżbym coś przeoczyła? — zapytała.

— Jak już powiedziałem — Grayson odrzucił papierosa i nawet nie zwolnił kroku — nie ma pani zielonego pojęcia.

23

I co teraz?

Wendy mogła nadal szukać śladów dowodzących, że Dan i Haley łączył jakiegoś rodzaju dobrowolny, aczkolwiek niewłaściwy związek, tylko jaki miałyby to sens? Policja już знаła tę teorię. Sprawdzają. Powinna zaatakować z innej strony.

Tych pięciu współmieszkańców z Princeton.

Czterech z tej piątki w ciągu ubiegłego roku zniszczyły skandale. Piątego, no cóż, może także, tylko nie było o tym wzmianki w sieci. Tak więc skierowała się do Starbucks w Englewood, żeby kontynuować śledztwo. Kiedy tam weszła, zanim jeszcze zobaczyła Klub Ojców, z głośników pod sufitem popłynął głos rapującego Ten-A-Flya.

*Charismo Carpenter, kocham cię Choć nie jesteś
marzeniem cieśli, boś nie płaska jak deska
I nie łatwo cię przetrząść...*

— O, hej.

To był Ten-A-Fly. Przystanęła.

— Cześć.

Ten-A-Fly wbił się w zapinaną na suwak niebieską bluzę Grass Roots. Miał na głowie kaptur, spod którego wystawał daszek czerwonej bejsbolówki tak wielki, że kierowca ciężarówki z lat siedemdziesiątych miałby w niej problemy z używaniem CB. Za jego plecami Wendy zobaczyła faceta w białym stroju do tenisa. Jak opętany stukał w klawiaturę laptopa. Młody ojciec z nosidełkiem przechadzał się tam i z powrotem, wydając uspokajające dźwięki.

Ten-A-Fly zabrzączał krzykliwą bransoletką wyglądającą jak ozdoba na Halloween.

— Widziałem cię na moim występie wczoraj wieczorem.

— Taak.

— Podszedł ci?

Wendy kiwnęła głową.

— Był, hm... spoko, kolo.

To go usatysfakcjonowało. Wyciągnął rękę. Przybiła mu piątkę.

— Jesteś tą reporterką z telewizji, zgadza się?

— Zgadza.

— I przyszedł tu, żeby zrobić o mnie reportaż?

— Powinnaś — dodał Tenisowy Strój przy laptopie. —

Dużo się tu dzieje.

Wendy okrążyła stół i spojrzała na ekran laptopa.

— Siedzisz na eBayu?

— Teraz tak zarabiam na życie — wyjaśnił Tenisowy Strój. — Od kiedy mnie wylali...

— Doug pracował u braci Lehman — wtrącił Ten-A--Fly. — Przewidział, co się stanie, ale nikt nie chciał go słuchać.

— Nieważne — mruknął Doug, skromnie zbywając to machnięciem ręki. — W każdym razie radzę sobie na eBayu. Najpierw sprzedałem wszystko, co miałem. Potem zacząłem przeglądać wyprzedaże garażowe, kupując różne rzeczy, naprawiając je i sprzedając.

— I da się z tego wyżyć?

Wzruszył ramionami.

— Nie, niezupełnie. Jednak zawsze to jakieś zajęcie.

— Tak jak tenis?

— Och, ja nie gram w tenisa.

Spojrzała na niego.

— Moja żona gra. Właściwie druga żona. Niektórzy nazwaliby ją łowczynią trofeów. Wciąż narzeka, że zrezygnowała ze wspaniałej kariery, żeby zajmować się dziećmi, ale tak naprawdę to po całych dniach gra w tenisa. Kiedy mnie wylali, zaproponowałem, żeby wróciła do pracy. Powiedziała mi, że na to za późno. Tak więc nadal po całych dniach gra w tenisa. I teraz mnie nienawidzi. Nie może na mnie patrzeć. Dlatego ja też noszę strój do tenisa.

— Ponieważ...

— Sam nie wiem. Chyba na znak protestu. Rzuciłem porządną kobietę... i okropnie ją zraniłem... dla gorącej laski. Teraz ta dobra kobieta żyje swoim życiem i nawet

nie ma tyle zdrowego rozsądku, żeby nadal się na mnie wściekać. Pewnie mam to, na co zasłużyłem, no nie? Wendy nie interesował ten temat. Spojrzała na ekran.

— Co pan teraz sprzedaje?

— Drobiazgi Ten-A-Flya. Chciałem powiedzieć, że oczywiście sprzedajemy jego płyty kompaktowe.

Kilka egzemplarzy leżało na stole. Na okładkach Ten--A-Fly ubrany jak Snoop Dogg na popijawie pozował na gangstera, gestykując w sposób, który nie tyle budził strach, ile przypominał ostry atak choroby Parkinsona. Płyta była zatytułowana *Póllaska na przedmieściu*.

— Póllaska? — zdziwiła się Wendy.

— To slangowe określenie — wyjaśnił Doug Tennisowy Strój.

— Oznaczające?

— Nie chce pani wiedzieć. W każdym razie sprzedajemy te płyty, koszulki, czapki, breloczki do kluczy, plakaty. Teraz wprowadzam unikalne przedmioty. Na przykład chustę, którą Ten-A-Fly nosił podczas wczorajszego występu.

Wendy spojrzała i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

— Osiągnęła cenę sześciuset dolarów?

— Teraz już sześciuset dwudziestu. Jak powiedziałem, dużo się tu dzieje. Majtki, które fanka rzuciła na scenę, to też gorący towar.

Wendy znów spojrzała na Flya.

— Czy ta fanka nie była pańską żoną?

— O co pani chodzi?

Dobre pytanie.

— Zupełnie o nic. Czy jest Phil?

Zadając to pytanie, Wendy zauważyła go za ladą rozmawiającego z barmanem. Odwrócił się z uśmiechem i wtedy ją zobaczył. Uśmiech natychmiast znikł z jego twarzy i Phil pospiesznie ruszył w stronę Wendy. Wyszła mu naprzeciw.

— Co tu robisz?

— Musimy porozmawiać.

— Już rozmawialiśmy.

— Musimy porozmawiać znowu.

— Ja nic nie wiem. Podeszła

jeszcze bliżej niego.

— Nie rozumiesz, że nadal szukamy zaginionej dziewczyny?

Phil zamknął oczy.

— Tak, rozumiem to. Po prostu... ja nic nie wiem.

— Pięć minut. Dla dobra Haley.

Phil skinął głową. Poszli do stolika w kącie. Był prostokątny i oznaczony tabliczką z napisem: „Proszę zostawić ten stół dla naszych niepełnosprawnych klientów”.

— Na pierwszym roku Princeton — zaczęła Wendy — z kim ty i Dan dzieliliście pokój w akademiku?

Phil ściągnął brwi.

— A jakie to może mieć znaczenie?

— Proszę, odpowiedz, dobrze?

— Było nas pięciu. Oprócz Dana i mnie był jeszcze Farley Parks, Kelvin Tilfer i Steve Miciano.

— Dzieliliście ten pokój przez wszystkie lata studiów?

— Poważnie?

— Proszę.

— Tak. No, na drugim lub trzecim roku Steve przez jeden semestr był w Hiszpanii, w Barcelonie lub Madrycie. I na trzecim roku Farley mieszkał w akademiku bractwa.

— Ty nie wstąpiłeś do bractwa?

— Nie. Och i nie było mnie przez pierwszy semestr ostatniego roku. Byłem na wymianie studenckiej w Londynie. Zadowolona?

— Pozostajecie w kontakcie?

— Niezupełnie.

— A co z Kelvinem Tilferem?

— Nie miałem od niego żadnych wiadomości od ukończenia studiów.

— Wiesz, gdzie on mieszka?

Phil pokręcił głową. Barman przyniósł filiżankę kawy i postawił ją przed Philem. Ten pytająco spojrział na Wendy, ale odmówiła.

— Kelvin był z Bronksu. Może tam wrócił, nie wiem.

— A co z innymi? Rozmawiasz czasem z nimi?

— Miałem wieści od Farleya, chociaż dawno temu. Sherry i ja zorganizowaliśmy dla niego imprezę połączoną ze zbiórką funduszy na kampanię wyborczą. Startował do Kongresu, ale mu nie wyszło.

— Cóż, Phil, właśnie w tym rzecz.

— W czym?

— W tym, że nie wyszło żadnemu z was. Objął dłonią filiżankę, ale nie podniósł jej.

— Nie nadążam.

Wyjęła z koperty wydruki i położyła je na stole.

— Co to takiego? — zapytał.

— Zacznijmy od ciebie.

— Ode mnie?

— Rok temu wyrzucono cię za sprzeniewierzenie dwóch milionów dolarów.

Zrobił wielkie oczy.

— Skąd o tym wiesz?

— Mam swoje źródła.

— Te zarzuty to bzdura. Nie zrobiłem tego.

— Wcale nie twierdzę, że zrobiłeś. Po prostu wysłuchaj mnie, dobrze? Najpierw ty zostajesz oskarżony o sprzeniewierzenie. — Rozłożyła inny wydruk. — Dwa miesiące później polityczną karierę Farleya niszczy skandal z prostytutką. — Następny wydruk. — Mniej więcej miesiąc później Dan Mercer zostaje przygwożdżony w moim programie telewizyjnym. A potem, po upływie kolejnych dwóch miesięcy, doktor Steve Miciano zostaje aresztowany za posiadanie środków odurzających.

Wydrukowane rezultaty poszukiwań leżały na stole. Phil gapił się na nie, nie poruszając rękami, jakby bał się ich dotknąć.

— Nie sądzisz, że to piekielnie dziwny zbieg okoliczności? — zapytała.

— A co z Kelvinem?

— Niczego o nim nie znalazłam.

— A to wszystko znalazłaś w jeden dzień?

— To nie było trudne. Wystarczyło proste przeszukanie sieci.

— Mogę na to spojrzeć? — zapytał zza jej pleców
Ten-A-Fly.

Odwróciła się. Byli tam wszyscy — pozostali członkowie
Klubu Ojców.

— Podsluchiwaliście?

— Proszę się nie gniewać — rzekł Doug. — Ludzie
przychodzą tutaj i głośno mówią o najbardziej intymnych
sprawach. Jakby ktoś zerwał otaczającą ich zasłonę mil-
czenia. Człowiek uczy się słuchać. Phil, ta dęta sprawa
sprzeniewierzenia, czy to z tego powodu cię wylali?

— Nie. To był tylko pretekst. Poszedłem w odstawkę, tak
samo jak wy.

Ten-A-Fly wziął kartki ze stolika. Założył okulary i zaczął
czytać.

— Nadal nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z
tą zaginioną dziewczyną — powiedział Phil.

— Może nic — odparła Wendy. — Jednak rozpatrzmy to
po kolei. Zostałeś uwikłany w skandal. Twierdzisz, że jesteś
niewinny.

— Jestem niewinny. Jak myślisz, dlaczego nie siedzę?
Gdyby moja firma miała jakiś dowód, siedziałbym w wię-
zieniu. Wiedzieli, że to dęte zarzuty.

— Nie rozumiesz? To wszystko się sumuje. Weźmy
Dana. W końcu został uwolniony od zarzutów. I o ile mi
wiadomo, ani Steve Miciano, ani Farley Parks nie siedzą w
więzieniu. Nie udowodniono niczego z tego, co wam
zarzucano, a jednak same zarzuty wystarczyły, żeby was
zniszczyć.

— I co z tego?

— Żartujesz, Phil? — zapytał Doug.

Wendy skinęła głową.

— Czterech facetów z tego samego roku Princeton, mieszkających razem w akademiku, zostało zamieszanych w skandale w ciągu jednego roku.

Phil zastanowił się nad tym.

— Jednak nie Kelvin.

— Tego jeszcze nie wiemy — powiedziała Wendy. — Musimy go znaleźć, żeby mieć pewność.

Owen, wciąż opiekujący się dzieckiem, dodał:

— Może to ten Kelvin stoi za tym wszystkim?

— Za czym? — Phil spojrzał na Wendy. — Żartujesz, prawda? Dlaczego Kelvin miałby chcieć nas skrzywdzić?

— Widziałem kiedyś taki film — przypomniał sobie Doug. — Na przykład, Phil, czy należeliście do Czaszek i Kości albo innego tajnego stowarzyszenia?

— Co takiego? Nie.

— Może zabiliście i pochowaliście jakąś dziewczynę, a ona teraz się na was mści. Zdaje się, że tak było w tym filmie.

— Przestań, Doug.

— Jednak coś w tym jest — zauważyła Wendy. — Chcę powiedzieć, pomijając wszelkie melodramatyczne akcenty, że może coś się wydarzyło, kiedy studiowaliście w Princeton?

— Na przykład co?

— Na przykład coś, co mogłoby sprawić, że ktoś zechciałby się na was po latach odegrać.

— Nie.

Powiedział to za szybko. Wciąż przeglądający wydruki Ten-A-Fly przyjrzał mu się znad szkieł połówkowych okularów — co wyglądało dziwnie jak na rapera.

— Owen — zwrócił się do mężczyzny z dzieckiem. Gdy ten do nich podszedł, Fly oderwał kawałek papieru.

— To jest blog wideo. Sprawdź go w sieci, zobacz, co tam znajdziesz.

— Jasne — powiedział Owen.

— Co o tym sądzisz? — zapytała Wendy.

Jednak Ten-A-Fly wciąż przeglądał wydruki. Znow spojrziała na Phila, który wbijał wzrok w podłogę.

— Pomyśl, Phil.

— Nie było niczego takiego.

— Mielicie jakichś wrogów?

Phil ściągnął brwi.

— Byliśmy grupką dzieciaków z college'u.

— Może jednak? Wdaliście się w jakąś bójkę? Któryś z was odbił komuś dziewczynę?

— Nie.

— Niczego takiego sobie nie przypominasz?

— Bo niczego takiego nie było, mówię ci. Obszczekujesz niewłaściwe drzewo.

— A co z Kelvinem Tilferem?

— Co z nim?

— Czy kiedyś czuł się przez was upokarzany?

— Nie.

— Był jedynym czarnoskórym w waszej grupie.

— I co z tego?

— Strzelam na oślep. A może coś mu się stało?

— Na uczelni? Nie. Kelvin był dziwakiem, matematycznym geniuszem, ale wszyscy go lubiliśmy.

— Co masz na myśli, mówiąc, że był dziwakiem?

— Dziwakiem, odmieńcem, był roztargniony, nieobecny. Prowadził dziwny tryb życia. Lubił spacerować po nocach. Kiedy pracował nad jakimś problemem matematycznym, mówił do siebie. Był dziwakiem, szalonym geniuszem. Nadawał się do Princeton.

— A więc nie pamiętasz żadnego incydentu na uczelni?

— Który skłoniłby go do robienia czegoś takiego? Nie, żadnego.

— A może coś wydarzyło się później?

— Nie rozmawiałem z Kelvinem od ukończenia studiów. Mówiłem ci.

— Dlaczego nie?

Phil odpowiedział pytaniem na pytanie:

— Na jakiej uczelni studiowałaś, Wendy?

— Tufts.

— Nadal rozmawiasz ze wszystkimi, którzy kończyli z tobą studia?

— Nie.

— Ja też nie. Zналиśmy się. Potem kontakty się urwały. Tak jak w przypadku dziewięćdziesięciu dziewięciu procent znajomości z czasów studiów.

— Czy on nie był na żadnym spotkaniu absolwentów lub zjeździe koleżeńskim?

— Nie.

Wendy zastanowiła się nad tym. Spróbuje skontaktować się z działem absolwentów Princeton. Może oni coś wiedzą.

— Znalazłem coś — powiedział Ten-A-Fly.

Wendy odwróciła się do niego. Owszem, jego strój nadal był śmieszny, te workowate dżinsy, czapka z daszkiem wielkości kłapy od studzienki kanalizacyjnej i koszula od Eda Hardy'ego, lecz to zdumiewające, jak nastawienie potrafi zmieniać osobowość. Ten-A-Fly gdzieś zniknął. Powrócił Norm.

— Co takiego?

— Zanim zostałem zwolniony, zajmowałem się marketingiem kilku nowych firm. Naszym głównym celem było doprowadzenie do tego, aby dana firma została zauważona w pozytywnym kontekście. Narobienie wrzawy, szczególnie w sieci. W tym celu często stosowaliśmy marketing wirusowy. Wiesz coś o tym?

— Nie — odparła.

— Jest tak skuteczny, że prawie nieistotny. Ponieważ wszyscy go stosują, tak więc niedługo nikogo nie będzie w tym zgiełku słyszeć. Jednak na razie jeszcze działa. Czasem używamy go nawet do promowania mnie jako rapera. Powiedzmy, że na ekrany wchodzi jakiś film. Od razu zobaczysz wspaniałe recenzje lub pozytywne komentarze do migawek zamieszczonych na YouTubie, na forach tematycznych i w blogach opinie, jaki to bardzo dobry film, i tak dalej. Większość tych pierwszych komentarzy to lipa. Zamieszcza je grupa marketingowa wynajęta przez studio filmowe.

— W porządku, ale co to ma wspólnego z tą aferą?

— Krótko mówiąc, ktoś zrobił coś takiego na odwrót; na pewno w przypadku tego całego Miciano i Farleya Parksa. Stworzyli błogi i wpisy na Twitterze. Opłacili opcje wyszukiwarek, tak że kiedy wpisujesz w nie nazwiska tych facetów, dane wirusowego marketingu są widziane pierwsze i pojawiają się na czele listy, na samej górze strony. To jak marketing wirusowy, ale mający raczej niszczyć niż budować.

— Zatem, gdybym na przykład chciała dowiedzieć się czegoś o doktorze Stevie Miciano i wyszukała go w sieci...

— Zostałaby pani zalana morzem negatywnych danych — dokończył za nią Ten-A-Fly. — Mnóstwem stron. Nie wspominając o Twitterze, postach z portali społeczno-ściowych, anonimowych e-mailach...

— Mieliliśmy coś takiego, kiedy pracowałem u Lehmanów — odezwał się Doug. — Kilku facetów wchodziło na fora i pozytywnie wypowiadało się o danym produkcie, anonimowo lub pod fałszywym nazwiskiem, ale zawsze był to ktoś, kto miał w tym interes. I oczywiście robili też coś wprost przeciwnego. Rozpowszechniali plotki o rychłym bankructwie konkurencyjnej firmy. Och, pamiętam, jak raz pewien ekspert finansowy napisał, że Lehmanowie zbankrutują, i wiecie co? Nagle w blogach pojawiło się mnóstwo fałszywych oskarżeń pod jego adresem.

— Zatem te zarzuty są spreparowane? — zdziwiła się Wendy. — Miciano wcale nie został aresztowany?

— Nie — rzekł Fly. — To akurat jest prawdą. Z inter-

netowej gazety na legalnej witrynie. Jednak reszta informacji o nim... no wiesz... spójrz na ten blog o dealerze narkotyków. A potem na blog tej prostytutki obsługującej Farleya Parksa. Oba to zwykłe strony z Bloggera, a ich autorka nie zamieściła żadnych innych wpisów poza tymi z oskarżeniami pod adresem tych dwóch gości.

— Zatem to po prostu oszczerstwa — podsumowała Wendy.

Ten-A-Fly wzruszył ramionami.

— Nie mówię, że oni tego nie zrobili. Być może są winni. Nie ty, Phil, wiem, że jesteś czysty. Chcę tylko powiedzieć, że ktoś chciał, żeby cały świat dowiedział się o tych skandalach.

Wendy wiedziała, że to stwierdzenie podtrzymuje jej spiskową teorię o celowym sterowaniu tymi skandalami.

Ten-A-Fly się odwrócił.

— Masz coś, Owenie?

— Może niedługo będę coś miał — mruknął zapytany, nie odrywając oczu od laptopa.

Ten-A-Fly nadal studiował wydruki. Barista głośno przekazał skomplikowane zamówienie obejmujące kawę nisko-kofeinową, jednoprocentową z mleczkiem sojowym. Inny barista notował je na kubku. Ekspres do kawy świstał jak gwizdek lokomotywy, zagłuszając ścieżkę dźwiękową *Pół-laski*.

— A co z tym pedofilem, którego przyłapałaś? — chciał wiedzieć Ten-A-Fly.

— Co z nim?

— Czy ktoś użył wobec niego wirusowego marketingu?

— Nie przyszło mi do głowy, by to sprawdzić.

— Owen? — rzucił Tyen-A-Fly.

— Już sprawdzam. Dan Mercer, zgadza się? — Wendy skinęła głową. Owen postukał w klawiaturę. — Niewiele o Danie Mercerze, może kilka postów, ale przecież nie było takiej potrzeby. Ten facet był w każdych wiadomościach.

— Słusznie — powiedział Ten-A-Fly. — Wendy, jak wpadłaś na trop Dana Mercera?

Wendy już zadała sobie to pytanie — i nie była zachwycona odpowiedzią.

— Otrzymałam anonimowy e-mail.

Phil powoli pokręcił głową. Pozostali tylko się na nią gapili.

— O jakiej treści? — zapytał Ten-A-Fly.

Wyjęła blackberry. Ten e-mail nadal był w zapisanych plikach. Znalazła go, wywołała i podała palmofon Ten-A--Flyowi.

Cześć. Widziałam kiedyś twój program. Myślę, że powinnaś się dowiedzieć o tym świrze, którego poznałam w sieci. Mam trzynaście lat i siedziałam na czacie witryny dla nastolatków. Udawał, że jest w moim wieku, ale okazało się, że jest o wiele starszy. Myślę, że około czterdziestki. Jest tego samego wzrostu co mój tata, więc ma metr osiemdziesiąt, zielone oczy i kręcone włosy. Wydawał się taki miły, więc poszłam z nim do kina i namówił mnie, żebym poszła do jego domu. To

było straszne. Boję się, że on to robi także innym dziewczynkom, ponieważ pracuje z dziećmi. Proszę, pomóż, żeby nie skrzywdził innych dzieci.

Ashlee (to nie moje prawdziwe imię —przepraszam!)

PS Tu jest link do czatu tej witryny dla nastolatków.

Używa pseudonimu DrumLover17.

Wszyscy w milczeniu przeczytali e-mail. Wendy stała oszołomiona. Ten-A-Fly oddał jej palmofon.

— Zakładam, że do niej napisałaś? — zapytał.

— Nie dostałam odpowiedzi. Próbowaliśmy wysledzić nadawczynię, ale nie udało nam się. Jednak nie opierałam się tylko na tym jednym e-mailu — zaznaczyła Wendy, starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt defensywnie. — Chcę powiedzieć, że to był początek. Poszliśmy tym tropem, ponieważ tak się robi. Wchodzimy na czat i udajemy młode dziewczyny, żeby zobaczyć, jakiego zbrodźcę wywabimy z lasu. Więc tak jak zwykle weszliśmy na ten czat witryny dla nastolatków. DrumLover siedemnaście tam był. Udawał, no cóż, siedemnastoletniego perkusistę. Umówiliśmy się na spotkanie. Pojawił się Dan Mercer.

Ten-A-Fly skinął głową.

— Pamiętam, że czytałem o tej sprawie. Mercer twierdził, iż sądził, że ma się spotkać z jakąś inną dziewczyną mam rację?

— Tak. Pracował w schronisku dla bezdomnych. Twierdził, że dziewczyna, której pomagał, podała mu przez telefon adres naszego domu. Jednak pamiętajcie, że mieliśmy

solidne dowody: wpisy na czacie oraz wyraźnie seksualne e-maile do podstawionej przez nas, rzekomo trzynastoletniej dziewczynki, które wyszły z laptopa znalezionej w domu Dana Mercera.

Nikt się nie odezwał. Doug machnął rakiętą tenisową. Phil wyglądał, jakby ktoś rąbnął go pałką w głowę. Ten-A--Fly nie rezygnował. Spojrzał na Owena.

— Gotowe?

— Do przeprowadzenia pełniejszej analizy filmów będzie mi potrzebny mój komputer stacjonarny.

Wendy z ulgą przyjęła zmianę tematu.

— Czego szukacie?

Dziecko na piersi Owena spało z główką przechyloną pod kątem, który zawsze Wendy niepokoił. Stał jej przed oczami inny obraz: Johna noszącego Charliego w takim nosidelku. Znow zadała sobie pytanie, co John sądziłby teraz o swoim synu, już prawie mężczyźnie, i chciało jej się płakać na myśl o tym wszystkim, co stracił. Zawsze ją to rozklejało — podczas każdych urodzin, na szkolnych zabawach czy po prostu podczas wspólnego oglądania telewizji. Nie tylko to, ile Ariana Nasbro zabrała jej i Charliemu — ale Johnowi. To wszystko, co przez nią stracił.

— Owen pracował jako technik od montażu w studiu telewizyjnym — wyjaśnił Phil.

— Pozwól, że wytłumaczę to najprościej, jak potrafię — powiedział Owen. — Wiesz, że twój aparat cyfrowy ma rozdzielczość ustawianą w megapikselach?

— Tak.

— W porządku, więc powiedzmy, że robisz zdjęcie i umieszczasz je w sieci. Powiedzmy, że ma format pocztówki. Im więcej megapikseli, tym większy plik. Jednak przeważnie pliki wszystkich zdjęć... na przykład o rozdzielczości pięciu megapikseli... będą miały w przybliżeniu taką samą wielkość, szczególnie jeśli zostały zrobione tym samym aparatem.

— W porządku.

— To samo dotyczy filmów cyfrowych umieszczonych w sieci. Kiedy wrócę do domu, będę mógł poszukać efektów specjalnych i innych charakterystycznych cech. Tutaj mogę sprawdzić tylko rozmiar pliku i podzielić go przez czas trwania. Krótko mówiąc, ten sam typ rejestratora wideo został użyty do nakręcenia obu tych filmów. Samo w sobie to niewiele znaczy. Sprzedaje się setki tysięcy videokamer, które pasują do tych obliczeń. Jednak to jest godne uwagi.

Teraz byli tu już wszyscy, cały Klub Ojców — Norm, czyli raper Ten-A-Fly, Doug Tenisowy Strój, Owen Piastun i Phil Elegant.

— Chcemy pomóc — powiedział Ten-A-Fly.

— W jaki sposób? — spytała Wendy.

— Chcemy udowodnić, że Phil jest niewinny.

— Norm... — zaczął Phil.

— Jesteś naszym przyjacielem, Phil.

Pozostali potwierdzili to chóralnym pomrukiem.

— Pozwól nam to zrobić, dobrze? Nie mamy nic innego do roboty. Siedzimy tutaj i użalamy się nad sobą. Uważam, że dość pławienia się w rozpacz. Zrobmy znowu coś konstruktywnego, wykorzystajmy nasze umiejętności.

— Nie mogę was o to prosić — wybąkał Phil.

— Nie musisz — uciął Norm. — Wiesz, że chcemy to zrobić. Do licha, może potrzebujemy tego bardziej niż ty.

Phil milczał.

— Możemy zacząć od przyjrzenia się temu wirusowemu marketingowi i sprawdzenia, czy uda nam się ustalić, kto to zapoczątkował. Możemy pomóc ci znaleźć tego ostatniego mieszkańca pokoju w akademiku, Kelvina. Wszyscy mamy dzieci, Phil. Gdyby moja córka była gdzieś tam, zaginiona, skorzystałbym z każdej zaproponowanej pomocy.

Phil skinął głową.

— W porządku. — I zaraz dodał: -- Dziękuję wam.

„Każdy z nas ma jakiś talent”. Tak powiedział Ten-A-Fly. „Wykorzystajmy nasze umiejętności”. Te zdania dziwnie utkwiły Wendy w pamięci. Umiejętności. Mamy skłonność do zajmowania się tym, co umiemy robić dobrze, prawda? Wendy patrzyła na te skandale okiem reportera. Ten-A-Fly oczami geniusza od marketingu, Owen przez obiektyw kamery...

Kilka minut później Ten-A-Fly odprowadził Wendy do drzwi.

— Będziemy w kontakcie — powiedział.

— Na twoim miejscu nie byłabym dla siebie taka surowa.

— O czym ty mówisz?

— O tej pozie przegranego faceta. — Wendy ruchem głowy pokazała laptop. — Przegrani nie dostają sześciuset dolców za używaną chustkę.

Ten-A-Fly się uśmiechnął.

— To robi wrażenie, co?

— Tak. Nachylił się
do niej.

— Chcesz poznać pewien mały sekret? — zapytał
szepem.

— Pewnie.

— Wylicytowała ją moja żona. W rzeczy samej używa
w sieci dwóch pseudonimów i czasem przebija samą siebie,
żeby nie budzić podejrzeń. Myśli, że o tym nie wiem.

Wendy kiwnęła głową.

— To dowodzi, że mam rację — orzekła.

— Jak to?

— Mężczyzny, który ma tak kochającą żonę, nie można
nazwać przegranym.

24

Chmury nad Parkiem Stanowym Ringwood pociemniały. Marcia McWaid truchtała przez gęsty las, a jej mąż Ted kilka kroków za nią. Marcia miała nadzieję, że nie spadnie deszcz, lecz ta zasłona chmur była lepsza od prażącego rano słońca.

Ani Ted, ani Marcia nie byli miłośnikami wędrowek, kempingu ani właściwie czegokolwiek, co można zaliczyć do „przebywania na świeżym powietrzu”. Przedtem — teraz zawsze było to „przedtem” leżącego w gruzach świata cudownej naiwności — McWaidowie lubili chodzić do muzeów, księgarń i jadać w modnych restauracjach.

Kiedy Ted spojrział w prawo, Marcia zobaczyła jego profil — i to, co ujrzała, zaskoczyło ją. Chociaż właśnie wykonywał najokropniejsze ze wszystkich możliwych zadań, jego urodziwą twarz rozpromienił uśmiech.

— O czym myślisz? — zapytała męża Marcia.

Nie zatrzymał się. Ten smutny uśmiech pozostał na jego

ustach. Oczy miał błyszczące od łez, ale takie były właściwie przez cały czas w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

— Pamiętasz popis taneczny Haley?

Był taki, tylko jeden. Haley miała wtedy sześć lat.

— Chyba ostatni raz widziałam ją wtedy w różowym — powiedziała Marcia.

— Pamiętasz ten strój? — zdziwił się Ted.

— Pewnie. Dzieci miały wyglądać jak wata cukrowa. Dziwne wspomnienie. Chcę powiedzieć, że to takie do niej niepodobne.

— To prawda.

— A więc?

Ted zatrzymał się na skraju zbrocza.

— Pamiętasz ten popis?

— Odbywał się na środku szkolnej auli.

— Właśnie. My, rodzice, siedzieliśmy tam, a to trwało trzy godziny i było tak cholernie nudne, ale każdy czekał na te dwie minuty występu swojego dziecka. I pamiętam, że Haley tańczyła jako ósma albo dziewiąta z dwadzieściora lub trzydzieściora dzieci. W końcu wyszła na środek, a my trąciliśmy się łokciami. Pamiętam, że uśmiechałem się, wiesz, i patrzyłem na moją córkę, i przez kilka minut czułem czystą radość. Zrobiło mi się lekko na sercu, gdy patrzyłem na Haley, na jej skupioną twarzyczkę, ponieważ znasz ją, nawet wtedy już była sobą. Nie chciała popełnić błędu. Każdy jej krok był wykonany dokładnie i starannie. Chcę powiedzieć, że nie było w tym rytmu ani wyrazu, ale

Haley nie popełniła żadnego błędu. A ja patrzyłem na ten mały cud i pękałem z dumy.

Ted spojrział na żonę, jakby szukając potwierdzenia. Marcia skinęła głową i może teraz, chociaż wykonywała najokropniejsze ze wszystkich możliwych zadań, na jej ustach też pojawił się uśmiech.

— A kiedy siedzisz tak — ciągnął — masz łzy w oczach i myślisz o cudzie tej chwili, spoglądasz na widownię, na innych rodziców i, co jest zdumiewające, uświadamiasz sobie, że oni wszyscy czują dokładnie to samo, patrząc na swoje dzieci. Chcę powiedzieć, że jest to takie oczywiste i proste, a mimo to mnie poraża. Wprost nie mogę uwierzyć, że to obezwładniające uczucie, ta fala miłości, nie jest tylko nasza, że nie doświadczamy czegoś unikalnego, lecz to w jakiś sposób jeszcze ją potęguje. Pamiętam, jak obser wowałem innych rodziców siedzących na widowni. Wi działem łzy w oczach i uśmiechy. Widziałem, jak żony ujmują dłonie mężów, nic nie mówiąc. I pamiętam swój nabożny podziw. Jakbym... sam nie wiem... jakbym nie mógł uwierzyć, że jedna sala, ta szkolna aula, może być tak pełna miłości i nie oderwać się od ziemi.

Marcia chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów. Ted wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył w górę stoku. Wbił stopę w ziemię, przytrzymał się drzewka, i podciągnął.

— Tak się boję, Ted — powiedziała po chwili Marcia.

— Będzie dobrze.

Już się nie uśmiechali. Chmury wciąż ciemniały. Nad ich głowami przeleciał helikopter. Ted wyciągnął rękę,

a Marcia ją chwyciła. Podciągnął ją w górę. I we dwoje podjęli poszukiwania córki.

■ ■ ■

Dwa dni później, w płytkim grobie na skraju Parku Stanowego Ringwood, psy policyjne znalazły ciało Haley McWaid.

CZĘŚĆ DRUGA

25

Nabożeństwa żałobne są właściwie zawsze takie same. Te same modlitwy, zwyczajowy fragment Biblii, słowa mające dać pocieszenie, które — szczególnie w takiej sytuacji — brzmią w uszach postronnych jak śmiechu warte uzasadnienie lub upiorne usprawiedliwienie. To, co dzieje się przy kazalnicy, jest praktycznie niezmiennie, zmieniają się tylko reakcje żałobników.

Pogrzeb Haley McWaid był jak ciemny ołowiany koc narzucony na całą społeczność. Smutek przygniatał, obciążał kończyny, wpychał kawałki szkła do płuc, tak że nawet oddychanie było męczarnią. Teraz cała społeczność cierpiała, ale Wendy wiedziała, że to nie potrwa długo. Tak samo było z przedwczesną śmiercią Johna. Żałoba niszczy, pochłania wszystko. Jednak tylko odwiedza przyjaciół, nawet najbliższych. U rodziny pozostaje dłużej, zapewne na zawsze, ale zapewne tak powinno być.

Wendy stała na końcu kościoła. Przyszła późno i wyszła

wcześniej. Nawet nie spojrzała na Marcie i Teda. Umysł jej na to nie pozwolił — nie „poszedł tam”, jak lubił mówić Charlie, który był żywy i zdrowy. Mechanizm obronny, prosty i zwyczajny. To także było w porządku.

Słońce świeciło jasno. Wydaje się, że na pogrzebach zawsze tak jest. Jej myśli znów pobiegły do Johna, do zamkniętej trumny, ale znowu je odpędziła. Ruszyła ulicą. Przystanąła na rogu, zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Zegarek pokazywał jedenastą. Czas spotkać się z szeryfem Walkerem w biurze koronera.

Znajdujące się przy przygnębiająco długiej Norfolk Street w Newark biuro koronera obsługiwało okręgi Essex, Hudson, Passaic i Somerset. Ostatnio Newark zostało trochę odnowione, ale prace renowacyjne zakończono kilka przecznic na wschód od tego miejsca. Chociaż jaki byłby sens umieszczenia biura koronera w jakimś modnym miejscu? Szeryf Walker spotkał się z nią na ulicy. Zawsze wydawał się stropiony swoją tuszą i wzrostem, garbiąc szerokie ramiona. Niemal spodziewała się, że przykucnie i zacznie mówić coś do niej uspokajająco jak do dziecka, co w jakiś sposób sprawiało, że wydawał jej się przystępniejszy.

— Chyba oboje mieliśmy kilka gorących dni—powiedział.

Śmierć Haley McWaid oczyściła Wendy i nie tylko. Vic znowu ją zatrudnił i awansował na prowadzącą program weekendowy. Inne agencje chciały przeprowadzać z nią wywiady i rozmawiać o Danie Mercerze i o tym, jak ona, bohaterka reporterka, nie tylko zdemaskowała pedofila, ale i zabójcę.

— Gdzie jest śledczy Tremont? — zapytała.

— Na emeryturze.

— Nie kończy tej sprawy?

— A co tu kończyć? Haley McWaid została zamordowana przez Dana Mercera. Mercer nie żyje. To właściwie zamyka tę sprawę, nie uważa pani? Będziemy nadal szukali ciała Mercera, ale mam także inne sprawy. A poza tym, kto chce postawić przed sądem Eda Graysona za skasowanie tego śmiecia?

— Jest pan pewny, że zrobił to Dan Mercer?

Walker ściągnął brwi.

— A pani nie?

— Tylko pytam.

— Po pierwsze, to nie moja sprawa, ale Franka Tremonta. On chyba jest pewny winy Mercera. Jednak sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Grzebiemy w życiu Dana Mercera. Sprawdzamy przypadki zaginięć innych dziewcząt. Chcę powiedzieć, że gdyby nie telefon Haley znaleziony w pokoju motelowym, zapewne nigdy nie powiązalibyśmy jej z Danem. Mógł to robić latami, z wieloma dziewczynami. Nie wiemy, czy inne dzieciaki nie zaginęły za jego sprawą. Jednak ja jestem szeryfem okręgowym, a te przestępstwa nie zostały popełnione na terenie podlegającym mojej jurysdykcji. Zajmują się tym federalni.

Weszli do dość spartańskiego biura Tary O'Neill, koronera. Wendy z ulgą stwierdziła, że znaleźli się w pomieszczeniu bardziej przypominającym gabinet wicedyrektorki niż salę prosektorium. Poznała Tarę, robiąc reportaż o popełnionych

w tej okolicy morderstwach. Tara O'Neill miała na sobie elegancką czarną suknię, która była znacznie lepsza od kitla, ale Wendy zawsze zaskakiwało to, że Tara jest uderzająco piękna, aczkolwiek nieco w stylu Morticii Addams. Była wysoka, miała proste kruczoczarne włosy i bladą, spokojną, promienną twarz — jej wygląd można było opisać jako eterycznie gotycki.

— Cześć, Wendy.

Wyciągnęła do niej rękę nad biurkiem. Sztywno i formalnie uściśniła dłoń Wendy.

— Cześć, Taro.

— Nie wiem, dlaczego musimy rozmawiać o tym nieoficjalnie — powiedziała Tara.

— Uznaj to za przysługę — odrzekł Walker.

— Przecież, szeryfie, to nawet nie jest teren pod pana jurysdykcją.

Walker rozłożył ręce.

— Czy naprawdę muszę przeprowadzić to oficjalną drogą?

— Nie. — Tara usiadła i zaprosiła ich, żeby zrobili to samo. — Jak mogę wam pomóc?

Fotel był drewniany i zaprojektowany z myślą o wszystkim, tylko nie o wygodzie. Tara siedziała na nim wyprostowana i czekała — jak zawsze sprawna profesjonalistka o sposobie bycia, który najwyraźniej najlepiej pasował do martwych ludzi. Pomieszczeniu przydałoby się malowanie, ale jak mówi stary żart, pacjenci Tary nigdy się na to nie skarżyli.

— Jak powiedziałem przez telefon — rzekł Walker — chcemy usłyszeć wszystko, co ma pani o Haley McWaid.

— Oczywiście. — Tara spojrzała na Wendy. — Zacząć od procesu identyfikacji?

— Byłoby wspaniale.

— Po pierwsze, nie ma żadnych wątpliwości, że ciało znalezione w Parku Stanowym Ringwood należy do zaginionej dziewczyny Haley McWaid. Rozkład był daleko posunięty, ale szkielet nietknięty, tak samo jak włosy. Krótko mówiąc, nadal była bardzo podobna do siebie, tylko bez skóry. Chcielibyście zobaczyć fotografie szczątków?

Wendy zerknęła na Walkera. Wyglądał, jakby miał się pochorować.

— Tak — bąknęła.

Tera przesunęła fotografie po blacie biurka, jakby to było menu w restauracji. Wendy zebrała siły. Nie była uodporniona na okropne widoki. Nawet na niezbyt krwawych horrorach robiło jej się niedobrze. Zaryzykowała szybki rzut okiem i odwróciła wzrok, ale przez tę sekundę, aczkolwiek okropną zdołała rozpoznać rysy Haley McWaid pomimo koszmaru rozkładu.

— Oboje rodzice, Ted i Marcia McWaidowie, chcieli zobaczyć ciało córki — ciągnęła O'Neill monotonnym głosem. — Oboje ją rozpoznali, zidentyfikowali ciało. Przeprowadziliśmy dalsze badania. Wzrost i wielkość szkieletu się zgadza. Haley McWaid złamała sobie rękę, kiedy miała dwanaście lat; kość śródrecza poniżej tego, co po wszechnie nazywa się palcem serdecznym. Złamanie się

zrosło, ale nadal widać jego ślad na zdjęciu rentgenowskim. I oczywiście wykonaliśmy badanie DNA, porównując wynik z DNA próbki dostarczonej przez siostrę denatki Patricię. Wykazało pełną zgodność. Krótko mówiąc, nie ma żadnych wątpliwości w kwestii identyfikacji.

— A co z przyczyną zgonu?

Tara O'Neill splotła dłonie i położyła je na biurku.

— Dotychczas nieustalona.

— Jak pani sądzi, kiedy będziecie wiedzieli? Tara O'Neill wyciągnęła rękę i zabrała fotografie.

— Prawdę mówiąc, zapewne nigdy.

Starannie włożyła zdjęcia do teczki, zamknęła ją i przesunęła na prawą stronę biurka.

— Chwileczkę, sądzi pani, że nie zdołacie nigdy ustalić przyczyny zgonu?

— Zgadza się.

— Czy to nie jest niezwykle?

Tara O'Neill w końcu się uśmiechnęła. Jej uśmiech był promienny, a jednocześnie otrzewiający.

— Nie, właściwie nie. Niestety, nasze społeczeństwo jest wychowane na programach telewizyjnych, w których anatomopatolog potrafi czynić cuda. Spogląda w mikroskop i znajduje wszystkie odpowiedzi. Niestety, w rzeczywistości tak nie jest. Na przykład, zadajmy pytanie, czy Haley McWaid została zastrzelona? Po pierwsze, i to bardziej wynik pracy techników kryminalistyki, na miejscu zbrodni nie znaleziono śladów kul. Na zwłokach również nie. Zrobiłam prześwietlenie i dokonałam oględzin ciała, aby

sprawdzić, czy na kościach są ubytki lub ślady wskazujące na ranę postrzałową. Nie. To skomplikowany przypadek, nadal nie mogę definitywnie wykluczyć postrzału. Kula mogła ominąć kości. Ponieważ ciało w znacznym stopniu się rozłożyło, niekoniecznie musiał pozostać jakiś ślad przejścia pocisku przez tkanki miękkie. Tak więc mogę tylko powiedzieć, że nie ma śladów postrzału i że ten jest raczej mało prawdopodobny. Nadażacie za mną?

— Tak.

— To dobrze. To samo stwierdziłabym, jeśli chodzi o ranę kłutą: że po prostu nie ma żadnej pewności. Gdyby na przykład sprawca przeciął tętnicę...

— Taak, chyba rozumiem.

— I oczywiście jest jeszcze wiele innych możliwości. Ofiara mogła zostać uduszona, klasyczną metodą przez przyciśnięcie poduszki do twarzy. Nawet kiedy ciało zostaje znalezione po kilku dniach, a nie po kilku miesiącach, czasem trudno mieć całkowitą pewność. Jednak w tym przypadku, gdy ciało najprawdopodobniej leżało w ziemi przez trzy miesiące, jest to w zasadzie niemożliwe. Przeprowadzam także kilka specyficznych badań toksykologicznych, aby sprawdzić, czy w jej organizmie znajdowały się jakieś substancje, lecz kiedy ciało jest rozłożone w takim stopniu, uwalniają się enzymy krwi. To całkowicie zakłóca wyniki wielu testów. Mówiąc obrazowo, rozkładające się ciało zmienia się w coś przypominającego alkohol. Tak więc nawet wyniki badań tkanek denatki mogą okazać się niewiarygodne. Ciało szkliste Haley, czyli żel pomiędzy

siatkówką a soczewką oka, rozłożyło się, tak więc nie mogliśmy go wykorzystać do poszukiwań śladów obcych substancji.

— Zatem nie możecie nawet z całą pewnością orzec, że to było morderstwo?

— Jako anatomopatolog nie mogę tego stwierdzić.

Wendy spojrzała na Walkera. Ten skinął głową.

— My możemy. Chcę powiedzieć, że tak uważamy. Nie mamy nawet ciała Dana Mercera. Widywałem sprawy sądowe, w których nie znaleziono ciała, i jak mówi Tara, nie jest to rzadkością w przypadku zwłok znalezionych po tak długim czasie.

O'Neill wstała, wyraźnie dając im do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

— Jeszcze coś?

— Czy była wykorzystana seksualnie?

— Ta sama odpowiedź: nie wiemy.

Wendy wstała.

— Dziękuję za poświęcony nam czas, Taro.

Po następnym sztywnym i oficjalnym uścisku dłoni Wendy znalazła się z powrotem na Norfolk Street z szeryfem Walkerem.

— Czy to było pomocne?

— Nie.

— Mówiłem, że nic tu nie ma.

— A więc to tak? Sprawa zamknięta?

— Oficjalnie, dla mnie jako szeryfa? Taak.

Wendy spojrzała na ulicę.

— Wciąż słyszę, że piękno Newark powraca.
— Tylko nie tu — mruknął Walker.
— Taak.
— A co z panią, Wendy?
— Co ze mną?
— Czy dla pani to też koniec sprawy?
Pokręciła głową.
— Jeszcze nie.
— Chce mi pani o tym opowiedzieć?
Znów pokręciła głową.
— Jeszcze nie.
— Rozumiem. — Olbrzymi mężczyzna szurał nogami, wbijając wzrok w chodnik. — Mogę zapytać o coś innego?
— Pewnie.
— Czuję się jak osioł... no, że w nieodpowiedniej chwili i w ogóle.
Czekała.
— Kiedy to się skończy, za kilka tygodni, gdy to wszystko minie... — Walker spróbował podnieść wzrok i spojrzeć jej w oczy. — Miałaby pani coś przeciwko temu, żebym do pani zadzwonił?
Ulica nagle wydała się jeszcze bardziej pusta.
— Nie żartował pan, mówiąc o nieodpowiedniej chwili.
Walker wepchnął ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.
— Nigdy nie byłem wygadany.
— Dla mnie wystarczająco — powiedziała Wendy, starając się powstrzymać uśmiech. Takie jest życie, no nie?

Śmierć budzi chęć do życia. Świat to mnóstwo cienkich linii rozgraniczających to, co uważamy za ekstremum. — Nie, wcale nie miałabym nic przeciwko temu.

■ aa

Biuro Hester Crimstein, czyli kancelaria prawna Burton i Crimstein, mieściło się w wieżowcu w centrum Manhattanu, skąd był fantastyczny widok na śródmieście i rzekę Hudson. Hester widziała dawny lotniskowiec „Intrepid” zamieniony w muzeum oraz ogromne statki wycieczkowe z poupychanymi na nich trzema tysiącami pasażerów i pomyślała, że wolałaby urodzić niż wsiąść na jeden z nich. Prawdę mówiąc, ten widok, jak niemal każdy, stał się czymś zwyczajnym. Oszałamiał gości, ale kiedy oglądało się go codziennie, chociaż nie chciało się tego przyznać, nadzwyczajnie po prostu powszedniał.

Ed Grayson stał teraz przy oknie. Spoglądał przez nie, ale jeśli podziwiał widok, to starannie to ukrywał.

— Nie wiem, co z tym zrobić, Hester.

— Ja wiem.

— Słucham.

— Posłuchaj mojej profesjonalnej rady: nie rób nic.

Wciąż patrząc przez okno, Grayson się uśmiechnął.

— Nic dziwnego, że zarabiasz takie pieniądze.

Hester rozłożyła ręce.

— Więc to takie proste?

— W tym wypadku owszem.

— Wiesz, że żona mnie zostawia. Chce przeprowadzić się do Quebecu z EJ.

- Przykro mi to słyszeć.
- Całe to zamieszanie to moja wina.
- Ed, nie zrozum mnie źle, ale wiesz, że nie jestem dobra w trzymaniu za rączkę i budzeniu fałszywych nadziei.
- Och tak.
- A więc powiem ci to jasno: zawałiłeś jak cholera.
- Nigdy przedtem nikogo nie pobiłem.
- Teraz już tak.
- I nigdy nikogo nie zastrzeliłem.
- Teraz tak. Do czego zmierzasz?

Oboje zamilkli. Ed Grayson lubił ciszę, Hester Crimstein nie. Zaczęła kołysać się w fotelu, bawić długopisem, westchnęła teatralnie. W końcu wstała i przeszła przez pokój.

- Widzisz to?
- Ed się odwrócił. Wskazywała symbol sprawiedliwości.
- Tak.
- Co?
- Żartujesz?
- Kto to jest?
- Sprawiedliwość.
- Tak i nie. Różnie ją nazywają. Sprawiedliwość, ślepa sprawiedliwość, grecka bogini Temida, rzymska bogini Justitia, egipska bogini Maat, lub nawet imionami córek Temidy, Dike i Astrei.
- Hm, do czego zmierzasz?
- Czy kiedyś dobrze się przyjrzałeś temu posagowi? Większość ludzi najpierw dostrzega opaskę na oczach i, no cóż, jest to oczywista sugestia bezstronności. To czysty

nonsens, ponieważ nikt nie jest bezstronny. Nic się na to nie poradzi. Spójrz też na jej prawą rękę. Trzyma w niej miecz. To groźne narzędzie. Ma symbolizować szybkość i często surową, a nawet okrutną karę. Jednak widzisz, tylko ona... tylko system... może ją wymierzać. Tylko system, chociaż pokręcony, ma prawo używać tego miecza. Ty, mój przyjacielu, nie.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie powinienem być sam wymierzać sprawiedliwości? — Grayson uniósł brwi. — Oo, Hester, to głęboka myśl.

— Spójrz na wagę, ty tępaku. W jej lewej ręce. Niektórzy myślą, że jej szale mają przedstawiać dwie strony sporu: oskarżenie i obronę. Inni twierdzą, że chodzi o słuszność lub bezstronność. Jednak pomyśl. Waga tak naprawdę opiera się na równowadze, prawda? Ja jestem adwokatem i wiem, jaką mam reputację. Ludzie uważają, że naginam prawo, wykorzystuję luki, naciski albo uzyskaną przewagę. To wszystko prawda. Jednak w granicach systemu.

— I dlatego wszystko jest w porządku?

— Taak. Ponieważ zachowuję stan równowagi.

— A ja, zgodnie z twoją metaforą, tę równowagę zakłócam?

— Właśnie. Na tym polega piękno całego naszego systemu. Można go przekreślać i naginać... Bóg wie, że robię to przez cały czas... ale kiedy trzymasz się w jego granicach, słusznie czy nie, jakoś działa. Jeśli tego nie robisz, jeśli zakłócasz równowagę nawet w najlepszych intencjach, prowadzi to do chaosu i katastrofy.

— To brzmi jak jedno wielkie usprawiedliwienie — rzekł Ed Grayson, kiwając głową.

Uśmiechnęła się.

— Może. Ale wiesz również, że mam rację. Chciałeś naprawić zło. Jednak teraz naruszyłeś równowagę.

— Może więc powinienem zrobić coś, żeby ją przywrócić.

— To tak nie działa, Ed. Teraz już to wiesz. Zostaw to, a równowaga będzie miała szansę powrócić.

— Nawet gdyby to oznaczało, że zły facet odejdzie wolny?

Rozłożyła ręce i uśmiechnęła się do niego.

— A kto teraz jest złym facetem, Ed?

Milczał.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc wypalił prosto z mostu:

— Policja nie ma pojęcia, co się stało z Haley McWaid.

Hester zastanowiła się nad tym.

— Tego nie wiesz. Może to my nie mamy pojęcia.

26

Dom należący do emerytowanego inspektora dochodzeniowego okręgu Essex, Franka Tremonta, był dwupokojowy, w stylu kolonialnym, z aluminiowym sidingiem oraz małym, lecz doskonale utrzymanym trawnikiem, a na prawo od drzwi powiewała flaga nowojorskich Gigantów. Piwonie w skrzynkach kwitły tak kolorowo, że Wendy zastanawiała się, czy są sztuczne.

Przeszła dziesięć kroków od podjazdu do frontowych drzwi, po czym zapukała. Zasłona w bocznym okienku poruszyła się. Po chwili otworzyły się drzwi. Choć pogrzeb skończył się wiele godzin temu, Frank Tremont wciąż miał na sobie czarny garnitur. Rozluźnił krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli. Był niedokładnie ogolony. Miał szkliste spojrzenie i Wendy wyczuła spowijający go opar alkoholu.

Bez słowa powitania z głośnym westchnieniem odsunął się na bok i skinieniem głowy zaprosił ją do domu. Przeszła

przez próg. Ciemne wnętrze rozjaśniała tylko jedna lampa. Wendy zauważyła na sfatygowanym stoliku do kawy na pół opróżnioną butelkę captaina morgana. Rum. Fuj. Na kanapie leżały porozkładane gazety. Kartonowe pudełko na podłodze było pełne drobiazgów, które zapewne zabrał ze swojego biurka, odchodząc z pracy. W telewizji leciał jakiś program informacyjno-reklamowy z irytująco entuzjastycznym trenerem i wieloma pięknymi młodzieńcami prezentującymi doskonale wyrobione mięśnie brzucha. Wendy spojrzała na Tremonta. Wzruszył ramionami.

— Teraz, kiedy jestem na emeryturze, postanowiłem zadbać o muskulaturę.

Próbowała się uśmiechnąć. Na komodzie stały zdjęcia nastoletniej dziewczyny. Jej uczesanie było modne może piętnaście lub dwadzieścia lat temu, ale głównie rzucał się w oczy jej uśmiech — szczery i szeroki, spontaniczny, z rodzaju tych, od których miękną rodzicom serca. Wendy знаła tę historię. Ta dziewczyna z pewnością była córką Franka, która umarła na raka. Wendy spojrzała na butelkę captaina morgana i zadała sobie pytanie, jak w ogóle zdołał się od niej oderwać.

— Wendy?

— O co chodzi, oficjalnie przeszedłeś na emeryturę? — zagadnęła, chcąc zyskać na czasie.

— Taa. I to z hukiem, wiesz?

— Przykro mi.

— Zostaw to dla rodziny ofiary.

Skinęła głową.

— Dużo pisali o tobie w gazetach — zauważył. — Ta sprawa uczyniła cię znakomitością. — Podniósł szklaneczkę w kpiącym toaście. — Gratulacje.

— Frank?

— Co?

— Nie mów niczego głupiego, czego będziesz żałował.

Tremont kiwnął głową.

— Tak, słuszna uwaga.

— Czy sprawa została oficjalnie zamknięta?

— Z naszego punktu widzenia jak najbardziej. Podejrzany nie żyje, zapewne zakopany w lesie, co ktoś mądrzejszy ode mnie uznałby za ironię losu.

— Czy naciskaliście jeszcze Graysona, żeby ujawnił, gdzie jest ciało?

— Na tyle, na ile mogliśmy.

— I?

— Nic nie powie. Chciałem zaproponować mu nietykalność w zamian za wyjawienie, gdzie są zwłoki Mercera, ale mój szef, Paul Copeland, nie chciał się na to zgodzić.

Wendy pomyślała o Edzie Graysonie, zastanawiając się, czy z nim porozmawiać i sprawdzić, czy teraz coś jej powie. Tremont zrzucił gazety z kanapy i skinął na Wendy, żeby usiadła. Sam usiadł w fotelu i wziął pilota.

— Czy wiesz, jaki zaraz będzie program?

— Nie.

— *Sąd Crimstein*. Wiesz, że ona reprezentuje Eda Graysona, prawda?

— Mówiłeś mi.

— Racja, zapomniałem. W każdym razie wygłosiła kilka interesujących uwag, kiedy go przesłuchiwaliśmy.

Podniósł butelkę captaina morgana i nalał sobie trochę do szklaneczki. Zaproponował trunek Wendy, ale odmówiła, kręcąc głową.

— Jakich uwag?

— Twierdziła, że powinniśmy dać Edowi Graysonowi medal za zlikwidowanie Dana Mercera.

— Ponieważ to było sprawiedliwe?

— Nie, chociaż można tak to ująć. Jednak Hester próbowała dowieść czegoś ważniejszego.

— Mianowicie?

— Gdyby Grayson nie zabił Mercera, nigdy nie znaleźlibyśmy iPhone'a Haley. — Wycelował pilota w telewizor i wyłączył go. — Zauważyła, że przez trzy miesiące śledztwa nie poczyniliśmy żadnych postępów, i to Ed Grayson dostarczył nam jedyny ślad Haley. Ponadto stwierdziła, że dobry detektyw mógłby przyjrzeć się znanemu zboczeńcowi bywającemu w okolicy, gdzie mieszkała ofiara. I wiesz co?

Wendy pokręciła głową.

— Hester miała rację. Jak mogłem przeoczyć skazanego pedofila powiązanego z miasteczkiem, w którym mieszkała Haley? Może ona żyła przez kilka dni. Może mogłem ją uratować.

Wendy spojrzała na pewną siebie, jeśli nie zadufaną minę kapitana Morgana na etykiecie butelki. Co za przerażające towarzystwo przy kieliszku. Otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale Tremont powstrzymał ją machnięciem ręki.

— Proszę, nie mów niczego, co zabrzmie protekcyjalnie. To byłoby obraźliwe.

Miał rację.

— Wątpię, żebyś przyszła tutaj patrzeć, jak się nad sobą użalam.

— Nie wiem, Frank. To niezła zabawa.

Prawie się uśmiechnął.

— Czego ci potrzeba, Wendy?

— Dlaczego uważacie, że to Dan Mercer ją zabił?

— Chodzi ci o motyw?

— Tak, właśnie o to mi chodzi.

— Chcesz listy w kolejności alfabetycznej? Jak sama udowodniłaś, był seksualnym drapieżnikiem.

— Dobrze, przyznaję. Jednak w tym przypadku co z tego? Haley McWaid miała siedemnaście lat. W New Jersey za nieletnią uważa się dziewczynę niemającą lat szesnastu.

— Może się bał, że ona zacznie mówić.

— O czym? Nie złamał z nią prawa.

— Pomimo to. Mogła go zdemaskować.

— Więc zabił ją, żeby zamknąć jej usta? — Pokręciła głową. — Czy znaleźliście jakieś dowody, że Mercera i Haley coś łączyło?

— Nie. Wiem, że próbowałaś sprzedać tę wersję: że mogli poznać się w domu jego byłej żony i nawiązać romans. Być może, ale nie ma na to jakichkolwiek dowodów i nie wiem, czy chcę ich szukać, dla dobra jej rodziców. Najbardziej prawdopodobne jest, że owszem, poznał ją

w domu Wheelerow, dostał na jej punkcie bzika, porwał ją, coś jej zrobił, a potem zabił. Wendy ściągnęła brwi.

— Ja po prostu tego nie kupuję.

— Dlaczego nie? Pamiętasz tego niby chłopaka Haley, Kirby'ego Sennetta?

— Tak.

— Kiedy znaleźliśmy jej ciało, adwokat Kirby'ego pozwolił mu być bardziej... powiedzmy, rozmownym. Tak, umawiali się w tajemnicy, chociaż to był burzliwy związek. Powiedział, że była naprawdę spięta, szczególnie kiedy nie dostała się na uniwersytet stanu Wirginia. Podejrzewał, że może nawet coś brała.

— Narkotyki?

Wzruszył ramionami.

— O tym też rodzice nie muszą się dowiedzieć.

— Mimo to nie rozumiem. Dlaczego Kirby nie powiedział tego wszystkiego od razu?

— Ponieważ jego adwokat uważał, że gdybyśmy znali charakter ich związku, skupilibyśmy się na tym chłopcu. Co oczywiście jest prawdą.

— Jeśli jednak Kirby nie miał niczego do ukrycia?

— Po pierwsze, kto powiedział, że nie miał niczego do ukrycia? Jest drobnym dealerem. Jeśli ona coś brała, to domyślam się, że on jej to dostarczał. Po drugie, większość adwokatów powie ci, że niewinność niekoniecznie musi mieć znaczenie. Gdyby Kirby powiedział: „Taak, mieliśmy burzliwy romans, a ona może paliła lub ćpała coś, co jej

dawałem", dobralibyśmy mu się do tyłka i rozstawili w nim namiot. A po znalezieniu jej ciała, cóż, zabralibyśmy się do niego poważnie, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Teraz, kiedy Kirby nie jest już podejrzany, może być rozmowniej szy.

— Piękne podejście — mruknęła Wendy. — Nie mówiąc o analnych sugestiach.

Wzruszył ramionami.

— Jesteś pewny, że ten Kirby nie miał z tym nic wspólnego?

— Bo co, podrzuciłby jej telefon w pokoju motelowym Dana Mercera?

Zastanowiła się nad tym.

— Słuszna uwaga.

— Ponadto miał żelazne alibi. Posłuchaj, Kirby to typowy bogaty szczeniak z rodzaju tych, którzy uważają się za wyrzutków, ponieważ może obwiesili jakiś dom papierem toaletowym na prima aprilis. Nie miał z tym nic wspólnego.

Odchyliła się do tyłu. Jej spojrzenie znowu padło na zdjęcie zmarłej córki Tremonta, ale nie zatrzymało się na długo. Szybko odwróciła wzrok, może zbyt szybko. Frank to zauważył.

— Moja córka — powiedział.

— Wiem.

— Nie będziemy o tym mówili, dobrze?

— Dobrze.

— No więc, jaki masz problem z tą sprawą, Wendy?

— Chyba potrzebuję więcej powodów.

— Popatrz na to zdjęcie. Ten świat nie funkcjonuje w taki sposób. — Wyprostował się. Spojrzał jej w oczy. — Czasem... a może najczęściej... nie ma żadnego powodu.

■ ■ ■

Kiedy Wendy wsiadła do samochodu, zobaczyła wiadomość od Ten-A-Flya. Oddzwoniła do niego.

— Może mamy coś o Kelvinie Tilferze.

Klub Ojców przez kilka ostatnich dni usiłował zlokalizować byłych współlokatorów pokoju w Princeton. Oczywiście najłatwiej było znaleźć Farleya Parksa. Wendy sześć razy dzwoniła do byłego polityka. Nie oddzwonił. Nic dziwnego. Farley mieszkał w St Louis, więc trudno jej było pójść do niego z wizytą. Tak więc na razie wypadł z kręgu jej zainteresowań.

Drugi, doktor Steve Miciano. Zadzwoiła do niego i poprosiła o spotkanie. Jeśli nie musiała, nie chciała wyjaśniać przez telefon, o co chodzi. Miciano o to nie pytał. Powiedział, że ma dyżur i będzie osiągalny jutro po południu. Wendy uznała, że może poczekać.

Jednak trzecim i z punktu widzenia Wendy najważniejszym był nieuchwytny Kelvin Tilfer. Dotychczas nic o nim nie wiedziała. Opierając się na danych z Internetu, równie dobrze mógł zniknąć z powierzchni planety.

— Co? — zapytała.

— Znaleźliśmy jego brata. Ronald Tilfer rozwozi przesyłki UPS na Manhattanie. To jego jedyny krewny, którego zdołaliśmy znaleźć. Ich rodzice nie żyją.

— Gdzie mieszka?

— W Queens, ale możemy dać ci coś lepszego. Wiesz, kiedy Doug pracował dla Lehmanów, ci robili duże interesy z UPS. Doug zadzwonił do swojego starego znajomego z działu sprzedaży i dostał harmonogram dostaw. Teraz wszystko jest skomputeryzowane, więc możemy prześledzić w sieci trasę brata Tilfera, jeśli chcesz go znaleźć.

— Chcę.

— W porządku, kieruj się do centrum, w kierunku Upper West Side. Prześlę ci e-mail z listą jego dostaw.

Czterdzieści pięć minut później znalazła brązową furgonetkę nieprawidłowo zaparkowaną przed restauracją Telepan przy Zachodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, nieopodal Columbus. Zostawiła samochód na godzinnym postoju, wrzuciła kilka ćwierćdolarówek i oparła się o maskę. Patrzyła na furgonetkę, wspominając reklamę UPS, w której długowłosy facet rysuje coś na białej tablicy, a gdy wreszcie pojawia się na niej napis „UPS” i „brązowy”, ona nadal nie ma pojęcia, co to może oznaczać. Charlie zawsze kręcił głową, kiedy pojawiała się ta reklama, zazwyczaj w kulminacyjnym momencie meczu, i mówił: „Temu facetowi należy się łomot”.

Zabawne, co człowiekowi przychodzi do głowy.

Ronald Tilfer — a przynajmniej zakładała, że mężczyzna w brązowym uniformie UPS to on — uśmiechnął się i pomachał na pożegnanie, wychodząc z restauracji. Był niski, miał przyprószone siwizną włosy oraz — co szorty

pozwalaly zauwazyć — niezle nogi. Wendy oderwala sie od samochodu i przeciela mu droge, zanim dotarl do furgonetki.

— Ronald Tilfer?

— Tak.

— Nazywam sie Wendy Tynes. Jestem reporterka NTC News. Probuje odnalezc pańskiego brata Kelvina.

Zmruzył oczy.

— Po co?

— Robie reportaz o jego roczniku z Princeton.

— Nie moge pani pomoc.

— Musze tylko porozmawiac z nim przez kilka minut.

— Nie moze pani.

— Dlaczego?

Spróbował ją ominac. Wendy zastapila mu droge.

— Powiedzmy, ze Kelvin jest nieosiagalny.

— Co to ma znaczc?

— Nie moze z pania rozmawiac. Nie moze pani pomoc.

— Panie Tilfer?

— Naprawde musze wracac do pracy.

— Nie, nie musi pan.

— Przepraszam?

— To dzis pańska ostatnia dostawa.

— Skad pani to wie?

Niech sie poglowi, pomyslała.

— Nie tracmy czasu na zagadkowe stwierdzenia typu „Jest nieosiagalny”, „nie moze rozmawiac” i tak dalej. To bardzo wzne, zebym z nim porozmawiala.

— O jego roczniku na Princeton?

— Nie tylko. Ktoś krzywdzi jego dawnych współloka-torów.

— I myśli pani, że to Kelvin?

— Tego nie powiedziałam.

— To na pewno nie on.

— Może pan pomóc mi tego dowieść. Złamano już życie kilku osobom. Pański brat może być w niebezpieczeństwie.

— Nie jest.

— Zatem może pomóc kilku starym znajomym.

— Kelvin? On nie jest w stanie nikomu pomóc.

Znów zagadkowa uwaga. Zaczęło ją to wkurzać.

— Mówi pan tak, jakby nie żył.

— Bo właściwie tak jest.

— Nie chcę, żeby zabrzmiało to melodramatycznie, panie Tilfer, ale to naprawdę kwestia życia i śmierci. Jeśli nie chce pan ze mną rozmawiać, mogę przysłać do pana policję. Jestem tu sama, ale mogę wrócić z całą ekipą telewizyjną: z kamerami, mikrofonami, wszystkim.

Ronald Tilfer westchnął głęboko. Oczywiście z jej strony to była pusta groźba, ale on nie musiał o tym wiedzieć. Przygryzł dolną wargę.

— Nie uwierzy mi pani na słowo, że on nie może pani pomóc?

— Przykro mi, nie.

Wzruszył ramionami.

— W porządku.

- Co w porządku?
- Zabiorę panią do Kelvina.



Wendy patrzyła na Kelvina Tilfera przez grubą pancerną szybę.

- Od jak dawna tu jest?
- Tym razem? — Ronald Tilfer wzruszył ramionami. — Chyba trzy tygodnie. Zapewne wypuszczą go za tydzień.
- I dokąd wtedy pójdzie?
- Będzie żył na ulicy, dopóki znowu nie zrobi czegoś niebezpiecznego. Wtedy go zamkną. Nasze państwo już nie wierzy w długoterminowe zamknięte zakłady psychiatryczne. Dlatego go wypuszczą.

Kelvin Tilfer gorączkowo pisał coś w zeszycie, niemal dotykając nosem kartki. Wendy przez szybę słyszała jego krzyki. Nie miały żadnego sensu. Kelvin wyglądał na znacznie starszego niż jego współmieszkańcy. Miał siwe włosy i brodę. Był bezzębny.

- Był tym mądrzejszym bratem — powiedział Ronald. — Cholernym geniuszem, szczególnie z matematyki. Tym właśnie zapelnia ten zeszyt. Problemami matematycznymi. Rozwiązuje je po całych dniach. Jego umysł nigdy nie odpoczywa. Nasza matka tak bardzo się starała, żeby był normalny, wie pani? Szkoła chciała, żeby przeskoczył kilka klas. Nie pozwoliła na to. Kazała mu uprawiać sport — próbowała wszystkiego, żeby pozostał normalny. Jednak chyba zawsze wiedzieliśmy, do czego to zmierza. Matka

próbowała powstrzymać jego szaleństwo. Tylko że to było jak próba zatrzymania rękami oceanu.

— Co mu jest?

— Ostra schizofrenia. Ma straszne napady psychozy.

— Chciałam spytać, co mu się stało?

— Jak to, co mu się stało? Jest chory. Nie ma żadnego powodu.

Nie ma powodu — dziś już po raz drugi ktoś jej to powiedział.

— Jak ktoś dostaje raka? Nie było tak, że mama zabiła go i stał się taki. To kwestia braku równowagi chemicznej. Jak powiedziałem, zawsze taki był. Nawet jako dziecko nigdy nie spał. Nie mógł wyłączyć umysłu.

Wendy przypomniała sobie słowa Phila. Dziwak. Szalony matematyczny geniusz.

— Leki mu pomagają?

— Uspokajają go, pewnie. Tak samo jak pocisk usypiający uspokoja słonia. Nadal nie wie, gdzie i kim jest. Po ukończeniu Princeton dostał pracę w pewnej firmie farmaceutycznej, ale wciąż zniknął. Zwolnili go. Poszedł na ulicę. Przez osiem lat nie wiedzieliśmy, gdzie jest. Kiedy w końcu znaleźliśmy go w kartonowym pudle pełnym jego własnych odchodów, Kelvin miał liczne złamania, które źle się zrosły. Stracił zęby. Nie mam pojęcia, jak przetrwał, czym się żywił, przez co musiał przejść.

Kelvin znów zaczął krzyczeć.

— Himmler! Himmler lubi steki z tuńczyka!

Wendy odwróciła się do RONALDA.

— Himmler? Ten stary nazista?
— Nie mam pojęcia. On zawsze plecie coś bez sensu.
Kelvin znowu zajął się swoim zeszytem, pisząc jeszcze szybciej.

— Mogę z nim porozmawiać? — spytała.

— Żartuje pani, prawda?

— Nie.

— To nic nie da.

— I nie zaszkodzi.

Ronald Tilfer spojrział przez okienko.

— Przeważnie nawet już nie wie, kim ja jestem. Patrzy przeze mnie jak przez szybę. Chciałem zabrać go do domu, ale mam żonę i dziecko...

Wendy milczała.

— Powiniennem coś zrobić, żeby go chronić, nie sądzi pani? Gdy próbuję go zamykać, robi się zły. Tak więc wypuszczam go i się o niego martwię. Kiedy byliśmy dziećmi, chodziliśmy na mecze Jankesów. Kelvin znał statystyki wszystkich zawodników. Potrafił nawet powiezieć, jak się zmieniają po każdym uderzeniu kijem. Moja teoria: geniusz to przekleństwo. Tak na to patrzę. Niektórzy uważają, że geniusze odbierają świat w sposób dla nas nieosiągalny. Widzą świat takim, jaki naprawdę jest, a ta rzeczywistość jest tak okropna, że tracą zmysły. Jasność widzenia prowadzi do szaleństwa.

Wendy patrzyła przed siebie.

— Czy Kelvin wspomina czasem Princeton?

— Moja matka była z niego taka dumna. Chcę powie-

dzieć, że wszyscy byliśmy dumni. Dzieciaki z na*szej parafii nie dostają się na uczelnie Ivy League. Obawialiśmy się, że nie będzie tam pasował, ale szybko zdobył przyjaciół.

— Ci przyjaciele mają kłopoty.

— Niech pani na niego spojrzy, pani Tynes. Myśli pani, że on może im pomóc?

— Mimo to chciałabym spróbować.

Wzruszył ramionami. Administrator szpitala kazał jej podpisać kilka formularzy i zasugerował, żeby trzymali się w bezpiecznej odległości. Po kilku minutach zaprowadzono Wendy i Ronalda do przeszklonego pomieszczenia. Przy drzwiach stał pielęgniarz. Kelvin siedział przy stole i nadal gryzmołił coś w zeszytce. Stół był taki szeroki, że Wendy i Ronald znajdowali się w sporej odległości od niego.

— Cześć, Kelvinie — powiedział Ronald.

— Trutnie nie rozumieją istoty rzeczy.

Ronald spojrział na Wendy. Dał jej znak, że może mówić.

— Uczęszczałeś na Princeton, prawda, Kelvin?

— Mówiłem wam. Himmler lubi steki z tuńczyka.

Wciąż nie odrywał oczu od zeszytu.

— Kelvinie?

Nie przestał pisać.

— Pamiętasz Dana Mercera?

— Biały chłopak.

— Tak. A Phila Turnballa?

— Benzyna bezołowiowa spędza sen z powiek do
rocznicom.

— To twoi koledzy z Princeton.

— Ivy League, ludzie. Tam niektórzy nosili zielone buty. Nienawidzę zielonych butów.

— Ja też.

— Ivy League.

— Zgadza się. Twoi koledzy z uczelni. Dan, Phil, Steve i Farley. Pamiętasz ich?

Kelvin wreszcie przestał pisać. Podniósł wzrok. Jego oczy były jak puste szparki. Patrzył na Wendy, ale najwyraźniej jej nie widział.

— Kelvinie?

— Himmler lubi steki z tuńczyka — powiedział gorączkowym szeptem. — A burmistrz? Jego to nic nie obchodzi.

Ronald okłapał. Wendy próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Kelvinem.

— Chcę porozmawiać z tobą o twoich współmieszkańcach z akademika.

Kelvin się roześmiał.

— Współmieszkańcach?

— Tak.

— To śmieszne. — Zaczął chichotać jak... no cóż, jak wariat. — Współmieszkańcy. Jakbyś współżył z mieszkaniem. Jakbyś uprawiał z nim seks i zrobił mu dziecko. Jakbyście współżyli, łapiesz?

Znowu się roześmiał. No cóż, pomyślała Wendy, lepsze to od rybnych upodobań Himmlera.

— Pamiętasz swoich dawnych współlokatorów?

Śmiech urwał się, jakby ktoś przekręcił wyłącznik.

— Oni mają kłopoty, Kelvinie. Dan Mercer, Phil Tumball, Steve Miciano, Farley Parks. Wszyscy mają kłopoty.

— Kłopoty?

— Tak. — Powtórzyła te cztery nazwiska. Potem jeszcze raz. Coś zaczęło się dziać z twarzą Kelvina. Zmieniała się w oczach. — O Boże, nie...

Kelvin zaczął płakać.

Ronald wstał.

— Kelvinie?

Ronald wyciągnął rękę do brata, ale powstrzymał go jego krzyk — nagły i przesywający. Wendy odskoczyła.

Teraz miał szeroko otwarte oczy.

— Twarz w bliznach!

— Kelvinie?

Zerwał się, przewracając krzesło. Pielęgniarski ruszył w jego stronę. Kelvin znów wrzasnął i uciekł w kąt pomieszczenia. Pielęgniarski wezwał pomoc.

— Twarz w bliznach! — krzyknął Kelvin. — Dorwie nas wszystkich. Twarz z bliznach!

— Kim jest człowiek z twarzą w bliznach? — zawołała do niego Wendy.

— Zostaw go! — poprosił Ronald.

— Twarz w bliznach! — Kelvin zacisnął powieki. Przycisnął dłonie do skroni, jakby głowa miała mu pęknąć na pół. — Mówiłem im! Ostrzegałem!

— Co to oznacza, Kehdnie?

— Przestań! — błagał Ronald.

Kelvin stracił kontakt z otoczeniem. Zaczął kiwać głową. Weszli dwaj pielęgniarze. Na ich widok Kelvin wrzasnął:

— Przerwać polowanie! Przerwać polowanie!

Zaczął biegać na czworaka po pokoju. Ronald miał łzy w oczach. Próbował uspokoić brata. Kelvin podniósł się, a pielęgniarze rzucili się na niego jak zawodnicy rugby. Jeden złapał go za ramiona, a drugi za kolana.

— Nie róbcie mu krzywdy! — krzyknął Ronald. — Proszę!

Kelvin leżał na podłodze. Pielęgniarze zakładali mu kaftan. Ronald prosił, żeby nie robili mu krzywdy. Wendy próbowała zbliżyć się do Kelvina, żeby nawiązać z nim kontakt.

Leżąc na podłodze, Kelvin w końcu napotkał jej spojrzenie. Wendy przykucnęła przy szamoczącym się mężczyźnie.

— Odsuń się od niego! — krzyknął jeden z pielęgniarzy. Zignorowała go.

— Co chcesz powiedzieć, Kelvinie?

— Mówiłem im — szepnął. — Ostrzegałem.

— Przed czym ich ostrzegałeś?

Zaczął płakać. Ronald złapał ją za rękę i próbował odciągnąć. Wyrwała mu się.

— Przed czym ich ostrzegałeś, Kehdnie?

Do pokoju wpadł trzeci pielęgniarz. W rękę trzymał strzykawkę. Wstrzyknął coś w ramię chorego, który teraz patrzył prosto w oczy Wendy.

— Nie polować — powiedział nagle zupełnie spokojnie. — Nie powinniśmy więcej polować.

— Polować na co?

Jednak lekarstwo już zaczęło działać.

— Nie powinniśmy byli iść na polowanie — powiedział łagodnie. — Twarz w bliznach mogłaby ci powiedzieć. Nie powinniśmy byli iść na polowanie.

27

Ronald Tilfer nie miał pojęcia, kim jest osoba z „twarzą w bliznach”, ani o jakim polowaniu mówił jego brat.

— Mówił już o tym wcześniej, o polowaniu i twarzy w bliznach. Tak samo jak o Himmlerze. Nie sądzę, żeby to coś oznaczało.

Wendy ruszyła do domu, zastanawiając się, co z tym począć, i czując się jeszcze bardziej zagubiona niż rano. Charlie leżał na kanapie i oglądał telewizję.

— Cześć — rzuciła.

— Co jest na obiad?

— Czuję się świetnie, dziękuję. A ty?

Charlie westchnął.

— Czy możemy darować sobie te konwenanse?

— I wygląda na to, że zwyczajną ludzką uprzejmość też.

Charlie się nie ruszył.

— Dobrze się czujesz? — zapytała z nieco większą troską, niż zamierzała.

— Ja? Dobrze, dlaczego pytasz?
— Haley McWaid chodziła do twojej klasy.
— Tak, ale właściwie jej nie znałem.
— Wielu twoich kolegów z klasy i przyjaciół było na pogrzebie.

— Wiem.

— Widziałam tam Clarka i Jamesa.

— Wiem.

— Więc dlaczego ty nie poszedłeś?

— Ponieważ jej nie znałem.

— A Clark i James znali?

— Nie. — Charlie usiadł. — Posłuchaj, czuję się okropnie. To tragedia. Jednak ludzie, nawet moi najlepsi przyjaciele, lubią brać udział w takich ceremoniach, i tyle. Nie poszli tam, żeby okazać szacunek. Pokazali się tam, ponieważ uważali, że to będzie fajne. Chcieli być częścią czegoś. Chodziło tylko o nich, wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Wendy skinęła głową.

— Wiem.

— Zazwyczaj nie mam nic przeciwko temu, jednak kiedy chodzi o martwą dziewczynę, przepraszam, ale ja odpadam. Charlie znów położył głowę na poduszce i wrócił do oglądania telewizji. Przyglądała mu się przez chwilę. Nawet nie patrząc w jej stronę, znów westchnął.

— Co? — zapytał.

— Jakbym słyszała twojego ojca.

Nic nie powiedział.

— Kocham cię — dodała Wendy.

— Czy będę ci przypominał ojca, kiedy znowu zapytam: co jest na obiad?

Zaśmiała się.

— Zajrzę do lodówki — powiedziała, ale wiedziała, że niczego tam nie znajdzie i będzie musiała coś zamówić. Może japońskie zrazy... z brązowym ryżem, żeby były zdrowsze. Och, jeszcze jedno. Czy znasz Kirby'ego Sen-netta?

— Niespecjalnie. Tylko z widzenia.

— Czy to fajny chłopak?

— Nie, to kompletny młot.

Uśmiechnęła się.

— Słyszałam, że to drobny dealer.

— To straszny palant. — Charlie usiadł. — Po co te wszystkie pytania?

— Chcę spojrzeć pod innym kątem na sprawę Haley McWaid. Plotka głosi, że ci dwoje byli parą.

— Co z tego?

— Mógłbyś popytać? Spojrzał na nią ze zgrozą.

— Jako twój tajny mały reporter?

— Kiepski pomysł, co?

Nie pofatygował się, by odpowiedzieć, i nagle Wendy wpadła na inny pomysł, który w porównaniu z tamtym wydawał się znakomity. Poszła na górę i usiadła przy komputerze. Skorzystała z szybkiego wyszukiwania obrazów i znalazła idealne zdjęcie. Dziewczyna na fotografii wy-

glądała na osiemnastolatkę o azjatyckich rysach, w grubych okularach, wydekoltowanej bluzce i wspaniałym ciele.

Taak, ta się nada.

Wendy szybko stworzyła stronę Facebooka ze zdjęciem tej dziewczyny. Nadała jej nazwisko, będące kompilacją imienia jednej i nazwiska drugiej jej przyjaciółki z college'u, Sharon Hait. W porządku, dobrze. Teraz może się zaprzyjaźnić z Kirbym.

— Co robisz?

Charlie.

— Tworzę zmyślony profil.

Chłopak ściągnął brwi.

— Po co?

— Mam nadzieję, że uda mi się zaprzyjaźnić z Kirbym. Może wtedy ze mną porozmawia.

— Naprawdę?

— Co, myślisz, że to się nie uda?

— Nie z tym zdjęciem.

— Dlaczego?

— Za gorąca laska. Wygląda jak ze spamowej reklamy.

— Z czego?

Westchnął.

— Firmy używają takich fotografii do rozsyłania spamu. Posłuchaj, po prostu znajdź dziewczynę, która jest ładna, ale wygląda naturalnie. Wiesz, co ma na myśli?

— Tak sądzę.

— A potem ulokuj ją, powiedzmy, w Glen Rock. Gdyby była z Kasselton, on by ją znał.

— A ty znasz wszystkie dziewczyny w tym mieście?

— Ładne dziewczyny? Właściwie wszystkie. A przynajmniej by o niej słyszał. Dlatego wybierz jakieś miasteczko, które leży w pobliżu, ale nie za blisko. Potem napisz, że słyszałaś o nim od przyjaciółki albo widziałaś go w galerii handlowej Garden State Plaza czy coś takiego. Och, może podaj nazwisko jakiejś dziewczyny z tego miasta, na wypadek gdyby zapytał kogoś, sprawdził jej numer telefonu albo coś. Sprawdź, czy jakieś inne jej zdjęcie nie pojawia się przy wyszukiwaniu przez Google. Napisz, że dopiero co wpisałaś się na Facebooka i zaczynasz szukać przyjaciół, inaczej będzie się zastanawiał, dlaczego żadnych nie masz. Umieść kilka szczegółów w danych osobowych. Podaj jej ulubione filmy i kapele rockowe.

— Na przykład U2?

— Na przykład nie pochodzące sprzed stu lat.

Wymienił kilka zespołów, o których Wendy nigdy nie słyszała. Zapisała ich nazwy.

— Myślisz, że to zadziała? — zapytała.

— Wątpię, ale nigdy nie wiadomo. Przynajmniej umieści cię na liście znajomych.

— I co mi to da?

Znów westchnął.

— Już to omawialiśmy. Na przykład przy tej stronie Princeton. Jako znajoma możesz widzieć całą jego stronę. Zdjęcia, jakie na niej umieszcza, jego listy, przyjaciół, o czym pisze, w jakie gra gry, wszystko.

Wzmianka o stronie Princeton przypomniała jej jeszcze

coś. Weszła na nią, znalazła odnośnik do administratora i wcisnęła przycisk poczty elektronicznej. Administratorem był Lawrence Cherston, „dawny przewodniczący naszego roku”, według krótkiego opisu. Na zamieszczonym zdjęciu nosił krawat w pomarańczowo-czarnych barwach Princeton. Oj. Wendy napisała krótką wiadomość:

Cześć, jestem reporterką telewizyjną robiącą reportaż o waszym roczniku Princeton i bardzo chciałabym się spotkać. Proszę o kontakt w dowolnej odpowiadającej panu porze.

Kiedy wysyłała wiadomość, zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła nadchodzącą wiadomość tekstową od Phila Turnballa.

Musimy porozmawiać.

Wystukała odpowiedź:

Jasne, zadzwoń do mnie.

Zwlekał chwilę. Potem odpisał:

Nie przez telefon.

Wendy nie wiedziała, co o tym myśleć, więc wystukała:

Dlaczego nie?

Spotkanie za 30 minut w barze Zebra?

Wendy zastanawiała się, dlaczego unika odpowiedzi.

Dlaczego nie możemy porozmawiać przez telefon?

Jeszcze dłuższa zwłoka.

Teraz nie mam zaufania do telefonów.

Ściągnęła brwi. To wyglądało nieco dramatycznie, ale musiała przyznać, że Phil Turnball nie sprawiał wrażenia faceta skłonnego do przesady. Nie ma sensu bawić się

w zgadywanie. Wkrótce się z nim zobaczy. Wystukała *Ok*, a potem popatrzyła na Charliego.

— Co? — zapytał.

— Muszę biec na spotkanie. Możesz sam zamówić sobie obiad?

— Hm, mammo?

— Co?

— Dziś jest przedmaturalne zebranie organizacyjne, pamiętasz?

O mało nie klepnęła się w czoło.

— Do licha, zupełnie zapomniałam.

— W szkole, za niecałe... — Charlie spojrzął na swój przegub, chociaż nie nosił zegarka. — Trzydzieści minut. A ty jesteś w Komitecie Kanapkowym czy czymś takim.

Właściwie powierzono jej dostarczenie cukru i słodziku oraz mleczka do kawy i jego zamienników, chociaż skromność nie pozwalała jej się tym przechwalać.

Mogła olać to zebranie, ale szkoła bardzo poważnie traktowała organizację matury, a ona ostatnio — łagodnie mówiąc — trochę zaniedbywała swojego syna. Wzięła telefon komórkowy i wysłała wiadomość tekstową do Phila Turnballa.

Możemy to przesunąć na dziesiątą?

Nie otrzymała odpowiedzi. Poszła do sypialni i przebrała się — włożyła dżinsy i zieloną bluzkę. Wyjęła szkła kontaktowe i założyła okulary, a włosy związała w koński ogon. Kobieta pracująca.

Pisnął jej telefon. Phil Turnbull odpowiedział: *Ok*.

Zeszła na dół po schodach. Pops był w salonie. Na głowie miał czerwoną chustkę. W takiej chustce — albo chuście, jak nazywano je czasem, kiedy nosili je faceci — mało któremu mężczyźnie jest do twarzy. Pops wyglądał znośnie, ale ledwo ledwo.

Na jej widok pokręcił głową.

— Nosisz okulary jak staruszka?

Wzruszyła ramionami.

— W ten sposób nigdy nie złapiesz faceta.

Jakby po to szła na przedmaturalne zebranie organizacyjne.

— Wprawdzie to nie twoja sprawa, ale tak się składa, że zaproszono mnie dziś na randkę.

— Po pogrzebie?

— Tak.

Pops skinął głową.

— To mnie nie dziwi.

— Dlaczego?

— Najlepszy seks w życiu uprawiałem po pogrzebie.

Kompletny odlot na tylnym siedzeniu limuzyny.

— Oo, opowiesz mi o tym później ze szczegółami?

— Czyżbyś była sarkastyczna?

— Bardzo.

Pocałowała go w policzek, poprosiła, żeby dopilnował, by Charlie coś zjadł, po czym poszła po samochód. Zatrzymała się przy supermarkecie, żeby kupić dodatki do kawy. Zanim dotarła do szkoły, parking był pełny. Zdołała znaleźć wolne miejsce przy Beverly Road. Teoretycznie

miejsce być może znajdowało się niecałe piętnaście metrów od znaku zakazu, ale nie miała ochoty sprawdzać tego z centymetrem w ręku. Tego wieczoru Wendy Tynes wiodła niebezpieczne życie.

Kiedy weszła do klasy, rodzice już kłębili się przy stoliku z kawą bez dodatków. Pospieszyła tam i przepaszając, rozłożyła zakupione produkty.

Millie Hanover, przewodnicząca komitetu rodzicielskiego i matka, która zawsze wykazywała niezwykłą aktywność przy dekorowaniu wszystkich pozalekcyjnych szkolnych imprez, doskonale sobie z tym radząc, ściągnęła brwi z milczącą dezaprobatą. Natomiast ojcowie byli więcej niż gotowi przebaczyć Wendy spóźnienie. Nawet za bardzo. Między innymi dlatego Wendy miała na sobie zapiętą pod szyję bluzkę, niezbyt obcisłe dżinsy, brzydkie okulary i włosy związane w koński ogon. Nigdy nie prowadziła dłuższych rozmów z żonatymi mężczyznami. Nigdy. Cóż. Niech nazywają ją wyniosłą suką z jej punktu widzenia to lepsze niż flirciara, dziwka lub gorzej. Mężatki w tym miasteczku i tak już traktowały ją podejrzliwie. W takie wieczory miała ochotę włożyć koszulkę z napisem: „Naprawdę nie zamierzam ukraść ci męża”.

Głównym tematem rozmowy były studia, a konkretnie, czyje dzieci się dostały lub nie dostały na jakie uczelnie. Jedni rodzice się chwalili, inni żartowali, a jeszcze inni, co najbardziej się jej podobało, rzucali teksty jak przegrani politycy, nagle wychwalając „bezpieczne” przeciętne uczelnie, jakby były lepsze od tych, które początkowo wybrali.

A może była niesprawiedliwa. Może po prostu starali się pogodzić z rozczarowaniem.

Litościwie zadzwonił dzwonek, przynosząc Wendy z powrotem do szkolnych dni, i wszyscy ruszyli na plac apelowy. Mijali stolik, przy którym zachęcano rodziców do umieszczania na samochodach nalepek z napisem: „Proszę, jedź powoli — my kochamy nasze dzieci”, zapewne skutecznych, chociaż zdających się sugerować, że czytający je kierowca nie kocha swoich. Przy innym rozdawano kalkomanie na okna informujące sąsiadów, że w tym domu nie ma narkotyków, co było miłe, aczkolwiek nieco zbyt ostentacyjne, jak naklejka „Dziecko w samochodzie”. Był stolik Międzynarodowego Stowarzyszenia Walki z Alkoholizmem, pod hasłem „Nie w naszym domu”, prowadzącego kampanię przeciwko rodzicom pozwalającym na alkoholowe prywatki. Przy następnym rozdawano formularze ślubowania abstynenckiego. Nastolatek ślubował nigdy nie prowadzić po pijanemu i nie wsiadać do samochodu z kimś, kto pił alkohol. Natomiast rodzic zgadzał się, by nastolatek mógł o każdej porze zadzwonić z prośbą o odwiezienie do domu.

Wendy znalazła miejsce z tyłu. Obok niej usiadł nadmiernie przyjacielski tatuś z wciągniętym brzuchem i uśmiechem konferansjera. Wskazał stoliki.

— Przesadna troska — rzekł. — Jesteśmy nadopiekuńczy, nie sądzi pani?

Wendy nie odpowiedziała. Żona mężczyzny usiadła przy nim, groźnie ściągając brwi. Wendy przywitała się z nią, przedstawiła i poinformowała, że jest matką Charliego,

/ rozmysłem unikając kontaktu wzrokowego z panem Uśmiechniętym, wrogiem bezpieczeństwa.

Dyrektor Pete Zecher wszedł na podium i podziękował wszystkim za przybycie „w tak trudnej chwili”. Ogłoszono minutę ciszy poświęconą Haley McWaid. Niektórzy zastanawiali się, dlaczego nie odwołano zebrania, ale szkolny kalendarz zajęć był tak zapelniony, że nie było innego wolnego terminu. Ponadto, jak długo można czekać? Dzień? Tydzień?

Tak więc po minucie lub dwóch niezręcznej ciszy Pete Zecher przedstawił Millie Hanover, która z entuzjazmem oznajmiła, że motywem przewodnim tegorocznej imprezy pomaturalnej będą superbohaterowie. Krótko mówiąc, wyjaśniła w długiej przemowie Millie, szkolna sala gimnastyczna zostanie ozdobiona tak, by przypominała miejsca z różnych komiksów: jaskinię Batmana, Fortecę Samotności Supermana, zamczysko X należące do X-menów, czy jak tam nazywano ich siedzibę, amerykańską główną kwaterę Ligi Sprawiedliwych. W minionych latach szkołę dekorowano w stylu scenografii do filmów o Harrym Potterze, telewizyjnego reality show *Przetrwanie* (teraz Wendy uświadomiła sobie, że od tego czasu minęło jednak więcej niż kilka lat), a nawet *Małej Syrenki*.

Organizacja imprezy pomaturalnej miała na celu przygotowanie dla absolwentów bezpiecznego miejsca do zabawy po uroczystym zakończeniu roku szkolnego i rozdaniu świadectw. Uczniowie przyjadą autobusami, a wszyscy opiekunowie pozostaną na zewnątrz. Oczywiście żadnego

alkoholu czy narkotyków, choć w minionych latach kilku nastolatków zdołało jakoś je przemycić. Pomimo to, z opiekunami w pobliżu i autobusami jako środkami transportu, ten projekt wydawał się doskonałą alternatywą dla tradycyjnego balu maturalnego.

— Z przyjemnością wybiorę przewodniczących mojego ciężko pracującego komitetu organizacyjnego — powiedziała Millie Hanover. — Kiedy wymienię nazwisko, proszę wstać. — Wybrała przewodniczących komisji do spraw dekoracji, napojów, przekąsek, transportu oraz informacji. Wymienieni wstawali przy gromkich oklaskach. — Pozostałe osoby proszę, by zgłosiły się na ochotnika. Nie poradzimy sobie bez was i jest to cudowny sposób na to, aby matura była dla waszego dziecka pozytywnym przeżyciem. Pamiętajmy, że robimy to dla naszych dzieci i nie powinniśmy zdawać się na innych. — Może mogłaby to powiedzieć bardziej protekcjonalnym tonem, ale trudno było to sobie wyobrazić. — Dziękuję za wysłuchanie. Zostały wyłożone listy do podpisu.

Następnie dyrektor Zecher przedstawił funkcjonariusza policji z Kasselton, Dave'a Pecore, przewodniczącego miejskiej komisji do spraw bezpieczeństwa, który omówił zagrożenia związane z balem maturalnym. Mówił o rosnącej popularności heroiny. O ćpanych prywatkach, na które nastolatki przynoszą ukradzione rodzicom leki sprzedawane na receptę i sporządzają z nich mieszankę, którą próbują się odurzać. W zeszłym roku Wendy chciała zrobić o tym reportaż, ale nie mogła znaleźć żadnych konkretnych przy-

padków, jedynie anegdotyczne opisy. Pewien funkcjonariusz DEA* powiedział jej, że takie ćpane prywatki są raczej mitem niż rzeczywistością. Pecora ostrzegał przed zagrożeniami związanymi ze spożywaniem alkoholu przez nieletnich. „Rocznie cztery tysiące dzieci umiera w wyniku przedawkowania alkoholu” — jednak nie powiedział, czy na całym świecie, czy tylko w USA, ani w jakim wieku były to dzieci. Ponadto podkreślił fakt, że „rodzice wyświadczają dzieciom niedźwiedzią przysługę”, zezwalając na alkoholowe prywatki. Z groźną miną podał kilka przypadków, gdy takich rodziców skazano za spowodowanie zabójstwa i wsadzono do więzienia. Zaczął nawet szczegółowo opisywać ich więzienne doświadczenia — niczym w programie edukacyjnym dla rodziców.

Wendy ukradkiem zerknęła na zegarek — znowu tak jak wtedy, gdy chodziła do szkoły. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. W głowie wciąż tłukły jej się trzy myśli. Pierwsza, żeby wynieść się stąd i posłuchać, co ma do powiedzenia nagle tak lakoniczny Phil Turnball. Druga, że zapewne powinna zapisać się do jakiejś komisji. Chociaż cały ten projekt budził jej wątpliwości — częściowo wydając się jeszcze jednym sposobem zaspokajania wszelkich zachcianek dziecka, a częściowo bardziej potrzebny rodzicom niż dzieciom — byłoby nie w porządku, jak wyniosłe stwierdziła Millie, kazać innym wykonywać całą pracę przy czymś, z czego ma korzystać Charlie.

* DEA — Drug Enforcement Administration — rządowa agencja m.in. do walki z narkotykami.

Po trzecie i może najważniejsze, nie mogła przestać myśleć o Arianie Nasbro oraz o tym, jak jadąc po pijanemu, zabiła Johna. Mimo woli Wendy pomyślała, że rodzice Ariany Nasbro powinni byli uczestniczyć w takich przygotowaniach przedmaturalnych i czy cała ta pozornie przesadna troska o bezpieczeństwo uratuje komuś życie w nadchodzących tygodniach, tak by innej rodziny nie spotkało to, co przydarzyło się jej i Charliemu.

Zecher wrócił na podium i zakończył zebranie, dziękując wszystkim za przybycie. Wendy rozejrzała się, szukając znajomych twarzy, mając sobie za złe to, że zna tak niewielu rodziców kolegów swojego syna. Naturalnie McWaidów nie było. Ani Jenny i Noela Wheelerów. Obrona oskarżonego o molestowanie byłego męża drogo kosztowała rodzinę Jenny Wheeler, a po znalezieniu ciała zamordowanej Haley McWaid ich życie w tej niewielkiej społeczności musiało stać się nie do zniesienia.

Rodzice ruszyli do stolików, na których wyłożono listy poszczególnych komisji. Wendy przypomniała sobie, że Brenda Traynor, przewodnicząca komisji do spraw informacji, jest znajomą Jenny Wheeler i straszną plotkarą — zabójcze połączenie na przedmieściach. Podeszła do niej.

— Cześć, Brendo.

— Miło mi cię widzieć, Wendy. Chcesz się zgłosić na ochotnika?

— Hm, pewnie. Pomyślałam, że mogłabym pomóc w komisji do spraw informacji.

— Och, to byłoby wspaniale. No wiesz, kto byłby w tym lepszy niż sławna reporterka telewizyjna?

— No, nie powiedziałabym, że jestem sławna.

— Och, ale ja tak.

— Więc gdzie mam podpisać? — zapytała Wendy z wymuszonym uśmiechem.

Brenda pokazała jej listę.

— Mamy zebrania w każdy wtorek i czwartek. Ze-chciałabyś któreś poprowadzić?

— Pewnie.

Wpisała się, nisko pochylając głowę.

— Cóż — powiedziała, starając się rozegrać to delikatnie, ale bez powodzenia — czy sądzisz, że Jenna Wheeler byłaby dobrym członkiem naszej komisji?

— Chyba żartujesz.

— Zdaje się, że ma dziennikarskie przygotowanie — powiedziała Wendy. Zmyśliła to.

— Kogo to obchodzi? Po tym, co zrobiła, wpuszczając tego potwora do naszej społeczności... Ponadto już ich nie ma.

— Nie ma?

Brenda kiwnęła głową i nachyliła się do niej.

— Na ich domu jest tabliczka „Na sprzedaż”.

— Och.

— Amandy nawet nie będzie na zakończeniu roku. Żal rai jej... to chyba nie jej wina... ale to naprawdę słuszna decyzja. Popsułyby wszystkim zabawę.

— Dokąd wyjeżdżają?

— Cóż, słyszałam, że Noel dostał pracę w jakimś szpitalu w Ohio. W Columbus, Canton czy może Cleveland. W Ohio

jest tyle miast na C, że naprawdę trudno zapamiętać. Jeśli się zastanowić, to chyba w Cincinnati. Jeszcze jedno na C. Zdaje się, że nazywają to „miękkim C”, zgadza się?

— Zgadza. Czy Wheelerowie już się wyprowadzili?

— Nie, nie sędzę. Ach tak, Talia mówiła mi... Znasz Talię Norwich? Taka miła kobieta? Ma córkę Allie. Z lekką nadwagą... W każdym razie Talia mówiła mi, że podobno do czasu przeprowadzki zamieszkali w Marriott Courtyard.

Trafiony, zatopiony.

Wendy pomyślała o tym, co mówiła Jenna o Danie, o tej jego części, do której nie mogła dotrzeć — ale głównie o tym... jak ona to ujęła? Coś przydarzyło mu się na studiach. Może czas, by znowu porozmawiać z Jenną Wheeler?

Pożegnała się, przycisnęła do wyjścia i ruszyła na spotkanie z Philem Turnballem.

28

Phil siedział w stosunkowo cichym kącie z tyłu baru — stosunkowo, oczywiście, ponieważ sportowe bary nie są miejscami gwarantującymi samotność, spokojną rozmowę czy kontemplację. W lokalu nie było oklapniętych mężczyzn o czerwonych nosach, przegranych facetów topiących smutki na barowych stołkach. Nikt nie wpatrywał się w opróżniany kieliszek, ponieważ było tu mnóstwo szerokoekranowych telewizorów nadających mieszankę sprawozdań z zawodów sportowych i wiadomości absorbujących uwagę.

Bar nazywał się Kochaj Zebkę. Pachniał bardziej smażonymi skrzydełkami i salsą niż piwem. Był gwarny. Firmowe drużyny piłkarskie bawiły się po meczu. Grali Jankesi. Niektóre młode kobiety nosiły klubowe stroje z dżerseju i kibicowały z nieco nadmiernym entuzjazmem, na co ich partnerzy wyraźnie się krzywili.

Wendy usiadła przy stoliku. Phil miał na sobie cyt-rynowozieloną koszulkę polo z rozpiętymi oboma guzikami.

Z dekoltu sterczały siwe właki. Powitał ją półśmiechem i nieobecny spojrzaniem.

— Mieliśmy firmową drużynę piłkarską—powiedział. — Przed laty. Kiedy zacząłem pracę. Po meczu chodziliśmy do takiego baru jak ten. Sherry też przychodziła. Nosila jedną z tych seksownych koszul, no wiesz, tych obcisłych z ciemnymi rękawami trzy czwarte.

Wendy kiwnęła głową. Mówił trochę niewyraźnie.

— Boże, wyglądała tak pięknie.

Czekała, aż powie więcej. Większość ludzi to robi. Tajemnica udanego wywiadu polega na umiejętności nie-przerywania ciszy. Minęło kilka sekund. Potem jeszcze parę. No dobrze, to tyle, jeśli chodzi o milczenie. Czasem trzeba naprowadzić rozmówcę.

— Sherry wciąż jest piękna — zauważyła Wendy.

— Och tak. — Półśmiech zastygł na wargach Phila. Jego kufel był pusty. Oczy miał szkliste, a twarz zaczerwienioną od alkoholu. — Jednak już nie patrzy na mnie tak jak kiedyś. Nie zrozum mnie źle. Wspiera mnie. Kocha. Mówi i robi to, co trzeba. Jednak widzę to w jej oczach. Teraz nie jestem już dla niej taki męski.

Wendy zastanawiała się, co powiedzieć, żeby nie zabrzmiało protekcyjnie, ale „jestem pewna, że to nieprawda” lub „przykro mi” się nie nadawało. Znowu wybrała milczenie.

— Chcesz drinka? — zapytał.

— Pewnie.

— Ja wlewam w siebie coronę light.

— Brzmi zachęcająco. Pozwól jednak, że ja poprzestane na zwykłej coronie.

— Może jakieś nachos?

— A ty jadłeś?

— Nie.

Skinęła głową, myśląc, że przydałoby mu się trochę pokarmu w żołądku.

— Nachos to chyba dobry pomysł.

Phil skinął na kelnerkę. Miała na sobie pasiastą koszulkę sędziego liniowego, dlatego bar nazywał się Kochaj Zebkę. Z plakietki wyczytali, że ma na imię Ariel. Nosila na szyi gwizdek i dla dopełnienia efektu czarne kręgi namalowane wokół oczu. Oczywiście Wendy nigdy nie widziała sędziego z takim makijażem, tylko zawodników, lecz to pomieszanie metafor w stroju wydawało się umiarkowanym problemem.

Złożyli zamówienie.

— Wiesz co? — rzekł Phil, patrząc, jak kelnerka odchodzi.

Wendy znów zaczekała.

— Pracowałem w takim barze jak ten. No, niezupełnie takim. Należał do sieci restauracji z barem w środku. Znasz je? Zawsze jest w nich przystrzyżona zieleń, a na ścianach ozdoby mające przypominać lepsze czasy.

Wendy skinęła głową. Znała je.

— To tam poznałem Sherry. Pracowałem jako barman. Ona była obrotną kelnerką która natychmiast podchodziła i pytała, czy chcesz zacząć od przystawki fundowanej przez firmę.

— Myślałam, że byłeś bogatym dzieciakiem.

Phil zachichotał i odwrócił do góry dnem pustą już butelkę corony light, żeby wysączyć z niej ostatni łyk. Niemal oczekiwała, że w nią postuka.

— Chyba moi rodzice uważali, że trzeba pracować. Gdzie byłaś dziś wieczorem?

— W liceum mojego syna.

— Po co?

— Na przedmaturalnym zebraniu organizacyjnym.

— Czy twój dzieciak został już przyjęty na uczelnię?

— Tak.

— Którą? Przesunęła się na krześle.

— Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć, Phil?

— Zbyt osobiste pytanie? Przepraszam.

— Po prostu chcę przejść do rzeczy. Jest późno.

— Chyba wpadłem w filozoficzny nastrój. Widzę te dzisiejsze dzieciaki, którym sprzedają to samo głupie marnowanie co nam. Ucz się pilnie. Dostawaj dobre stopnie. Przygotowuj się do egzaminów. Uprawiaj sport, jeśli możesz. Uczelnie to uwielbiają. Staraj się wykazywać należyta aktywność w zajęciach ponadprogramowych. Rób to wszystko, żeby zdobyć dyplom możliwie najbardziej prestiżowej uczelni. Zupełnie jakby pierwsze siedemnaście lat twojego życia było okresem próbnym przed studiami na najlepszej uczelni.

Wendy wiedziała, że to prawda. Jeśli chodząc do szkoły średniej, mieszkasz na przedmieściach, świat staje się

nieustannym nowojorskim pochodem, w którym zamiast konfetti z taśmy telegraficznej jesteś obrzucany przez uczelnie zawiadomieniami o przyjęciu lub odrzuceniu.

— I spójrz na moich dawnych współmieszkańców — ciągnął Phil coraz bardziej niewyraźnie. — Princeton. Uniwersytet najlepszy z najlepszych. Kelvin był czarnoskóry. Dan był sierotą. Steve z ubogiej rodziny. Farley jednym z ośmiorga dzieci katolickiej robotniczej rodziny. Wszystkim nam udało się dostać na studia. I wszyscy byliśmy zagubieni i nieszczęśliwi. Najszczęśliwszy facet, jakiego znałem w liceum, dostał się na stanowy uniwersytet Montclair i wyjechał na drugim roku. Nadal jest barmanem. To najbardziej zadowolony z życia sukinsyn, jakiego znam.

Zgrabna młoda kelnerka przyniosła im piwo.

— Nachos będą za kilka minut.

— Żaden problem, moja droga — powiedział Phil z uśmiechem, który jeszcze kilka lat temu mógłby zostać odwzajemniony, ale nie dziś. Phil może o sekundę za długo zatrzymał na niej wzrok, chociaż Wendy nie sądziła, by dziewczyna to zauważyła. Kiedy kelnerka znikła im z oczu, Phil wziął butelkę i podsunął Wendy. Podniosła swoją, stuknęła się z nim i postanowiła przerwać ten chocholi taniec.

— Phil, co ci mówi określenie „twarz w bliznach”?

Usilnie starał się nie zdradzać żadnych uczuć. Ściągnął brwi, żeby zyskać na czasie, a nawet posunął się do pytającego „Hm”?

— Twarz w bliznach.

— Co z nią?

— Co ci mówi to określenie?

— Nic.

— Kłamiesz.

— Człowiek z blizną? — Zmarszczył w namyśle czoło. —

Czy to nie tytuł filmu? Z Alem Pacino, tak? — Nieudolnie spróbował go naśladować, mówiąc z koszmarnym akcentem:

— *Powiedz „do widzenia” mojemu małemu przyjacielowi.*

Próbował obrócić sprawę w żart.

— A co z polowaniem?

— Skąd ty to wzięłaś, Wendy?

— Od Kelvina.

Cisza.

— Widziałam go dzisiaj.

To, co powiedział Phil, zaskoczyło ją.

— Taak, wiem.

— Skąd?

Nachylił się do niej. Za ich plecami wybuchły owacje. Ktoś krzyczał: „Dalej! Dalej!”. Dwaj biegacze Jankesów pędzili do bazy po wybiciu na płytki środek. Pierwszy dobiegł swobodnie. Dla drugiego był to rzut na taśmę, ale też mu się udało. Wiwaty tłumy kibiców.

— Nie rozumiem — powiedział Phil — co próbujesz zrobić.

— Co masz na myśli?

— Ta biedna dziewczyna nie żyje. Dan nie żyje.

— A więc?

— A więc stało się. Już po wszystkim, mam rację?

Nie odpowiedziała.

— O co ci jeszcze chodzi?

— Phil, czy sprzeniewierzyłeś te pieniądze?

— A co to za różnica?

— Tak?

— Czy właśnie to próbujesz zrobić — dowieść, że jestem niewinny?

— To też.

— Nie pomagaj mi, dobrze? Dla mojego dobra. Dla twojego dobra. Dla dobra nas wszystkich. Proszę, zostaw to.

Odwrócił wzrok. Jego dłonie odnalazły butelkę i szybko podniosły ją do ust. Upił długi łyk. Wendy patrzyła na niego. Przez moment widziała to, co być może zobaczyła Sherry. Był wypaloną skorupą. Coś w nim zgasło — iskra, płomyk, jakkolwiek to nazwać. Przypomniała sobie, co powiedział Pops o mężczyznach tracących pracę i o tym, jak to na nich wpływa. W pewnej sztuce, którą kiedyś widziała, padły słowa, że mężczyzna bez pracy nie potrafi chodzić z podniesioną głową ani spojrzeć w oczy swoim dzieciom.

— Proszę — powiedział cicho i z naciskiem. — Chcę, żebyś dała temu spokój.

— Nie chcesz poznać prawdy?

Zaczął odrywać etykietkę z butelki. Przyglądał się swojemu dziełu, jakby był artystą rzeźbiącym w marmurze.

— Myślisz, że nas skrzywdzili — powiedział cicho. — Nic podobnego. To wszystko do tej pory to był tylko klaps. Jeśli zostawimy to w spokoju, na tym się skończy. Jeżeli

nadal będziemy szukali... jeśli ty nie przestaniesz szukać...
będzie o wiele, wiele gorzej.

Etykieta odeszła. Phil patrzył, jak spada na podłogę.

— Phil? — Spojrzał na nią. — Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Proszę, posłuchaj mnie, dobrze? Słuchaj uważnie: będzie gorzej.

— Kto może sprawić, że będzie gorzej?

— To nieważne.

— Akurat.

Młoda kelnerka przyszła z nachos spiętrzonymi tak wysoko, że wyglądało to tak, jakby niosła dziecko. Postawiła je na stole i zapytała, czy ma przynieść coś jeszcze. Oboje podziękowali. Odwróciła się na pięcie i zostawiła ich samych. Wendy nachyliła się nad stołem.

— Kto to robi, Phil?

— To nie tak.

— Co nie tak? Może zabili dziewczynę.

Pokręcił głową.

— Dan to zrobił.

— Jesteś pewny?

— Zdecydowanie. — Spojrzał jej w oczy. — Musisz mi uwierzyć. Będzie po wszystkim, jeśli to zostawisz.

Milczała.

— Wendy?

— Powiedz mi, o co chodzi — nalegała. — Nikomu nie powiem. Obiecuję. To pozostanie między tobą a mną.

— Zostaw to w spokoju.

— Przynajmniej powiedz mi, kto za tym stoi.

Pokręcił głową.

— Nie wiem.

Wyprostowała się.

— Jak możesz nie wiedzieć?

Rzucił na stół dwie dwudziestki i zaczął wstawać.

— Dokąd się wybierasz?

— Do domu.

— Nie możesz prowadzić.

— Nic mi nie jest.

— Nie, Phil.

— Teraz?! — krzyknął tak głośno, że ją przestraszył. —

Teraz troszczysz się o moje dobro?

Zaczął płakać. W zwyczajnym barze mogłoby to przyciągnąć kilka zaciekawionych spojrzeń, lecz przy ryczących telewizorach i uwadze gości skupionej na rozgrywkach zostało niemal niezauważone.

— Co się, do diabła, dzieje? — zapytała.

— Zostaw to. Słyszysz mnie? Mówię to nie tylko ze względu na mnie, ale i na ciebie.

— Na mnie?

— Narażasz się na niebezpieczeństwo. I twojego syna.

Mocno złapała go za rękę.

— Phil?

Próbował wstać, ale alkohol go osłabił.

— Chyba właśnie groziłeś mojemu dziecku.

— Opacznie to rozumiałaś — powiedział. — To ty narażasz mnie na niebezpieczeństwo.

Puściła go.

— W jaki sposób?

Pokręcił głową.

— Po prostu musisz dać temu spokój, rozumiesz? Wszyscy musimy. Nie próbuj kontaktować się z Farleyem i Stevem, i tak nie będą chcieli z tobą rozmawiać. Zostaw w spokoju Kelvina. Rozgrzebywanie tego nic nikomu nie da. Już po wszystkim. Dan nie żyje. A jeśli nie odpuścisz, zginie więcej osób.

29

Wendy próbowała wyciągnąć z Phila więcej informacji, ale zamknął się w sobie. W końcu odwiozła go do domu. Kiedy wróciła do siebie, Pops i Charlie oglądali telewizję.

— Czas do łóżek — oznajmiła.

Pops jęknął.

— Aj, nie mogę obejrzeć do końca?

— Zabawne. — Pops wzruszył ramionami.

— To nie jest mój najlepszy numer, ale jest późno.

— Charlie?

— Moim zdaniem to było zabawne.

Wspaniale, pomyślała. Mam tu dwóch komediantów.

— Do łóżka.

— Czy wiesz, co to za film?

Zerknęła.

— Wygląda mi to na absolutnie politycznie niepoprawny *Harold i Kumar idą do Białego Zamku*.

— Właśnie — rzekł Pops. — A w naszej rodzinie nie

wyłączamy telewizora w połowie filmu z Haroldem i Ku-marem. To byłby brak szacunku.

Miał trochę racji, bo sama uwielbiała ten film. Usiadła przy nich i pośmiała się trochę, próbując zapomnieć o martwych dziewczynach, facetach podejrzanych o pedofilię, współmieszkańcach z Princeton i groźbach pod adresem jej syna. O tej ostatniej, choć może się to wydać egoistyczne, nie mogła zapomnieć. Phil Turnball nie wyglądał na pani-karza, a jednak był gotowy — znów używając slangu nastolatków — „odpuścić”.

Może miał rację. Jej reportaż dotyczył Dana Mercera i może Haley McWaid. Ta część istotnie została zakończona. Odzyskała posadę. Właściwie wyszła z tego wszystkiego obronną ręką — jako reporterka, która zdemaskowała nie tylko pedofila, ale i mordercę. Może powinna pójść tą drogą? Współpracować z policją, żeby sprawdzić, czy były inne ofiary.

Spojrzała na wyciągniętego na kanapie Charliego. Śmiał się z czegoś, co powiedział Neil Patrick Harris grający Neila Patricka Harrisa. Uwielbiała ten jego śmiech. Który rodzic nie uwielbia śmiechu swojego dziecka? Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, myśląc o Tedzie i Marcii McWaidach oraz o tym, że już nigdy nie usłyszą śmiechu Haley, a potem kazała sobie przestać.

Kiedy rano zadzwonił budzik, Wendy wstała, mając wrażenie, że spała zaledwie osiem minut. Zawołała Charliego. Nie odpowiedział. Zawołała znowu. Nic.

Zerwała się z łóżka.

— Charlie!

Nadal nie odpowiadał.

Wpadła w panikę. Z trudem oddychała.

— Charlie!

Pobiegła korytarzem z walącym sercem. Skręciła i bez pukania otworzyła drzwi.

Był tam, oczywiście, wciąż w łóżku, z głową nakrytą poduszką.

— Charlie!

Jęknął.

— Idź sobie.

— Wstawaj.

— Nie mogę jeszcze pospać?

— Ostrzegalam cię wieczorem. Teraz wstawaj.

— Pierwsza lekcja to higiena. Mogę na nią nie iść?

Proszę!

— Wstawaj, ale już.

— Higiena — powtórzył. — Uczą o seksie nas, podatną na wpływy młodzież. Przez to jesteśmy bardziej rozwiązli. Naprawdę uważam, że dla mojego moralnego dobra powinnaś pozwolić mi zostać w łóżku.

Starła się powstrzymać uśmiech.

— Wstawaj, do jasnej cho...

— Jeszcze pięć minut? Proszę!

Westchnęła.

— W porządku, jeszcze pięć minut. Nie więcej.

Pół godziny później, gdy skończyła się lekcja higieny, zawiozła go do szkoły. A co tam. Ostatnia klasa i już został

przyjęty do college'u. Powiedziała sobie, że może mu trochę pofolgować.

Po powrocie do domu sprawdziła pocztę elektroniczną. Miała wiadomość od Lawrence'a Cherstona, administratora witryny rocznika Princeton. „Z przyjemnością” spotka się z nią, „gdy tylko będzie to możliwe”. Jego adres: Princeton, New Jersey. Zadzwoiła do niego i zapytała, czy mogą spotkać się dzisiaj o piętnastej. Lawrence Cherston znów oznajmił, że z „z przyjemnością”.

Wendy rozłączyła się i postanowiła sprawdzić swój fikcyjny profil na Facebooku — Sharon Hait. Oczywiście cokolwiek przeraziło Phila, nie miało nic wspólnego z rolą Kirby'ego Sennetta w tej sprawie. Chociaż czy w ogóle miało z tym coś wspólnego?

Jednak nie zaszkodzi sprawdzić Facebooka. Weszła na tę stronę i z zadowoleniem zobaczyła, że Kirby Sennett zaliczył ją do swoich przyjaciół. W porządku, dobrze. I co teraz? Kirby przysłał jej zaproszenie na zabawę z red bullem. Kliknęła odnośnik. Zobaczyła zdjęcie uśmiechniętego Kirby'ego trzymającego wielką puszkę tego napoju.

Był też adres, godzina oraz krótka wiadomość od starego Kirby'ego:

Cześć, Sharon, bardzo chciałbym, żebyś przyszła!

Tyle, jeśli chodzi o żalobę. Zastanawiała się, na czym polega ta zabawa z red bullem. Zapewne właśnie na tym — popijaniu „energetyzującego” red bulla, chociaż może doprawionego czymś mocniejszym — jednak zapyta o to Charliego.

I co teraz? Czy powinna nawiązać znajomość i zobaczyć, czy się przed nią otworzy? Nie. Śliska sprawa. Udawanie młodej dziewczyny, żeby zdemaskować zbrodnicę to jedno. Jednak będąc matką nastoletniego chłopca, udawać nastolatkę, żeby nakłonić jego kolegę z klasy do zwierzeń, to co innego.

Więc co powinna zrobić?

Nie miała pojęcia.

Zadzwoił telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła, że to ktoś ze stacji NTC.

— Halo?

— Pani Wendy Tynes? Głos był piskliwy i kobiecy.

— Tak.

— Dzwonię z działu kadr i przepisów. Chcielibyśmy, żeby przyszła pani do nas dzisiaj, punktualnie o dwunastej.

— W jakiej sprawie?

— Nasz dział znajduje się na piątym piętrze. Gabinet pana Fredericka Montague. Punktualnie o dwunastej. Proszę się nie spóźnić.

Wendy ściągnęła brwi. Proszę się nie spóźnić?

Rozmówczyni się rozłączyła.

O co tu chodzi, do licha? I kto oprócz nauczycieli mówi „proszę się nie spóźnić”? Usiadła. Pewnie to nic ważnego: trzeba podpisać jakieś papiery w związku z ponownym zatrudnieniem. Jednak dlaczego kadry zawsze muszą zachowywać się tak cholernie tajemniczo?

Zastanowiła się nad następnym posunięciem. Wczoraj wieczorem dowiedziała się, że Jenna Wheeler przeniosła się do pobliskiego Marriotta. Czas nałożyć kapelusz reportera i ustalić do którego. Sprawdziła w Internecie. Trzy najbliższe Marriotty znajdowały się w Secaucus, Paramus i Mahwah. Najpierw zadzwoniła do Secaucus.

— Może mnie pani połączyć z waszym gościem, który nazywa się Wheeler?

Doszła do wniosku, że raczej nie zameldowali się pod przybranym nazwiskiem. Telefonistka poprosiła o przeliterowanie. Wendy zrobiła to.

— Nie mamy gościa o takim nazwisku.

Rozłączyła się i zadzwoniła do Paramus.

Ponownie zapytała o gościa o nazwisku Wheeler. Po trzech sekundach telefonistka powiedziała:

— Proszę zaczekać, już panią łączę.

Trafiony, zatopiony.

Telefon odebrano po trzecim dzwonku.

— Halo? — powiedziała Jenna Wheeler.

Wendy rozłączyła się i poszła do samochodu. Do Marriotta Courtyard w Paramus miała zaledwie dziesięć minut jazdy. Lepiej pojawić się tam osobiście. Kiedy od hotelu dzieliły ją zaledwie dwie minuty drogi, znów zadzwoniła do ich pokoju.

Kolejny telefon obudził czujność Jenny.

— Halo?

— Tu Wendy Tynes.

— Czego chcesz?

- Spotkać się.
- Nie chcę się z tobą spotkać.
- Nie zamierzam skrzywdzić twojej rodziny, Jenno.
- Więc daj nam spokój, proszę. Wendy wjechała na parking hotelowy.
- To niemożliwe.
- Nie mam ci nic do powiedzenia.

Znalazła wolne miejsce, zatrzymała się i zgasiła silnik.

- To niedobrze. Proszę, zjedź na dół. Jestem w holu.

Nie odejdę, dopóki ze mną nie porozmawiasz.

Wendy się rozłączyła. Paramus Marriott Courtyard był malowniczo położony między Route 17 a Garden State Parkway. Z okien widać było sklep z elektroniką PC. Richardsa albo Syms, supermarket bez okien, z niby--chępliwą reklamą głoszącą: „Wykształcony klient to nasz najlepszy klient”.

Miejsce raczej nienadające się na wakacje.

Wendy weszła do hotelu. Zaczekała w beżowym holu — morze beżowych ścian, kontrastujących z ciemną zielenią dywanu, pomieszczenie pełne najpospolitszych z pospolitych kolorów, tak zwyczajnych, by donośnie głosiły, że ten hotel jest wygodny i porządny, ale nie spodziewaj się żadnych fajerwerków. Na ławie leżały rozrzucone egzemplarze „USA Today”. Wendy zerknęła na nagłówki i przejrzała streszczenia.

Jenna pojawiła się po pięciu minutach. Miała na sobie za duży sweter. Mocno ściągnięte w kucyk włosy jeszcze bardziej podkreślały jej i tak wydatne kości policzkowe.

— Przyszłaś napawać się sukcesem? — prychnęła.

— Taa, Jenno, właśnie po to tu przyszedłam. Siedziałam dziś rano w domu, myśląc o martwej dziewczynie znalezionej w lesie, i powiedziałam sobie: „Wiesz, co byłoby teraz dobre? Co zwieńczyłoby dzieło? Trochę się ponapawać”. I dlatego tu jestem. Och, a potem pójde poszukać jakiegoś psiaka, żeby go kopnąć.

Jenna usiadła.

— Przepraszam. To była niepotrzebna uwaga.

Wendy rozmyślała o tym w nocy, o tym jakże banalnym zebraniu organizacyjnym, o tym, że Jenna i Noel Wheele-rowie powinni na nim być, jak bardzo zapewne teraz chcieliby w nim uczestniczyć.

— Ja też przepraszam. Wyobrażam sobie, jakie to dla was wszystkich trudne.

Jenna wzruszyła ramionami.

— Ilekroć mam ochotę się nad sobą poużalać, myślę o Tedzie i Marcii. Wiesz, co chcę powiedzieć?

— Wiem.

Cisza.

— Słyszałam, że się przeprowadzacie — powiedziała Wendy.

— Od kogo?

— To małe miasteczko.

Jenna uśmiechnęła się bez cienia wesołości.

— Jak wszystkie, prawda? Tak, przeprowadzamy się. Noel będzie ordynatorem kardiochirurgii w szpitalu Cincinnati Memorial.

— Szybko.

— Jest rozrywany. Jednak prawdę mówiąc, planowaliśmy to od miesiący.

— Kiedy zaczęłaś bronić Dana?

Znów spróbowała się uśmiechnąć.

— Powiedzmy, że to nie poprawiło naszej pozycji w tutejszej społeczności. Mieliliśmy nadzieję, że zostaniemy tu do końca roku szkolnego, żeby Amanda ukończyła szkołę ze swoją klasą. Jednak chyba tak się nie stanie.

— Przykro mi.

— Znów przypomnę Teda i Marcie. To nic takiego.

Wendy pomyślała, że chyba tak.

— Więc po co tu przyszedłaś, Wendy?

— Broniłaś Dana.

— Taak.

— Od początku do końca. Od emisji pierwszego programu. Wydawałaś się pewna tego, że jest niewinny. A kiedy rozmawialiśmy ostatnio, powiedziałaś, że zniszczyłam niewinnego człowieka.

— Co mam powiedzieć? Że popełniłam błąd? Ja się myliłam, a ty miałaś rację?

— A było tak?

— Jak?

— Myliłaś się?

Jenna tylko na nią spojrzała.

— O czym ty mówisz?

— Myślisz, że Dan zabił Haley?

W holu było cicho. Wydawało się, że Jenna zamierza odpowiedzieć, ale tylko pokręciła głową.

— Nie rozumiem. Myślisz, że jest niewinny?

Wendy nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Myślę, że wciąż brakuje kilku kawałków tej układanki
— odrzekła ostrożnie.

— Na przykład jakich?

— Właśnie tego próbuję się dowiedzieć.

Jenna spojrzała na nią tak, jakby oczekiwała czegoś więcej. Teraz Wendy odwróciła wzrok. Jenna zasługiwała na lepszą odpowiedź. Dotychczas Wendy zajmowała się tą sprawą jako reporterka. Może jednak była kimś więcej. Może czas się oczyścić, wyznać prawdę, powiedzieć to głośno.

— Zamierzam ci się do czegoś przyznać.

Jenna skinęła głową i czekała.

— Polegam na faktach, nie na intuicji. Intuicja zazwyczaj wpuszcza mnie w kanał. Wiesz, co chcę powiedzieć?

— Lepiej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Teraz Jenna miała łzy w oczach. Wendy pomyślała, że ona sama pewnie też.

— Na podstawie faktów wiedziałam, że przygwoździłam Dana. Próbował uwieść w sieci wymyśloną przeze mnie trzynastoletnią dziewczynkę. Pojawił się w jej domu. Miał te wszystkie materiały w swoim mieszkaniu i w komputerze. Nawet jego praca... Nie masz pojęcia, ilu świrów pracuje z nastolatkami, udając, że im pomagają. A jednak intuicja podpowiadała mi, że coś jest nie tak.

— Kiedy rozmawialiśmy, wydawałaś się pewna swego.

— Zbyt pewna, nie sądzisz?

Jenna zastanowiła się nad tym i na jej ustach pojawił się nikły uśmiech.

— Tak samo jak ja, jeśli się nad tym zastanowić. Obie byłyśmy takie pewne swego. Oczywiście jedna z nas musiała się mylić. Teraz jednak sądzę, że to prawda, że nigdy nie można mieć pewności co do drugiego człowieka. To oczywiste, ale chyba potrzebowałam przypomnienia. Pamiętasz, jak powiedziałam, że Dan był skryty?

— Tak.

- Może miałaś rację co do powodu. Coś przede mną ukrywał. Wiedziałam o tym. Wszyscy to robimy, prawda? Nikt nie wie o nas wszystkiego. Koniec końców to banał, ale może nie da się tak naprawdę poznać drugiej osoby.

— Więc przez cały ten czas się myliłaś?

Jenna przez moment przygryzała wargę.

— Patrząc wstecz, myślę o tej jego skrytości. Sądziłam, że to ma coś wspólnego z tym, iż był sierotą, wiesz? Oczywiście, związana z tym nieufność. Myślałam, że przez to się rozeszliśmy. Teraz jednak zaczynam się zastanawiać.

— Nad czym?

Łza spłynęła jej po policzku.

— Zastanawiam się, czy było w tym coś więcej, czy przydarzyło mu się coś złego. Zastanawiam się, czy miał w duszy jakieś mroczne zakamarki.

Jenna wstała i przeszła przez hol. Pod ścianą stał termos z kawą. Wzięła styropianowy kubek i napełniła go. Wendy

wstała i podeszła do niej. Ona też naląła sobie kawy. Kiedy wróciły na swoje miejsca, wydawało się, że chwila zwierzeń minęła. Wendy nie miała nic przeciwko temu. Już załatwiła kwestię intuicji. Czas powrócić do faktów.

— Kiedy spotkałyśmy się ostatnio, powiedziałaś coś o Princeton. O tym, że coś mu się przydarzyło, kiedy tam studiował.

— Owszem, i co?

— Chciałabym się temu przyjrzeć.

Jenna wyglądała na zdziwioną.

— Myślisz, że Princeton ma coś wspólnego z tym wszystkim?

Wendy naprawdę nie chciała się w to wgłębiać.

— Chcę to tylko wyjaśnić.

— Nie rozumiem. Co jego studia mają z tym wspólnego?

— To tylko aspekt tej sprawy, który muszę poznać.

— Po co?

— Możesz mi po prostu zaufać, Jenno? To ty poruszyłaś ten temat podczas naszej ostatniej rozmowy. Powiedziałaś, że coś przydarzyło mu się na studiach. Chcę się dowiedzieć co.

Jenna nie odpowiedziała od razu.

— Nie wiem. Właśnie to był jeden z przejawów jego skrytości. Może najwyraźniej szy, kiedy teraz o tym myślę. Dlatego ci o tym wspomniałam.

— I nie masz pojęcia, co to było?

— Nie do końca. No wiesz, właściwie do niczego nie doszłam.

— Mogłabyś przynajmniej mi o tym opowiedzieć?

— Nie widzę sensu.

— Może jednak.

Jenna podniosła kubek do ust, podmuchała i wypła łyk.

— W porządku. Kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, znikał w co drugą sobotę. Nie chcę, żeby to zabrzmiało tajemniczo, ale po prostu szedł dokądś i nie mówił dokąd.

— Zakładam, że pytałaś?

— Tak. Na początku naszego związku wyjaśnił, że tak robi, i to jego prywatna sprawa. Powiedział, że nie ma się czym martwić, ale chciał, żebym zrozumiała, że musi to robić.

Zamilkła.

— I co o tym myślałaś?

— Byłam zakochana, więc z początku próbowałam to sobie wytłumaczyć. Niektórzy mężczyźni grają w golfa, mówiłam sobie. Inni chodzą do kręgielni lub do baru, spotkać się z kolegami. Dan ma prawo do odrobiny prywatności. Pod każdym innym względem był idealny. Tak więc pogodziłam się z tym.

Drzwi hotelu się otworzyły. Przetoczyła się przez nie pięciosobowa rodzina i podeszła do kontuaru recepcji. Mężczyzna podał nazwisko i wręczył recepcjoniście kartę kredytową.

— Powiedziałaś „z początku” — przypomniała Wendy.

— Tak. Cóż, nawet nie od początku. Byliśmy małżeństwem chyba już od roku, kiedy go o to zapytałam. Dan powiedział: Nie przejmuj się, to nic takiego. Jednak wtedy

to już stało się ważne. Zżerała mnie ciekawość. Tak więc pewnej soboty śledziłam go. Zamilkła i na jej wargach znów pojawił się nikły uśmiech.

— Co?

— Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Nawet Danowi.

Wendy usiadła wygodniej, nie naciskając Jenny. Upiła łyk kawy i starała się wyglądać jak najmniej groźnie.

— Właściwie nie ma o czym opowiadać. Jechałam za nim przez ponad godzinę, może półtorej. Zjechał z autostrady przy Princeton. Zaparkował w mieście. Wszedł do kawiarni. Czułam się głupio, śledząc go. Siedział sam przez dziesięć minut. Czekałam na pojawienie się jakiejś kobiety. Wyobrażałam sobie, że to będzie na przykład seksowna profesor z college'u, no wiesz, czarnowłosa i w okularach. Jednak nikt się nie zjawił. Dan dopił kawę i wstał. Ruszył ulicą. To było takie dziwne, śledzić go w ten sposób. Chcę powiedzieć, że go kochałam. Nie masz pojęcia jak bardzo. A jednak, tak jak powiedziałam, było w nim coś, do czego nie mogłam dotrzeć i skradałam się, starając się trzymać w ukryciu i czując, że w końcu jestem bliska odkrycia prawdy. I to mnie przerażało.

Jenna znów podniosła kubek do ust.

— I dokąd poszedł?

— Dwie przecznice dalej był śliczny stary dom w stylu wiktoriańskim. Jeden z kilku uczelnianych budynków. Dan zapukał do drzwi i wszedł. Wyszedł po godzinie. Wrócił do miasta, wszedł do samochodu i odjechał.

Recepcjonista powiedział przybyłej rodzinie, że pokój

będzie wolny dopiero o szesnastej. Mężczyzna prosił o skrócenie oczekiwania. Recepcjonista pozostał niewzruszony.

— I czyj to był dom?

— To właśnie jest zabawne. Należał do dziekana. Niejakiego Stephena Slotnicka. W tamtym czasie był rozwodnikiem z dwojgiem dzieci.

— Po co Dan go odwiedzał?

— Nie mam pojęcia. Nigdy go o to nie spytałam. Właśnie tak. Nigdy nie poruszyłam tego tematu. Nie miał romansu. To była jego tajemnica. Gdyby chciał mi ją wyjawić, zrobiłby to.

— Jednak tego nie zrobił?

— Nie.

Piły kawę, każda pogrążona w zadumie.

— Nie masz powodu się obwiniać — odezwała się wreszcie Jenna.

— Nie mam.

— Dan nie żyje. Jedno, co nas łączyło, to niewiara w życie pozagrobowe. Martwy pozostaje martwym. Danowi nie zależałoby na pośmiertnej rehabilitacji.

— Tego też nie próbuję dokonać.

— Więc co chcesz osiągnąć?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem. Chyba szukam odpowiedzi.

— Czasem najbardziej oczywista jest prawdziwa. Może Dan był taki, za jakiego ludzie go uważali.

— Może, ale to nie jest odpowiedź na jedno kluczowe pytanie.

- Jakie?
- Dlaczego odwiedzał dziekana swojej uczelni?
- Nie mam pojęcia.
- I nie jesteś ciekawa?

Jenna się zastanowiła.

- Zamierzasz to wyjaśnić?
- Tak.
- Być może to zniszczyło nasze małżeństwo.
- Być może.
- Albo nie miało żadnego znaczenia.
- To bardziej prawdopodobne — przyznała Wendy.
- Myślę, że Dan zabił tę dziewczynę.

Wendy nie zareagowała na to stwierdzenie. Czekala, aż Jenna powie coś więcej, ale się nie doczekała. Najwyraźniej zużyła resztki energii na to wyznanie. Siedziała, nie mając siły się poruszyć.

Minęła długa chwila, zanim Wendy przerwała milczenie.

- Zapewne masz rację.
- Mimo to chcesz wyjaśnić tę historię z dziekanem?
- Tak.

Jenna skinęła głową.

- Jeśli się dowiesz, o co chodziło, dasz mi znać?
- Pewnie.

30

Wendy wysiadła z windy i poszła do gabinetu Vica. Po drodze minęła Michele Feisler — nową wschodzącą gwiazdę — pracującą w swoim boksie. Na ściankach wisiały zdjęcia Waltera Cronkite'a, Edwarda R. Murrowa, Petera Jenningsa. Oj, znów pomyślała Wendy.

— Cześć, Michele.

Michele w skupieniu stukała w klawiaturę i tylko na moment uniosła rękę. Wendy zerknęła jej przez ramię. Zobaczyła ekran Twittera. Ktoś napisał komentarz: *Miałaś ładną fryzurę we wczorajszym programie!* Michele rozsyłała ten komentarz do swoich wielbicieli z dopiskiem: *Używam nowej odżywki—szczegóły wkrótce. Pozostańcie w kontakcie!*

Edward R. Murrow byłby dumny.

— Co z tym facetem, któremu przestrelono kolana? — zapytała Wendy.

— Taak, to temat w twoim stylu — mruknęła Michele.

— Jak to?

— Zdaje się, że to jakiś zbok. — Odwróciła się od komputera, ale tylko na moment. — Czy zboki to nie twoja specjalność?

Miło mieć swoją specjalność, pomyślała Wendy.

— Co masz na myśli?

— Cóż, jesteś naszą specjalistką od zboczeń, no nie?

— Czyli?

— Och, nie mogę teraz rozmawiać. — Michele wróciła do stukania w klawiaturę. — Jestem zajęta.

Stojąc tam, Wendy mimo woli zauważyła, że Clark miał rację: Michele rzeczywiście ma wielką głowę przy zbyt wiotkim ciele. Wygląda jak wypełniony helem balon na sznurku. Wydawało się, że jej szyja zaraz złamie się pod tym ciężarem.

Wendy spojrzała na zegarek. Za trzy dwunasta. Pospieszyła korytarzem do gabinetu Vica. Jego sekretarka, Mavis, siedziała za biurkiem.

— Cześć, Mavis.

Tamta ledwie na nią spojrzała.

— Co mogę dla pani zrobić, pani Tynes?

Po raz pierwszy potraktowała ją tak oficjalnie. Może po zwolnieniu Wendy otrzymała polecenie, żeby tak się do niej zwracać?

— Chciałabym przez chwilę porozmawiać z Vikiem.

— Pan Garrett jest nieosiągalny.

Jej głos, zwykle tak przyjazny, był lodowaty.

— Powiesz mu, że idę na piąte piętro? Powinam zaraz wrócić.

— Przekażę mu.

Poszła do windy. Może tak jej się tylko wydawało, ale w powietrzu wyczuwało się dziwne napięcie.

Wendy była w tym budynku — w jego biurowej części — milion razy, ale jeszcze nigdy nie na piątym piętrze. Znalazła się w gabinecie o oślepiająco białych ścianach, istnym kubistycznym cudzie z małą fontanną w kącie. Na jednej ze ścian dominował obraz złożony z czarno-białych kręgów. Pozostałe były puste. Kręgi znajdowały się naprzeciwko niej i nie pozwalały się skupić. Za stołem o szklanym blacie, stojącym przed obrazem, siedziała trójka urzędników. Dwaj mężczyźni, jedna kobieta — siedzący twarzami do niej. Jeden z mężczyzn był czarnoskóry. Kobieta była Azjatką. Idealna reprezentacja, chociaż przewodził im siedzący w środku i prowadzący rozmowę biały mężczyzna.

— Dziękuję, że zechciała pani się z nami zobaczyć — powiedział.

Przedstawił się — w rzeczy samej przedstawił też tamtych dwoje — ale Wendy nie zwróciła uwagi na nazwiska.

— Nie ma za co — powiedziała Wendy.

Zauważyła, że jej fotel jest co najmniej pięć centymetrów niższy od pozostałych. Klasyczne — aczkolwiek amatorskie — zagranie. Wendy skrzyżowała ręce na piersi i zapadła się jeszcze głębiej w fotel. Niech myślą, że mają przewagę.

— Zatem — powiedziała, chcąc uniknąć czężej gadani-
ny — co mogę dla was zrobić?

Biały spojrział na Azjatkę. Ta wyjęła jakiś dokument i przesunęła go po szklanym blacie.

— Czy to pani podpis?

Wendy spojrzała na dokument. Był to oryginał jej umowy o pracę.

— Na to wygląda.

— To pani podpis czy nie?

— Mój.

— I oczywiście czytała pani ten dokument?

— Tak sądzę.

— Chcę usłyszeć...

Wendy przerwała jej machnięciem ręki.

— Czytałam. W czym problem?

— Chciałbym, żeby odniosła się pani do paragrafu siedemnastego punkt czwarty na trzeciej stronie.

— Dobrze.

Zaczęła przewracać kartki.

— Dotyczy naszych surowych zasad w kwestii miłosnych i/lub seksualnych związków w miejscu pracy.

Znieruchomiała.

— I co z tego?

— Czytała go pani?

— Tak.

— I zrozumiała?

— Tak.

— Cóż — powiedział biały mężczyzna — doszła do nas wiadomość, że złamała pani ten przepis, pani Tynes.

— Hm, nie, zapewniam, że nie złamałam.

Mężczyzna wyprostował się na fotelu, skrzyżował ręce na piersi i próbował nie wyglądać jak inkwizytor.

— Czy zna pani niejakiego Victora Garretta?
— Vica? Oczywiście, to dyrektor działu wiadomości.
— Czy kiedykolwiek pozostawała pani z nim w związku seksualnym?

— Z Vikiem? Niech pan da spokój.
— Czy to oznacza tak czy nie?
— Zdecydowane nie. Dlaczego nie sprowadzi go pan tutaj i sam nie zapyta?

Cała trójka zaczęła się naradzać.

— Zamierzamy to zrobić.

— Nie rozumiem. Od kogo słyszeliście, że Vic i ja...
Starła się ukryć niesmak.

— Otrzymaliśmy doniesienia.

— Od kogo?

Nie odpowiedzieli — i nagle wszystko stało się jasne.
Czyż Phil Turnball jej nie ostrzegał?

— Nie możemy tego wyjawić — odrzekł biały mężczyzna.

— To niedobrze. Wysuwacie poważne oskarżenie. Albo możecie pokazać jakiś dowód, albo nie.

Czarnoskóry spojrzał na Azjatkę. Ta na białego. Biały mężczyzna popatrzył na czarnoskórego. Wendy rozłożyła ręce.

— Ludzie, co wy tu ćwiczyacie?

Nachylili się do siebie i szeptali jak członkowie komisji senackiej. Wendy czekała. Kiedy skończyli, Azjatka otworzyła następną teczkę i przesunęła ją po szklanym blacie.

— Może powinna pani przeczytać to.

Wendy otworzyła teczkę. Ta zawierała wydruk z błoga internetowego. Wendy zaczęła czytać i krew się w niej zagotowała.

Pracuję w NTC. Nie mogę podać nazwiska, ponieważ by mnie zwolnili. Jednak Wendy Tynes jest okropna. To beztalencie, primadonna, która dostała się na szczyt w stary jak świat sposób: przez łóżko. Obecnie pieprzy się z naszym szefem Vikiem Garrettem. Dzięki temu dostaje wszystko, co chce. W rzeczy samej tydzień temu została zwolniona za niekompetencję, ale zatrudniono ją ponownie, ponieważ Vic obawia się oskarżenia o molestowanie. Wendy zrobiła sobie mnóstwo operacji plastycznych, w tym nosa, oczu i cykóww...

I tak dalej. Wendy znów przypomniła sobie ostrzeżenia Phila. Pamiętała, co ci psychole od wirusowego marketingu zrobili Farleyowi Parksowi i Steve'owi Miciano — a teraz jej. Zaczęła ogarniać konsekwencje: wpływ na jej karierę, życie, jej zdolność do opieki nad synem. Plotki zawsze są skuteczniejsze od faktów. W oczach opinii społecznej oskarżenia są równoznaczne z dowodami. Jesteś winny, dopóki nie dowiedziesz swojej niewinności.

Czy Dan Mercer nie mówił jej tego?

W końcu biały mężczyzna odchrząknął.

— No i? — powiedział.

Wendy zebrała wszystkie siły i wypięła piersi.

— Są naturalne. Może pan pomacać, jeśli pan chce.

— To nie jest śmieszne.

— Toteż wcale się nie śmieję. Jednak przedstawiam dowód, że to kłamstwa. No już. Proszę pomacać.

Mężczyzna zakaszał i wskazał teczkę.

— Może powinna pani spojrzeć na komentarze. Są na drugiej stronie.

Wendy starała się udawać pewną siebie, ale czuła się tak, jakby jej świat zaczął się chwiać w posadach. Odwróciła kartkę i spojrzała na pierwszy komentarz.

Komentarz: Pracowałam z nią w jej poprzednim miejscu pracy i całkowicie się z tym zgadzam. Tam było tak samo. Nasz żonaty szef został uwiedziony i rozwiedziony. Ta kobieta to szmata.

Komentarz: Na studiach spała z co najmniej dwoma profesorami, z jednym kiedy była w ciąży. Rozbiła jego małżeństwo.

Wendy poczerwieniała. Była wtedy żoną Johna. Zginął kilka tygodni przed tym, nim zmieniła pracę. To kłamstwo szczególnie ją rozwścieczyło. Było ohydne i niesprawiedliwe.

— No? — zapytał biały mężczyzna.

— To wszystko — wycodziła przez zaciśnięte zęby — to bezczelne kłamstwa.

— Są w całej sieci. Niektóre z tych blogów zostały przesłane naszym sponsorom. Grożą wycofaniem reklam.

— To wszystko kłamstwa.

— Co więcej, chcielibyśmy, żeby podpisała pani oświadczenie.

— Jakie oświadczenie?

— Pan Garrett jest pani przełożonym. Chociaż nie sądzę, żeby miała pani powód, mogłaby pani wnieść oskarżenie o molestowanie.

— Żartuje pan?

Wskazał teczkę.

— W jednym z tych blogów wspomniano, że już raz oskarżyła pani przełożonego o molestowanie seksualne. Kto zagwarantuje, że nie zrobi pani tego ponownie?

Wendy naprawdę się wściekła. Zaciśnęła pięści i z trudem powstrzymała gniewny wybuch.

— Panie... przepraszam, zapomniałam pańskiego nazwiska.

— Montague.

— Panie Montague. — Nabrała powietrza. — Chcę, żebyście posłuchali mnie bardzo uważnie. Spróbujcie się skupić, ponieważ chcę mieć pewność, że rozumiecie. — Wendy podniosła teczkę. — To wszystko kłamstwa. Rozumiecie? Wymysły. Ta część, że wniosłam oskarżenie przeciwko poprzedniemu pracodawcy? To kłamstwo. Zarzuty, że spałam z przełożonym albo profesorem? To też kłamstwa. Oskarżenie, że spałam z kimkolwiek innym niż mój mąż, kiedy byłam w ciąży? Albo że przeszłam jakieś operacje plastyczne, skoro o tym mowa? To wszystko kłamstwa. Nie przesada. Nie wypaczone fakty. Bezcelne kłamstwa. Rozumiecie?

Montague odkasznął.

— Rozumiemy pani stanowisko.

— Każdy może wejść do sieci i napisać cokolwiek o kimkolwiek — ciągnęła Wendy. — Nie pojmujecie tego? Ktoś oczernia mnie w sieci. Rany boskie, spójrzcie na datę tego błoga. Został zamieszczony wczoraj i już ma trzy komentarze. To wszystko bujda. Ktoś chce mnie zniszczyć.

— Aczkolwiek to możliwe — zaczął Montague stwierdzeniem, które zupełnie nic nie oznaczało, ale irytowało Wendy jak mało które — uważamy, że najlepiej będzie, jeśli złoży pani podanie o urlop do czasu wyjaśnienia przez nas tej sprawy.

— Nie sędzę.

— Przepraszam?

— Ponieważ jeśli mnie do tego zmusicie, narobię takiego smrodu, że nigdy nie doczyścicie swoich ślicznych garnitur-ków. Zaskarżę stację. Zaskarżę studio. Zaskarżę każdego z was osobiście. Wyślę waszym ukochanym sponsorom na blog informacje, że wy dwaj — wskazała na białego i czarnoskórego mężczyznę — uprawiacie dziki seks na biurowych meblach, podczas gdy ona — teraz wskazała Azjatkę — lubi na to patrzeć i sama się zaspokajać. Czy to prawda? No cóż, w blogu będzie. A nawet w kilku blogach. Potem z kilku innych komputerów powysyłam komentarze, na przykład że Montague lubi ostrą jazdę z zabawkami albo zwierzątkami. Ściągnę wam na kark Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt. A potem powysyłam te błogi do waszych rodzin. Zaczynacie pojmować?

Nikt się nie odezwał.

Wstała.

— Wracam do pracy.

— Nie, pani Tynes, obawiam się, że nie.

Otworzyły się drzwi i weszli dwaj umundurowani strażnicy.

— Każemy ochronie wyprowadzić panią z budynku.

Proszę nie kontaktować się z nikim z tej rozgłośni, dopóki nie zastanowimy się nad sytuacją. Wszelkie próby porozumiewania się z kimkolwiek zamieszonym w tę sprawę będą uważane za manipulowanie świadkami. Ponadto pani groźby pod adresem moim i moich kolegów zostaną odnotowane w aktach. Dziękujemy za poświęcony nam czas.

31

Wendy zadzwoniła do Vica, ale Mavis jej nie połączyła. Doskonale. Tak właśnie będzie. Do Princeton miała około dziewięćdziesięciu minut jazdy. Przez całą drogę pieniała się i zastanawiała, co to wszystko znaczy. Łatwo zbyć to jako śmieszne i bezpodstawne plotki, ale wiedziała, że cokolwiek się stanie, te plotki rzuca mroczny i zapewne trwały cień na jej karierę. Przedtem były to szeptane zarzuty — praktycznie nieuniknione, kiedy nawet niezbyt atrakcyjna kobieta osiągnie sukces w tej branży — ale teraz, ponieważ jakiś kretyn umieścił je w blogu, nagle stały się bardziej wiarygodne. Witajcie w erze komputerów.

No dobrze, dość tego.

Zbliżając się do celu, Wendy znów zaczęła rozmyślać o sprawie, o nieustannych powiązaniach z Princeton, o tym, że ci czterej mężczyźni — Phil Turnball, Dan Mercer, Steve Miciano i Farley Parks — wszyscy zostali wrobieni w minionym roku.

Jedno pytanie to: dlaczego?

Istotniejsze pytanie to: przez kogo?

Wendy doszła do wniosku, że może równie dobrze zacząć od Phila Turnballa, ponieważ tu miała jakiś punkt zaczepienia. Wepchnęła do ucha słuchawkę zestawu głośno-mówiącego i wybrała prywatny numer Wina.

Win znów zgłosił się lakonicznym i szorstkim:

— Wysłów się.

— Mogłabym poprosić o jeszcze jedną przysługę?

— Czy mogę poprosić o jeszcze jedną przysługę? Tak, Wendy, możesz.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo potrzebowałam teraz tej lekcji gramatyki.

— Podziękowanie przyjęte.

— Pamiętasz, jak pytałam cię o Phila Turnballa, tego gościa, którego wyrzucili za sprzeniewierzenie dwóch milionów dolarów?

— Owszem, pamiętam.

— Załóżmy, że Phil został wrobiony i wcale tych pieniędzy nie wziął.

— W porządku, załóżmy.

— W jaki sposób ktoś mógł go wrobić?

— Nie mam pojęcia. Dlaczego pytasz?

— Jestem pewna, że on nie ukraść tych pieniędzy.

— Rozumiem. Będziesz łaskawa powiedzieć mi, dlaczego jesteś tego pewna?

— Powiedział mi, że jest niewinny.

— Och tak, to przesądza sprawę.

— Jest coś jeszcze.

— Słucham.

— Cóż, dlaczego, jeśli Phil ukradł dwa miliony dolarów, nie wsadzili go do więzienia ani nawet nie zażądali zwrotu tych pieniędzy? Nie chcę teraz wdawać się w szczegóły, ale są też inni faceci, ściśle mówiąc, jego byli koledzy z akademika, którzy niedawno też zostali zamieszani w przedziwne skandale. W przypadku jednego być może ja okazałam się frajerką.

Win milczał.

— Win?

— Tak, słyszałem. Uwielbiam słowo „frajerka”, a ty? Przypisuje, a przynajmniej sugeruje żeńskie cechy osobie dającej się oszukać.

— Taak, to wspaniałe.

Nawet jego westchnienie było wyniosłe.

— Jakiego rodzaju pomocy ode mnie oczekujesz?

— Mógłbyś trochę się temu przyjrzeć? Muszę się dowiedzieć, kto wrobił Phila Turnballa.

— Zrobię to.

Trzask przerwane połączenia.

Tym razem to gwałtowne zakończenie rozmowy nie zaskoczyło jej tak bardzo, chociaż wolałaby jeszcze chwilkę porozmawiać, zażartować, że szybkie zakończenia to jego specjalność, ale niestety, już się rozłączył. Jeszcze przez chwilę trzymała telefon w ręku, niemal spodziewając się, że zaraz do niej oddzwoni. Jednak tym razem tak się nie stało.

Dom Lawrence'a Cherstona miał bielone ściany i białe okiennice. Okrągłe rozarium otaczające maszt, na którym wisiał duży czarny proporzec z pomarańczową literą P. O rany. Cherston powitał ją w progu, oburącz ściskając jej dłoń. Miał szeroką rumianą twarz, która nasuwała myśl o tłustych kotach i zadymionych salach na zapleczu. Nosił niebieski blezer z godłem Princeton na piersi oraz taki sam krawat w barwach uczelni, który miał na zdjęciu zamieszczonym w Internecie. Jego spodnie były wyprasowane, mokasyny z frędzelkami wyczyszczone i oczywiście nie nosił skarpetek. Wyglądał, jakby rano poszedł do uczelnianej kaplicy i po drodze postarzał się o dwadzieścia lat. Wchodząc do środka, Wendy wyobraziła sobie garderobę z tuzinem dopasowanych kolorami blezerów oraz spodni i absolutnie niczym więcej.

— Witam w mojej skromnej siedzibie — rzekł.

Zaproponował jej coś do picia. Podziękowała. Postawił na stole koreczki. Wendy z grzeczności wzięła jeden. Był tak okropny, że zastanawiała się, czy jednym ze składników naprawdę jest korek. Cherston już paplał o swoich kolegach z roku.

— Zdobyliśmy dwie nagrody Pulitzera — rzekł. I natchyliwszy się do niej, dodał: — Jedną z nich dostała kobieta.

— Kobieta. — Wendy posłała mu wymuszony uśmiech i zamrugła. — O.

— Mamy także światowej sławy fotografa, oczywiście kilku prezesów, och, i jednego nominowanego do Oscara.

No cóż, za najlepszy dźwięk, i nie został nagrodzony, ale zawsze. Kilku naszych kolegów pracuje w obecnym rządzie. Jeden został zwerbowany przez Brązowych z Clevelandu.

Wendy kiwała głową jak idiotka, zastanawiając się, czy długo zdoła się tak uśmiechać. Cherston wyjął kroniki i albumy, program studiów, a nawet album pierwszego roku. Teraz mówił o sobie, o swoim całkowitym oddaniu alma mater, jakby to mogło ją zadziwić.

Musiała przyspieszyć bieg wydarzeń.

Podniosła album i zaczęła przewracać kartki, mając nadzieję znaleźć któregoś z interesującej ją piątki. Nie dopisało jej szczęście. Cherston nadal nudził. No dobrze, pora, by coś się wydarzyło. Wzięła album pierwszego roku i przekartkowała go, szukając nazwisk na M.

— Och, niech pan spojrzy — powiedziała, przerywając mu. Wskazała zdjęcie Steve'a Miciano. — To doktor Miciano, zgadza się?

— No tak, owszem.

— Leczył moją matkę.

Cherston lekko drgnął.

— To miło.

— Może z nim też powinnam porozmawiać?

— Może. Jednak nie mam jego aktualnego adresu.

Wendy znów zajęła się albumem i po chwili ponownie wydała okrzyk udawanego zdziwienia.

— No, no, proszę spojrzeć na to. Doktor Miciano mieszkał w jednym pokoju z Farleyem Parksem. Czy to nie ten, który kandydował do Kongresu?

Lawrence Cherston się uśmiechnął.

— Panie Cherston?

— Proszę mi mówić Lawrence.

— Dobrze. Czy to nie Farley Parks kandydował do Kongresu?

— Czy mogę mówić ci Wendy?

— Możesz.

— Dziękuję. Wendy, może oboje przestalibyśmy grać w tę grę?

— Jaką grę?

Pokręcił głową, jakby rozczarowany odpowiedzią ulubionej studentki.

— Wyszukiwarki działają w obie strony. Naprawdę sądzisz, że nie sprawdziłem w Google, choćby z czystej ciekawości, nazwiska reporterki, która chce przeprowadzić ze mną wywiad?

Nie odpowiedziała.

— Tak więc wiem, że już wpisałaś się na stronę naszego rocznika Princeton. Co więcej, wiem, że robiłaś te reportaże o Danie Mercerze. Niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że je wykreowałaś.

Spojrzał na nią.

— Te koreczki są niesamowite — powiedziała.

— Robi je moja żona i są okropne. W każdym razie zakładam, że powodem tego podstępu była chęć zebrania dodatkowych informacji.

— Skoro o tym wiedziałeś, dlaczego zgodziłeś się ze mną spotkać?

— A dlaczego nie? — skontrował. — Robisz reportaż o absolwencie Princeton. Chciałem mieć pewność, że będziesz miała prawdziwe informacje, żeby nie tworzyć sensacji tam, gdzie jej nie ma.

— Cóż, dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać.

— Bardzo proszę. Zatem co mogę dla ciebie zrobić?

— Czy znałeś Dana Mercera?

Wziął koreczek i ugryzł małego kawałek.

— Znałem, owszem, ale niezbyt dobrze.

— Jakie wywarł na tobie wrażenie?

— Masz na myśli, czy wyglądał na pedofila i mordercę?

— To mógłby być dobry początek.

— Nie, Wendy. Nie wyglądał na kogoś takiego. Jednak przyznaję, że jestem dość naiwny. W każdym widzę tylko najlepsze cechy.

— Co możesz mi o nim powiedzieć?

— Dan był dobrym studentem, bystrym i pracowitym. Był biedny. Ja jestem synem absolwenta, a mój dziadek i pradziadek też studiowali w Princeton. To lokowało nas w różnych kręgach. Kocham tę uczelnię. I nigdy tego nie ukrywałem. Jednak Dan traktował ją z nabożnym podziwem.

Wendy skinęła głową, jakby przekazał jej niezwykle istotną informację.

— Kim byli jego najlepsi przyjaciele?

— Już wymieniłaś dwóch, więc zakładam, że znasz odpowiedź.

— Współlokatorzy?

— Tak.

— Znasz ich wszystkich?

— Chyba z widzenia. Z Philem Turnballem na pierwszym roku śpiewałem w chórze uczelnianym. To ciekawe. Jak zapewne wiesz, na pierwszym roku lokatorów pokoju dobiera uczelnia. To oczywiście może prowadzić do katastrof. Mój był kompletnym idiotą, który przez cały dzień palił trawkę. Po miesiącu się przeniósłem. Jednak tych pięciu trzymało się razem przez kilka lat.

— Czy jest coś, co możesz mi o nich powiedzieć?

— Na przykład?

— Czy byli dziwakami? Może ich unikano? Czy mieli jakichś wrogów? Czy byli zamieszani w jakieś dziwne sprawy?

Lawrence Cherston odłożył koreczek.

— Dlaczego pytasz o takie rzeczy?

Wendy wybrała dość niejasną odpowiedź:

— Wykorzystam to w reportażu.

— Nie pojmuję, w jaki sposób. Rozumiem, dlaczego pytasz o Dana Mercera. Jeśli jednak zamierzasz jakoś powiązać jego współmieszkańców z demonami, które go dręczyły...

— Nie o to mi chodzi.

— Zatem o co?

Naprawdę nie miała ochoty mówić mu więcej. Żeby zyskać na czasie, wzięła program zakończenia studiów i zaczęła go kartkować. Czuliła na sobie jego spojrzenie. Przerzuciła jeszcze kilka stron i znalazła zdjęcie Dana

z Kelvinem oraz Farleyem. Dan stał między nimi. Wszyscy trzech uśmiechali się szeroko. Dyplomy. Dostali je.

Lawrence Cherston wciąż na nią patrzył. A co mi to szkodzi, pomyślała.

— Oni wszyscy mieli ostatnio kłopoty.

Milczenie.

— Farley Parks musiał zrezygnować z wyborów do Kongresu — ciągnęła.

— Wiem o tym.

— Steve Miciano został aresztowany pod zarzutem handlu narkotykami. Phil Turnball stracił pracę. I wiesz o Danie.

— Wiem.

— Nie uważasz, że to dziwne?

— Niespecjalnie. — Poluzował krawat, jakby nagle zaczął go dusić. — Zatem taki wydźwięk ma mieć twój reportaż? Wszyscy dawni współmieszkańcy pokoju w akademiku mają kłopoty?

Nie chciała odpowiadać na to pytanie, więc zmieniła temat:

— Dan Mercer często tu przyjeżdżał. Do Princeton.

— Wiem. Widywałem go w mieście.

— Czy wiesz po co?

— Nie.

— Bywał w domu dziekana.

— Nie miałem pojęcia.

I właśnie wtedy, patrząc na program i listę studentów, Wendy zauważyła coś dziwnego. Przyzwyczała się już sprawdzać te pięć nazwisk — a może naprowadziło ją to

zdjęcie. Lista była sporządzona w porządku alfabetycznym. I pod „T”, jako ostatni na liście, znajdował się Francis Tottendam.

— Gdzie jest Phil Turnball? — zapytała.

— Przepraszam?

— Phila Turnballa nie ma na tej liście.

— Phil nie ukończył z nami studiów. Wendy poczuła dziwne mrowienie w żyłach.

— Wziął urlop dziekański?

— Hm, nie. Musiał wcześniej zrezygnować.

— Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że Phil Turnball nie ukończył studiów?

— O ile mi wiadomo, to owszem, właśnie to mówię.

Wendy zaschło w ustach.

— Dlaczego?

— Nie wiem na pewno. Oczywiście krążyły plotki. Cała sprawa została wyciszona.

Zastygła.

— Możesz mi o tym opowiedzieć? — spytała spokojnie.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł.

— To może być bardzo ważne.

— Dla kogo? Minęło wiele lat i naprawdę myślę, że uczelnia zareagowała zbyt ostro.

— Nie zamieszczę tego w reportażu. Tylko między nami.

— Sam nie wiem.

Nie było czasu na subtelne zagrania. Już zaproponowała marchewkę. Teraz pokaże kij.

— Posłuchaj, już powiedziałam, że to tylko między nami,

ale jeśli mi wszystkiego nie wyjaśnisz, wycofam tę obietnicę. I zacznę kopać. Wykopię każdy szkielet, jaki zdołam znaleźć, żeby poznać prawdę. A wtedy to wszystko znajdzie się w reportażu.

— Nie lubię grózb.

— A ja nie lubię, jak się mnie zwodzi.

Cherston westchnął.

— Jak już powiedziałem, to nie było nic wielkiego. I nie mam pewności, o co naprawdę chodziło.

— Jednak?

— Jednak, no cóż, to brzmi gorzej, niż było, ale plotka głosi, że Phil został przyłapany po godzinach w budynku, w którym nie powinien być. Krótko mówiąc, wtargnął do jakiegoś obiektu w miasteczku akademickim.

— Włamał się, żeby coś ukraść?

— Wielkie nieba, nie. — Cherston miał taką minę, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał. — Zrobił to dla zgrywy.

— Włamywaliście się do budynków dla zabawy?

— Miałem kolegę, który chodził do Hampshire College. Znasz tę uczelnię? Dostał pięćdziesiąt punktów za kradzież uczelnianego autobusu. Niektórzy profesorowie chcieli go wyrzucić, ale tak jak w przypadku Phila to było tylko dla zabawy. Dostał dwa tygodnie zawieszenia w prawach studenta. Przyznaję, że ja też brałem udział w tej grze. Moja grupa pomalowała farbami w aerozolu samochód profesora. Trzydzieści punktów. Mój kolega ukradł pióro z biurka pewnego poety — laureata nagrody literackiej.

Całe miasteczko akademickie brało udział w tej zabawie. Chcę powiedzieć, że wszystkie akademiki rywalizowały ze sobą.

— Rywalizowały w czym?

Lawrence Cherston się uśmiechnął.

— W polowaniu, oczywiście — rzekł. — Polowaniu sępów.

32

„Nie powinniśmy więcej polować...”.

Tak powiedział Kelvin Tilfer.

Może teraz nabrało to sensu. Wypytała o to Lawrence'a Cherstona, o twarz w bliznach i całą resztę, ale niczego więcej się nie dowiedziała. Phil Turnball został przyłapany tam, gdzie nie powinien być, podczas polowania sępów. Został za to wyrzucony z uczelni. Kropka.

Wendy wróciła do samochodu i wyjęła telefon, żeby zadzwonić do Phila.

Czekało na nią szesnaście wiadomości.

Pierwsza myśl sprawiła, że serce stanęło jej w gardle: coś się stało Charliemu.

Pospiesznie wcisnęła klawisz odtwarzania poczty głosowej. Gdy tylko usłyszała pierwszą wiadomość, lodowata dłoń strachu rozluźniła uścisk. Lęk zastąpiło inne, paskudne uczucie. Nie chodziło o Charliego. Jednak to też nie było przyjemne.

„Cześć, Wendy, tu Bill Giuliano z ABC News. Chcielibyśmy porozmawiać z tobą o skierowanych przeciwko tobie oskarżeniach o nieobyczajne zachowanie... Pii!”.

„Piszemy artykuł o twoim romansie z szefem i chcielibyśmy usłyszeć twoją wersję wydarzeń... Pii!”.

„Jeden z rzekomych pedofilów zdemaskowanych w twoim programie wykorzystuje obecne doniesienia o twoim agresywnym zachowaniu seksualnym, żeby prosić o rewizję procesu. Twierdzi, że byłaś jego wzgardzoną kochanką i wrobiłaś go... Pii!”.

Wpatrując się w telefon, wcisnęła przycisk kasowania. Niech to szlag. Chciała być ponad to, machnąć na to ręką.

A jednak, ludzie! Była tak wkurzona.

Może powinna posłuchać Phila i zostawić tę sprawę. Teraz w żaden sposób — obojętnie, co zrobi — nie wybroni się do końca z tych oskarżeń. Ni cholery. Może dopaść gnoja, który wpuścił ten syf do sieci i zmusić go (albo ją) do publicznego wyznania w przerwie meczu superligi, że to same kłamstwa, a i tak nie oczyści się do końca. Słusznie czy nie, smrodek będzie się za nią ciągnął, zapewne zawsze.

Tak więc nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem, prawda?

Przyszła jej do głowy następna myśl: czy tego samego nie można powiedzieć o ludziach, których przygwoździła w swoim programie?

Nawet jeśli w końcu dowiedli swojej niewinności, czy kiedykolwiek pozbędą się etykiety zdemaskowanego w te-

lewizji zbrodzenia? Może to była swoista zemsta wszechświata. Może taka jest karma wrednej sukki.

Teraz nie czas się tym zamartwiać. Chociaż może to jedno i to samo. Wszystko wydawało się dziwnie ze sobą powiązane — to, co zrobiła, to, co stało się z tymi, których zdemaskowała, co przydarzyło się tym facetom z Princeton. Rozwiąż jedną zagadkę, a wszystkie pozostałe same się wyjaśnią.

Czy jej się to podobało czy nie, wpłatała się w ten galimatias. Nie mogła odejść.

Phil Turnball został relegowany z uczelni za udział w polowaniu sępów.

Co oznaczało, że — w najlepszym razie — okłamał ją, kiedy opowiedziała mu o majaczeniach Kelvina o polowaniu. A w najgorszym... no cóż, jeszcze nie była pewna, jakie może być najgorsze wyjaśnienie. Zadzwoiła na komórkę Phila. Brak odpowiedzi. Zadzwoiła do domu. To samo. Znowu zadzwoniła na jego komórkę i tym razem zostawiła mu wiadomość.

„Wiem o polowaniu sępów. Zadzwoń do mnie”.

Pięć minut później zastukała do drzwi dziekana. Nikt jej nie otworzył. Zapukała jeszcze raz. Wciąż nikt nie otwierał. O nie. Nie ma mowy. Okrążyła dom, zaglądając w okna. Światła były zgaszone. Przycisnęła nos do szyby, próbując coś dojrzeć. Jeśli pojawi się uniwersytecka policja, postara się nie trząść ze strachu.

Dostrzegła jakiś ruch.

— Hej!

Nikt nie odpowiedział. Popatrzyła znowu. Nic. Zastukała w okno. Nikt do niego nie podszedł. Wróciła do frontowych drzwi i znowu zaczęła się dobijać.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał męski głos za jej plecami.

Odwróciła się. Kiedy zobaczyła mówiącego, pierwsze, co przyszło jej na myśl, to słowo „dandys”. Falujące włosy mężczyzny były odrobinę za długie. Miał na sobie tweedową marynarkę ze skórzanymi łatkami na łokciach i muszkę — taki strój mógł królować i w ogóle przetrwać jedynie w wysublimowanej atmosferze ekskluzywnych wyższych uczelni.

— Szukam dziekana — powiedziała Wendy.

— Jestem dziekan Lewis — powiedział. — Co mogę dla pani zrobić?

To nie czas na gierki czy subtelności, pomyślała.

— Czy zna pan Dana Mercera?

Zawahał się, jakby się namyślał.

— To nazwisko coś mi mówi — powiedział. — Jednak... — Rozłożył ręce i wzruszył ramionami — A powinienem znać?

— Tak sędzę. Przez ostatnie dwadzieścia lat w co drugą sobotę bywał w pańskim domu.

— Ach. — Uśmiechnął się. — Mieszkam tu dopiero od czterech lat. Wcześniej był tutaj mój poprzednik, dziekan Pashaian. Chyba jednak wiem, o kogo pani chodzi.

— Dlaczego pana odwiedzał?

— Nie odwiedzał. To znaczy owszem, bywał w tym

domu. Jednak nie odwiedzał mnie. Ani dziekana Pasliaiana, skoro o tym mowa.

— A zatem co tu robił?

Mężczyzna ominął ją i otworzył drzwi kluczem. Pchnął je. Naprawdę zaskrzyphiały. Wetknął głowę w szparę.

— Christa?!

W domu było ciemno. Dziekan skinął na Wendy, żeby szła za nim. Zrobiła to. Stała w przedsionku.

— Dziekanie?! — zawołał kobiecy głos.

Wendy usłyszała zbliżające się kroki. Odwróciła się do dziekana. Posłał jej spojrzenie, które wydawało się ją ostrzegać.

Co do...

— Jestem w przedsionku — powiedział.

Kroki się zbliżały. Potem znów rozległ się ten kobiecy głos:

— Zebranie o szesnastej odwołane. Powinien pan...

Christa zjawiała się po lewej, wychodząc z jadalni. Stała.

— Och, nie wiedziałam, że ma pan towarzystwo.

— Ona nie przyszła do mnie — wyjaśnił dziekan Lewis.

— Och?

— Myślę, że przyszła zobaczyć się z tobą.

Kobieta odwróciła głowę w bok, niemal jak pies usiłujący zapamiętać nowy dźwięk.

— Pani jest Wendy Tynes? — spytała.

— Tak.

Christa skinęła głową, jakby od bardzo dawna spodziewała się tej wizyty. Zrobiła kolejny krok. Teraz trochę światła

padło na jej twarz. Niewiele. Jednak to wystarczyło. Kiedy Wendy zobaczyła jej twarz, niemal krzyknęła — nie ze zgrozy, chociaż ta byłaby najzupełniej usprawiedliwiona. Nie, Wendy o mało nie krzyknęła, ponieważ kolejny fragment łamigłówki znalazł się na swoim miejscu.

Christa nosiła czarne okulary, chociaż była w domu. Jednak nie to przykuwało uwagę.

Pierwszą rzeczą, która rzucała się w oczy — i której naprawdę nie sposób było nie zauważyć — były szerokie czerwone blizny szpecące jej twarz.

■ ■ ■

Twarz w bliznach.

Przedstawiła się jako Christa Stockwell.

Wyglądała na czterdzieści lat, ale trudno było odgadnąć jej wiek. Była szczupła, miała chyba metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, delikatne dłonie i zdecydowane ruchy. Usiadły przy kuchennym stole.

— Ma pani coś przeciwko temu, że światło zostanie przyciemnione? — zapytała Christa.

— Nie.

— To nie to, co pani sądzi. Wiem, że ludzie będą się na mnie gapili. To naturalne. Nie przeszkadza mi to. To lepsze niż ci, którzy udają, że nie widzą blizn. Moja twarz staje się przysłowiowym słoniem w pokoju, rozumie pani, co chcę powiedzieć?

— Chyba tak.

— Od czasu tamtego zdarzenia moje oczy są wrażliwe

na światło. Lepiej czuję się w ciemności. Jakże właściwe, prawda? Studenci filozofii i psychologii mieliby pole do popisu. — Wstała. — Zaparzę herbatę. Napije się pani?

— Pewnie. Mogę pomóc?

— Nie, poradzę sobie. Miętowa czy English Breakfast?

— Miętowa.

Christa się uśmiechnęła.

— Dobry wybór.

Włączyła elektryczny czajnik, wyjęła dwa kubki i włożyła do nich saszetki z herbatą. Wendy zauważyła, że robiąc to, wciąż przechyla głowę w prawo. Zanim znów usiadła, Christa przez moment stała nieruchomo, jakby dawała Wendy okazję obejrzenia swoich okaleczeń. Jej twarz, krótko mówiąc, wyglądała okropnie. Blizny pokrywały ją od czoła po szyję. Brzydkie, wyraźne ślady, sinawe i czerwone, przecinały skórę, uwypuklone jak na reliefie. W nielicznych miejscach zamiast tych blizn były ciemnoczerwone plamy, brzydkie otarcia, jakby ktoś zdarł jej skórę wata stalową.

— Jestem zobowiązana umową nigdy nie rozmawiać o tym, co się wydarzyło — uprzedziła Christa Stockwell.

— Dan Mercer nie żyje.

— Wiem. To jednak nie zmienia umowy.

— Cokolwiek mi pani powie, pozostanie między nami.

— Jest pani reporterką, prawda?

— Tak. Jednak daję pani słowo.

Pokręciła głową.

— Nie rozumiem, dlaczego to ma teraz znaczenie.

— Dan nie żyje. Phil Turnball został zwolniony z pracy,

oskarżony o kradzież. Kelvin Tilfer przebywa w szpitalu dla umysłowo chorych. Farley Parks ostatnio też miał kłopoty.

— I powinnam im współczuć?

— Co oni pani zrobili?

— Nie widać? Może powinnam zapalić jaśniejsze światło?

Wendy nachyliła się nad stołem. Nakryła dłoń Christy swoją.

— Proszę mi powiedzieć, co się stało.

— Nie rozumiem, co to da.

Kuchenny zegar nad zlewem tykał. Za oknem Wendy widziała studentów zmierzających na zajęcia, ożywionych młodych ludzi, przed którymi było — według wyświechtanego zwrotu — całe życie. W przyszłym roku Charlie będzie jednym z nich. Można by powiedzieć tym dzieciakom, że ten czas upłynie szybciej, niż sądzą, że w mgnieniu oka miną im studia, a potem dziesięć lat i następne dziesięć, ale nie słuchałyby, nie chciałyby tego słyszeć, i może dobrze.

— Myślę, że to, co zdarzyło się tutaj... to, co oni pani zrobili... zapoczątkowało to wszystko.

— Jak?

— Nie wiem. Sądzę jednak, że wszystko się z tym łączy. W jakiś sposób, cokolwiek to było, zaczęło żyć własnym życiem. I wciąż żąda ofiar. Teraz ja zostałam w to uwikłana. To ja przygwozdziłam Dana Mercera... słusznie lub nie. Tak więc stałam się tego częścią.

Christa Stockwell podmuchała na herbatę. Jej twarz wyglądała tak, jakby ktoś ją przenicował, wyciągając na wierzch wszystkie żyły i chrząstki.

— To był ich ostatni rok — zaczęła. — Ja ukończyłam studia rok wcześniej i robiłam magisterium z literatury porównawczej. Byłam w trudnej sytuacji finansowej. Tak samo jak Dan. Oboje dorabialiśmy podczas studiów. On pracował w pralni na wydziale wychowania fizycznego, ja w tym domu dla dziekana Slotnicka. Opiekowałam się jego dziećmi, wykonywałam niektóre prace domowe, wypełniałam kartoteki, takie rzeczy. Był rozważny, a ja dobrze się dogadywałam z jego dziećmi. Tak więc, pisząc pracę magisterską, praktycznie mieszkalam tutaj, w pokoju na tyłach. Skoro o tym mowa, nadal tu mieszkam.

Za oknem przeszli dwaj studenci i jeden z nich się roześmiał. Ten dźwięk przeleciał przez pokój, melodyjny, głęboki i jakże niestosowny.

— W każdym razie to było w marcu. Dziekan Slotnick wyjechał z miasta wygłosić gdzieś wykład. Dzieci były u matki w Nowym Jorku. Ja tamtego wieczoru poszłam na kolację z moim narzeczonym. Marc był na medycynie, na drugim roku. Następnego dnia miał końcowy egzamin z chemii, inaczej... no cóż, jest tak wiele „gdyby”, prawda? Gdyby nie miał tego egzaminu, poszlibyśmy do niego, a może, skoro nie było nikogo, zostałby u mnie. Jednak nie, Marc i tak zrobił sobie przerwę na tę kolację. Tak więc odwiózł mnie i poszedł do biblioteki. Ja też miałam co

robić. Przyniosłam mój notatnik tutaj; chcę powiedzieć, że położyłam go na tym kuchennym stole.

Spojrzała na stół, jakby ten notatnik nadal mógł tam być.

— Zrobiłam sobie herbatę. Tak jak dziś. Usiadłam i już miałam zacząć pisać esej, gdy usłyszałam jakiś dźwięk dobiegający z góry. Jak już powiedziałam, wiedziałam, że nikogo nie ma w domu. Powinnam być przestraszona, prawda? Pamiętam, jak pewnego razu profesor języka angielskiego zapytał nas, jaki jest najbardziej przerażający dźwięk na świecie. Krzyk bólu? Kobięcy okrzyk przerażenia? Wystrzał? Płacz dziecka? Profesor pokręcił głową i rzekł: „Nie, najstraszniejszym dźwiękiem, kiedy jesteś sam w ciemnym domu, wiesz, że nie ma w nim nikogo, wiesz, że nie tylko nie ma nikogo w domu, ale także w promieniu wielu kilometrów, a wtedy, nagle, na piętrze, słyszysz odgłos wody spuszczonej w toalecie”.

Christa uśmiechnęła się do Wendy. Ta próbowała odpowiedzieć uśmiechem.

— W każdym razie nie przestraszyłam się. Może powinienam. Kolejne gdyby. Gdybym po prostu wezwała policję uniwersytecką? No cóż, to zmieniłoby wszystko, nieprawdaż? Wiodłabym zupełnie inne życie. Tamtego wieczoru byłam zaręczona z cudownym przystojnym mężczyzną. Teraz jest mężem innej kobiety. Mają troje dzieci. Są bardzo szczęśliwi. Pewnie ja też bym była.

Upiła łyk herbaty, trzymając kubek w obu dłoniach, pozwalając przeminać temu gdybaniu.

— Tak więc usłyszałam ten dźwięk i ruszyłam tam, skąd

dochodził. Usłyszałam szepty, a nawet chichoty. No cóż, wtedy już wiedziałam, no nie? Studenci. Jeśli byłam choć odrobinę przestraszona, to teraz zapomniałam o lęku. To po prostu jacyś dowcipnicy zamierzali zrobić kawał dziekanowi. Tak więc poszłam na górę. Teraz zrobiło się cicho. Wcześniej wydawało się, że głosy dochodzą z sypialni dziekana. Ruszyłam tam, weszłam do sypialni i rozejrzałam się. Nikogo nie dostrzegłam. Czekałam, aż moje oczy oswoją się z mrokiem. Potem pomyślałam: Co ty robisz? Po prostu zapal światło. I wyciągnęłam rękę do kontaktu.

Głos jej się załamał. Christa Stockwell zamilkła. Blizny na jej twarzy, te czerwone, jakby pociemniały. Wendy znów chciała wziąć ją za rękę, ale się rozmyśliła, widząc, że Christa zeszywniała.

— Nawet nie wiem, co stało się potem. A przynajmniej wtedy nie wiedziałam. Teraz wiem. Jednak w tamtym momencie, no cóż, krótko mówiąc, usłyszałam głośny huk i moja twarz eksplodowała. Takie miałam wrażenie. Jakby bomba wybuchła mi w twarz. Przycisnęłam ręce do twarzy i poczułam ostre krawędzie szkła. Pokaleczyłam sobie dłonie. Krew płynęła, zalewając mi nos i usta, dusząc mnie. Nie mogłam oddychać. Przez sekundę, może dwie, nic nie czułam. A potem nagle poczułam taki ból, jakby zdarto mi skórę z twarzy. Krzyknęłam i upadłam na podłogę.

Wendy poczuła, że serce zaczęło jej bić szybciej. Chciała wypytać Christę, poprosić, aby zaczęła od nowa i podała więcej szczegółów, ale milczała, pozwalając jej opowiadać tę historię na swój sposób.

— Leżałam na podłodze, krzycząc, i usłyszałam, że ktoś przebiega obok. Na oślep wyciągnęłam rękę i podciąłam mu nogi. Runął jak długi i zaklął. Złapałam go za nogę. Nie wiem dlaczego. Zrobiłam to instynktownie. A on wtedy wierzgnął, żeby się wyrwać. — Zniżyła głos niemal do szeptu. — Widzisz, w tamtym momencie nie zdawałam sobie sprawy, że odłamki szkła... stłuczonego lustra... utkwily w całej mojej twarzy. Kiedy wierzgnął nogą, próbując się wyrwać, piętą wbił te odłamki jeszcze głębiej, przecinając ciało do kości. — Przełknęła ślinę. — A największy odłamek był koło mojego prawego oka. I tak mogłam je stracić, ale to kopnięcie wbiło odłamek jak sztylet...

Christa litościwie przerwała swoją relację.

— To ostatnie, co pamiętam. Potem zemdlałam. Przez trzy dni nie odzyskiwałam przytomności, a potem, no cóż, przez następne trzy tygodnie to ją traçałam, to odzyskiwałam. Przeszłam kilka operacji. Ból był nie do zniesienia. Cały czas byłam pod znieczuleniem. Jednak wyprzedzam bieg wydarzeń. Pozwól, że trochę cofnę się w czasie. Tamtej nocy uniwersytecka policja usłyszała mój krzyk. Złapali Phila Turnballa na podwórku dziekana. Miał na butach moją krew. Wszyscy wiedzieli, że byli tam także inni studenci. Widzisz, bawili się w polowanie sępów. Zdobyczą numer jeden miały być bokserki dziekana. Sześćdziesiąt punktów. Po to przyszedł Phil Turnball, po bokserki. Jak już powie działałam, głupi żart. Nic więcej.

— Mówiła pani, że słyszała innych. Szepty i chichoty.

— Owszem, ale Phil twierdził, że był sam. Jego koledzy oczywiście potwierdzili tę wersję. Ja nie byłam w stanie jej obalić, a poza tym, co właściwie wiedziałam?

— Phil wziął na siebie całą winę? — spytała Wendy.

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Nadal nie rozumiem. Co dokładnie się stało? Pytam, co spowodowało te obrażenia.

— Kiedy weszłam do pokoju, on schował się za łóżkiem. Gdy zobaczył, że wyciągam rękę do włącznika światła, no cóż, chyba postanowił odwrócić moją uwagę. Rzucił dużą szklaną popielniczką. Zapewne chciał w ten sposób narobić hałasu, żebym się odwróciła i dała mu szansę ucieczki. Jednak stało tam zabytkowe lustro. Rozprysło się i odłamki poleciały mi prosto w twarz. Nieszczęśliwy wypadek, prawda?

Wendy nie odpowiedziała.

— Spędziłam w szpitalu trzy miesiące. Straciłam jedno oko. Drugie też było poważnie uszkodzone: przecięta siatkówka. Przez pewien czas byłam niewidoma. Powoli odzyskałam zdolność widzenia w jednym oku. Właściwie nadal jestem niewidoma, ale dostrzegam kontury przedmiotów. Wszystko jest niewyraźne i mam ogromne kłopoty z widzeniem przy mocnym świetle, szczególnie słonecznym. To może i dobrze, nie sądzi pani? Według lekarzy moja twarz została dosłownie posiekana na kawałki. Widziałam pierwsze zdjęcia. Jeżeli sądzi pani, że teraz wygląda okro-

pnie... wtedy wyglądała jak mielone mięso. Tylko tak moge to opisać. Jakby lew odgryzł mi twarz.

— Przykro mi — bąknęła Wendy, ponieważ nie wiedziała, co powiedzieć.

— Mój narzeczony, Marc, był wspaniały. Trwał przy mnie. Chcę powiedzieć, że kiedy się nad tym zastanowić, to było bohaterstwo. Przedtem byłam piękna. Teraz mogę to powiedzieć. Nie jest to już brak skromności. Byłam piękna. A on tak cholernie przystojny. Tak więc Marc trwał przy mnie. Jednak odwracał wzrok. To nie była jego wina. Nie pisał się na coś takiego.

Christa zamilkła.

— I co się stało?

— Kazałam mu odejść. Wydaje nam się, że wiemy, czym jest miłość, prawda? Jednak tamtego dnia dowiedziałam się, czym jest naprawdę. Chociaż zraniło mnie to bardziej niż którykolwiek z odłamków szkła, kochałam Marca dostatecznie mocno, żeby kazać mu odejść.

Znowu zamilkła i upiła łyk herbaty.

— Zapewne może pani odgadnąć resztę. Rodzina Phila zapłaciła mi za milczenie. Chyba można powiedzieć, że hojnie. Pieniądze są na funduszu powierniczym i co tydzień otrzymuję wypłatę. Jeśli zacznę opowiadać o tym, co się stało, wypłaty ustaną.

— Nic nie powiem.

— Sądzi pani, że to mnie niepokoi?

— Nie wiem.

— Nie martwię się o to. Mam bardzo skromne potrzeby. Wciąż tutaj mieszkam. Nadal pracowałam dla dziekana Slotnicka, chociaż nie opiekowałam się już jego dziećmi. Bały się mojej twarzy. Tak więc zostałam jego asystentką. Kiedy umarł, dziekan Pashaian był tak dobry, że mnie zatrudnił. Teraz pracuję u dziekana Lewisa. Większość pieniędzy przekazuję na różne cele charytatywne.

Zamilkła.

— Zatem jaka była w tym rola Dana? — chciała wiedzieć Wendy.

— A jak pani myśli?

— Zakładam, że tamtej nocy był w tym domu?

— Tak. Wszyscy byli. Cała piątka, jak dowiedziałam się później.

— Od kogo?

— Dan mi powiedział.

— A Phil wziął całą winę na siebie?

— Tak.

— Domyśla się pani dlaczego?

— Chyba czuł się odpowiedzialny. Może było w tym coś więcej. Był bogaty. Pozostali nie. Może pomyślał sobie: co mi to da, że obciążę przyjaciół?

Wendy pomyślała, że to ma sens.

— A więc Dan panią odwiedzał?

— Tak.

— Po co?

— Podnosić mnie na duchu. Rozmawialiśmy. Miał okropne wyrzuty sumienia. Z powodu tego, że uciekł. Od

tego się zaczęło. Kiedy przyszedł po raz pierwszy, byłam wściekła. Jednak zostaliśmy przyjaciółmi. Godzinami rozmawialiśmy przy tym stole.

— Powiedziała pani, że była wściekła?

— Musi pani zrozumieć. Tamtej nocy straciłam wszystko.

— Racja, więc była pani słusznie rozgniewana.

Christa się uśmiechnęła.

— Och, rozumiem.

— Co?

— Niech zgadnę. Byłam rozgniewana. Wściekła. Nie nawidziłam ich wszystkich. Dlatego ukułam plan zemsty. I co, czekałam dwadzieścia lat, zanim wprowadziłam go w życie, tak pani myśli?

Wendy wzruszyła ramionami.

— Wygląda na to, że ktoś się na nich mści.

— I ja jestem najbardziej prawdopodobną podejrzaną? Pokaleczona dziewczyna mająca powód do zemsty?

— Pani tak nie uważa?

— To brzmi jak scenariusz kiepskiego horroru, ale chyba... — Znowu przechyliła głowę. — Czy pasuję do roli złooczyńcy, Wendy?

Wendy pokręciła głową.

— Nie, naprawdę nie.

— I jest jeszcze coś.

- Co?

Christa rozłożyła ręce. Z jej oka spłynęła łza.

— Wybaczyłam im.

Cisza.

— Byli po prostu dzieciakami bawiącymi się w polowanie. Nie chcieli zrobić mi krzywdy.

I to było to. W takim prostym stwierdzeniu jest tyle mądrości — a prawdy, którą słyszy się w tonie głosu, nie można z niczym pomylić.

— Żyjąc na tym świecie, człowiek zderza się z innymi. Takto już jest. Zderzamy się i czasem ktoś zostaje zraniony. Oni chcieli tylko ukraść te głupie bokserki. Skończyło się to fatalnie. Przez pewien czas ich nienawidziłam. Kiedy jednak się nad tym zastanowić, co to da? No wie pani, potrzeba tyle energii, żeby wciąż żywić nienawiść, że traci się poczucie tego, co jest ważne.

Wendy łyzy cisnęły się do oczu. Podniosła kubek z herbatą i zaczęła pić. Miętowy napój przyjemnie chłodził przetyk. Pozbyć się nienawiści. Na to nie potrafiła odpowiedzieć.

— Może tamtej nocy skrzywdzili kogoś jeszcze? — podsunęła.

— Wątpię.

— A może ktoś inny chce panią pomścić?

— Moja matka nie żyje. Marc jest szczęśliwym mężem innej kobiety. Nie ma nikogo innego.

Ślepa uliczka.

— Co powiedział pani Dan, kiedy przyszedł po raz pierwszy?

Uśmiechnęła się.

— To nasza tajemnica.

— Musi być jakiś powód tego, że oni wszyscy zostali zniszczeni.

— Czy to główny powód pani wizyty, Wendy? Chce pani pomóc im odzyskać ich życie?

Wendy nie odpowiedziała.

— A może — ciągnęła Christa — przysłała tu pani, ponieważ obawia się, że mimo woli wrobiła pani niewinnego człowieka?

— Chyba z obu tych powodów.

— Ma pani nadzieję na rozgrzeszenie?

— Mam nadzieję znaleźć odpowiedzi.

— Chce pani znać moje zdanie? — zapytała Christa.

— Pewnie.

— Bardzo dobrze poznałam Dana.

— Na to wygląda.

— Rozmawialiśmy przy tym stole o wszystkim. Opowiadał mi o swojej pracy, o tym, jak poznał swoją żonę Jenę, o tym, że ich małżeństwo okazało się nieudane głównie z jego winy, o tym, że pozostali przyjaciółmi, i o swojej samotności. To było uczucie, które oboje dobrze znaliśmy.

Wendy czekała. Christa poprawiła okulary. Przez moment Wendy myślała, że je zdejmie, ale nie zrobiła tego. Poprawiła je i wydawało się, że próbuje spojrzeć Wendy w oczy.

— Nie sądzę, żeby Dan Mercer był pedofilem. I nie sądzę, żeby kogoś zabił. Więc tak, Wendy, myślę, że wrobiłaś niewinnego człowieka.

33

Wendy zamrugła, wychodząc z ciemnej kuchni na trawnik przed domem dziekana. Popatrzyła na studentów spacerujących w słońcu. Codziennie przechodzili obok tego domu, zapewne nie mając pojęcia, jak cienka jest granica pomiędzy nimi a tą poranioną kobietą. Wendy stała jeszcze przez chwilę. Odwróciła twarz do słońca. Miała otwarte oczy, pozwalając, by zaszkliły się pod wpływem ostrych słonecznych promieni. To było takie cholernie przyjemne.

Christa Stockwell wybaczyła tym, którzy ją skrzywdzili.

W jej ustach zabrzmiało to tak zwyczajnie. Wendy nie chciała się wdawać w filozoficzne rozważania — związek z jej sytuacją i Arianą Nasbro był oczywisty — tylko skupiła się na istocie sprawy: jeśli najbardziej skrzywdzona osoba przebaczyła sprawcom i pogodziła się z losem, to kto tego nie zrobił?

Wyjęła komórkę. Kolejne wiadomości od reporterów.

Zignorowała je. Nieodebrany telefon od Popsa. Oddzwoniła do niego. Odebrał po pierwszym sygnale.

— Banda reporterów trzyma wartę — oznajmił.

— Wiem.

— Teraz wiesz, dlaczego jestem przeciwnikiem ograniczenia prawa do posiadania broni palnej.

Po raz pierwszy — od, wydawało się jej, bardzo długiego czasu — Wendy się roześmiała.

— Czego oni chcą? — zapytał.

— Ktoś rozpowszechnia o mnie paskudne plotki.

— Takie jak...

— Jak to, że śpię z moim szefem. I tym podobne rzeczy.

— I reporterzy zajmują się takimi bzdetami?

— Najwyraźniej.

— Jest w tym szczypta prawdy?

— Nie.

— Niech to szlag.

— Właśnie. Mógłbyś coś dla mnie zrobić?

— To retoryczne pytanie — odparł Pops.

— Mam poważne kłopoty. Być może jacyś ludzie chcą mnie dopaść.

— Jestem uzbrojony po zęby.

— Broń nie będzie potrzebna — powiedziała, mając nadzieję, że to prawda. — Jednak chcę, żebyś zabrał dokądś Charliego na kilka dni.

— Myślisz, że coś mu grozi?

— Nie wiem. Tak czy inaczej, te plotki zaczną się rozchodzić po mieście. Dzieciaki w szkole mogą mu dokuczać.

— I co z tego? Charlie sobie z tym poradzi. To silny dzieciak.

— Akurat teraz nie chcę, żeby był silny.

— W porządku, zajmę się tym. Zatrzymamy się w jakimś motelu, dobrze?

— Tylko w jakimś porządnym, Pops. Nie takim na godziny i z lustrami na sufitach.

— Załapałem, bez obawy. Gdybyś potrzebowała mojej pomocy...

— Nie musisz mi mówić.

— W porządku, uważaj na siebie. Kocham cię.

— Jak ciebie też.

Kiedy się rozłączyli, znów zadzwoniła do Vica. A on nie odebrał. Ten skurwiel zaczynał ją wkurzać. Co teraz? No cóż, znała już tajemnicę Pięciu z Princeton, ale wciąż nie wiedziała, dlaczego ta historia powróciła po dwudziestu latach. Oczywiście, była tylko jedna osoba, którą mogła o to spytać.

Phil.

Znowu spróbowała do niego zadzwonić. Strata czasu. Pojechała do jego domu. Drzwi otworzyła Sherry.

— Nie ma go.

— Wiedziałaś? — zapytała Wendy.

Sherry nie odpowiedziała.

— O Princeton. Wiedziałaś, co się tam stało?

— Dopiero od niedawna.

Wendy już miała zadać kilka uzupełniających pytań, ale się powstrzymała. To, od kiedy i co wiedziała Sherry, nie miało żadnego znaczenia. Musiała porozmawiać z Philem.

— Gdzie on jest?

— W Klubie Ojców.

— Nie uprzedzaj go, że tam jadę, dobrze? — Znów metoda kija i marchewki. Czas na kij. — Jeśli to zrobisz, po prostu będę musiała wrócić do waszego domu. I następnym razem będę zła. Sprowadzę kamerzystów oraz innych reporterów i narobię zamieszania, żeby zwrócić uwagę waszych sąsiadów, a nawet waszych dzieci. Rozumiesz, co mówię?

— Raczej trudno byłoby nie zrozumieć — mruknęła Sherry.

Groźenie tej kobiecie nie sprawiało Wendy przyjemności, ale nie chciała już być dłużej okłamywana i manipulowana.

— Bez obawy. Nie zadzwonię do niego.

Wendy odwróciła się, żeby odejść.

— Jeszcze jedno — powiedziała Sherry.

— Co takiego?

— On jest delikatny. Uważaj, dobrze?

Wendy chciała dodać coś o Chrście Stockwell, o jej delikatnym ciele, ale to nie była jej sprawa. Pojechała do Starbucks i zaparkowała przy parkometrze z napisem: „Tylko ćwierćdolarówki”. Nie miała ani jednej. Trudno. Znowu to życie na krawędzi.

Była bliska łez. Przystanąła przed drzwiami Starbucks i wzięła się w garść.

Wszyscy tam byli. Norm, czyli Ten-A-Fly, w pełnym rynsztunku niespełnionego rapera. Doug w białym tenisowym stroju. Owen z dzieckiem. Phil w garniturze i krawacie.

Nawet teraz. Nawet o tej porze. Siedzieli przy okrągłym stoliku, pochylając się nad nim i szepcząc. Wendy odniosła wrażenie, że ich mowa ciała zdradza niepokój.

Kiedy Phil ją zobaczył, zrzędała mu mina. Zamknął oczy. Nie przejęła się tym. Podeszła do stolika i przeszła go gniewnym spojrzeniem. Wydawało się, że uszło z niego powietrze.

— Właśnie rozmawiałam z Christa Stockwell — oznajmiła.

Pozostali mężczyźni tylko przyglądali się temu w milczeniu. Wendy napotkała spojrzenie Norma. Pokręcił głową, prosząc, by przestała. Nie posłuchała.

— Mnie też chcą załatwić — powiedziała do niego.

— Wiemy — rzekł Norm. — Śledziliśmy te internetowe plotki. Zdołaliśmy skasować je na wielu witrynach, ale nie na wszystkich.

— Zatem teraz jest to i moja wojna.

— Nie musi być. — Phil nadal miał spuszczoną głowę. — Ostrzegałem cię. Prosiłem, żebyś dała temu spokój.

— A ja nie posłuchałam. Moja wina. Teraz powiedz mi, co się dzieje.

— Nie.

— Nie?

Phil wstał i ruszył do drzwi. Wendy zastąpiła mu drogę.

— Zejdź mi z drogi — warknął.

— Nie.

— Rozmawiałaś z Christa Stockwell?

— Tak.

— Co ci powiedziała?

Wendy się zawahała. Przecież obiecała Chrście, że nic nie powie. Phil wykorzystał ten moment wahania, żeby ją ominąć. Poszedł do drzwi. Wendy ruszyła za nim, ale Norm zatrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu. Odwróciła się do niego gniewnie.

— I co chcesz zrobić, Wendy? Złapać go na ulicy i przytrzymać?

— Nie macie pojęcia, czego się dowiedziałam.

— Został wyrzucony z Princeton — rzekł Norm. — Nie ukończył studiów. Wiemy. Powiedział nam.

— Czy powiedział wam, co zrobił?

— Sądzisz, że to ma jakieś znaczenie?

To ją zastopowało. Pomyślała o tym, co powiedziała Christa, o tym, że im przebaczyła, ponieważ byli tylko dziećmiakami bawiącymi się w polowanie sępów.

— Czy powiedział wam, kto ich prześladowuje? — zapytała.

— Nie. Jednak poprosił nas, żebyśmy trzymali się od tego z daleka. Jesteśmy jego przyjaciółmi, Wendy. Jesteśmy lojalni wobec niego, nie ciebie. I uważam, że dość już wycierpiał, nie sądzisz?

— Nie wiem, Norm. Nie wiem, kto prześladowuje jego i jego dawnych współmieszkańców, a teraz mnie. Co więcej, nie wiem nawet, czy Dan Mercer zabił Haley McWaid. Może jej morderca nadal jest na wolności. Rozumiesz, co mówię?

— Tak.-

— I co?

— Nasz przyjaciel prosił, żebyśmy trzymali się od tego z daleka. To już nie nasza batalia.

— Wspaniale. Wściekła ruszyła do drzwi.

— Wendy?

Odwróciła się. Norm wyglądał tak zabawnie w tym stroju, z idiotyczną czarną czapką i czerwoną chustą, białym pasem i zegarkiem o tarczy wielkości anteny satelitarnej. Ten-A-Fly. Litości.

— Co takiego, Norm?

— Mamy to zdjęcie.

— Jakie zdjęcie?

— Klatkę z filmu, na którym jest dziewczyna. Ta dziwka, która oskarżyła Farleya Parksa o nierząd. Owen zdołał zrobić zrzut ekranu i zwiększyć rozdzielczość. To nie było łatwe, ale otrzymał dość wyraźne zdjęcie. Mamy je, jeśli chcesz.

Czekała. Owen wręczył zdjęcie Normowi. Ten podał je Wendy. Spojrzała na dziewczynę na fotografii.

— Wygląda młodo, nie uważasz? — powiedział Norm.

Świat Wendy, już i tak chwiejny, zatrzęsł się w posadach.

Tak, dziewczyna na tej fotografii rzeczywiście wyglądała młodo. Bardzo młodo.

Ponadto wyglądała dokładnie tak jak portret pamięciowy Chynny, dziewczyny, z którą Dan rzekomo miał się spotkać w domu, gdzie czekała ukryta ekipa telewizyjna.

Tak więc teraz wiedziała. To zdjęcie wszystko wyjaśniało. Ktoś ich wrobił.

Nadał jednak nie wiedziała kto i dlaczego.

Kiedy wróciła do domu, stał tam tylko jeden wóz transmisyjny. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Co za bezczelność — to był wóz z jej stacji. NTC. Sam, jej kamerzysta, stał obok — głęboki wdech — baniastogłowej Michele Feisler.

Michele poprawiała fryzurę. Trzymała mikrofon w zgięciu łokcia. Wendy miała ochotę gwałtownie skrócić w prawo, potrącić ją i popatrzeć, jak ta wielka głowa rozprysnie się na krawężniku. Zamiast tego uruchomiła automatyczne drzwi garażu i wjechała do środka. Elektryczny silnik zamknął za nią drzwi i wysiadła z wozu.

— Wendy?

To była Michele. Zastukała w drzwi garażu.

— Wynoś się z mojej posesji, Michele.

— Nie mam kamery ani mikrofonu. Jestem sama.

— Mój przyjaciel w domu ma broń i pali się, żeby jej użyć.

— Tylko posłuchaj mnie przez moment, dobrze?

— Nie.

— Musisz o tym wiedzieć. Chodzi o Vica.

Znieruchomiła.

— Co z Vikiem?

— Otwórz drzwi, Wendy.

— Co z Yikiem?

— Sprzedał cię.

Ścisnęło ją w dołku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Otwórz drzwi, Wendy. Żadnych kamer, żadnych mikrofonów, wszystko między nami. Obiecuję.

Do diabła. Zastanawiała się, co robić, ale w końcu, co jej to szkodzi? Chciała się dowiedzieć, co Michele ma do powiedzenia. Jeśli w tym celu musi wpuścić Dyniogłową do domu, to trudno. Przeszła nad rowerem Charliego — jak zwykle niedbale rzuconym tak, żeby zagrozić jej przejście — i nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Charlie zawsze zapominał je zamknąć.

— Wendy?

— Podejdź do tylnych drzwi.

Weszła do kuchni. Popsa nie było. Zostawił wiadomość, że odbierze Charliego. Dobrze. Otworzyła kuchenne drzwi Michele.

— Dziękuję, że mnie wpuściłaś.

— I o co chodzi z tym Vikiem?

— Góra chce krwi. Mocno go przycisnęli.

— I co?

— Usilnie go namawiali, żeby wyznał, że składałaś mu propozycje, zasugerował, że miałaś obsesję na jego punkcie.

Wendy stała nieruchomo.

— Stacja wydała oświadczenie.

Michele wręczyła jej kartkę.

NTC pozostawia bez komentarza sprawę Wendy Tynes, aczkolwiek chcielibyśmy bardzo wyraźnie stwierdzić, że nasz dyrektor działu wiadomości, Fictor Garrett, nie uczynił niczego nielegalnego ani nieetycznego, a także odrzucał jakiegokolwiek i wszelkie awanse czynione mu przez podwładnych. Prześladowanie jest obecnie poważnym problemem w naszym kraju i wiele niewinnych osób cierpi z tego powodu.

- Prześladowanie? — Wendy oderwała wzrok od kartki.
- Czy ja dobrze widzę?
- Czysta robota, nie sądzisz? Sformułowane wystarczająco mętnie, żeby nie można ich zaskarżyć.
- No więc, czego chcesz, Michele? Chyba nie sądzisz, że zamierzam wystąpić przed kamerą, co?
- Michele pokręciła głową.
- Nie jesteś taka głupia.
- Zatem po co tu przyszedłaś?
- Michele wzięła od niej kartkę z oświadczeniem i pomachała nią.
- To nie w porządku. Nie jesteśmy przyjaciółkami. Wiem, co o mnie myślisz...
- Michele wydeła przesadnie umalowane usta i zamknęła oczy, jakby ważąc w myślach następne zdanie.
- Wierzysz im?
- Natychmiast otworzyła oczy.
- Nie. No wiesz, daj spokój. Ty? Miałabyś prześladować Vica? Prędzej połknęłabym chochłę.

Gdyby Wendy nie była tak oszołomiona i rozkojarzona, chyba uściskałaby Michele.

— Wiem, że to brzmi naiwnie, ale zostałam reporterką, ponieważ chciałam odkrywać prawdę. A to są bzdury. Wrabiają cię. Dlatego chciałam ci powiedzieć, co się dzieje.

— Oo — sapnęła Wendy.

— Co?

— Nic, chyba jestem zdziwiona.

— Zawsze cię podziwiałam, to, jak sobie radziłaś, jak robiłaś reportaże. Wiem, jak to brzmi, ale to prawda.

Wendy stała i patrzyła na nią.

— Nie wiem, co powiedzieć. Jeśli potrzebujesz pomocy, możesz na mnie liczyć. To wszystko. Teraz już pójdę. Robimy reportaż, o którym ci mówiłam. O tym zboku Arthurze Lemainie, któremu przestrelono kolana.

— Nowe fakty?

— Niezupełnie. Facet chyba dostał to, na co zasłużył, ale to i tak zdumiewające: skazany za pornografię dziecięcą trenujący dziecięcą drużynę hokejową.

Wendy poczuła, że włosy jeżą jej się na karku.

Hokeja?

Teraz przypomniała sobie, że oglądała reportaż o tym z Charliem i jego przyjaciółmi.

— Zaczekaj, został postrzelony przed South Mountain Arena, zgadza się?

— Zgadza.

— Jednak czegoś tu nie rozumiem. Pamiętam, że czy-

tałam o tym, iż oni dokładnie sprawdzają przeszłość swoich trenerów. Michele skinęła głową.

— Tak. Jednak w przypadku Lemaine'a wyroki skazujące nie wyszły na jaw.

— Dlaczego?

— Ponieważ rejestr skazanych obejmuje tylko przestępstwa popełnione na terenie Stanów Zjednoczonych — wyjaśniła Michele. — Widzisz, Lemaine jest Kanadyjczykiem. Zdaje się, że z Quebecu.

34

Poskładanie wszystkiego w całość nie zajęło Wendy dużo czasu.

Michele Feisler jej pomogła. Zebrała już duży materiał o przestępcy seksualnym Arthurze Lemainie, łącznie z jego drzewem genealogicznym. Wendy była pod wrażeniem pracy, jaką w to włożyła. No dobrze, może głowa Michele rzeczywiście wydaje się nieco przyduża, ale zapewne dlatego, że ma bardzo wąskie ramiona.

— I co teraz? — zapytała ją Michele.

— Myślę, że powinniśmy skontaktować się z szeryfem Walkerem. To on prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania Dana Mercera.

— W porządku, więc dlaczego do niego nie zadzwonisz? Ty go znasz.

Wendy znalazła numer telefonu komórkowego Walkera i wcisnęła guzik. Michele usiadła obok niej. Przezornie wyjęła notes i przygotowała długopis. Walker odebrał po

czwartym sygnale. Wendy usłyszała, jak odkaslnął, zanim powiedział:

— Tu szeryf Mickey Walker.

— Mówi Wendy.

— O, hm, cześć. Jak się masz?

„O, hm, cześć?”. Jego głos brzmiał oficjalnie. A teraz, kiedy Wendy zastanowiła się nad tym, czy patrząc na wyświetlacz, nie widział, że to ona?

— Rozumiem, że słyszałeś już najnowsze historie o mnie?

— Taa.

— Super. — To nie był odpowiedni moment, żeby się w to wgłębiać. Poza tym nieważne, pieprzyć go, no nie? Ale mimo to poczuła ukłucie żalu. — Słyszałeś o sprawie Arthura Lemaine'a? Tego faceta, któremu przestrelono kolana?

— Tak. Ale nie na terenie podlegającym mojej jurysdykcji.

— A słyszałeś, że Arthur Lemaine ma na koncie wyroki skazujące za dziecięcą pornografię?

— Chyba o tym słyszałem, owszem.

— A słyszałeś także, że Arthur Lemaine jest szwagrem Eda Graysona?

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Potem Walker sapnął:

— Coś takiego.

— Istotnie, coś takiego. Chcesz więcej „takich”? Lemaine trenował drużynę hokejową swojego siostrzeńca. Tym, którzy nie znają się na genealogii, wyjaśniam, że to E.J., syn Eda Graysona, ofiara pedofila.

— Następne coś takiego — przyznał Walker.

— I może kolejne „coś takiego”: ktokolwiek przestrzelił kolana Lemaine'owi, zrobił to z daleka.

— Robota doskonałego strzelca — orzekł Walker.

— Czy nie tak nazwał Graysona właściciela Gun--O-Ramy?

— Istotnie. Mój Boże. Jednak nie rozumiem. Myślałem, że widziałas, jak Grayson zabił Dana Mercera, ponieważ ten robił rozbierane zdjęcia jego synowi.

— Owszem.

— A więc strzelał do obu tych facetów?

— No cóż, tak, tak sędzę. Pamiętasz, jak Ed Grayson pojawił się w Parku Stanowym Ringwood, żeby pomóc w poszukiwaniach ciała Haley McWaid?

— Tak.

— Powiedział, że tego nie rozumiem. Teraz jednak chyba zrozumiałam. Dręczy go poczucie winy, ponieważ zabił niewinnego człowieka.

Michele pilnie notowała, Wendy nie miała pojęcia co.

— Oto, co moim zdaniem zaszło — ciągnęła Wendy. — Dan Mercer jest wolny. Ed Grayson dostaje szału. Zabija Mercera i pozbywa się dowodów. Kiedy wraca do domu, jego żona Maggie orientuje się, co zrobił. Nie wiem, co dokładnie wtedy zaszło. Może Maggie się przeraziła. Może powiedziała: „Coś ty zrobił, przecież to nie Dan, tylko mój brat”. A może E.J. powiedział mu prawdę o wuju. Nie wiem. Jednak mogę sobie wyobrazić, co działo się w głowie Graysona. Był na każdym prze-

sluchaniu, rozmawiał z mediami, mówił o ofiarach, żądał ukarania Dana Mercera.

— A potem odkrywa, że zabił niewinnego człowieka.

— Właśnie. A ponadto teraz wie, że Arthur Lemaine, jego szwagier, nigdy nie stanie przed obliczem sprawiedliwości. A gdyby jakimś cudem jednak stanął, to może to zniszczyć jego rodzinę.

— To byłby skandal — przyznał Walker. — I jego rodzina musiałaby znowu przez to przechodzić. Wyznać przed całym światem, że przez cały ten czas się mylili. Więc co, zamiast tego Grayson go okulawia?

— Tak. Nie sądzę, żeby znalazł w sobie dość siły, żeby popełnić drugie morderstwo. Nie po tym, co zdarzyło się za pierwszym razem.

— I czy mu się to podoba, czy nie, to brat jego żony.

— Właśnie.

Wendy spojrzała na siedzącą po drugiej stronie stołu Michele. Teraz trzymała w ręku telefon komórkowy i rozmawiała z kimś cicho.

— Mówią, że żona Graysona od niego odeszła — powiedział Walker. — Zabrała ze sobą dzieciaka.

— Może z powodu tego, co zrobił Danowi.

— A może, ponieważ postrzelił jej brata.

— Właśnie. Walker westchnął.

— I jak teraz to wszystko udowodnimy?

— Nie wiem. Lemaine zapewne nie będzie mówił, ale może moglibyście go przycisnąć.

— To niewiele da. Postrzelono go wieczorem. Nie było świadków. A wiemy już, że Grayson jest cholernie dobry w pozbywaniu się dowodów.

Milczeli. Michele się rozłączyła. Zrobiła jeszcze kilka notatek, kreśląc przy nich duże długie strzałki. Przerwała, spojrziała na zapiski i ściągnęła brwi.

— Co jest? — zapytała Wendy.

Michele znowu zaczęła pisać.

— Jeszcze nie jestem pewna. Jednak coś jest nie tak z tą teorią.

— Co?

— Może to nic wielkiego, ale nie zgadza się chronologia wydarzeń. Lemiane został postrzelony dzień przed śmiercią Dana Mercera.

Telefon Wendy zawibrował. Oczekujące połączenie. Sprawdziła, kto dzwoni. Win.

— Muszę kończyć — powiedziała do Walkera. — Mam drugą rozmowę.

— Przepraszam za mój oficjalny ton.

— Nie przejmuj się tym.

— Nadal chcę do ciebie zadzwonić, kiedy to się skończy.

Próbowała powstrzymać uśmiech.

— Kiedy to się skończy — powtórzyła. Potem przełączyła się na drugą rozmowę. — Halo?

— Spełniając twoją prośbę — rzekł Win — sprawdziłem sprawę zwolnienia Phila Turnballa.

— Czy wiesz, kto go zrobił?

— Gdzie jesteś?

- W domu.
- Przyjdź do mojego biura. Myślę, że powinnaś to zobaczyć.



Win był bogaty. Bardzo.

Konkretnie: „Win” to skrót od Windsor Horne Lockwood Trzeci. Jego biuro mieściło się w wieżowcu Lock-Horne u zbiegu Czterdziestej Szóstej Ulicy i Park Ave.

Sami sobie policzcie.

Wendy zostawiła samochód na parkingu MetLife Building. Jej ojciec pracował niedaleko stąd. Myślała o nim teraz, o tym, jak zawsze podwijał rękawy do łokci w podwójnie symbolicznym akcie—zawsze gotowy do pracy i nie chcąc, by uważano go za urzędasę. Ojciec miał wielkie bicepsy. Przy nim czuła się bezpieczna. Teraz, chociaż nie żył od lat, chciała wpaść w jego ramiona i usłyszeć, jak mówi, że wszystko będzie dobrze. Czy kiedykolwiek wyrastamy z tej potrzeby? John też tak na nią działał — przy nim Wendy czuła się bezpieczna. Może to wydać się antyfeministyczne — to przyjemne poczucie bezpieczeństwa płynące z obecności mężczyzny — ale tak było. Pops był wspaniały, ale to nie była jego rola. Charlie, no cóż, zawsze będzie jej małym chłopcem, a ona zawsze będzie się o niego troszczyła, nie na odwrót. Obaj mężczyźni, przy których czuła się bezpieczna, nie żyją. Nie zawiedli jej, ale teraz, przy tych wszystkich kłębiących się wokół niej kłopotach, zastanawiała się, czy czasem cichy głosik w jej podświadomości nie szepcze, że to ona zawiodła ich.

Win przeniósł swoje biuro piętro niżej. Drzwi windy otworzyły się, ukazując napis MB REPS.

— Witamy, pani Tynes — pisnęła recepcjonistka.

Wendy o mało nie cofnęła się w popłochu do windy. Recepcjonistka miała wymiary środkowego obrońcy drużyny z NFL. Wcisnęła się w czarny jak węgiel lycrowy kostium będący koszmarną wersją tego, który Adrienne Barbeau nosiła w filmach o Wyścigu Armatniej Kuli. Jej makijaż wyglądał na nałożony łopata do odśnieżania.

— Hm, cześć.

Pojawiła się atrakcyjna Azjatka w szytej na miarę garsonce. Była wysoka i smukła, o urodzie modelki. Obie kobiety przez moment stały obok siebie i Wendy mimo woli przyszło do głowy skojarzenie z kulą mającą uderzyć w kręgle.

— Pan Lockwood czeka na panią — oznajmiła Azjatka.

Wendy poszła za nią korytarzem. Kobieta otworzyła drzwi gabinetu.

— Przyszła pani Tynes — powiedziała.

Win wstał zza biurka. Był niezwykle przystojnym mężczyzną. Chociaż właściwie nie w jej typie, z tymi blond loczkami, niemal delikatnymi rysami twarzy i całą tą chłopięcą urodą, miał w sobie spokojną siłę, lodowate niebieskie oczy i energię przyczajoną w tym aż nazbyt nieruchomym ciele, jakby w każdej chwili mógł zadać śmiertelny cios.

— Dziękuję, Mee — rzucił do Azjatki. — Zechcesz powiedzieć panu Barry'emu, że jesteśmy gotowi?

— Oczywiście.

Mee wyszła. Win przeszedł przez pokój i cmoknął Wendy w policzek. Była to lekka zwłoka, to niezręczne wahanie. Sześć miesięcy temu poszli do łóżka, było lepiej niż wspaniale, i chłopięca uroda czy nie, czegoś takiego się nie zapomina.

— Wyglądasz nadzwyczajnie.

— Dziękuję. Jednak czuję się nienadzwyczajnie.

— Rozumiem, że przechodzisz ciężkie chwile.

— Owszem.

Win usiadł i rozłożył ramiona.

— Jestem gotowy zaproponować pocieszenie i wsparcie.

— A mówiąc o pocieszeniu i wsparciu, myślisz o...

Win zabawnie poruszył brwiami.

— *Coitus nie interruptus*.

Z podziwem pokręciła głowę.

— Wybrałeś najgorszy możliwy moment.

— Nie ma czegoś takiego. Jednak rozumiem cię. Masz ochotę na brandy?

— Nie, dziękuję.

— Masz coś przeciwko temu, że ja się napiję?

— Bardzo proszę.

Win otworzył zabytkowy globus i wyjął z niego kryształową karafkę. Jego biurko było z grubego wiśniowego drewna. Na ścianach wisały obrazy przedstawiające polowanie na lisa, a na podłodze leżał piękny orientalny dywan. Jeden narożnik pokoju był wyłożony sztuczną murawą. Na ścianie wisiał wielki telewizor.

— Powiedz mi, o co w tym chodzi — poprosił Win.

— Nie pogniewasz się, jeśli nie powiem? Naprawdę muszę się tylko dowiedzieć, kto zrobił Phila Turnballa.

— Oczywiście.

Drzwi gabinetu otworzyły się i weszła Mee z jakimś starszym panem w muszce.

— Ach — powiedział Win. — Ridleyu, dziękuję, że przyszedłeś. Wendy Tynes, poznaj Ridleya Barry'ego. Pan Barry jest współzałożycielem firmy Barry Brothers Trust i byłym pracodawcą pana Turnballa.

— Miło mi panią poznać, Wendy.

Wszyscy usiedli. Biurko Wina było puste, nie licząc dużego stosu równo ułożonych akt.

— Zanim zaczniemy — powiedział Win — pan Barry i ja musimy mieć pewność, że treść naszej rozmowy nie wyjdzie poza ściany tego pokoju.

— Jestem reporterką, Win.

— A więc wiesz, co oznacza słowo „poufne”.

— Dobrze. Nie do publicznej wiadomości.

— A jako przyjaciel — zaznaczył Win — chcę mieć twoje słowo, że nie wyjawisz treści naszej rozmowy nikomu innemu.

Popatrzyła na Ridleya Barry'ego, a potem znowu na Wina.

— Masz moje słowo.

— Doskonale. — Win spojrzał na Barry'ego, a ten skinął głową. Win położył rękę na stercie teczek. — To są akta pana Turnballa. Jak wiesz, był doradcą finansowym w firmie Barry Brothers Trust.

— Tak, wiem.

— Przez kilka ostatnich godzin je przeglądałem. Dokładnie. Przyjrzałem się również komputerowym operacjom przeprowadzonym przez pana Turnballa. Przystudiowałem jego metody działania, zakupów i sprzedaży... wpływów i wydatków, jeśli wolisz. Ponieważ mam o tobie bardzo wysokie mniemanie, Wendy, oraz szacunek dla twojej inteligencji, starannie przeanalizowałem jego pracę, szukając wyjaśnienia, w jaki sposób Phil Turnball mógł zostać wrobiony.

— I?

Win napotkał jej spojrzenie i Wendy przeszedł dreszcz.

— Phil Turnball nie ukradł dwóch milionów dolarów. Według moich szacunków jest to suma raczej bliższa trzech. Krótko mówiąc, nie ma żadnych wątpliwości. Chciałaś wiedzieć, w jaki sposób Phil Turnball został wrobiony. Nie został. Phil Turnball dokonał defraudacji, którą realizował przez co najmniej pięć lat.

Wendy pokręciła głową.

— Może to nie on? Przecież nie pracował w próżni, prawda? Miał współników i asystentów. Może któryś z nich...

Wciąż patrząc jej w oczy, Win podniósł pilota i nacisnął guzik. Telewizor ożył.

— Pan Barry był również tak uprzejmy, że pozwolił mi przejrzeć nagrania z kamer.

Na ekranie telewizora pojawił się gabinet. Kamera była umieszczona wysoko i celowała w dół. Phil Turnball wkładał do niszczarki jakieś dokumenty.

— Tutaj twój pan Turnball niszczy wyciągi z kont swoich klientów, zamiast im je wysłać.

Win użył pilota. Na ekranie pojawiła się inna scena. Teraz Phil siedział przy biurku. Wstał i podszedł do drukarki.

— Tutaj pan Turnball drukuje fikcyjne wyciągi, które wyśle swoim klientom. Moglibyśmy długo ciągnąć ten pokaz, Wendy. Jednak nie ma wątpliwości: Phil Turnball okradał swoich klientów i pana Barry'ego.

Wendy opadła na fotel. Zwróciła się do Ridleya Barry'ego:

— Jeśli Phil jest złodziejem, dlaczego nie został aresztowany?

Przez moment nikt się nie odzywał. Ridley Barry spojrzał na Wina. Ten skinął głową.

— Proszę mówić. Ona nikomu nie powie.

Starszy pan odkaslnął i poprawił muszkę. Był niski i drobnej budowy, z rodzaju tych staruszków, których nazywa się miłymi lub sympatycznymi.

— Mój brat Stanley i ja założyliśmy Barry Brothers Trust ponad czterdzieści lat temu — zaczął. — Pracowaliśmy ramię w ramię przez trzydzieści siedem lat. W tym samym pokoju. Nasze biurka stały naprzeciwko siebie. Dzień w dzień. We dwóch zdołaliśmy stworzyć firmę, której obroty przekraczają miliard dolarów. Zatrudniamy ponad dwieście osób. Nasze nazwisko znajduje się na szyldzie. Bardzo poważnie traktuję tę odpowiedzialność. Szczególnie teraz, kiedy mojego brata nie ma.

Przerwał i spojrzał na zegarek.

— Panie Barry?

— Tak.

— To wszystko jest bardzo ciekawe, ale dlaczego Phil Turnbull nie został oskarżony, jeśli pana okradł?

— Nie okradł mnie. Okradł swoich klientów będących także moimi klientami.

— Obojętnie czyich.

— Nie, nie obojętnie. To nie jest tylko problem semantyczny. Jednak pozwoli pani, że odpowiem na to pytanie dwójako. Najpierw jako zimny biznesmen, a potem jako stary człowiek, który uważa, że jest odpowiedzialny za stan majątku swoich klientów. Zimny biznesmen: Jak pani sądzi, co w tej atmosferze wywołanej skandalem Madoffa stałoby się z Barry Brothers Trust, gdyby wyszło na jaw, że jeden z naszych głównych doradców stworzył piramidę finansową typu argentyńskiego?

Odpowiedź była oczywista i Wendy zaczęła się zastanawiać, dlaczego sama na to nie wpadła. Zabawne. Phil używał tego pytania, żeby się wybielić, czyż nie? Wciąż przypominał o tym na dowód tego, że został wrobiony: „Dlaczego mnie nie aresztowali?”.

— Natomiast stary człowiek — ciągnął Barry — czuje się odpowiedzialny wobec tych, którzy zaufali jemu i jego firmie. Tak więc przejrzą te konta osobiście. Zwrócę pieniądze wszystkim poszkodowanym klientom z moich osobistych środków. Krótko mówiąc, pokryję straty. Klienci, którzy zostali okradzeni, otrzymają pełną rekompensatę.

— I afera nie wyjdzie na jaw — dodała Wendy.

— Tak.

Dlatego Win kazał jej obiecać, że zachowa wszystko w tajemnicy. Siedziała i nagle kolejne fragmenty układanki znalazły się na swoich miejscach. Wiele fragmentów.

Teraz wiedziała. Wiedziała prawie... a może i wszystko.

— Jeszcze coś? — zapytał Win.

— Jak go pan przyłapał? — chciała wiedzieć.

Ridley Barry poruszył się na fotelu.

— Piramida finansowa w końcu musi runąć.

— Nie, to rozumiem. Dlaczego zaczął mu się pan przyglądać?

— Dwa lata temu zleciłem pewnej firmie sprawdzenie życiorysów wszystkich naszych pracowników. To była rutynowa kontrola, nic więcej, ale naszą uwagę zwróciła nieścisłość w aktach Phila Turnballa.

— Jaka nieścisłość?

— Phil skłamał, pisząc swój życiorys.

— O?

— O swoim wykształceniu. Napisał, że ukończył Princeton. A to nie było prawdą.

35

Tak więc teraz już wiedziała.

Zadzwoniła na komórkę Phila. Znowu nie odebrał. Spróbowała zadzwonić do domu. Nic. Wracając z biura Wina, podjechała pod dom Turnballów w Englewood. Nikogo nie zastała. Pojechała do Starbucks. Klubu Ojców tam nie było.

Zastanawiała się, czy zadzwonić do Walkera, a może raczej do Franka Tremonta.

To on prowadził sprawę Haley McWaid. Było bardzo prawdopodobne, że Dan Mercer nie zabił Haley. Sądziła, że chyba wie, kto to zrobił, lecz na razie były to tylko domysły.

Kiedy Ridley Barry opuścił gabinet, Wendy opowiedziała wszystko Winowi. Zrobiła to z dwóch powodów. Po pierwsze, chciała przedstawić swoją teorię inteligentnemu słuchaczowi i poznać jego zdanie. Po drugie, chciała, żeby jeszcze ktoś wiedział to, co ona... no cóż, tak na wszelki wypadek, aby zabezpieczyć zarówno te informacje, jak i siebie.

Kiedy skończyła, Win otworzył szufladę biurka. Wyjął kilka pistoletów i zaproponował jej jeden. Nie wzięła.

Charlie i Pops wciąż mieszkali w motelu. W domu panowała cisza. Pomyślała, że w przyszłym roku, kiedy Charlie pójdzie do college'u, zawsze będzie tu tak cicho. Nie podobało jej się to — myśl o samotności w takim domu. Może czas poszukać czegoś mniejszego.

Zaschło jej w gardle. Wypiła szklanekę wody i nalała sobie drugą. Poszła na górę, usiadła i włączyła komputer. Równie dobrze może zweryfikować swoją teorię. Użyła Google, sprawdzając w odwrotnej kolejności niż poprzednio skandale absolwentów Princeton: Steve'a Miciano, Farleya Parksa, Dana Mercera, Phila Turnballa.

Teraz wszystko nabrało sensu.

Następnie wpisała w Google swoje nazwisko, przeczytała doniesienia o swoim „seksualnie niewłaściwym postępowaniu” i pokręciła głową. Chciało jej się płakać, nie nad sobą, ale nad nimi wszystkimi.

Czy to wszystko naprawdę zaczęło się od polowania sępów?

— Wendy?

Powinna być przestraszona, ale nie była. To tylko potwierdzało to, co już wiedziała. Odwróciła się. Phil Turnball stał w drzwiach.

— Nie tylko ja o tym wiem — powiedziała.

Phil się uśmiechnął. Twarz miał zaczerwienioną od zbyt wielu drinków.

— Myślisz, że chcę ci zrobić krzywdę?

— Czy już nie zrobiłeś?

— Chyba masz rację. Jednak nie po to przyszedłem.

— Jak się dostałeś do domu?

— Garaż był otwarty.

Charlie i ten przeklęty rower. Nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Mogła spróbować go podejść i niepostrzeżenie użyć telefonu komórkowego, wybrać 911 albo jakiś inny numer. Mogła wysłać e-mail albo jakieś inne elektroniczne wołanie o pomoc.

— Nie bój się — rzekł.

— Masz coś przeciwko temu, że zadzwonię do przyjaciela?

— Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

— A jeśli będę nalegała?

Phil wyjął pistolet.

— Nie zamierzam zrobić ci krzywdy.

Wendy zamarła. Kiedy ktoś wyjmuje broń, ta staje się jedyną rzeczą, którą widzisz. Przelknęła ślinę, starając się zebrać siły.

— Hej, Phil?

— Co?

— Nic tak nie dowodzi tego, że nie chcesz kogoś skrzywdzić, jak wyjęcie broni.

— Musimy porozmawiać. Nie wiem jednak, od czego zacząć.

— Może od tego, jak kopniakiem wbiłeś odłamek lustra w oko Christy Stockwell?

— Naprawdę się przygotowałaś, prawda, Wendy?

Nie odpowiedziała.

— I masz rację. Od tego się zaczęło. — Westchnął. Pistolet trzymał w opuszczonej ręce, przy udzie. — Wiesz, co się stało, prawda? Schowałem się, a wtedy Christa Stockwell krzyknęła. Pobiegłem do drzwi, ale złapała mnie za nogę i przewróciła. Wcale nie zamierzałem jej zranić. Ja tylko chciałem uciec i spanikowałem.

— Byłeś w domu dziekana na polowaniu sępów.

— Wszyscy tam byliśmy.

— Jednak wzięła całą winę na siebie.

Przez moment Phil wyglądał na zagubionego, pogrążonego w zadumie. Zastanawiała się, czy tego nie wykorzystać. Nie celował w nią. To mogła być jej szansa. Pomimo to Wendy się nie ruszyła. W końcu przyznał:

— Tak, to prawda.

— Dlaczego?

— Wtedy wydawało mi się to właściwe. Widzisz, przyszedłem na tę uczelnię, mając wszystko: pieniądze, nazwisko, dyplom elitarnej szkoły średniej. Inni harowali i oszczędzali. Podziwiałem to. Byli moimi przyjaciółmi. Ponadto i tak miałem już kłopoty, po co ich w nie wciągać?

— Godne podziwu — mruknęła Wendy.

— Oczywiście nie wiedziałem, jak poważne mam kłopoty. W domu dziekana było ciemno. Myślałem, że Christa krzyczała ze strachu. Kiedy się przyznałem, nie miałem pojęcia, że została tak ciężko ranna. — Przechylił głowę w prawo. — Wolę myśleć, że mimo to postąpiłbym tak

samo. Wziąłbym na siebie całą winę, chroniąc przyjaciół. Jednak nie wiem.

Wendy zerknęła na komputer, sprawdzając, czy mogłaby niepostrzeżenie nacisnąć jakiś klawisz, wzywając pomocy.

— I co się potem stało?

— Przecież wiesz, nieprawdaż?

— Zostałeś relegowany?

— Tak.

— A twoi rodzice zapłacili Chrście Stockwell za milczenie.

— Moi rodzice byli przerażeni. Może jednak... sam nie wiem... może wiedziałem, że będą. Zapłacili za mnie, a potem się mnie wyrzekli. Rodzinny interes przekazali mojemu bratu. Zostałem z niczym. Może jednak dobrze się stało.

— Poczuleś się wolny.

— Tak.

— Byłeś jak twoi współlokatorzy. Faceci, których podziwiałeś.

Uśmiechnął się.

— Właśnie. I tak jak oni harowałem i oszczędzałem. Nie chciałem niczyjej pomocy. Dostałem pracę w firmie braci Barry. Zdobyłem klientów i ciężko pracowałem, żeby wszyscy byli szczęśliwi. Poślubiłem Sherry, kobietę nie zwykłą pod każdym względem. Stworzyliśmy rodzinę. Piękne dzieci, ładny dom. Wszystko samodzielnie. Bez nepotyzmu, bez pomocy...

Umilkł. Uśmiechnął się.

— Co?

— Ty, Wendy.

— Co ze mną?

— Jesteśmy tutaj we dwoje. Ja mam broń. Opowiadam ci wszystko o moich niechlubnych uczynkach. Ty zadajesz pytania, chcąc zyskać na czasie, w nadziei, że w ostatniej chwili przybędzie policja.

Wendy milczała.

— Jednak nie przyszedłem tutaj ze względu na siebie, Wendy. Jestem tu dla ciebie.

Patrzyła na jego twarz i nagle, pomimo pistoletu i całej tej sytuacji, przestała się bać.

— Jak to?

— Zobaczysz.

— Wolałabym...

— Chcesz poznać odpowiedzi, prawda?

— Chyba tak.

— Na czym skończyłem?

— Żonaty, praca, bez nepotyzmu.

— Racja, dziękuję. Mówiłaś, że poznałaś Ridleya Bar-ry'ego?

— Tak.

— Miły staruszek, no nie? Czarujący. Sprawia wrażenie uczciwego. I jest. Ja też byłem. — Spojrzał na pistolet, który trzymał w rękę, jakby nie wiedział, skąd się wziął. — Na początku nikt nie jest złodziejem. Założę się, że nawet Bernie Madoff nie był. Robisz, co możesz, dla swoich

klientów. Jednak świat jest bezlitosny. Popelnisz błąd. Stracisz pieniądze. Ale wiesz, że je odzyskasz. Tak więc przelewasz na to konto pieniądze z jakiegoś innego. Tylko na jeden dzień, może tydzień. Kiedy zawrzesz korzystną transakcję, powetujesz straty z nawiązką. To nie kradzież. W rezultacie twoi klienci tylko na tym zyskają. Zaczynasz od takiego drobiazgu, lekkiego przekroczenia granicy, ale co możesz zrobić? Jeśli wyznasz, co zrobiłeś, będziesz skończony. Pójdiesz na zieloną trawkę albo do więzienia. Jakie masz wyjście? Musisz pożyczać od Petera, żeby spłacić Paula i mieć nadzieję, że coś się uda, że modlitwy pomogą i wydostaniesz się z bagna.

— Podsumowując, okradałeś klientów?

— Tak.

— Brałeś wysoką prowizję?

— Musiałem zachowywać pozory.

— No tak. Rozumiem. Phil

się uśmiechnął.

— Masz rację, oczywiście. Próbuję opisać ci moje na stawienie, usprawiedliwione czy nie. Czy Ridley powiedział ci, co ich naprowadziło na mój trop?

Skinęła głową.

— Skłamałeś, pisząc życiorys.

— Właśnie. Tamta noc w domu dziekana znowu wróciła, żeby mnie prześladować. I nagle, z powodu tego, co wydarzyło się przed wieloma laty, cały mój świat zaczął się rozpadać. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułem? Wziąłem na siebie winę tych facetów, chociaż tak na-

prawdę nie byłem winny, a teraz, po tylu latach, znowu cierpiałem.

— Co masz na myśli, mówiąc, że tak naprawdę nie byłeś winny?

— Dokładnie to, co powiedziałem.

— Byłeś tam. To ty kopnąłeś Christę Stockwell w twarz.

— Nie od tego się zaczęło. Czy powiedziała ci o popielniczce?

— Tak. Ty ją rzuciłeś.

— Ona ci tak powiedziała?

Wendy się zastanowiła. Tak założyła, ale czy Christa Stockwell naprawdę powiedziała, że popielniczkę rzucił Phil?

— To nie ja. Ktoś inny rzucił popielniczką. A ta rozbiła lustro.

— Nie wiedziałeś kto?

Pokręcił głową.

— Wszyscy pozostali, którzy wtedy tam byli, wyparli się tego. To mam na myśli, mówiąc, że tak naprawdę nie byłem winny. Znowu nie miałem nic. Kiedy moi rodzice dowiedzieli się, że wyrzucono mnie z pracy, no cóż, to był ostatni gwóźdź do trumny. Wydziedziczyli mnie. Sherry i moje dzieci... zaczęły patrzeć na mnie zupełnie inaczej. Byłem zagubiony. Znalazłem się na dnie. A wszystko przez to przekłete polowanie sępów. Tak więc poszedłem do moich dawnych współlokatorów po pomoc. Farley i Steve powiedzieli, że są mi wdzięczni za to, iż wziąłem na siebie winę, ale co mogą teraz zrobić? Zacząłem myśleć, że nie

powiniem był brać odpowiedzialności wyłącznie na siebie. Gdybyśmy wszyscy się przyznali, odpowiedzialność rozłożyłaby się na całą naszą piątkę. Nie byłbym z tym sam. Uczelnia potraktowałaby mnie łagodniej. Patrzą na nich, na moich dawnych przyjaciół, którzy nie chcą mi pomóc, a im wszystkim doskonale się powodzi, wzbogacili się i odnieśli sukces...

— Tak więc postanowiłeś wpuścić ich w kanał.

— Masz mi to za złe? Tylko ja zapłaciłem za to, co się stało, a teraz w ich oczach byłem skończony. Skreślony. Jakby nie było warto mnie ratować. Twoja rodzina jest bogata, powiedzieli. Poproś ją o pomoc.

Wendy pomyślała, że Phil nie potrafił uwolnić się od swojej rodziny, jej bogactwa i pozycji. Może chciał być taki jak jego ubożsi przyjaciele, lecz w ich oczach nigdy nie był jednym z nich — ponieważ kiedy przyszło co do czego, po prostu nie należał do biednych, tak jak oni nie należeli do bogatych.

— Dowiedziałeś się o marketingu wirusowym od Klubu Ojców?

— Tak.

— To powinno dać mi do myślenia. Przyjrzałam się uważniej całej sprawie. Farley został załatwiony. Steve także. Ja również. A o Danie jest w sieci wystarczająco dużo. Tymczasem ty, Phil... O twoich malwersacjach nie ma w sieci ani słowa. Dlaczego? Jeśli ktoś chciał dopaść was wszystkich, dlaczego nie zamieścił błoga o tym, jak okradałeś firmę? W rzeczywistości nikt o tym nie wiedział.

Powiedziałeś Klubowi Ojców, że zostałeś wrobiony. Dopiero kiedy mój przyjaciel Win poinformował mnie, że zostałeś wyrzucony z pracy za kradzież dwóch milionów dolarów, nagle zacząłeś o tym mówić. A kiedy dowiedziałeś się, że byłam w Princeton, uprzedziłeś mnie i sam powiedziałeś kolegom, że cię wyrzucono ze studiów.

— Wszystko się zgadza — przyznał Phil.

— Zajmijmy się twoimi poczynaniami. Najpierw zapłaciłeś jakiejś dziewczynie, żeby udawała Chynnę, nastoletnią podopieczną Dana oraz dziwkę Farleya.

— Zgadza się.

— Gdzie ją znalazłeś?

- To zwykła dziwka, którą wynająłem, żeby odegrała te dwie role. Nie było to specjalnie skomplikowane. Co do Steve'a Miciano, cóż, czy tak trudno podłożyć narkotyki w bagażniku czyjegoś samochodu i zawiadomić policję, gdzie ma szukać? A Dan...

— Wykorzystałeś mnie — dokończyła Wendy.

— To nie było nic osobistego. Pewnego wieczoru zobaczyłem twój program telewizyjny i pomyślałem sobie: no, czy jest lepszy sposób, żeby kogoś załatwić?

— Jak to zrobiłeś?

— A co w tym takiego skomplikowanego, Wendy? Napisałem pierwszy e-mail, przedstawiając się jako Ashlee, trzynastoletnia dziewczynka z domu opieki społecznej. Potem udawałem Dana na czacie. Odwiedziłem go i podłożyłem w jego domu fotografie oraz laptop. Moja dziwka udawała dziewczynę z problemami o imieniu Chynna. Kiedy

podałś mi, udającemu w sieci „pedofila Dana” — palcami nakreślił w powietrzu cudzysłów — konkretne miejsce i porę spotkania, Chynna po prostu poprosiła Dana, żeby spotkał się z nią w tym miejscu i czasie. Dan przyszedł, twoje kamery pracowały... Wzruszył ramionami.

— No, no — mruknęła Wendy.

— Przykro mi, że zostałaś w to wmieszana. Jeszcze bardziej mi przykro, że rozpowszechniłem te plotki o tobie. Posunąłem się za daleko. To był błąd. Czuję się okropnie z tego powodu. Dlatego tu przyszedłem. Chcę ci to wynagrodzić.

Drugi raz powiedział coś w tym sensie, że przyszedł tu dla niej. To było irytujące.

— Więc zrobiłeś to wszystko, wrobiłeś tych facetów po prostu z zemsty?

Spuścił głowę. Jego odpowiedź ją zaskoczyła.

— Nie.

— Nie usprawiedliwiał się, Phil. Straciłeś wszystko, więc postanowiłeś pociągnąć za sobą niewinnych ludzi.

— Niewinnych? — Po raz pierwszy w jego głosie pojawił się gniew. — Oni nie byli niewinni.

— Mówisz tak ze względu na to, co stało się tamtej nocy w domu dziekana.

— Nie, nie to mam na myśli. Mówię tak, ponieważ byli winni.

— Winni czego? — spytała zdziwiona Wendy.

— Nie rozumiesz? Farley naprawdę sypiał z dziwkami.

Był strasznym kobieciarzem. Wszyscy o tym wiedzieli. A Steve wykorzystywał dyplom lekarza medycyny, żeby sprzedawać i rozprowadzać narkotyki na receptę. Zapytał policję. Nie mogli mu tego udowodnić. Jednak wiedzieli o tym. Widzisz, ja ich nie wrobiłem, tylko zdemaskowałem.

Zapadła cisza wibrująca napięciem i Wendy poczuła, że jej ciało drży. Dochodzili do sedna. Phil czekał, wiedząc, że go zachęci.

— A co z Danem? — zapytała Wendy.

Zaczął oddychać trochę szybciej. Próbował nad tym zapanować, ale przeszłość wracała falą.

— Właśnie dlatego tu jestem, Wendy.

— Nie rozumiem. Przed chwilą powiedziałeś, że Farley był kobieciarzem, a Steve handlarzem narkotyków.

— Tak.

— Więc zadam pytanie, które samo się nasuwa: czy Dan Mercer naprawdę był pedofilem?

— Chcesz usłyszeć prawdę?

— Nie, Phil, po tym wszystkim chcę, żebyś mnie okłamał. Czy zdemaskowałeś go, żeby można było go postawić przed sądem?

— W przypadku Dana chyba nic nie poszło zgodnie z planem — odparł powoli.

— Proszę, skończ z tą semantyką. Był pedofilem czy nie? Odwrócił wzrok i wyglądał, jakby przywoływał wspomnienia.

— Nie wiem.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

— Jak to możliwe?

— Kiedy go wrabiałem, nie sądziłem, że nim jest. Teraz jednak nie jestem już taki pewny.

Zakreśliło jej się w głowie.

— Co to, do diabła, ma znaczyć?

— Mówiłem ci, że poszedłem do Farleya i Steve'a — przypomniał. — I że nie chcieli mi pomóc.

— Tak.

— Potem poszedłem do Dana.

Phil podniósł pistolet i przełożył go do drugiej ręki.

— Jak zareagował?

— Siedzieliśmy w tym jego parszywym domu. Chce powiedzieć, że nie wiem, po co się do niego facygowałem. Co on mógł zrobić? Nie miał pieniędzy. Pomagał biednym. Dan zapytał mnie, czy napiję się piwa. Wypiłem jedno. Potem opowiedziałem mu, co mi się przydarzyło. Wysłuchał mnie ze współczuciem. Kiedy skończyłem, spojrzał mi w oczy i powiedział, że cieszy się, że do niego przyszedłem. Dlaczego?, zapytałem. Powiedział mi, że przez te wszystkie lata odwiedzał Christę Stockwell. Byłem wstrząśnięty. A potem wyznał mi prawdę.

Wendy już wiedziała, co ukryła przed nią Christa Stockwell.

— Co powiedział ci Dan?

— To nasza sprawa.

Wendy spojrzała na niego.

— To Dan rzucił popielniczką.

Phil skinął głową.

— Zobaczyl, jak chowam się za łóżkiem. Pozostali: Farley, Steve i Kelvin, już zaczęli uciekać. Byli w połowie schodów, zanim Christa Stockwell wyciągnęła rękę do włącznika. Dan chciał tylko odwrócić jej uwagę. Dać mi szansę ucieczki. Dlatego rzucił popielniczką.

— I wbił w jej twarz odłamki lustra.

— Tak.

Wyobraziła sobie ten moment. Wyobraziła sobie, jak Dan wyznaje to Chrście, a ta akceptuje prawdę. W końcu byli tylko dzieciakami z college'u bawiącymi się w polowanie sępów. Czy tak łatwo było im przebaczyć? Może Chrście tak.

— I przez te wszystkie lata o tym nie wiedziałeś?

— Nie wiedziałem. Dan skłamał. Próbował wyjaśnić dlaczego. Powiedział, że był biedny. Dostawał stypendium i był przerażony. Nawet gdyby się przyznał, nic by mi to nie pomogło. A on byłby skończony. I po co?

— Dlatego siedział cicho.

— Tak jak pozostali pomyślał, że jestem bogaty. Miałem rodzinę i powiązania. Mogłem zapłacić Chrście Stockwell. Dlatego nic nie powiedział. Pozwolił mi wziąć na siebie jego winę. Tak więc widzisz, Wendy, Dan wcale nie był taki niewinny. Prawdę mówiąc, pod wieloma względami był najbardziej winny z naszej piątki.

Pomyślała o tym, o wściekłości, w jaką musiał wpaść Phil, kiedy się dowiedział, że zapłacił za zbrodnię popełnioną przez Dana.

— Jednak nie molestował dzieci, prawda?

Phil zastanowił się nad tym.

— Nie sądzę, nie. Przynajmniej na początku tak nie sądziłem.

Próbowała poukładać to wszystko, znaleźć w tym jakiś sens. Potem przypomniała sobie Haley McWaid.

— Mój Boże, Phil. Coś ty zrobił?

— Oni mieli rację. Jestem skończony. Cokolwiek ze mnie zostało, cokolwiek było we mnie dobrego, też już straciłem. Właśnie to robi z człowiekiem zemsta. Zżera duszę. Nigdy nie powinienem był otwierać tamtych drzwi.

Wendy już nie wiedziała, o jakich drzwiach mówił, tych do domu dziekana przed wieloma laty, czy wiodących do nienawiści każącej mu szukać zemsty. Przypomniała sobie, co Christa Stockwell powiedziała o nienawiści, o tym, że żywiąc nienawiść, traci się wszystko inne.

Nadal jednak nie skończyli. Wciąż pozostała sprawa Haley McWaid.

— Więc kiedy Dan był wolny... — zaczęła Wendy. — To znaczy, kiedy sędzia go wypuściła...

Uśmiech Phila zmroził jej krew.

— Mów dalej, Wendy.

Nie mogła. Próbowała podążać za tym tokiem rozumowania, ale nagle wszystko przestało mieć sens.

— Zastanawiasz się nad Haley McWaid, prawda? Za stanawiasz się, jak ją dopasować do całej sprawy.

Wendy nie odpowiedziała.

— No już, Wendy. Powiedz to, co chciałaś powiedzieć. Jednak ona już wiedziała. To po prostu nie miało sensu. Teraz Phil był spokojniejszy, niemal łagodny.

— Skrzywdziłem ich, owszem. Czy złamałem prawo? Nawet nie jestem tego pewny. Zapłaciłem dziewczynie, żeby nakłamała o Farleyu i odegrała komedię z Danem. Czy to przestępstwo? Najwyżej wykroczenie. Udawałem kogoś innego na czacie, ale czy ty też tego nie robiłaś? Powiedziałaś, że sędzia wypuściła Dana. To prawda, ale co z tego? Wcale nie chciałem wpakować ich do więzienia. Chciałem tylko, żeby cierpieli. I tak się stało, nieprawdaż?

Czekał na odpowiedź. Wendy zdołała kiwnąć głową.

— Dlaczego więc wrobiłem go w morderstwo?

— Nie wiem — udało się jej wykrztusić.

Phil nachylił się do niej.

— Nie zrobiłem tego — szepnął.

Wendy zapało dech. Próbowwała oddychać wolniej, przemyśleć to, cofnąć się w czasie. Haley McWaid została zamordowana trzy miesiące przed znalezieniem jej ciała. Dlaczego? Czy Phil mógł — zastanawiała się Wendy — zabić ją, na wypadek gdyby Dan wywinął się od kary, żeby potem go tym obciążyć?

Czy to miało sens?

— Wendy, jestem ojcem. Nie potrafiłbym zabić nastoletniej dziewczyny. Nikogo nie potrafiłbym zabić.

Uświadomiła sobie, że istnieje ogromna różnica między marketingiem wirusowym a morderstwem, między zemstą na dawnych kolegach z roku a zabiciem nastolatki.

Zaczęła jej świtać prawda.

— Nie mogłeś podrzucić iPhone'a do jego pokoju — powoli powiedziała Wendy. — Nie wiedziałeś, gdzie mieszka.

Kręciło jej się w głowie. Usiłowała skupić myśli, znaleźć w tym jakiś sens, ale odpowiedź była teraz tak oczywista.

— To nie mogłeś być ty.

— Masz rację, Wendy. — Uśmiechnął się i jego twarz znów przybrała łagodny wyraz. — Właśnie dlatego tu jestem. Pamiętasz? Powiedziałem ci, że przyszedłem tu ze względu na ciebie, nie na mnie. To mój pożegnalny prezent dla ciebie.

— Jaki prezent? Nie rozumiem. Jak ten iPhone znalazł się w pokoju Dana?

— Znasz odpowiedź, Wendy. Obawiałeś się, że zniszczyłaś niewinnego człowieka. Tak nie było. Oto jedyne wyjaśnienie tego, w jaki sposób ten telefon znalazł się w pokoju motelowym: Dan miał go przez cały ten czas.

Popatrzyła na niego.

— Dan zabił Haley?

— Oczywiście.

Nie mogła się poruszyć, nie mogła oddychać.

— Teraz już wiesz, jak było, Wendy. Jesteś wolna.

Przepraszam za wszystko. Nie wiem, czy to wynagrodzi ci krzywdę, jaką ci wyrządziłem, ale będzie musiało. Jak powiedziałem na początku, właśnie po to tu przyszedłem, żeby ci pomóc.

Phil Turnbull podniósł rękę, w której trzymał pistolet. Zamknął oczy. Wyglądał tak spokojnie.

— Powiedz Sherry, że ją przepraszam — powiedział.

Wendy wyciągnęła rękę, krzyknęła, żeby tego nie robił, próbowała do niego podbiec.

Jednak była za daleko.

Umieścił lufę pod brodą, przytrzymał i nacisnął spust.

36

PIĘĆ DNI PÓŹNIEJ

Policja uprzątnęła bałagan.

Obaj, Walker i Tremont, odwiedzili ją i wysłuchali jej opowieści. Starła się podać im jak najwięcej szczegółów. Media również okazały nadzwyczajne zainteresowanie. Farley Parks wygłosił oświadczenie potępiające tych, którzy go „pospiesznie osądzili”, ale nie wystartował ponownie do wyborów. Doktor Steve Miciano odmówił jakichkolwiek wywiadów i oznajmił, że przestaje praktykować medycynę, „zmieniając obszar zainteresowań”.

Phil Turnball miał co do nich rację.

Życie szybko wróciło na prawie normalne tory. Wendy została oczyszczona przez stację NTC z wszelkich zarzutów, ale praca tam stała się nie do zniesienia. Vic Garrett nie mógł spojrzeć jej w oczy. Wszystkie reportaże zlecał jej za pośrednictwem asystentki Mavis. Na razie zlecenia były gówniane. Jeśli to się nie zmieni, będzie musiała podjąć bardziej zdecydowane kroki.

Jednak jeszcze nie teraz.

Pops oznajmił, że pod koniec tygodnia rusza w drogę. Został, żeby się upewnić, że Wendy i Charliemu nic nie jest, ale — jak sam zauważył — „jest włóczęgą, wędrowcem”. Nie dla niego długie siedzenie w jednym miejscu. Wendy rozumiała go, ale wiedziała, że będzie za nim tęskniła.

Zadziwiające, lecz podczas gdy w jej miejscu pracy zaakceptowano fakt, że rozpowszechnione w sieci plotki o niej były nieprawdziwe, wielu mieszkańców Kasselton nie przyjęło tego do wiadomości. Była ignorowana w supermarkecie. Inne matki unikały jej, odbierając dzieci ze szkoły. W piątek, dwie godziny przed zaplanowanym zebraniem komisji do spraw informacji, do Wendy zadzwoniła Millie Hanover.

— Dla dobra dzieci sugeruję, żebyś zrezygnowała z pracy w jakiegokolwiek komisji.

— Dla dobra dzieci sugeruję, żebyś się wypchała — odpaliła Wendy.

Z trzaskiem odłożyła słuchawkę. Za plecami usłyszała oklaski Charliego.

— W porządku, mamó.

— Ta kobieta jest taka ograniczona.

Charlie się roześmiał.

— Pamiętasz, jak mówiłem ci, że nie chcę chodzić na lekcje higieny, ponieważ propagują swobodę seksualną?

— Tak.

— Cassie Hanover jest z nich zwolniona, ponieważ jej matka obawiała się, że mogą źle wpłynąć na jej moralność.

Zabawne jest to, że tę dziewczynę nazywają Ręczna Robota. To straszna zdzira.

Wendy odwróciła się i patrzyła, jak jej chuderlawy syn podchodzi do komputera. Usiadł i zaczął stukać w klawiaturę, wpatrując się w ekran.

— Skoro mowa o strasznych zdzirach... — zaczęła

Wendy.

Spojrzał na nią.

— Hm?

— Krążą o mnie paskudne plotki. Umieszczono je w blogach.

— Mamo?

— Tak?

— Myślisz, że żyję w jaskini?

— Czytałeś je?

— Oczywiście.

— Dlaczego nie mówileś?

Charlie wzruszył ramionami i znów zaczął stukać w klawisze.

— Chcę, żebyś wiedział, że to nieprawda.

— Chcesz powiedzieć, że nie robisz kariery przez łóżko?

— Nie pyskuj.

Westchnął.

— Wiem, że to nieprawda, mamo. W porządku? Nie musisz mi tego mówić.

Bardzo starała się nie rozplakać.

— Czy twoi koledzy bardzo ci z tego powodu dokuczali?

— Nie — powiedział. I zaraz dodał: — No dobrze, Clark

i James chcieli wiedzieć, czy lubisz mężczyzn młodszych od siebie. Ściągnęła brwi.

— Żartowałem.

— Superżart.

— Uśmiechnij się.

Znów zaczął pisać.

Już miała wyjść z pokoju i zostawić go samego. Gdyby to zrobiła, cała ta sprawa byłaby zakończona. Znali wszystkie odpowiedzi. Phil wrobił swoich przyjaciół. Dan stracił głowę i zabił Haley. Fakt, że nie mogli znaleźć żadnego motywu, był irytujący, ale w życiu tak czasem bywa.

Jednak nie wyszła z pokoju. Była bliska łez i czuła się samotna, więc zapytała syna:

— Co robisz?

— Przeglądam Facebooka.

To przypomniało jej o fikcyjnym profilu, o Sharon Hait, którą stworzyła, żeby „zaprzyjaźnić się” z Kirbym Sennettem.

— Co to jest zabawa z red bullem?

Charlie przestał pisać.

— Gdzie słyszałaś to określenie?

Wendy przypomniała mu, że użyła fikcyjnego profilu, żeby nawiązać kontakt z Kirbym Sennettem.

— Kirby zaprosił „Sharon” na zabawę z red bullem — odrzekła.

— Pokaż mi ten list.

Charlie wylogował się i wstał od komputera. Wendy

usiadła na jego miejscu i załogowała się jako Sharon Hait. Dopiero po sekundzie przypomniała sobie hasło („Charlie”) i weszła. Wywołała zaproszenie i pokazała mu je.

— Kretynstwo — powiedział Charlie.

— Co?

— No dobrze, wiesz, że szkoła wprowadziła zasadę zero tolerancji, prawda?

— Prawda.

— A dyrektor Zecher przestrzega jej z fanatyzmem faszysty. No wiesz, jeśli przyłapią jakiegoś dzieciaka na picciu, nie może grać w żadnej drużynie sportowej, nie może brać udziału w treningach, dyrektor zgłasza to uczelnianej komisji rekrutacyjnej i tak dalej.

— Wiem o tym.

— I wiesz, że nastolatki są głupie i wciąż posyłają sobie zdjęcia, na których piją alkohol, na przykład na Facebooku?

— Tak.

— I dlatego ktoś wpadł na pomysł, żeby redbullować zdjęcia.

— Redbullować?

— Tak. Powiedzmy, że idziesz na prywatkę, popijasz budweisera z puszki, a ponieważ jesteś ćwokiem i masz kłopoty z samooceną, myślisz sobie, jestem spoko, chcę, żeby wszyscy zobaczyli, jaki jestem spoko. Prosisz kogoś, żeby zrobił ci zdjęcie, jak pijesz piwko, żeby umieścić je w sieci i zrobić wrażenie na swoich kumplach ćwokach. Problem w tym, co będzie, jeśli natknie się na nie dyrektor Zecher albo jego faszystowscy podwładni? Masz przerąbane.

Tak więc za pomocą Photoshopa nakładasz red bulla na tę puszkę piwa.

— Żartujesz.

— Nie żartuję. Kiedy się nad tym zastanowić, to ma sens. Tutaj.

Charlie nachylił się i kliknął myszką. Pojawiło się kilka zdjęć Kirby'ego Sennetta. Zaczął je przeglądać.

— Widzisz? Zobacz, ile razy on i jego kumple ze swoimi laskami popijali red bulla.

— Nie nazywaj ich laskami.

— Jak chcesz.

Wendy zaczęła przeglądać zdjęcia.

— Charlie?

— Taak.

— Byłeś kiedyś na takiej zabawie z red bullem?

— Cel podróży: Kretynstwo Wielkie.

— Czy to oznacza „nie”?

— Oznacza „nie”.

Popatrzyła na niego.

— Czy kiedykolwiek byłeś na prywatce, na której pito alkohol?

Charlie poskrobał się po brodzie.

— Tak.

— A ty piłeś?

— Raz.

Znów zaczęła klikać myszką, oglądając Kirby'ego Sennetta i jego zaczerwienionych kompanów z puszkami red bulla. Na niektórych zdjęciach łatwo można było dostrzec

fotomontaż. Puszka red bulla była za duża lub za mała, zasłaniała palce albo znajdowała się obok nich.

— Kiedy? — zapytała.

— Mamo, to nic takiego. Tylko raz w pierwszej klasie.

Zastanawiała się, jak dalej poprowadzić tę rozmowę, gdy zobaczyła kolejne zdjęcie, które zmieniło wszystko. Kirby Sennett siedział z przodu i na środku. Za nim stały dwie dziewczyny, obie plecami do aparatu. Kirby uśmiechał się szeroko. W prawej ręce trzymał puszkę red bulla. Miał na sobie koszulkę nowojorskiej drużyny Knickersów i czarną bejsbolówkę. Jednak to, co przykuło jej wzrok, co kazało jej zatrzymać obraz i dokładnie mu się przyjrzeć, to kanapa, na której siedział.

Jasnożółta w niebieskie kwiatki.

Wendy widziała już tę kanapę.

Zdjęcie samo w sobie nic by jej nie powiedziało. Teraz jednak przypomniała sobie ostatnie słowa Phila Turnballa, o tym, że zostawia jej „prezent”, żeby nie obwiniała się o to, że obciążyła niewinnego człowieka. Phil Turnball wierzył w to — i Wendy też chciała w to wierzyć. W tym rzecz. W ten sposób była niewinna. Dan był zabójcą. Nie wrobiła niewinnego człowieka. Tak naprawdę zdemaskowała mordercę.

Dlaczego więc nie była o tym do końca przekonana?

Jej kobieca intuicja, która od początku podpowiadała jej, że skrzywdziła Dana Mercera, która dręczyła jej podświadomość od chwili, gdy otworzył te czerwone drzwi i wpadł w pułapkę, w ciągu kilku ostatnich dni pozostawała uśpiona.

Jednak nie znikła.

Przed domem Wheelerów stała zaparkowana ciężarówka firmy przewozowej.

Przed frontowymi drzwiami ułożono pochylnię z desek. Dwaj mężczyźni noszący czarne rękawiczki i skórzane pasy ciężarowców zsuwali po niej kredens, powtarzając jak mantrę: „Powoli, powoli”. Na podwórzu nadal stała tabliczka „Na sprzedaż”. Nie było na niej naklejki „W trakcie negocjacji” ani żadnej innej. Wendy zaczekała, aż przejedzie kredens, a potem stanęła w progu i zawołała:

— Czy jest ktoś w domu?!

— Cześć.

Jenna wyszła z salonu. Ona też nosiła czarne rękawiczki. I niebieskie džinsy. Obszerną flanelową koszulę narzuciła na biały podkoszulek. Rękawy koszuli były podwinięte, ale i tak w niej tonęła. Pewnie jej męża, pomyślała Wendy. Jako dziecko używaś starych koszul ojca zamiast szlafroka. Jako osoba dorosła nosisz koszulę męża podczas porządków

domowych, a czasem tylko po to, żeby poczuć się blisko niego. Wendy też to robiła, uwielbiała zapach swojego mężczyzny.

— Znaleźliście kupca? — spytała.

— Jeszcze nie. — Jenna miała włosy związane z tyłu, ale kilka pasemek wyniknęło się i zwisało luźno. Założyła je za ucho.

— Noel w przyszłym tygodniu zaczyna pracę w Cin-cinnati.

— Szybko.

— Tak.

— Noel chyba od razu zaczął szukać nowej pracy.

Tym razem Jenna się zawahała.

— Chyba tak.

— Z powodu piętna obrończyni pedofila?

— Zgadza się. — Jenna podparła się pod boki. — O co ci chodzi, Wendy?

— Byłaś kiedyś w Superluksusowych Apartamentach Freddy'ego?

— W czym?

— To kiepski motel w centrum Newark. Byłaś w nim?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Zabawne. Pokazałam recepcjoniście twoje zdjęcie. Powiedział, że widział cię tam w dniu, kiedy Dan został zabity. Powiedział również, że prosiłaś o klucz do jego pokoju.

Wendy wiedziała, że to stwierdzenie ociera się o blef. Recepcjonista faktycznie rozpoznał Jennę Wheeler i pamię-

tał, że była tam w ciągu ostatnich dwóch tygodni, ale nie potrafił podać daty. Pamiętał też, że wręczył jej klucz, nie zadając żadnych pytań — kiedy ładna kobieta z przedmieścia pojawia się w motelu Freddy'ego, nie prosi się ją o dokument tożsamości — ale nie mógł sobie przypomnieć, do którego pokoju.

— Pomylił się — powiedziała Jenna.

— Nie sądzę. Co ważniejsze, kiedy powiem o tym policji, oni też w to nie uwierzą.

Stały naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem.

— Widzisz, właśnie to przeoczył Phil Turnball — powiedziała Wendy. — Zakładam, że słyszałaś o jego samobójstwie?

— Tak.

— On uważał, że Dan zabił Haley, ponieważ jego zdaniem nie było innych podejrzanych. Dan ukrywał się w tym motelu. Nikt nie wiedział, że tam jest, tak więc nikt nie mógł podrzucić iPhone'a należącego do Haley. Phil zapomniał o tobie, Jenno. Ja też.

Jenna zdjęła skórzane rękawiczki.

— To niczego nie dowodzi.

— A to?

Wendy wręczyła jej zdjęcie Kirby'ego Sennetta. Jasnożółta kanapa w niebieskie kwiaty stała za nimi gotowa do przewiezienia do Cincinnati. Jenna odrobinę za długo spoglądała na zdjęcie.

— Czy córka powiedziała ci, na czym polega redbulowanie?

Jenna oddała jej zdjęcie.

— To też niczego nie dowodzi.

— Wprost przeciwnie. Ponieważ teraz znamy prawdę, no nie? Kiedy przekażę to zdjęcie policji, mocniej przycisną te dzieciaki. Dostaną nieretuszowane zdjęcia. Wiem, że Kirby był tutaj. On i Haley pokłócili się i zerwali. Kiedy rozmawiałam z nim w cztery oczy, powiedział mi, że była tu alkoholowa prywatka, w waszym domu, tamtej nocy, kiedy Haley znikła. Powiedział, że przyszło tylko czworo dzieciaków. Policja je przycisnie. Zaczną mówić.

Znów trochę mijała się z prawdą. Walker i Tremont przesłuchali Kirby'ego. Użyli wszystkich możliwych gróźb, żeby skłonić go do mówienia. Dopiero kiedy jego adwokat dostał gwarancję zachowania tajemnicy, nie tylko nietykalności, chłopak powiedział im o prywatce.

Jenna skrzyżowała ręce na piersi.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Wiesz, co mnie zdumiewa? Żadne z tych dzieciaków nie wygadało się po tym, jak Haley zaginęła. Jednak faktem jest, że było ich tu tylko czworo. Kirby powiedział, że pytał o to twoją pasierbicę Amandę. Ona powiedziała mu, że Haley wyszła zaraz po nim. Z powodu wprowadzonej przez dyrektora Zechera zasady zero tolerancji dla alkoholu nikt nie chciał się przyznać do popijania, jeśli nie musiał. Kirby bał się, że zostanie wyrzucony z drużyny piłkarskiej. Powiedział jej, że inna dziewczyna jest na liście oczekujących na przyjęcie do Boston College i jeśli Zecher zawiadomi uczelnię, nie przyjmą jej. Tak więc wszyscy

siedzieli cicho, tak jak tylko dzieciaki potrafią. Ponadto nie przejmowali się tym, ponieważ Amanda powiedziała im, że Haley cała i zdrowa wyszła stąd po prywatce. Dlaczego mieliby w to wątpić?

— Myślę, że powinnaś już iść.

— Taki mam zamiar. I zamierzam pójść prosto na policję. Wiesz, że teraz będą mogli zrekonstruować wydarzenia tamtej nocy. Zagwarantują nietykalność pozostałym uczestnikom tej prywatki. Dowiedzą się, że byłaś w motelu, może przejrzą nagrania z okolicznych kamer. Domyśla się, że podrzuciłaś ten telefon. Patolog sądowy jeszcze raz przeprowadzi sekcję zwłok Haley. Twoja pajęczyna kłamstw tego nie wytrzyma.

Wendy odwróciła się, by odejść.

— Zaczekaj. — Jenna przełknęła ślinę. — Czego chcesz?

— Prawdy.

— Masz założony podsłuch?

— Podsłuch? Oglądasz za dużo telewizji.

— Masz założony podsłuch?

— Nie. — Wendy rozłożyła ręce. — Chcesz... Jak się na to mówi? Chcesz mnie zrewidować?

Dwaj pracownicy firmy transportowej weszli do domu.

— Możemy teraz opróżnić pokój dzieci, pani Wheeler?

— Oczywiście. — Jenna znów spojrzała na Wendy. Miała łzy w oczach. — Porozmawiajmy na tyłach domu.

Jenna Wheeler poszła przodem. Otworzyła szklane przesuwane drzwi. Z tyłu domu był basen. Dryfował na nim samotny niebieski materac. Jenna patrzyła na niego przez

chwile, po czym oderwała od niego wzrok i omiotła nim podwórze, jakby przyszła kupić ten dom.

— To był wypadek — powiedziała. — Kiedy usłyszysz, co się stało, mam nadzieję, że zrozumiesz. Ty też jesteś matką.

Wendy ścisnęło się serce.

— Amanda nie cieszy się popularnością w szkole. Czasem to dobrze. Znajdujesz inne zainteresowania albo zaprzyjaźniasz się z innymi takimi dziećmi. Wiesz, jak to jest. Jednak Amanda nie była taka. Przedtem była rozrywana. Teraz nikt nie zapraszał jej na prywatki. Po tym, jak stanęłam w obronie Dana, zrobiło się jeszcze gorzej, ale naprawdę nie jestem pewna, czy to jedyny powód. Amanda jest jedną z tych, które za bardzo się przejmują. Przesiadывała w swoim pokoju i cały czas płakała. Nie wiedzieliśmy z Noelem, co robić.

Umilkła.

— Dlatego postanowiliście urządzić przyjęcie — podsunęła Wendy.

— Tak. Nie będę się wdawała w szczegóły, ale myślałam, że to mądre posunięcie. Czy wiesz, że przez cały tamten tydzień uczniowie starszych klas jeździli do Bronksu, ponieważ znaleźli tam jakiś lokal, w którym podają nieletnim alkohol? Zapytaj Charliego, on to potwierdzi.

— Nie mieszaj w to mojego syna.

Jenna podniosła rękę w drwiącym geście poddania.

— Świetnie, jak chcesz. Jednak taka jest prawda. Wszyscy jeździli do tego klubu, upijali się, a potem wracali samo chodami do domu. Tak więc Noel i ja pomyśleliśmy, że

możemy urządzić im przyjęcie w domu. Zostaniemy na piętrze, nie będziemy im przeszkadzali i... no cóż, zostawimy im piwo w lodówce. Nie będziemy ich częstowali, ale sama wiesz, też chodziłaś do liceum. Dzieciaki piją. Pomyśleliśmy, że w ten sposób przynajmniej będą robiły to w możliwie najbezpieczniejszym miejscu.

Wendy przemknęło przez głowę wspomnienie zebrania przedmaturalnego i stoisko z nalepkami „Nie w naszym domu” prowadzące kampanię przeciwko rodzicom wydającym alkoholowe przyjęcia. Tamten ojciec nazwał to „przesadną troską” i być może w pewnym stopniu się z nim zgadzała.

— Zakładam, że Haley McWaid tam była? — zapytała Wendy.

Jenna skinęła głową.

— Właściwie nie lubiła Amandy. Przedtem tylko raz była w naszym domu. Domyślam się, że przyszła tylko napić się alkoholu. No wiesz, miało być niewiele osób. A Haley McWaid była zła. Była załamana tym, że nie dostała się na uniwersytet stanu Wirginia. Pokłóciła się z Kirbym. Dlatego wcześniej wyszedł.

Umilkła. Znów zapatrzyła się w wodę w basenie.

— I co się stało? — zapytała Wendy.

— Haley umarła.

Powiedziała to tak po prostu.

Pracownicy firmy transportowej z rumorem schodzili po schodach. Jeden zaklął. Wendy stała na tyłach domu z Jenną Wheeler. Słońce grzało. Podwórze było ciche.

— Za dużo wypila — wyjaśniła Jenna. — Przedawkowała alkohol. Haley była drobną dziewczyną. Znalazła w barku nieotwartą butelkę whisky. Wypila całą. Amanda myślała, że tylko zasnęła.

— Nie zadzwoniliście na pogotowie?

Pokręciła głową.

— Noel jest lekarzem. Próbował wszystkiego, reanimując tę biedną dziewczynę. Jednak było za późno. — Jenna w końcu odwróciła się plecami do basenu i obrzuciła Wendy pytającym spojrzeniem. — Chcę, żebyś na moment spróbowała postawić się w naszej sytuacji, dobrze? Ta dziewczyna była martwa. Nic nie mogło jej wskrzesić.

— Martwy pozostaje martwym — stwierdziła Wendy, powtarzając to, co Jenna powiedziała o swoim byłym mężu, kiedy widziały się ostatnio.

— Jesteś sarkastyczna, ale tak, martwy pozostaje martwym. Haley umarła. To był straszny wypadek, ale nic nie mogło jej ożywić. Staliśmy nad ciałem. Noel wciąż usiłował ją reanimować, ale na próżno. Pomyśl o tym. Jesteś reporterką. Kręciłaś reportaże o takich prywatkach, prawda?

— Owszem.

— Wiesz, że rodziców wsadzano do więzienia, zgadza się?

— Zgadza. Za nieumyślne zabójstwo.

— A przecież to był wypadek. Nie rozumiesz tego? Wypila za dużo. Zdarza się.

— Cztery tysiące razy w roku. — Wendy przypomniwała

sobie statystykę podaną przez przewodniczącego miejskiej komisji do spraw bezpieczeństwa Pecore.

— Tak więc Haley leży tu. Nie żyje. A my nie wiemy, co robić. Jeśli zadzwonimy na policję, pójdziemy do więzienia. Rozprawa będzie krótka. Nasze życie legnie w gruzach.

— Lepsze to niż nie żyć — zauważyła Wendy.

— Tylko co by to dało? Nie rozumiesz? Haley już nie żyła. Niszcząc nasze życie, nie wskrzesilibyśmy jej. Byliśmy przerażeni. Nie zrozum mnie źle. Czuliśmy się okropnie z powodu śmierci Haley. Jednak martwym nie można w niczym pomóc. Baliśmy się, rozumiesz to, prawda?

Wendy kiwnęła głową.

— Rozumiem.

— No wiesz, postaw się na naszym miejscu. Życie całej twojej rodziny może lec w gruzach. Co byś zrobiła?

— Ja? Pewnie zakopałabym ciało w parku stanowym.

Cisza.

— To nie jest śmieszne — powiedziała Jenna.

— Jednak tak właśnie zrobiłaś, prawda?

— Wyobraź sobie, że to twój dom. Wyobraź sobie, że Charlie przychodzi do twojej sypialni, prowadzi cię na parter, a tam jeden z jego kolegów leży martwy. Nie częstowałaś tego dzieciaka alkoholem. Nie wlewałaś mu go do gardła. A teraz możesz pójść za to do więzienia. Albo może pójść tam Charlie. Co byś zrobiła, żeby chronić swoją rodzinę?

Tym razem Wendy nie odpowiedziała.

— Nie wiedzieliśmy, co robić, więc owszem, spanikowaliśmy. Ja i Noel włożyliśmy ciało do bagażnika naszego samochodu. Wiem, jak to brzmi, ale powtarzam, nie widzieliśmy innego wyjścia. Gdybyśmy wezwali policję, bylibyśmy załatwieni, a ta dziewczyna nadal byłaby martwa. Wciąż to sobie powtarzałam. Poświęciłabym własne życie, żeby ją wskrzesić, ale to było niemożliwe.

— Tak więc zakopaliście ją w lesie?

— Początkowo nie taki mieliśmy plan. Zamierzaliśmy pojechać do Irvington lub innego miasta i po prostu... no cóż... zostawić ją gdzieś, żeby zaraz ją ktoś znalazł, ale potem zrozumieliśmy, że sekcja wykaże zatrucie alkoholem. Policja do nas dotrze. Wiedzieliśmy, że musimy ukryć ciało. Czułam się z tym okropnie, z tym, że Ted i Marcia nie będą wiedzieli, co się z nią stało. Jednak naprawdę nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić. A kiedy potem ludzie zaczęli mówić, że Haley uciekła z domu, no cóż, czy to nie lepsze niż mieć pewność, że twoje dziecko nie żyje?

Wendy nie odpowiedziała.

— Wendy?

— Powiedziałaś, żebym postawiła się na twoim miejscu.

— Tak.

— Teraz stawiam się na miejscu Teda i Marcii. Czy miałaś nadzieję, że nigdy nie poznają prawdy? Jednego dnia ich córka była w domu, a następnego znikła, a oni przez resztę życia będą biegli, gdy zadzwoni dzwonek do drzwi albo telefon?

— Czy to gorsze niż świadomość tego, że twoja córka nie żyje?

Wendy nie trudziła się odpowiedzią.

■— Musisz zrozumieć — ciągnęła Jenna. — My też przechodziliśmy piekło. Za każdym razem, gdy zadzwonił telefon albo dzwonek do drzwi, zastanawialiśmy się, czy to policja.

— Och, strasznie ci współczuję.

— Nie mówię tego, żeby wzbudzić twoją litość. Próbuję ci wyjaśnić, co się potem stało.

— Myślę, że wiem, co się wydarzyło — powiedziała Wendy. — Dan nie miał żadnych krewnych. Kiedy policja zawiadomiła cię, że nie żyje, no cóż, to był szczęśliwy zbieg okoliczności, nieprawdaż?

Jenna spuściła wzrok. Mocniej otuliła się luźną flanelową koszulą, jakby ta mogła ją obronić. Teraz wydawała się jeszcze mniejsza.

— Kochałam tego człowieka. Byłam załamana.

— Jednak tak jak powiedziałaś, martwy pozostaje martwym. Dan już został okrzyknięty pedofilem i sama mi mówiłaś, że nie zależałoby mu na pośmiertnej rehabilitacji. Nie wierzył w życie pozagrobowe.

— To wszystko prawda.

— Wykazy rozmów dowodzą, że jedynymi osobami, do których dzwonił Dan, byłaś ty i jego adwokat, Flair Hickory. Tylko tobie ufał. Wiedziałaś, gdzie mieszkał. Nadal miałaś iPhone'a Haley. Więc czemu nie? Obciążylaś nieżyjącego.

— Jemu to nie mogło już zaszkodzić. Nie rozumiesz tego?

W pewien straszny sposób miało to sens. Nie można skrzywdzić martwego.

— Wprowadziłaś Park Stanowy Ringwood do Google Earth w iPhone'ie Haley. To był kolejny ślad. Gdyby to Dan ją zabił i tam zakopał, po co ona miałaby szukać tego parku? Jedyнным wnioskiem, jaki mogłam wyciągnąć, był ten, że zabójca Haley chciał, by jej zwłoki zostały znalezione.

— Nie mów o zabójstwie. To był wypadek.

— Naprawdę nie przysłałam tu na lekcję semantyki, Jenno. Po co wprowadziłaś Park Stanowy Ringwood do Google Earth?

— Ponieważ wbrew temu, co myślisz, nie jestem potworem. Widziałam Teda i Marcie, przez jakie przechodzili męki. Zobaczyłam, co robi z nimi niewiedza.

— Zrobiłaś to dla nich?

Jenna odwróciła się do Wendy.

— Chciałam, żeby odzyskali spokój. Chciałam, żeby ich córka miała przyzwoity pogrzeb.

— To ładnie z twojej strony.

— Ten twój sarkazm — prychnęła Jenna.

— Co z nim?

— To maska. Postąpiliśmy źle. To był błąd. Jednak w pewien sposób to rozumiesz. Jesteś matką. Robimy, co musimy, żeby chronić nasze dzieci.

— Nie zakopujemy martwych dziewcząt w lasach.

— Nie? Więc ty nie zrobiłabyś tego, choćby nie wiem co? Załóżmy, że stawką jest życie Charliego. Wiem, że

straciłaś męża. Załóżmy, że jednak żyje i ma pójść do więzienia za spowodowanie wypadku. Co byś zrobiła?

— Nie zakopałabym tej dziewczyny w lesie.

— No więc co byś zrobiła? Chcę wiedzieć.

Wendy nie odpowiedziała. Przez chwilę to sobie wyobrażała. John wciąż żyje. Charlie przychodzi na górę. Dziewczyna leży martwa na parterze. Nie musiała się zastanawiać, co by zrobiła. Nie było powodu, żeby posuwać to tak daleko.

— Jej śmierć to był wypadek — cicho powtórzyła Jenna.

Wendy skinęła głową.

— Wiem.

— Czy rozumiesz, dlaczego tak postąpiliśmy? Nie mówię, że musisz się z tym zgadzać. Tylko czy rozumiesz?

— Chyba w pewnym stopniu tak.

Jenna odwróciła do niej zalaną łzami twarz.

— I co zamierzasz teraz zrobić?

— A co zrobiłabyś na moim miejscu?

— Dałabym temu spokój. — Jenna wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Wendy. — Proszę. Błagam cię. Po prostu zostaw to.

Wendy zastanawiała się nad tym. Przyszła tutaj, mając wyrobione zdanie. Czyje zmieniła? Znów wyobraziła sobie, że John żyje. Zobaczyła Charliego wchodzącego na piętro. I martwą dziewczynę leżącą na podłodze.

— Wendy?

— Nie chcę być sędzią i ławą przysięgłych — powiedziała, myśląc teraz o Edzie Graysonie, o tym, co zrobił. — Nie do mnie należy karanie ciebie. Jednak nie mogę także cię rozgrzeszyć.

— Co to ma znaczyć?

— Przykro mi, Jenno.

Jenna cofnęła się o krok.

— Nie możesz mi niczego udowodnić. Zaprzeczę, że cała ta rozmowa miała miejsce.

— Możesz próbować, ale sądzę, że to nic nie da.

— To będzie twoje słowo przeciwko mojemu.

— Nie, wcale nie — powiedziała Wendy. Wskazała furtkę. Zza domu wyszli Frank Tremont i dwaj inni policyjni detektywi.

— Skłamałam — powiedziała Wendy, rozpinając bluzkę. — Mam podsłuch.

38

Wieczorem, kiedy już było po wszystkim, Wendy usiadła sama na ganku. Charlie był na górze przy komputerze. Pops przyszedł i stanął przy jej krześle. Oboje patrzyli w gwiazdy. Wendy piła białe wino. Pops miał butelkę piwa.

— Jestem gotowy do wyjazdu — oznajmił.

— Nie, jeśli pijesz piwo.

— Tylko to jedno.

— Mimo to.

Usiadł.

— Ale najpierw musimy porozmawiać.

Wypiła następny łyk wina. Dziwne. Alkohol zabił jej męża. Alkohol zabił Haley McWaid. A jednak oboje siedzą na ganku w chłodny i pogodny wiosenny wieczór, popijając. Innym razem, może kiedy będzie zupełnie trzeźwa, Wendy poszuka jakiegoś głębszego znaczenia tego faktu.

— W czym rzecz? — zapytała.

— Nie wróciłem do New Jersey tylko po to, żeby odwiedzić ciebie i Charliego.

Odwróciła się do niego.

— A po co?

— Przyjechałem, ponieważ otrzymałem list od Ariany Nasbro.

Wendy tylko popatrzyła na niego.

— Spotkałem się z nią w tym tygodniu. Więcej niż raz.

— I?

— I wybaczam jej, Wendy. Nie chcę już dłużej trwać w nienawiści. Nie sądzę, żeby John tego chciał. Jeśli nie potrafimy współczuć, co nam zostaje?

Milczała. Wróciła myślami do Christy Stockwell i tego, że przebaczyła chłopcom z college'u, którzy ją skrzywdzili. Powiedziała, że wciąż żywiąc nienawiść, traci się poczucie tego, co ważne. Phil Turnbull dowiedział się o tym za późno, prawda? Zemsta, nienawiść — jeśli przy nich trwasz, możesz stracić ważniejsze rzeczy.

Z drugiej strony Ariana Nasbro nie była dzieciakiem z college'u robiącym niewinne kawały. Prowadziła po pijanemu wiele razy, i zabiła męża Wendy. Pomimo to Wendy zastanawiała się, czy gdyby Dan Mercer żył, wybaczyłby? Czy można porównywać te wydarzenia? A nawet jeśli, czy to istotne?

— Przykro mi, Pops. Ja nie mogę jej wybaczyć.

— Nie proszę cię o to. Szanuję twoje uczucia. I chcę, żebyś uszanowała to, co robię. Możesz?

Zastanowiła się.

— Taak, chyba mogę. Siedzieli
w przyjemnej ciszy.

— Czekam — powiedziała Wendy.

— Na co?

— Aż powiesz mi o Charliem.

— Co z nim?

— Powiedziałeś mu, po co wróciłeś?

— To nie moja broszka — uciął Pops.

Wstał i skończył się pakować. Godzinę później odjechał. Wendy i Charlie włączyli telewizor. Wendy przez chwilę siedziała, a na ekranie przelatowały obrazy. Potem wstała i poszła do kuchni. Kiedy wróciła, w ręku trzymała kopertę. Wręczyła ją Charliemu.

— Co to? — zapytał.

— To list do ciebie od Ariany Nasbro. Przeczytaj go. Jeśli będziesz chciał o nim porozmawiać, będę na górze.

Wendy przygotowała się do snu i zostawiła otwarte drzwi. Czekala. W końcu usłyszała, jak Charlie wchodzi po schodach. Stał w progu.

— Idę spać — oznajmił.

— Wszystko w porządku?

— Jasne. Nie chcę teraz o tym rozmawiać, dobrze? Po prostu chcę to sobie przemyśleć.

— W porządku.

— Dobranoc, mamó.

— Dobranoc, Charlie.

Dwa dni później, przed meczem licealnych drużyn Kas-selton i Ridgewood o mistrzostwo okręgu w lacrosse, na boisku uczczono pamięć zmarłej. Podczas minuty ciszy na tablicy wyników zawieszono wielki transparent z napisem: „Haley McWaid Park”.

Wendy tam była. Obserwowała z daleka. Ted i Marcia też byli, oczywiście. Dwójka ich dzieci, Patricia i Ryan, stała przy nich. Wendy patrzyła na nich i znów pękało jej serce. Pod nazwiskiem Haley umieszczono drugi transparent. Głosił: „Nie w naszym domu”, przypominając rodzicom, żeby nie urządzali prywatki z alkoholem. Marcia McWaid odwróciła wzrok, kiedy go wciągano. Spojrzała na tłum widzów i zauważyła Wendy. Lekko skinęła jej głową. Wendy odpowiedziała tym samym. To wszystko.

Kiedy zaczął się mecz, Wendy odwróciła się i odeszła. Obecnie już emerytowany okręgowy inspektor dochodzeniowy Frank Tremont też tam był, trzymając się z tyłu, w tym samym pomiętym garniturze, który miał na pogrzebie. Ulżyło mu, kiedy się dowiedział, że Haley McWaid już nie żyła, kiedy wziął jej sprawę. Teraz jednak najwyraźniej niewiele to pomagało.

Walker pojawił się na uroczystości w mundurze szeryfa, z bronią w kaburze. Stał na asfaltowej alei, rozmawiając z Michele Feisler. Michele robiła o tym reportaż dla NTC. Na widok podchodzącej Wendy odeszła, zostawiając ich samych. Walker zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

- Tak. Dan Mercer był niewinny, wiesz.
- Wiem.
- Co oznacza, że Ed Grayson zamordował niewinnego człowieka.
- Wiem.
- Nie możesz mu tego puścić płazem. On też musi stanąć przed sądem.
- Nawet jeśli myślał, że Mercer jest pedofilem?
- Nawet.
- Walker nic nie powiedział.
- Słyszałaś, co powiedziałam?
- Słyszałem — odparł Walker. - - I zrobię wszystko, co w mojej mocy.
- Nie dodał „ale”. Nie musiał. Wendy robiła, co mogła, żeby zrehabilitować Dana, ale nikogo to specjalnie nie interesowało. W końcu martwy pozostaje martwym. Odwróciła się do Michele Feisler, która znów trzymała w ręku notes, obserwując tłum i pospiesznie robiąc notatki tak jak wtedy, kiedy była u niej w domu.
- To przypomniało o czymś Wendy.
- Hej, możesz powtórzyć to, co mówiłaś o chronologii wydarzeń?
- Ułożyłaś je nie po kolei — powiedziała Michele.
- Ach, właśnie. Ed Grayson postrzelił swojego szwagra Lemaine'a, zanim zabił Mercera.
- Tak. Nie sądzę, żeby to coś zmieniało, no nie? Teraz, kiedy miała czas, Wendy przetrawiała ten fakt. Ponieważ to zmieniało wszystko.

Odwróciła się do Walkera i zobaczyła broń w kaburze. Przez moment się na nią gapiała. Walker to zauważył.

— Coś się stało?

— Ile kul znaleźliście na parkingu przyczep?

— Przepraszam?

— Wasi technicy kryminalistyczni przeczesałi ten parking, na którym został zastrzelony Dan Mercer, prawda?

— Oczywiście.

— Ile kul znaleźli?

— Tylko jedną, w tym gazobetonowym bloczku.

— Tę, która zrobiła dziurę w ścianie przyczepy?

— Tak. Dlaczego pytasz?

Wendy ruszyła do samochodu.

— Zaczekaj, co się dzieje?! — zawołał Walker.

Nie odpowiedziała. Wróciła do swojego samochodu i obejrzała go. Nic. Żadnego śladu, nawet zadrapania. Podniosła rękę do ust, powstrzymując krzyk.

Wsiadła do samochodu i pojechała do domu Eda Graysona. Znalazła go na tyłach, pielącego ogród. Jej nagle przybycie zaskoczyło go.

— Wendy?

— Ktokolwiek zabił Dana — powiedziała — strzelał do mnie, gdy odjeżdżałam samochodem.

— Co?

— Jesteś doskonałym strzelcem. Wszyscy tak mówią. Widziałam, jak celujesz w mój samochód i oddajesz kilka strzałów. Jednak nie ma na nim śladu. W rzeczy samej, jedyna kula znaleziona na parkingu przyczep to ta, która

przeszła przez ścianę — pierwsza wystrzelona przez ciebie. Oczywisty ślad. Ed Grayson oderwał wzrok od ziemi.

— O czym ty mówisz?

— Jak strzelec wyborowy mógł nie trafić Dana z tak niewielkiej odległości? Jak mógł nie trafić w mój samochód? Jak mógł chybić? Odpowiedź: nie mógł. To wszystko było udawane.

— Wendy?

— Co?

— Daj temu spokój.

Przez moment patrzyli na siebie.

— Nie ma mowy. Nadal mam na sumieniu śmierć Dana.

Grayson milczał.

— To zabawne, jeśli się nad tym zastanowić. Kiedy weszłam do przyczepy, Dan był posiniaczony w wyniku pobicia. Policja myślała, że Hester Crimstein była taka sprytna. Wykorzystała moje zeznanie, by stwierdzić, że ty go pobiłeś i w ten sposób jego krew znalazła się w twoim samochodzie. Policjanci nie zorientowali się, że mówiła prawdę. Znalazłeś Dana. Pobiłeś go, ponieważ chciałeś, żeby się przyznał. Jednak tego nie zrobił, prawda?

— Nie. Nie zrobił.

— Więc zacząłeś mu wierzyć. Uświadomiłeś sobie, że może był niewinny.

— Może.

— Więc pomóż mi to wyjaśnić. Wróciłeś do domu. I co wtedy, przycisnąłeś EJ., żeby wyznał prawdę?

— Daj temu spokój, Wendy.

— No, powiedz. Przecież wiesz, że nie mogę. Czy E.J. zaczął mówić i powiedział ci, że to jego wuj zrobił te zdjęcia?

— Nie.

— A kto?

— Moja żona, w porządku? Zobaczyła mnie zakrwawionego. Powiedziała, że muszę przestać. Powiedziała mi, co się stało, że to jej brat zrobił te zdjęcia. Błagała mnie, żebym zostawił tę sprawę. Powiedziała, że E.J. już o wszystkim zapomniał. A jej brat otrzymuje specjalistyczną pomoc.

— Jednak ty nie zamierzałeś puścić mu tego płazem.

— Nie, nie zamierzałem. Jednak nie chciałem, by E.J. zeznawał przeciwko swojemu wujowi.

— Więc przestreliliś szwagrowi kolana.

— Nie jestem taki głupi, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

— Nieważne. Oboje wiemy, że to zrobiłeś. A potem co, wpadłeś do Dana, żeby przeprosić? Coś takiego?

— Nie odpowiedział.

— To bez znaczenia, że sędzia oddaliła oskarżenie — ciągnęła Wendy. — Mój program zrujnował życie Dana. Nawet teraz, nawet po tym, jak publicznie oczyściłam go z zarzutów, ludzie wciąż uważają go za pedofila. Nie ma dymu bez ognia, prawda? Tak więc wtedy nie miał żadnych szans. Był skończony. Zapewne ty też się o to obwiniałeś, ponieważ go prześladowałeś. Dlatego chciałeś wszystko naprawić.

— Zostaw to, Wendy.

— Jeszcze lepiej, bo byłeś szeryfem federalnym. To ci ludzie od programu ochrony świadków, zgadza się? Wicie, jak sprawić, żeby ktoś znikł.

Grayson nie odpowiedział.

— Tak więc rozwiązywanie było bardzo proste. Musiałeś upozorować jego śmierć. Nie mogłeś znaleźć innego ciała ani sporządzić fikcyjnego raportu policyjnego, tak jak robicie to z osobami objętymi programem ochrony. A nie mając ciała, potrzebowałeś wiarygodnego świadka, kogoś, kto nigdy nie stanąłby po stronie Dana Mercera. Mnie. Pozostawiłaś dosyć dowodów, żeby policja uwierzyła w moją opowieść: jeden pocisk, jego krew, świadka, który widział, jak wynosisz dywan, twój samochód na miejscu zbrodni, GPS podłożony w moim samochodzie, nawet odwiedziłaś strzelnicę. Ale nie było tego wystarczająco dużo, żeby można cię było skazać. W pistolecie miałaś tylko jeden prawdziwy nabój. Ten pierwszy, którym przestrzeliłaś ścianę. Pozostałe były ślepe. Dan zapewne dał ci próbkę krwi albo sam specjalnie się skaleczył; to wyjaśnia ślady krwi. Och, wykazałaś jeszcze większy spryt, bo znalazłaś parking przyczep znajdujący się poza zasięgiem sieci telefonii komórkowej. Twój świadek musiał odjechać. W ten sposób miałaś wystarczająco dużo czasu, żeby wywieźć stamtąd Dana. A kiedy znaleźli tego iPhone'a w jego pokoju motelowym, no cóż, przez moment byłeś przerażony, prawda? Dlatego przyszedłeś do parku. Chciałeś uzyskać informacje. Obawiałaś się, tylko przez chwilę, że może pomogłeś uciec prawdziwemu zabójcy.

Czekała, aż coś powie. Przez moment tylko patrzył na jej twarz.

— To ciekawa opowieść, Wendy.

— Cóż, nie mogę tego udowodnić...

— Wiem. Ponieważ to bez sensu. — Niemal się uśmiechnął. — Czy może masz nadzieję, że i mnie złapiesz na swój podsłuch?

— Nie nam podsłuchu.

Pokręcił głową i ruszył w kierunku domu. Poszła za nim.

— Nie rozumiesz? Nie chcę tego udowadniać.

— No to po co tu przyszłaś?

Łzy napłynęły jej do oczu.

— Ponieważ jestem odpowiedzialna za to, co mu się przydarzyło. To ja zrobiłam o nim ten program telewizyjny. To przeze mnie świat uważa go za pedofila.

— Chyba masz rację.

— I jeśli go zabiłeś, to mój ciężar. Na zawsze. Nie wybaczę sobie tego. To moja wina. Jeśli jednak pomogłeś mu uciec, to może, tylko może, nic mu teraz nie jest. Może nawet zrozumiałby i...

Urwała. Byli już w domu.

— I co?

Słowa z trudem wydobywały się z jej ust. Łzy płynęły szybciej.

— I co, Wendy?

— I może — wykrztusiła — mógłby mi nawet przebaczyć.

Wtedy Ed Grayson podszedł do telefonu. Wybrał długi numer. Podał jakieś hasło. Zaczekał na sygnał. Po czym wręczył Wendy słuchawkę.

Epilog

— Mister Dan?

Jestem w namiocie pełniącym również funkcję szkoły. Uczę dzieci czytać w ramach programu o nawie LitWorld.

— Tak?

— Radio. To do pana.

W wiosce nie ma telefonu. Z tą częścią prowincji Kabinda w Angoli można skontaktować się wyłącznie przez radio. Przed laty, po ukończeniu Princeton, pracowałem niedaleko stąd w Korpusie Pokoju. Często mówi się, że kiedy Bóg zamyka jakieś drzwi, otwiera inne. Albo coś takiego. Tak więc kiedy otworzyłem tamte czerwone drzwi, nie miałem pojęcia, że otworzą się inne.

To Ed Grayson uratował mi życie. Ma znajomą, niejaką Teresę Collins, która pracuje w podobnej wiosce po drugiej stronie góry. Ona i Ed to jedyni ludzie, którzy znają prawdę. Dla wszystkich pozostałych Dan Mercer nie żyje.

Co niekoniecznie jest kłamstwem.

Powiedziałem wam wcześniej, że życie Dana Mercera się skończyło. Jednak zaczęło się życie Dana Mayera — to nieznacząca zmiana nazwiska, ale wystarczająca. Zabawne. Naprawdę nie tęsknię za moim dawnym życiem. Coś słało się ze mną po drodze — może powodem były okropności życia w rodzinie zastępczej, może to, co zrobiłem Chrście Stockwell, a może fakt, że pozwoliłem Philowi Turnballowi wziąć całą winę na siebie, co uczyniło tę pracę moim powołaniem. Chyba można to nazwać pokutą. Może nią jest? Myślę jednak, że to coś w genach, tak jak niektórzy rodzą się po to, żeby być lekarzami, łowić ryby albo zręcznie wyplatać koszyki.

Przez długi czas z tym walczyłem. Ożeniłem się z Jenną. Jednak tak jak mówiłem wam na początku, moim przeznaczeniem jest samotność. Teraz się z tym pogodziłem. Ponieważ — chociaż wiem, że to zabrzmia naiwnie — kiedy widzisz uśmiechnięte twarze tych dzieci, nigdy nie jesteś naprawdę sam.

Nie oglądam się za siebie. Jeśli świat uważa Dana Mercera za pedofila, niech tak będzie. Nie mamy tutaj Internetu, więc nie mogę sprawdzać, co dzieje się w mojej ojczyźnie. Pewnie i tak nie miałbym ochoty tego robić. Tęsknię za Jenną, Noelem i dziećmi, ale trudno. Chciałbym wyznać jej prawdę. Jenna jest jedyną, która szczerze będzie mnie opłakiwała.

Sam nie wiem. Może pewnego dnia jej powiem.

Podniosłem słuchawkę radiotelefonu. Podczas mojego niedługiego pobytu tutaj jeszcze nigdy nikt do mnie nie

dzwonił. Tylko Terese Collins i Ed Grayson znają ten numer, więc jestem zdziwiony, kiedy słyszę znajomy głos, mówiący: „Tak mi przykro”.

Chyba mógłbym zniechęcić ten głos. Powinienem być na nią zły, ale nie jestem. Uśmiecham się. Przecież w pewien sposób uczyniła mnie szczęśliwszym, niż byłem.

Mówi szybko, płacząc, tłumacząc się. Słucham nieuważnie. Nie muszę tego wszystkiego wiedzieć. Wendy zadzwoniła, żeby usłyszeć dwa słowa. Czekam. A kiedy wreszcie daje mi okazję, z przyjemnością mówię jej:

— Wybaczam ci.